



# KOCHANKOWIE BURZY

*Panna z Jaśminowa*



ELŻBIETA GIZELA ERBAN

VIDEOGRAF

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ELŻBIETA GIZELA ERBÄN

KOCHANKOWIE  
BURZY

TOM 1

*Panna z Jaśminowa*

V I D E O G R A F



Redakcja

*Anna Seweryn*

Projekt okładki

*Anna Slotorsz*

Fotografia na okładce i grafiki na stronach rozdziałowych

© *KathySG|shutterstock.com*

Redakcja techniczna, skład i łamanie

*Damian Walasek*

Przygotowanie wersji elektronicznej

*Maksym Leki*

Korekta

*Urszula Bańcerek*

Marketing

*Anna Jeziorska*

*promocja.videograf@gmail.com*

Wydanie I w tej edycji, Chorzów 2022

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3c

tel. + 48 600 472 609, + 48 664 330 229

*office@videograf.pl*

*www.videograf.pl*

Dystrybucja wersji papierowej: LIBER SA

05-080 Kludyn, ul. Zorzy 4

Panattoni Park City Logistics Warsaw I

tel. +48 22-663-98-13, fax +48 22-663-98-12

*dystrybucja@liber.pl*

*dystrybucja.liber.pl*

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2022

tekst © Elżbieta Gizela Erban

ISBN 978-83-7835-996-8

*I dasz ich wszystkich wygubić za młodu.  
I pokolenie nasze zatracisz do końca?*

Adam Mickiewicz, *Dziady*, część III

# Prolog

Pewnej nocy powróciła we śnie do Makowa.

Szła od strony puszczy, mając za sobą pokrytą gęstym borem Górę Sieradowską. Ukochana, cała w leciutkiej niebieskawej mgiełce, pławiła się w promieniach zachodzącego słońca. Z jej szczytu wzbił się orzeł i szybował bezgłośnie na szeroko rozpostartych skrzydłach, wypatrując żeru.

Nawet we śnie czuła podniecenie, zdana na łaskę tej ogromnej fali uczuć, jakie nią owej nocy owładnęły. Powracała do domu i pragnęła jak najprędzej dotrzeć do celu swej wędrówki. Po chwili zobaczyła przed sobą wysoki mur, porośnięty zielonym bluszczem, odgradzający park od wiejskiej drogi, i stanęła przed bramą wjazdową. Na jej szczycie brakowało tarczy herbowej z orłem i złotą gwiazdą.

Z wysiłkiem uchyliła połowę ciężkich żelaznych wrót i weszła. Natychmiast otoczył ją ciemnozielony półmrok lipowej alei. Ogromne drzewa splotły konary, tworząc tunel, a gęste listowie nie przepuszczało słonecznego światła.

To była jej ukochana aleja, sekretne wspomnienie domu, które skrzętnie skrywała w sercu, i tajemna pociecha. Przywrócenie na jedno mgnienie oka w ulotnej pamięci takich dni jak ten i piękna ogromnego parku. Słyszała trzask gałązek pod stopami i prawie omdlewała, obezwładniona narastającą falą szczęścia. Tutaj słońce świeciło zupełnie inaczej niż to ostre, palące słońce Południa. Tęskniła za jego dobroczynnymi promieniami dającymi życie. Znowu słyszała śpiew swojskich ptaków, a po pniach wyniosłych drzew goniły się zwinne rude wiewiórki. Na poboczach alei kwitły różowe, żółte i białe azalie, liliowe heliotropy, błękitne hortensje oraz pachnące aksamitne bratki.

Przyśpieszyła kroku, mając dziwne wrażenie, że naraz ucichł wiatr, a ciszy nie mącił nawet chrzęst żwiru pod jej stopami. Zawędrowała do włoskiego ogrodu i szła wzdłuż szpaleru z ligustru pomiędzy wysokimi cyprysami. Rozglądnęła się, szukając wzrokiem różanej altany, lecz jej nie dostrzegła. Jedyne szkarłatne róże pachniały jak dawniej, słodko i upajająco, pnąc się po wyniosłym dębowym krzyżu. Stojący na cokole marmurowy amerek położył na ustach paluszek, gestem nakazując milczenie.

Przyszło jej na myśl, że pomiędzy płytami pozostałymi z dawnej posadzki altany zachowały się jeszcze ślady krwi. Przeszłość wracała do niej szeregiem obrazów wyrytych w pamięci. Wiedziała, że miejsca zbrodni, we wnętrzach czy też w sielankowym otoczeniu parku, mają jedną wspólną cechę – otacza je aura śmierci, a ona nauczyła się ją bezbłędnie rozpoznawać.

Przez chwilę stała, nasłuchując. Dokoła niej snuły się cienie, z zarośli dochodziły do jej uszu stłumione szepty duchów. Zdawało się jej, że widzi smukłego mężczyznę tulącego kobietę w białej sukni pokrytej plamami krwi. Jej rozpuszczone włosy wiły się na ramionach jak czarne węże. Szepty stawały się głośniejsze, niemal słyszała poszczególne słowa... Nagle rozległ się tętent galopującego konia, a potem przeraźliwy krzyk i dwa strzały!

Nie, oczywiście, to było tylko złudzenie, gra światła i cieni, szum poruszanych powiewem wiatru liści. Strzały imitowało stukanie dzięcioła. O kobiecie i mężczyźnie z tamtych czasów dawno zapomniano. Ich groby porosły mchem, a napisy na nich były nie do odczytania. Alarmująco gwizdnął kos, nisko, w krzakach po drugiej stronie ogrodu. Ogarnął ją lęk, serce biło coraz szybciej, a jego uderzenia zdawały się tak głośne, jak dzwon.

To było miejsce przeklęte i powinna stamtąd natychmiast odejść.

Oburącz uniosła krynolinę i pobięła przed siebie tak prędko, jak tylko mogły unieść ją nóżki w safianowych pantofelkach. Czas nagle się cofnął. Znowu miała siedemnaście lat i głowę pełną marzeń. Jeszcze tylko kilka kroków i otworzy się przed nią wolny przestwór błękitnego nieba, a potem ujrzy przed sobą najukochańsze miejsce na ziemi, do którego uparcie zmierzała nawet we śnie.

Nareszcie! Spomiędzy zieleni drzew wyłoniły się kremowe ściany pałacu. Wysokie okna płonęły w blasku zachodu, podobne do wielkich rubinów. Idąc po miękkim jak dywan trawniku, upajała się cudownym widokiem. Krajobraz był tak piękny i pełen spokoju, że patrzyła jak zaczarowana, myśląc z radością, że oto spełniły się jej marzenia i powróciła do domu. Z granitowej fontanny przed pałacem tryskały strumienie wody z paszcz dwóch splecionych ze sobą smoków. Słyszała spadające krople i czuła na twarzy wilgotny powiew. Powietrze, woda, gęstwina drzew, woń kwiatów to były wspomnienia domu, powrót do lat młodości.

Była już bezpieczna i wkrótce spocznie pośród znajomych kształtów prześlicznych mebli, w ciszy stylowych komnat. Wszystko tam zapewne



pozostało bez zmian. Uchylone drzwi do wykwintnego buduaru pozwoliły dostrzec głęboki fotel odstawiony od stoliczka, na nim otwartą książkę i batystową chusteczkę moką od łez. W kominku buzował ogień, a na rzeźbionych rokokowych gerydonach stały bukiety cieplarnianych kwiatów w alabastrowych wazonach.

W malinowym salonie, na wieku fortepianu Pleyela leżały rozrzucone w nieładzie nuty. Wieczorami grała na nim burzliwe etiudy i smutne nokturny Chopina. Na papierze nutowym zauważyła krótki szkic własnej kompozycji, poświęconej ukochanemu. Idąc przez park, ani razu nie obejrzała się za siebie w obawie, że pomiędzy drzewami może dojrzeć złocisty krzyż na wieżycze kaplicy grobowej. A wtedy przypomni sobie wszystko, o czym nie odważyła się myśleć i pęknie jej serce.

W pobliżu zaszczekał pies. Boże, to przecież Grot! Usłyszała za sobą szybkie, energiczne kroki i głos, najdroższy, jedyny na całym świecie głos, zawołał ją po imieniu:

– Nino!

Odwróciła się, wyciągnęła przed siebie ramiona i łkając ze szczęścia, pobiegła mu na spotkanie. Ale jej nogi zaczęły grzęznąć w czymś lekkim, miękkim i sypkim, w czym z trudnością mogła się poruszać. Wydała okrzyk i padła na kolana. Jej palce zagłębiły się w ulotnym szarym pyłe. Chwytała go pełnymi garściami i podnosiła do oczu. Popiół...

\*\*\*

Obudziła się, wilgotna od potu, wstrząsana rozpaczliwym płaczem.

W mgnieniu oka opanowała ją nieopisana tęsknota. Odżyło tłumione latami cierpienie i narastający ból. Szczęście przeminęło, jak przemija krótki słoneczny dzień. Uleciała młodość, odeszli bliscy. Pozostała jedynie okrutna nostalgia, niedająca się ukoić. Od ukochanych miejsc dzieliła ją przepaść czasu, nieuchronność śmierci, granice obcych państw i ten zimny szary popiół ze zgliszczy, który dawno już rozwiały wiatry i splukały jesienne szarugi.



# Rozdział 1

W ostatnim dniu grudnia 1860 roku przez bramę wjazdową Makowa przetoczyła się czarna karetą. Ciągnęły ją dobrze dobrane rosłe konie, a stangret i lokaj nosili liberie. Pojazd poprzedał konny z zapaloną pochodnią, siejącą deszcz ognistych iskier.

Nina, siedząc na wytartej aksamitnej poduszce ułożonej na twardej przedniej ławeczce, z największym trudem próbowała utrzymać w granicach przyzwoitości podniecenie, którym tchnął każdy rys jej twarzyczki. Jechała na swój pierwszy w życiu bal, towarzysząc ciotce i wujowi Borutyńskim oraz kuzyneczce Bini. Tego roku, w czerwcu, ukończyła piętnaście lat, a od dwóch tygodni była „śmiertelnie” i beznadziejnie zakochana w wuju Aleksie, kuzynie ciotki Marii – właścicielu Makowa.

Hrabia Aleksander Klonowiecki przebywał od wielu lat za granicą, mieszkając ze swoją słynącą z piękności żoną w Petersburgu i w Paryżu. Powrócił do kraju jesienią, kiedy na ulice miast Królestwa Polskiego wyległy tysiące ludzi, domagając się od cara swobód obywatelskich i reform. Nina nie pamiętała hrabiego z czasów dzieciństwa, kiedy był gościem w Jaśminowie, u jej rodziców, i zobaczyła go dopiero przed świętami Bożego Narodzenia. Przybył do Sarnik, aby złożyć wujostwu Borutyńskim kurtuazyjną wizytę, po powrocie z zagranicy. Zaintrygowana zasłyszonymi opowieściami o jego urodzie i bogactwie, Nina pałała chęcią ujrzeć wuja na własne oczy. Lecz ciotka Maria jak zwykle okazała się osobą bez serca, nakazując jej pozostać w swoim pokoju.

Rozgoryczona Nina, którą zżerała ciekawość, z właściwym sobie uporem postanowiła obejrzeć gościa. Usiłowała zajrzeć do salonu przez dziurkę od klucza i szparę w drzwiach. Przyłapaną przez nianię na tym karygodnym występku, została przywołana do porządku mocnym klapssem.

– Paskudnica! – z oburzeniem wykrzyknęła niania. – Jak ci nie wstyd? Chcesz, żeby pan hrabia wziął cię za pokojówkę? Marsz do pokoju!

Nina z głośnym szlochem schroniła się na facjatce i tam czatowała przy oknie, podskakując z niecierpliwości i przestępując z nóżki na nóżkę. Po godzinie wuj Aleks wyszedł z dworu, żegnany serdecznie przez Borutyńskich. Wsiadając do karety, odruchowo podniósł głowę i spojrzał w górę. W oknie facjatki dostrzegł przyklejony do szyby nosek Niny i jej

zaróżowioną z emocji buzię. Rozbawiony tym uroczym widokiem z uśmiechem skinął jej dłonią. Nina o mało nie zemdląca z wrażenia, a mocne rumieńce i błyszczące oczy dały wiele do myślenia niani i ciotce Marii.

Od tego dnia marzyła skrycie, żeby choć raz jeszcze zobaczyć obiekt swego uwielbienia. O mało nie zemdląca z radości, dowiedziawszy się, że została zaproszona do Makowa na bal sylwestrowy.

Jadąc kareta, cieszyła się, że szalejąca od kilku dni zamieć śnieżna ucichła, a wieczorem nad Górami Świętokrzyskimi niebo usiane było gwiazdami. Kareta przebyła długą aleję lipową i zatoczywszy krąg na *cour d'honneur*<sup>01</sup>, zatrzymała się przed monumentalną fasadą pałacu. Stangret powstrzymał spienione konie, a lokaj zeskoczywszy z kozła, otworzył drzwiczki i opuścił stopnie. Wuj Ksawery, obudzony z drzemki mroźnym powiewem, odrzucił otulające go futra i podał rękę żonie, pomagając jej wsiąść. Obie panny pośpieszyły za nimi.

Sień pałacowa zrobiła na Ninie wielkie wrażenie swym ogromem i przepychem. W wysokich lustrach odbijały się światła żyrandola z weneckiego kryształu. Szerokie marmurowe schody, przykryte purpurowym dywanem, wiodły na piętro, do sali balowej i wielkiego salonu. Lokaje, wystrojeni w czarno-czerwone liberie, peruki i białe jedwabne pończochy, pomogli państwu pozbyć się futer i ciepłych botów.

Nina z nieśmiałym zadowoleniem przejrzała się w lustrze. Spod falban szerokiej krynoliny z białej gazy wyglądały czubki jedwabnych balowych pantofelków. Gęste brązowe włosy, upięte *à la grecque*<sup>02</sup>, zdobiły bukieciki sztucznych konwalii. Przypomniawszy sobie radę niani, Nina mocno przygryzła usta i nieznacznie uszczypnęła się w policzki. Binia w przyływie siostrzanej czułości mrugnęła do niej porozumiewawczo i troskliwie poprawiła zawiniętą koronkową bertę<sup>03</sup>. Trzymając się za ręce, wolno wchodziły po schodach, pośród świateł i kwiatów. Serce Niny biło tak prędko, że musiała otworzyć wachlarz i ochłodzić nim rozpaloną twarz. Sędziwy kamerdyner w galowej liberii zaanonsował uroczyscie:

– Jaśnie wielmożni państwo Borutyńscy z córką i panną Nałęczowską!

Na progu sali balowej powitała ich piękna brunetka w sukni ze złotawego atlasu, haftowanej drobnymi perełkami. Na jej szyi mienił się feerią barw diamentowy naszyjnik. Diamentowa łza lśniła na czole.

– *Oh, chere Paulette!*<sup>04</sup> – wykrzyknęła ciotka Maria i obie damy wymieniły uściski.

Wuj Ksawery dostąpił zaszczytu ucałowania dłoni hrabiny, a potem ciotka zaprezentowała obie panny, które jednocześnie dygnęły. Pani Klonowiecka podała rękę Bini i obdarzyła ją uśmiechem. Potem jej duże oczy, czarne i ocienione długimi rzęsami, zatrzymały się na Ninie, obrzucając ją zimnym, badawczym spojrzeniem, i hrabina poprzestała na skinieniu głową. Zwracając się do ciotki po francusku, skarżyła się, że po Paryżu ta polska wiocha wydaje jej się grobem.

Nina, podziwiając salę balową, prawie nie zwracała uwagi na toczący się dialog. Przez moment doznała niemądrego młodzieńczego wrażenia, iż ta olśniewająca wystawa jest niejako hołdem dla jej debiutu w świecie salonów. Ochłonawszy z podniecenia, wzruszyła ramionami, dziwiąc się swojej naiwności. Stwierdziła z goryczą, że ciotka przenigdy nie zabrałaby jej dziś do pałacu, gdyby wuj Aleks nie wyraził chęci poznania córki zmarłej przed laty siostry ciotecznej. Gości przybywało, lecz bal jeszcze się nie rozpoczął, bowiem oczekiwano na przyjazd sędziwej pani wojewodziny, matki chrzestnej hrabiego, oraz gościa zaproszonego przez panią domu.

Naraz z bocznego salonu wyszedł wysoki mężczyzna. Nina rzuciła na niego okiem i na moment wstrzymała oddech. Jego jasne włosy miały odcień czystego złota, wyrazistą twarz o regularnych pięknych rysach ożywiały bursztynowe oczy. Wytworny frak z pewnością wyszedł spod igły paryskiego krawca, podobnie jak biała, jedwabna, plisowana koszula. Ałtasowa kamizelka była arcydziełem dobrego smaku. W krawacie tkwiła złota szpila z dużym brylantem. Ujrawszy Borutyńskich, mężczyzna podszedł do nich z uśmiechem i przywitawszy się, powiedział kilka miłych słów do Bini. Kiedy zwrócił się w stronę Niny, ta oniemiała z wrażenia.

– Nie wiedziałem, że wyrosłaś na taką śliczną pannę – odezwał się uprzejmie.

Nina gwałtownie przełknęła ślinę, dławiąc się i przeklinając swoją nieśmiałość. Rozpaczliwie szukała słów, które nie brzmiałyby banalnie, ale nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. W końcu złożyła mu tylko ukłon i szepnęła:

– Dziękuję panu hrabiemu.

Zarumieniła się przy tym, wyobraziwszy sobie, że zachowuje się jak tępa gęś. Jej maniery zwykle były swobodne, lecz jedno spojrzenie jego oczu sprawiło, iż doznała czegoś na kształt amnezji. Ciotka Maria popatrzyła na nią z dezaprobatą:

– Olesiu – powiedziała z wymuszonym uśmiechem – zechciej mnie odprowadzić do kanapy.

Przeprosił, podał jej ramię i poszli w głąb sali, a obie panny podążały za nimi. Hrabina zaprosiła wuja Ksawerego do bocznego salonu, gdzie znajdowała się palarnia, stół bilardowy i stoliki kryte zielonym sukmem. Siedzący przy nich panowie grali ostro o duże pieniądze. Idące za ciotką dziewczęta z rozchyłonymi ustami rozglądały się po ogromnej sali. Jej sufit wspierały rzędy marmurowych kolumn, zaś biały jedwab, którym obito ściany, podtrzymywały u góry złożone listwy. Ogromny kominek z checińskiego marmuru sięgał niemal stropu. Rokokowe freski zdobiły supraporty<sup>05</sup> i podłużne *panneau*<sup>06</sup>. Pod kolumnadą stały złożone mebelki, a posadzka, gładka i błyszcząca, przypominała tafłę lodu.

Hrabia podprowadził kuzynkę do wielkiej kanapy i ucałowałszy jej dłoń, odszedł witać przybywających wciąż gości. Ciotka usadowiła się wygodnie, wymieniając ze znajomymi paniami hałaśliwe pocałunki. Obie panny dygnęły i przystanęły obok, pod czujnym okiem starszych dam.

Z galerii rozległy się dźwięki skrzypiec rozpoczynające gawota<sup>07</sup>. Binia poprawiła krótki rękawek sukni balowej z cieniutkiego różowego szyfonu i posłała Ninie kpiące spojrzenie.

– Czy wiesz – szepnęła, potrząsając długimi jasnymi lokami – że wpatrywałaś się w wuja Aleksa cielęcym wzrokiem?

– Nieprawda, bo wcale na niego nie patrzyłam! – skłamała Nina, wydymając pogardliwie wargi.

Jednak nogi zatrzęsły się pod nią i musiała oprzeć się o kolumnę. Chłód marmuru przejął ją dreszczem. Odwróciła głowę, obawiając się, że Binia może domyślić się jej serdecznej tajemnicy. Pomiędzy tłumem gości dostrzegła młodego mężczyznę idącego przez salę. Rozglądał się, jakby kogoś szukał. Miał pewną siebie minę, a w jego piwnych oczach czaiły się wesołe iskierki. Widok przyjaciela ucieszył Ninę. Świetny tancerz był wodzirejem na każdym balu lub zabawie. Z pewnością to właśnie ich szukał.

– O, jak to dobrze! – zawołała. – Spójrz, Biniu! Tadzio Siekielski idzie do nas. Pewnie kompletuje pary do poloneza.

Kanapowe damy w odpowiedzi na wyszukane komplementy młodzieńca przywitały go bardzo mile. Spytał, czy wolno mu zaopiekować się pannami i otrzymawszy łaskawą zgodę ciotki Marii, poprowadził dziewczęta przez salę do kanapki stojącej w cieniu olbrzymiej palmy.

– Dlaczego Jaś nie przyjechał razem z tobą? – zagadnęła go Binia, kiedy usiedli, a lokaj postawił na niewielkim stoliczku kryształowe szklanki z mrożonym sorbetem.

– Przyjedzie trochę później z moim ojcem – odrzekł Tadeusz. – Musiał zająć się Kaziem Bieckim, bo ten oferma skręcił sobie nogę, skacząc z okna pokojówki. Och, przeklęty babiarz, raz się doigra! – urwał i zmieszany dodał: – Chciałem tylko powiedzieć, że Janek się spóźni. No, czego rechoczenie jak dwie żaby w stawku?

– Oj, Tadziu! – Nina roześmiała się głośno. – Przerwałeś w bardzo interesującym momencie, a teraz zachowujesz się jak *vieux garçon*<sup>08</sup>.

– Cicho bądź! Dzieci i ryby głosu nie mają – odciął się nadąsany. Lekkie rytmiczne dźwięki walca przerwały im rozmowę. Tadeusz wstał i uklonił się Bini, upominając się o obiecany taniec. – A do poloneza przyślę ci Wacka Barycza – powiedział do Niny.

Stojący w drzwiach kamerdyner zapowiedział oczekiwaną panią wojewodzinę, a zaraz potem oznajmił przybycie gościa pani Klonowieckiej, pułkownika hrabiego Płatona Mikołajewicza Woroncewa. Oficera przywitał przeciągły szmer. Rosjanie rzadko bywali zapraszani do polskich domów. Galowy mundur pułkownika, mieniący się od złotych haftów, niemal otarł się o żałobne kiry sędziwej damy. Wojewodzina zaledwie raczyła spojrzeć na oficera prezentowanego jej przez zarumienioną panią domu. Równie chłodno i wyniośle przyjęła jej pocałunek. Jedyne dla chrzestnego syna znalazła czuły matczy ny uśmiech.

Obserwująca tę scenę Nina rozglądnęła się, myśląc: „Jaki to wspaniały pałac! Ile tu może być pokoi? Czterdzieści, a może więcej. Gdyby ten dom był mój, znałabym każdy jego zakątek”. Otrząsnęła się z marzeń i powitała uśmiechem zbliżającego się do niej młodego mężczyznę.

– Dobry wieczór, Waciu. Proszę, usiądź przy mnie.

Stosując się do jej życzenia, usiadł, lecz filigranowa kanapka zaskrzypiała ostrzegawczo pod ciężarem jego atletycznej figury. Poderwał się zawstydzony i niechcący przydeptał skraj gazowej sukni Niny. Stanowczym ruchem wyswobodziła ją spod jego trzewika, a biedny chłopak poczerwieniał i miał taką minę, jakby pragnął zapaść się pod ziemię. Nina zatrzepotała wachlarzem i popatrzyła na niego wyczekująco. On jakby tego nie zauważył i stał przy niej zrezygnowany, wpatrując się w dywan.

– Nie tańczysz, Waciu? – zagadnęła go wprost.



– *Non, je ferai tapiserie*<sup>09</sup> – westchnął cicho. – Podeptałbym ci pantofelki. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– O, bynajmniej! – zapewniła go przez zaciśnięte zęby, myśląc: „Co za bałwan!”.

Na skinienie pana domu orkiestra ucięła granego walca i w sali rozległy się melancholijne tony poloneza *Les adieux à la patrie*<sup>10</sup>. W Europie, a szczególnie na carskim dworze, wszelkie uroczystości i wielkie bale rozpoczynano zwykle polonezem. Echo świetności upadłego państwa żyło w muzyce, czarując słuchaczy majestatycznym patosem. Ruszył długi barwny korowód par. Nina siedziała smutna i rozżalona. Wymarzony bal przyniósł jej na razie rozczarowanie. Nie tańczyła, a Barycz stał obok, nie zdradzając ochoty do pogawędki. Tylko gdy sądził, że ona tego nie widzi, wpatrywał się w nią z tajonym uczuciem. Nina była na niego zła, wiedząc, że dopóki będzie stał przy niej, nikt nie ośmieli się poprosić jej do tańca, przekonany, że panna odpoczywa. Z zazdrością śledziła wzrokiem mijające ją pary.

Doprawdy to była potworna niesprawiedliwość losu! Na tydzień przed balem wszystkie tańce w karneciku miała zajęte. Tymczasem teraz zamiast się bawić siedziała niczym kwoka na grzędzie i mogła tylko patrzeć. Tak bardzo pragnęła stać się dorosłą, wstąpić w ten zamknięty przed nią krąg wtajemniczenia. W świat namiętnych spojrzeń, sekretnych bilecików, tajemnych uścisków rozpalonych rąk. Marzyła, by wuj Aleks potraktował ją jak dorosłą pannę i powiedział jej coś pięknego. „Ach, mój ty Boże!” – westchnęła i powoli zbierało się jej na płacz.

Pułkownik Woroncow z wrodzoną Rosjanom gracją tańczył z panią Klonowiecką. Jego wzrok, obojętnie prześlizgujący się po sali, zatrzymał się nagle, obejmując badawczym spojrzeniem Ninę. Dostrzegł jej zachmurzoną buzię i płonące buntem oczy. Na sekundę ich źrenice się spotkały. Oficer uśmiechnął się domyślnie, ukazując piękne zęby. Nina prychnęła, ściągnęła brwi i odwróciła głowę, zasłaniając się wachlarzem. Jej złego humoru nie poprawiły nawet przepyszne lody, podane przez lokaja na srebrnej tacy. Zerknęła, czy ciotka nie patrzy i odważyła się sięgnąć po kieliszek wina, ale było wytrawne i wcale jej nie smakowało.

Polonez się skończył. Siekielski odprowadził Binię, pytając ze zdumieniem Barycza, dlaczego nie tańczyli. Nina, znając porywczy charakter Tadeusza, wyjaśniła pośpiesznie, że pragnęła jeszcze chwilę odpocząć.

– Rozejrzyjcie się panowie, czy Jaś nie przyjechał – poprosiła, udając, że nie widzi wdzięcznego spojrzenia Wacława.

Zadyszana Binia klapnęła na kanapkę i z balowego *ridicules*<sup>11</sup> wyjęła małą chusteczkę, którą otarła wilgotną twarz. Odsapnęła i skinęła na przechodzącego lokaja.

– Mam ochotę na coś słodkiego – oznajmiła, biorąc z tacy czarkę pełną crème brûlée z malinami. – Widziałas, jaką hrabina ma toaletę? Znać Paryż! A wuj Aleks jest naprawdę *charmant*<sup>12</sup>. Wyobraź sobie, że kontredansa zamówił u mnie pan hrabia Popiel z zamku w Kurozwękach. Został mi przedstawiony jeszcze w lecie, na raucie u książąt Druckich-Lubeckich w Bałtowie. Prawda, że bardzo rasowy? *Hélas*<sup>13</sup> nie dla mnie – z cichym westchnieniem oblizwała łyżeczkę z kremu.

– Ależ Biniu, jesteś przecież zaręczona – przypomniała jej Nina. – Co by na to powiedział pan Edward Świerczyński?

Binia zachichotała.

– Mamcia uczyła nas, iż od przybytku głowa nie boli!

Orkiestra zagrała galopa, a kanapkę otoczył tłum młodych panów, przekrzykujących się, aby dać się usłyszeć w tym hałasie. Nina już nie miała powodu do narzekań, bo obie panny cieszyły się wielkim powodzeniem. Za to biedny Tadeusz jako wodzirej musiał taszczyć po sali korpulentną damę. Kiedy galop się zakończył, odprowadził partnerkę na miejsce, a sam, ciężko dysząc, opadł na fotel.

– Jezu, zgrzałem się jak przy rąbaniu drewna! – jęknął. – To barbarzyństwo, żeby człowiek zmuszony był dźwigać te kanapowe relikty. *Voilà*, idzie Jaś!

Poprzedzany przez służącego, zmierzał ku nim młody mężczyzna w mundurze studenta Akademii Medyko-Chirurgicznej. Niedawno założona warszawska uczelnia prędko zastępnęła w kraju z buntowniczych nastrojów młodzieży. Jaś Borutyński był wysoki i szczupły. Miał śmiejące się błękitne oczy, jasna czupryna opadała mu w lokach na czoło. Obie panny z głośnym piskiem rzuciły się w jego szeroko rozpostarte ramiona. Przytulił je i kolejno ucałował.

– Zamów sobie taniec u Niny, bo potem się nie dopchasz – poradził Tadeusz. Napił się zimnego sorbetu i wstał. – Biniu, zapraszam do walca. Kontredansa tańczę z Niną i mam już wspaniałą myśl na figurę w kotylionie. Jaka szkoda, że *le réveillon*<sup>14</sup> bywa tylko raz w roku.



Jaś tańczył doskonale, prowadząc Ninę pewnie i mocno obejmując jej szczupłą talię. Wspięła się na paluszki i prędko stawiała drobne kroczki. Szeroka spódnica, uniesiona wirowym ruchem, odsłaniała jej smukłe nóżki.

– Kazio jeszcze żyje? – Odchyliwszy w tył głowę, ze śmiechem patrzyła mu w oczy.

– Żyje i mocno chrapie, bo zaaplikowałem mu koniak. Do jutra będzie zdrowy. Ale z Tadka jest gaduła!

– On powiedział o tym tylko nam. Co u ciebie nowego? Dawno nie pisałeś. Może już zaręczyłeś się z jakąś mieszczką?

– *Touche*<sup>15</sup>! Oświadczyłem się warszawskiej syrence, ale dała mi kosza. Kotku, po diabła mi żona? Wystarczy, że moje matczyśko zamartwia się o mnie.

Nina pokiwała głową. Od dawna się domyślała, że Jaś tkwił po uszy w nielegalnych studenckich organizacjach, oddelegowany w tym celu z kijowskiej uczelni, gdzie studiował medycynę. Był niesłychanie zdolny, a wybór medycyny okazał się jego powołaniem. Z natury opiekuńczy, nie mógł obojętnie patrzeć na cierpienie człowieka czy zwierzęcia.

Jaś nie był z Niną spokrewniony. Będąc jedynym synem nieżyjącego kuzyna wuja Ksawerego, od najmłodszych lat stał się jego oczkiem w głowie i nadzieją na odrodzenie starożytnego rodu Borutyńskich. Z Niną znali się od dziecka i byli sobie ogromnie bliscy, jak brat z siostrą. Młody student nie lubił mówić o sobie i zaraz zmienił temat:

– Spójrz, kotku – szepnął jej do ucha. – Co tu robi ten Moskał i czemu się nam tak przygląda?

Nina spostrzegła, że oficer, tańcząc tym razem z ciotką Marią, zręcznie manewrował, ani na moment nie spuszczał jej z oczu. Z politowaniem wzruszyła ramionami. Doprawdy jakiś dziwak!

Zaledwie odpoczęła po walcu, kiedy zagrano kontredansa. Tadeusz podał jej rękę i wyprowadził na środek sali. Rozległy się delikatne dźwięki muzyki, a ustawieni w dwuszeregu damy i panowie postąpili ku sobie. Zasześciły jedwabne krynoliny, zaśniły klejnoty na szyjach i w uszach kobiet, dyskretnie zadzwoniły srebrne ostrogi oficera. Stali z Siekielskim vis-à-vis hrabiny i Woroncewa. Tadeusz złożył ukłon Pauli, pułkownik uklonił się Ninie i podał jej rękę w białej rękawiczce. Panowie zamienili się partnerkami.

Rosjanin patrzył na Ninę, obejmując wzrokiem jej smukłą postać. Z obłoku przezroczywej gazy wychylały się toczony ramiona, krągła szyja i

dziewczęce piersi. Duże oczy o przedziwnej barwie skrzyły się radością, gdy oddawała się przyjemności tańca, wykonując lekko i zwinnie skomplikowane figury.

Nagle poczuła, że Woroncow mocno ścisnął jej dłoń. Początkowo uznała to za odruch, lecz gdy uściski stawały się coraz dłuższe, wyrwała rękę i posłała mu spłoszone spojrzenie. Byłby przystojny, ale szpeciły go wąskie oczy o przeszywającym wzroku. Finał kontredansa Nina powitała z ulgą. Była zarumieniona i zawstydzona, bowiem odniosła niemiłe wrażenie, jakby spojrzenia oficera ją obnażały.

W przerwie pomiędzy tańcami lokaj poprosił ją do ciotki, siedzącej w towarzystwie pani wojewodziny. Nina o mało nie zemdląła, usłyszawszy, że pan hrabia Woroncow poprosił o pozwolenie zatańczenia z nią popisowego mazura. Nie czuła do Rosjan żadnego uprzedzenia, ale pułkownika się bała. Był antypatyczny, a jego palący wzrok uświadomił dziewczynie, że nie jest już podlotkiem, lecz stała się kobietą. Na samą myśl, że ich popisom tanecznym przypatrywać się będzie wuj Aleks, podjęła stanowczą decyzję, iż raczej padnie trupem, niż zatańczy z pułkownikiem. Potem oświadczyła ciotce, że ma skręconą kostkę i nie może na razie tańczyć. Opór siostrzenicy zirytował panią Borutyńską. W jej osądzie młoda panienka nie powinna mieć swojego zdania, a tym bardziej głośno go wyrażać.

– Cóż, w takim razie... – rzekła ciotka ze złowrogim spokojem – idź na swoje miejsce i siedź tam do końca balu!

Nina popatrzyła na nią za strachem, odwróciła się gwałtownie i połykając łzy, pobiegła przed siebie. Sędziwa wojewodzina w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie. Dopiero kiedy Nina odeszła, staruszka podniosła się z kanapy i patrząc z góry na zaperzoną damę, odezwała się półgłosem:

– To biedne dziecko ma więcej taktu od ciebie, Maryniu – westchnęła, a potem podpierając się laską, poszła szukać chrzestnego syna i jakiś czas z nim rozmawiała.

Tymczasem zbliżała się północ i Nina czuła się jak Kopciuszek, do którego nie przyszła wróżka. Proszona do tańca odmawiała, nawet przemówiła się z Tadeuszem, który nie rozumiał jej dąsów. Patrzyła na tańczące pary przeświadczona, że do końca balu skazana jest na siedzenie, niczym staruszka stojąca nad grobem. Poszukała wzrokiem wuja Aleksa. Rozmawiał z jakimś starszym panem. W tym momencie wodzirej zapowiedział mazura, a Nina o mało nie wybuchła głośnym płaczem.

Najwidoczniej hrabia usłyszał, że odmawiała proszącym ją do tańca panom, i dostrzegł jej pełne łez zrozpaczone oczy, bo przeprosiwszy swego rozmówcę, przebrnął przez gęsty wianuszek zawiedzionych kawalerów okupujących kanapkę i ujął ją za rękę.

– Ten taniec już dawno był mnie obiecany! – oświadczył i nie czekając na jej zgodę, dał znak muzykom.

Zdawało się Ninie, że zaraz umrze z radości, i tylko modliła się, żeby z emocji nie dostać czkawki. Byłaby to już ostateczna kompromitacja.

– Musiałem zapobiec rozlewowi krwi – mruknął Aleks z udawaną surowością. – Ci młodzi ludzie już patrzyli na siebie wilkiem i niezawodnie wysłaliby sobie wzajemnie sekundantów, gdybyś którego z nich wyróżniła.

– Aż tak drastyczne wydarzenia nie miałyby miejsca, ponieważ ciotka zabroniła mi tańca do końca balu – wyznała z całą otwartością.

Uśmiechem dał jej do zrozumienia, że doskonale o tym wiedział.

Pułkownik zrozumiał rzucone mu wyzwanie, bo pobladł i odruchowo sięgnął do boku, jakby tam szukał szabli. W zamian otrzymał wyniosłe spojrzenie i pan domu odwrócił się do niego plecami. Mazur stał się popisem polskiego temperamentu i rycerskości, a Nina, zupełnie zapomniawszy o zakazie ciotki, ogarnięta słodkim szaleństwem, tańczyła radosna i wdzięczna swojemu wybawcy. Inne pary, zachęczone przez wodzireja, przyłączyły się do mazura. Okrzyki mężczyzn mieszały się ze śmiechem kobiet, a rozwiane suknie dam otaczały tancerzy barwnym obłokiem.

Przed północą muzycy musieli odpocząć, zaś panie poprosiły hrabiego, by zechciał pokazać gościom słynny ogród zimowy. Zeszli na parter, idąc za lokajem długim korytarzem wysłanym dywanem. Lokaj otworzył drzwi i ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk zachwyty. Pod szklanym dachem oświetlony kolorowymi lampionami ogród zimowy tonął w soczystej zieleni. Sztywne liście palm i dracen rzucały długie cienie na marmurową posadzkę. Na środku dużej sadzawki wielkie miedziane żaby, pokryte zielonkawym nalotem, wyrzucały z pysków strumienie wody. Kolorowe rybki zwinnie przemykały pomiędzy kielichami lilii wodnych, ciągnąc za sobą welony płetw. W tropikalnym upale powietrze ciężkie było od zapachu kwiatów i egzotycznych roślin. Pomiędzy kwitnącymi krzewami mimozy, kamelii i azalii oraz drzewek pomarańczowych i laurowych stały wygodne kanapki, wprost wymarzone do miłosnych schadzek.

Młodzież rozbiegła się po ogrodzie, grając z sobą w zielone. Aleks podprowadził Ninę do kanapki ukrytej pod krzewem kwitnącego seledynowego bzu i pomógł jej usiąść.

– Chciałbym poznać cię bliżej – powiedział, siadając przy niej. Skinął na lokaja roznoszącego owoce i napoje chłodzące i wybrałszy dużą złocistą pomarańczę, zaczął ją obierać nożykiem. – Czy zawsze zachowujesz się tak cichutko? – spytał, podając jej cząstkę pomarańczy.

– Nie wiem, jak i co mam powiedzieć – szepnęła, bo osoba hrabiego budziła w jej sercu nie tylko oczarowanie, lecz i zawstydzenie.

– Jak? Otwórz buzię i mów! A co... Na przykład czy Maków ci się podoba.

Nina momentalnie zapomniała o tremie, ożywiając się w jednej chwili.

– Ach, tu jest jak w raju! Pierwszy raz jestem w pałacu i na balu i trudno mi wyrazić, co czuję. Boże, dałabym pół życia, żeby mieć taki dom! – wyrwał się jej okrzyk z samego dna serca. – Tutaj nie można się czuć nieszczęśliwym, prawda?

– No, jeżeli miarą szczęścia człowieka jest posiadanie wygodnego domu, to istotnie, jestem szczęśliwy. Ale nie mówmy o mnie. Podobno niedawno powróciłaś z pensji.

– Tak, z Warszawy. Ale nie lubię miasta, bo ono mnie przeraża. Jedyne w lesie czuję się swobodnie – powiedziała szczerze. W swojej leciutkiej białej sukience sprawiała wrażenie kruchego motyla.

– Rozumiem. Młode dziewczęta lubią spacerować, marząc pośród drzew.

– Ależ nie, marzenia są niebezpieczne – oświadczyła z powagą. – Sam cesarz Aleksander II powiedział przecież: *Point de rêveries*<sup>16</sup>.

Spojrzał na nią zdumiony i wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Promyczku, jesteś taka młodziutka, a zachowujesz się jak stary, doświadczony przez życie rabin!

Nina próbowała zachować powagę, lecz nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Jej opuszczone dotąd rzęsy uniosły się, odsłaniając głębię wielkich oczu. Aleks popatrzył na nią przekornie.

– Coś mi się wydaje, że sytuacja wymaga mocniejszego trunku niż ta lemoniada, którą pijesz – zauważył. – Co powiesz na szampana?

– Nigdy go nie piłam.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz. Tylko jeden kieliszek. Nie zamierzam rozpijać panienek.

Kamerdyner przyniósł butelkę owiniętą w białą serwetę, odkorkował i nappełnił dwa kieliszki pianaącym się winem. Aleks podał jej jeden i rzekł:

– Wznoszę toast za twój udany debiut. Niechaj w tym nowym roku spełnią się twoje marzenia.

Serce Niny zalała fala radości. Wypiła pianaący się napój, przekonana, że jeśli to nie był raj, to z pewnością jego przedsiónek. Szampan był lekki, słodki i bardzo jej smakował. Oblizwała się.

– Rozbij kieliszek – polecił Aleks. – Niech już nikt z niego nie pije.

Bez namysłu rzuciła kieliszek na posadzkę. Rozprysnął się na kawałeczki. On uczynił to samo. Jak większość ludzi wychowanych w wielkim świecie Aleks lubił to, co nie miało piętna pospolitości. Nina ujęła go swoim niewinnym zachwytem, szczerością i okazywanym zaufaniem. Spojrzał na nią z czułością. Była jeszcze taka naiwna i młodziutka, nie znała życia, stojąc dopiero na jego progu.

– Obiecuj mi, promyczku, że z każdym poważniejszym kłopotem zwrócisz się do mnie. Jestem twoim wujem, a życie ma także swoje mroczne strony, o których nic jeszcze nie wiesz. To na pamiątkę! – Z pobliskiego krzewu kwitnącego bzu zerwał seledynową kiść i podał kwiaty Ninie.

Przypięła je do szarfy i rozejrzawszy się, z przerażeniem stwierdziła, że w ogrodzie pozostali sami, bo reszta towarzystwa powróciła do sali balowej.

– Och, muszę już wracać! – zawołała z trwogą. – Ciotka z pewnością mnie ukarze.

– W takim razie chodźmy. – Podał jej ramię i razem wyszli z ogrodu.

\*\*\*

O północy nastąpił pokaz ogni sztucznych. W niebo wzbiły się pióropusze kolorowych fajerwerków. Goście oglądali je z pałacowych tarasów, słuchając przy tym *Muzyki ogni sztucznych* Händla. Zaraz po noworocznym toaście pułkownik Woroncow pożegnał się zimno i nie czekając na kolację, odjechał. Paula była tym faktem tak zdenerwowana, że przestała Ninę zauważać.

Po fajerwerkach kamerdyner oznajmił, że podano do stołu. Wielka sala jadalna znajdowała się na parterze i umeblowana była z przepychem rzeźbionymi kredensami gdańskimi. Dwa przepiękne wysokie piece z porcelany ogrzewały salę, której ściany zdobiły obrazy holenderskich mistrzów, przedstawiające martwą naturę. Na stołach, ustawionych w podkowę i nakrytych śnieżnobiałymi obrusami, leżały tafle luster oprawionych w srebrne ramy. Odbijały się w nich światła długich

perfumowanych świec, osadzonych w pozłocistych kandelabrach. Mieniły się kryształami, połyskiwały wspaniałe srebra stołowe, cenniejsze od złota. Starsze towarzystwo zamieniało przy stole półgłosem francuskie frazesy, za to szare końce stołu rozbrzmiewały stłumionymi śmiechami i szeptami młodzieży.

Po pikantnych zakąskach podano dwie zupy: żółwiową i *purée à la reine*<sup>17</sup> z drobiu, z koszykami z kruchego ciasta. Nina zjadła ze smakiem nieznaną jej zupę i porcję zapiekanego mózdzku, podanego w oryginalnej perłowej muszli. Wahala się, nie wiedząc, co wybrać: kaczkę w pomarańczach czy pasztet strasburski, o którym tylko czytała. Skusił ją jednak boczek z dzika, nadziewany mielonym mięsem jelenia, wędzonymi śliwkami i grzybami. Zawinięty w roladę i upieczony na maśle na złocisty kolor, pachniał tak cudownie, że nie mogła się oprzeć. Lokaj położył na jej talerzu wskazany kawałek, ale gdy podniosła pierwszy kęs do ust, przekonała się, że mocno zasnurowany gorset uniemożliwia jej przełknięcie czegoś więcej. Z zawiścią patrzyła na panów obżerających się bez umiaru jesiotrem, kapłonami z przepysznym nadzieniem i bażantami podanymi na srebrnych półmiskach razem z piórami ogonów.

Binia próbowała piersi indyka z kasztanami, a potem nałożyła sobie solidną porcję sałatki z owoców morza. Naraz pobladła i tylko śpiesznie wypity kieliszek wina uratował ją przed potworną kompromitacją.

– Oj, niedobrze mi! – wymamrotała do ucha Niny, oddychając głęboko.

– Bo już najwyższy czas, żeby jakaś mądra kobieta wyrzuciła do śmietnika to narzędzie tortur, w które się zakuwacie – skomentował jej skargę Jaś.

– Mądrała! – mruknęła ponuro Nina. Była jeszcze głodna, a ominęły ją płonące lody i tort hiszpański.

Po kolacji ponownie zaczęły się tańce. Nina, będąca dziś *protégée*<sup>18</sup> hrabiego, miała wielkie powodzenie, ale straciła dobry humor, zauważywszy, że wuj Aleks asystował rudowłosej damie w szmaragdowej toalecie. O drugiej ciotka Maria postanowiła wracać do domu. Wuj Ksawery, grający w karty, decyzję żony przyjął kwaśno, zaś obie panny okrzykami protestu. Ciotka była nieubłagana i nawet sam hrabia nie zdołał jej przekonać.

– Nie, Olesiu – rzekła stanowczo. – Zanim dojedziemy do Sarnik, będzie świtać. Musimy się wyspać. Mam nadzieję, że przyjedziesz z Paulinką na świąteczny obiad. Proszę, nie zrób nam zawodu. Poza tym nie wypada, żeby

młode panny pozostawały do końca balu. Biały mazur o świcie tylko dla mężatek!

Siedząc w karecie, Nina z żalem żegnała oddalający się pałac. Z głębi zimowej nocy nadleciał wiatr i zakołysał gałęziami drzew, osypując śnieżny pył. Zmęczona tańcami Binia wsparła głowę o jej ramię i zasnęła. „Jakże te konie się wloką!” – rozmyślała Nina, czując narastające napięcie. Cudowny wieczór sylwestrowy już się skończył i trzeba wracać do codzienności. Czowała potrzebę ruchu. Marzyła, żeby dosiąść konia na oklep, pomknąć cwałem, mocując się z wiatrem i przesadzając po drodze płoty. Do jej serca wkradła się tęsknota, jeszcze niezupełnie uświadomiona, a już bolesna. „Co się ze mną dzieje? – zastanawiała się z lękiem. – Świat wydaje mi się inny i ja jestem jakby odmieniona”. Przywołała w pamięci obraz Aleksa i wydawało się jej, że słyszy jego niski melodyjny głos, na dłoni czuła dotknięcie jego warg. Lekki pocałunek złożony na jej rączce przy składaniu życzeń noworocznych. Prędko zsunęła rękawiczkę i przycisnęła usta do tego miejsca, które musnął wargami. Na moment opamiętała się, bo ciotka Maria sprzeczała się o coś z wujem, lecz zauważywszy, że jej córka zasnęła, umilkła, pozwalając Ninie wrócić do przerwanych marzeń.

„Chyba mnie diabeł opętał! Dlaczego musiałam zadurzyć się w wuju Aleksie? Jezus Maria, to przecież grzech i ksiądz proboszcz nie da mi rozgrzeszenia. A jeżeli ciotka Maria coś przewącha, to wypędzi mnie z domu. A może mi się tylko tak zdaje? – polemizowała ze swoim sumieniem. – Tylko we francuskich romansach zdarzają się takie *coup de foudre*<sup>19</sup>. Zmówię pacierz, wyśpię się i może mi przejdzie”.

Jasno zdawała sobie sprawę z przepaści dzielącej ją, ubogą sierotę żyjącą na łaskawym chlebie u bogatych krewnych, od wielkiego pana, arystokraty, właściciela ogromnego majątku. Jej miłość była dowodem nie tylko bezdennej głupoty, ale i grzechem, bowiem hrabia był ciotecznym bratem jej matki, mężczyzną starszym od niej o wiele lat, żonatym z piękną światową damą. Kimże była ona w porównaniu z hrabiną Paulą?

Przypomniały się jej kazania proboszcza o karze za grzechy i spuściła głowę, przekonana, że Bóg nie ścierpi takiej jak ona grzesznicy i lada moment porazi ją piorunem. Zaciśnęła mocno powieki i oczekując nagłej śmierci, pokornie szeptała akt skruchy i przyrzeczenie poprawy.

– Co ty tak mamroczesz? – Ciotka Maria czujnie pochylila się ku niej.

Przywołana jej głosem do przytomności, Nina aż podskoczyła na ławeczce i poczuła dreszcz strachu. Nie cierpiała ciotki Borutyńskiej za jej



bezpodstawną surowość i niesprawiedliwość.

– Odmawiam pacierz, ciociu – odpowiedziała spokojnie i wyrzała przez zaśnieszoną szybę.

W oddali był już widoczny rząd strzelistych włoskich topoli w alei prowadzącej do dworu oraz masyw domu. Na piętrze, w oknie facjatki, Nina zauważyła światło. Uśmiechnęła się rozczulona – to niania oczekiwała na jej powrót. Pomyślała z nadzieją, że może miłosierny Pan Bóg zmiłuje się nad nią i pozwoli jej jeszcze trochę pożyć, żeby mogła pokutą naprawić popełniony grzech. Byleby tylko ciotka Maria nie domyśliła się niczego. W domu wujostwa traktowana była nieco lepiej niż służąca, lecz dostatecznie źle, aby boleśnie odczuwać doznane upokorzenia i zależność materialną. Ciotka Borutyńska zdecydowanie nie była osobą sympatyczną i skorą do serdeczności. Nie pobłażała nawet rodzonej córce. To samo można było powiedzieć o wuju Ksawerym. Był człowiekiem twardym, surowym i nie ustępował nikomu z wyjątkiem żony, którą ubóstwiał i stosował się do jej rad.

Po podróży w zimnej karecie w domu wydawało się rozkosznie ciepło. Panny, zrzuciwszy z siebie futra, powiedziały: „dobranoc” i pobiegły na pięterko, gdzie mieściły się ich pokoje. Nina otworzyła drzwi facjatki i rzuciła się na szyję korpulentnej starszej kobiecie w mocno krochmalonym czepeczku na siwiejących włosach i skromnej ciemnej sukni. Jej wyraźnie władczy sposób bycia nie pozostawiał wątpliwości, że niania Jaga była dla swej wychowanki jedynym liczącym się autorytetem. Jaga była niegdyś garderobianą i opiekunką matki Niny, a jej miłość do swojej pupilki i duma z niej były niezmiernie.

– Późno już, słonko – powiedziała, patrząc z zadowoleniem na różowe policzki i śmiejące się oczy swej wychowanki. – Chodź, pomogę ci się rozebrać. – Zręcznie rozpięła haftki stanika sukni i rozsznurowała krępujący płuca gorset.

Nina w westchnieniu ulgi narzuciła na ramiona sprany barchanowy szlafroczek i opadła na krzesło. Zachłystując się z podniecenia, dzieliła się z Jagą wrażeniami z balu, próbując opisać wspaniałość pałacu.

– Wszystko to piękne, ale czas do łóżka – przerwała niania.

– Już? Ja wcale nie jestem śpiąca! – rzekła Nina, niezadowolona z przerwanej relacji, i podniosła ramiona, przeciągając się. – Wiesz, wuj Aleks był dla mnie bardzo miły. Pocałował mnie nawet w rękę! – pochwaliła się z zarozumiałą miną.



– No, no! – sapnęła Jaga, przytłoczona lawiną informacji. – Takiego bakfisz<sup>20</sup> hrabia całował w rękę?

– Już nie jestem bakfiszem – stanowczo oznajmiła Nina. – Debiutowałam na balu i nawet piłam szampana!

– Co ty powiesz? Ale to mi nie przeszkodzi, by wlepić ci mocnego klapsa, jeżeli natychmiast nie znajdziesz się pod kołdrą – zagroziła Jaga.

Wzięła grzebień i zaczęła rozczesywać włosy Niny, tak długie i gęste, że sięgały poza biodra. Wychowanka wykręcała się spod jej rąk, wydając przeraźliwe piski, lecz Jaga, przyzwyczajona do jej codziennych wrzasków, nie przejmowała się tym wcale. Splecione warkocze wsunęła pod płócienny czepek, a z szafy wyjęła nocną koszulę i kaftanik. Mimo tuszy poruszała się z zadziwiającą lekkością. Strzepnąwszy poduszki, posłała Ninie wyczekujące spojrzenie.

– Do łóżka! – ponagliła. – Nie potrząsaj głową. To nie uchodzi dobrze wychowanej panience.

– Kiedy ja jestem głodna! – poskarżyła się Nina i poklepała się po żołądku. – O, słyszysz, burczy mi w brzuchu!

– Masz maniery pomywaczki. Prawdziwej damie nigdy nic nie burczy. Tyle razy ci mówiłam, że nie wypada tak się wyrażać.

Kodeks moralny Jagi opierał się na zasadzie: „wypada – nie wypada”. Gderając pod nosem, podreptała do kuchni i niebawem powróciła, niosąc na tacy szklankę ciepłego mleka i grubą kromkę razowego chleba z masłem i miodem.

– Zjedz i natychmiast się połóż – rzekła surowo, stawiając jedzenie na stolyczku. – Od świtu jestem na nogach, a teraz ty wracasz z balu i w środku nocy zawracasz mi głowę jakimś fiu-bździu! To naprawdę nie na moje siły – zrzędziła, obserwując z macierzyńską miłością, jak Nina zatapiała białe ząbki w razowym chlebie, oblizując palce umazane miodem.

Dziewczyna była dumą jej życia i ukochaną pociechą, choć często miała z nią mnóstwo kłopotów wychowawczych, starając się wykorzenić z niej upór, zapalczywość i skłonność do fantazjowania. Niestety, miała z tym twardy orzech do zgryzienia, a jej wysiłki przynosiły bardzo mizerne rezultaty.

– Nianiu, przecież ty znałaś hrabiego, prawda? – Nina przełknęła ostatni kęs chleba i starannie oblizwała białe wąsy z mleka.

– Tak... – Jaga przysiadła na łóżku i pomasowała zbolące nogi. – Starszy pan hrabia przywiózł go na dwór pani marszałkowej, twojej babki, kiedy matka panicza zmarła na skira<sup>21</sup>. Pani zaopiekowała się siostrzeńcem. – Jaga

się zamyśliła, przypominając sobie chudego wyrostka, bawiącego się z pannami w serso na trawniku przed dworem. – Jeszcze jest taki piegowaty? – spytała.

Usłyszawszy to „błuznierstwo”, Nina o mało nie spadła z krzesła.

– Nie wypada tak mówić! – zawołała rozgniewana.

– Myślisz może, że hrabiowie nie mają piegów? – Jaga z lekceważeniem wzruszyła ramionami. – Otóż mają, a panicz Aleks był piegowaty jak indycze jajo!

Nina pominęła zuchwałą uwagę niani dyplomatycznym milczeniem.

– Jest piękny – szepnęła rozmarzona. – Zobaczysz go jutro na obiedzie.

– Hm... a pani hrabiny na balu nie było? – spytała Jaga niewinnym tonem.

– Była! – Nina gniewnie wyduła wargi. – Miała paryską toaletę i cały sklep jubilerski na sobie.

– Powiadają, że jest bardzo piękna – rzekła, udając, że na nią nie patrzy.

Nina miała dziwny wyraz twarzy. Niania zawsze domyślała się jej prawdziwych intencji i wyrażała to często w sposób raczej nietaktowny. Nie miała co do swej pupilki złudzeń i dokładnie widziała jej wady. Nina nigdy nie mogła się pochwalić, że na długo wprowadziła Jagę w błąd. Podejrzliwie zerknęła na nianię i bezwiednie zakręciła się po pokoju, jakby nie wiedząc, co ze sobą zrobić. W jej oczach zalśniły duże łzy.

– Jest wstrętna! Nienawidzę jej! – krzyknęła łamiącym się głosem i wybuchła płaczem, zakrywając twarz dłońmi.

– Ciszej, kotku, jeszcze ciotka usłyszy – ostrzegła Jaga.

Nina momentalnie ucichła, lecz pociągała noskiem na znak, że czuje się bardzo nieszczęśliwa. Wzdychając, włożyła nocną koszulę i kaftanik, a potem wskoczyła do łóżka. Przyjemnie było otulić się kołdrą i spocząć w pachnącej lawendą pościeli, kiedy za oknami rozhulała się zawierucha i wyła w kominie. Jaga ucałowała ją w czoło i nakreśliwszy nad nią krzyż, poszła do swojej izdebki, zdmuchnąwszy przedtem świeczkę. Nina pozostała sama i wsłuchiwała się w odgłosy wichury, szarpiącej źle przymocowaną okiennicą, która przeraźliwie skrzypiała. Grudki śniegu uderzały o szyby, wydając odgłos, jakby ktoś przesypywał kaszę.

Znajomy od dzieciństwa pokój nagle wydał się Ninie obcy i tajemniczy. Za oknem była burzliwa noc styczeniowa, a gałęzie krzaka bzu, miotane wichrem, szurały po ścianie, dając efekt skradających się kroków. Noc i samotność przywodziła jej na myśl ogromne pola, skąd nadlatywały dziwne

głosy pełne tęsknoty i nieopisanego smutku. W wyobraźni widziała stare wiejskie cmentarzyki, opuszczone i zapomniane, gdzie już nikt nie przychodził, aby się modlić, i tylko wiatr wygrywał na zmurszałych krzyżach straszliwe melodie tańca śmierci. W pokoju czaił się strach. Skrzypiał deskami podłogi, a w ciemności snuły się cienie, chybotliwe i groźne.

Nina była już bardzo zmęczona i senna. Pod opuszczonymi powiekami przesuwały się widziane tego dnia obrazy. Wspaniała sala balowa i piękna twarz Aleksa wirowały, nakładając się na echo walca i błyski diamentów na szyi hrabiny Pauli. Prześladowały ją oczy Woroncewa, wpatrzone w nią uporczywie. Wszystko razem tworzyło w jej głowie chaos. Ziewnęła, wtuliła twarz w poduszkę, opierając policzek na złożonych dłoniach. Zasnęła i wtedy nawiedził ją upiorny sen...

Znajdowała się w mrocznym borze pokrytym grubą warstwą śniegu. Z białych oparów mrozu wyłaniały się widmowe sylwetki niebotycznych jodeł. Kurcząc się z przejmującego do kości zimna, czołgała się na kolanach, pilnie czegoś szukając. Próbowwała przypomnieć sobie, dlaczego znalazła się w lesie i czego szukała w tym miejscu, ale pamięć ją zawodziła i tylko się męczyła, czując narastający strach i okropną rozpacz. Przed nią i za nią wynurzały się złowrogie cienie, zdające się szeptać jej imię, przywoływać ją do siebie. Dyszała ciężko, chwytając rozchylonymi ustami lodowate powietrze. Pewna była, że za moment znajdzie to, czego szuka, a wtedy pęknie jej serce. W głowie czuła płomienie, ból rozsadzał jej żebra. Chciała się modlić, lecz nie pamiętała słów modlitwy. Strach ustąpił miejsca rozpacz i świadomości opuszczenia. Znajdowała się w borze sama i lada chwila stanąć miała oko w oko ze swoim przeznaczeniem. Ośnieżona gałąź małego świerka uderzyła ją w twarz i...

Z krzykiem usiadła na łóżku, mokra od potu i trzęsąc się z potwornego przerażenia. Z jękiem przycisnęła obie dłonie do szaleńczo łomoczącego serca. Ten straszny i tajemniczy sen nawiedzał ją już po raz trzeci. Trzy razy z rzędu ukazywał się jej ten sam obraz – puszcza pokryta śniegiem i ona czołgająca się na kolanach w poszukiwaniu czegoś, co złamie jej serce. O, gdyby tylko wiedziała, czego tam szukała, może przez to sen nie byłby taki straszny!

„To przez ten wypity szampan” – pomyślała, uspokajając się powoli. Po chwili ochłonęła ze strachu i położyła się ponownie, otulając się szczelnie

kołdrą, bo w pokoju uczyniło się zimno. Zwinięta w kłębek, przymknęła oczy i niemal natychmiast zapadła w głęboki spokojny sen bez marzeń.

\*\*\*

- 01 fr. dziedziniec honorowy
- 02 fr. grecka fryzura
- 03 Szeroka falbana przy dekolcie sukni.
- 04 fr. Och, droga Paulinko!
- 05 Umieszczone nad drzwiami płyty, ozdobione płaskorzeźbami lub freskami.
- 06 Charakterystyczne dla epoki baroku i rokoka prostokątne płaszczyzny dekoracyjne.
- 07 Taniec modny w XVIII i XIX wieku.
- 08 fr. stary kawaler
- 09 fr. Nie, będę podpierał ściany.
- 10 Słynny polonez autorstwa księcia Kleofasa Ogińskiego.
- 11 fr. torebka balowa
- 12 fr. czarujący
- 13 fr. niestety
- 14 fr. sylwester
- 15 fr. trafiony; zwrot używany w szermierce
- 16 fr. Żadnych mrzonek; historyczne słowa cara Aleksandra II ogłoszone do Polaków witających go w Warszawie w 1856 roku.
- 17 fr. zupa królowej
- 18 fr. protegowana
- 19 fr. miłość od pierwszego wejrzenia
- 20 daw. podlotek
- 21 daw. nowotwór

Nina bardzo rzadko i niechętnie powracała pamięcią do lat wczesnego dzieciństwa. Było tak cudownie spokojne i beztroskie, że niekiedy wydawało się jej jedynie nierealnym snem. Przebudzenie z tej radosnej nieświadomości było za to bardzo bolesne i dramatyczne. Pogodny świat szczęśliwego dzieciństwa runął niespodziewanie w ciągu zaledwie kilku tygodni. Na wieść o berlińskiej rewolucji marcowej 20 marca 1848 roku utworzono w Poznaniu Komitet Narodowy Polski. Zamierzano wybuchem zbrojnym zapobiec podziałowi Wielkiego Księstwa Poznańskiego i wcieleniu znacznej jego części do Prus. W końcu kwietnia oddziały pruskie zaatakowały polskie obozy wojskowe i napotkały zbrojny opór.

Powstanie wielkopolskie, źle przygotowane, przegadane, nieudolnie dowodzone przez generała Mierosławskiego<sup>22</sup>, od początku nie miało szansy na powodzenie. Nic więc dziwnego, że 9 maja 1848 roku zakończyło się klęską. Alfred Nałęczowski, ojciec Niny, ciężko ranny w pierś, został zabrany z pola bitwy przez zwycięskich Prusaków. Uniknął wprawdzie kary śmierci, ale sąd pruski „w drodze łaski” skazał go na dziesięć lat twierdzy. Była to okrutna kpina ze sprawiedliwości, gdyż więzień cierpiał na suchoty. Choroba, rana i wilgotny loch przyśpieszyły jego zgon.

Po raz ostatni Nina widziała ojca pewnej pochmurnej majowej nocy. Padał rzęsisty deszcz, a cały świat tonął w oparach wilgotnej mgły. Obudzona przez lokaja matka wybiegła z domu w samym peniuarze. Za nią dreptała Jaga, trzymając w ramionach senną dziewczynkę. Pani Helena wzięła córkę z rąk niani i podała ją mężowi. W jednej chwili Nina znalazła się w mocnym uścisku ojcowskich ramion. Jego zarost drapał jej delikatną skórę. Nie była pewna, czy to deszcz, czy może łzy ojca znaczyły wilgocią jej buzię. Ucieszona jego niespodziewanym widokiem, dziewczynka objęła go mocno za szyję i całując po szorstkich policzkach, dopytywała się, dokąd jedzie i kiedy wróci. Przypomniała mu, że obiecał naprawić zepsutą huśtawkę w parku. Patrzył na nią i nie miał siły wydobyć głosu, tulił ją tylko coraz mocniej. Burka, którą był okryty, przemokła, wydzielając niemiłą woń wilgotnej wełny. Koń parskał i otrząsał się z wody, dzwoniąc uprzężą.

Matka, zupełnie nieczuła na chłód i deszcz, wsparła czoło o wysoki zabłocony but męża.

– Uważaj na siebie, Alf – szeptała zduszonym przez łzy głosem. – Wiosna taka chłodna, a ty masz słabe płuca.

Cicha rozpacz matki przeraziła dziewczynkę. Jaga zawodziła jak na pogrzebie i załamywała ręce. Na ganku stary lokaj płakał, osłaniając

parasolem kandelabr z płonącymi świecami. Majowa noc była zimna i Nina drżała, ale za nic w świecie nie chciała rozstać się z ojcem. Trzeba ją było siłą odrywać od niego, chociaż głośno szlochała i protestowała, czepiając się burki. Pożegnanie rodziców było krótkie. Ojciec mocno uściśnął żonę, całując jej usta i obie ręce. Zniecierpliwiony wierzchowiec grzebał kopytem i parskał, gryząc wędzidło. Po jego gładkiej sierści toczyły się krople wody.

– Zostańcie z Bogiem – powiedział ojciec i spał konia ostrogami.

Jednostajny szum deszczu prędko zagłuszył galop.

To był dopiero początek nieszczęść... Natychmiast po upadku powstania na Jaśminów jak stado czarnych kruków spadli pruscy urzędnicy. Z niemiecką dokładnością opisali wszystkie ruchomości, a sam majątek został skonfiskowany w imieniu Najjaśniejszego Pana Fryderyka Wilhelma IV – króla Prus. Dziedzicze Jaśminowa polecono zapłacić wysoką grzywnę za udział męża w buncie.

Pewnego strasznego dnia Nina wyszła z rodzinnego domu, aby już nigdy do niego nie powrócić. Matka, rozpaczająca nad losem męża, opuściła dwór z dumnie podniesioną głową, nie uroniwszy ani jednej łzy. Zachowała się z wielką godnością, nie okazując bólu w obecności żandarmów asystujących przy odjeździe dziedziczki. Zapłakana Jaga niosła za nimi skromne kufarki z niezbędnymi rzeczami osobistymi, które zezwolono im zabrać. Dziewczynka co chwilę odwracała głowę, wpatrując się w niknący w dali biały dwór wtulony w gęstwinę drzew. Wynajętą chłopską furką pojechali do Gniezna i zamieszkały na poddaszu obskurnej kamienicy czynszowej.

Zaraz okazało się, że nie mają środków do życia. Wszystkie pieniądze uzyskane za sprzedane wspaniałe klejnoty matki pochłonęło uzbrojenie dużego oddziału, z którym ojciec wyruszył do powstania. Na kapitałach w banku władze pruskie położyły ręce. Matka rozpaczliwie walczyła o byt, cerując i haftując cudzą bieliznę. Jaga chodziła na posługi, ale na życie nie wystarczyło i bieda wyglądała z każdego kąta.

Pewnego razu na poddaszu zjawily się panie z towarzystwa dobroczynnego, proponując pani Nałęczowskiej pomoc materialną. Matka przyjęła je bardzo uprzejmie i pogodnie zapewniła, że na niczym jej nie zbywa. Potraktowała panie z tak wielkopańską grzecznością, niepozobawioną wyniosłości, że odeszły zakłopotane. Duma okazana przez matkę była dla Niny lekcją zapamiętaną na całe życie.

Wyczekiwały wiadomości od ojca, a kiedy żaden list nie nadszedł, pograżyły się w smutku. Nie posiadając żadnych zabawek, Nina nauczyła się

czytać na starym egzemplarzu *Śpiewów historycznych* Niemcewicza. Matka, ukończywszy niegdyś pensję klasztorną we Francji, dawała jej lekcje francuskiego i angielskiego oraz historii. Niania rozmawiała z dziewczynką po niemiecku, pragnąc zaoszczędzić jej w przyszłości szykan w pruskiej szkole.

Co niedzielę wczesnym rankiem Nina towarzyszyła matce w wyjściach do katedry gnieźnieńskiej, w której niegdyś była chrzczona. Uchylając wspaniałe romańskie podwoje z XIII wieku, przedstawiające obrazy z życia świętego Wojciecha, cicho wchodziły do ciemnego wnętrza kościoła. Zaspany organista, ujęty piękną młodą damą w czerni, pozwalał jej zasiąść za klawiaturą. W pustej i mrocznej świątyni rozbrzmiewała wówczas przepiękna muzyka. Nina z zapartym tchem przysłuchiwała się mistrzowskiej grze matki. Wtedy poznała i pokochała fugi i preludia Bacha oraz wielkie kompozycje Händla. W małej dziewczynce zrodziła się głęboka miłość do muzyki i umiłowanie piękna. Spacerzy do katedry i na pobliski cmentarz były jedynymi rozrywkami, na które mogły sobie pozwolić.

Los obszedł się z małą bardzo okrutnie. Spragniona była ciepła i miłości, a obcy, nieznany świat napawał ją przerażeniem. Zasypiając na twardym tapczaniku, płakała cichutko, wzywając ojca. Wspominała swój błękitny pokój pełen słońca i kosztownych zabawek. Tęskniła za puchatym kotkiem Pussy i ulubionym kucykiem Tobim. Ale najmocniej, aż do bólu, tęskniła za ojcem, wierząc, że pewnego dnia zjawi się na poddaszu, stanie w drzwiach i uśmiechnie się do niej, a potem zabierze je do Jaśminowa. Nie rozumiała, dlaczego odszedł, pozostawiając je na pastwę niedostatku.

Ojciec był największą miłością jej życia. W długie zimowe noce, skulona na niewygodnym posłaniu, przywoływała w pamięci obrazy szczęśliwego dzieciństwa. Była jedynaczką i rodzice darzyli ją wielką miłością, rozpieszczając i obsypując prezentami. Latem ojciec, siedząc na tarasie, lubił patrzeć, jak córka biega po trawnikach, bawiąc się z psami. Wołał ją, a ona z rozpędem wpadała mu w objęcia i oboje wybuchali śmiechem, obsypując się pieszczotami. Dwa razy do roku ojciec kurował się na południu Europy i zabierał ze sobą żonę oraz córkę, nie mogąc i nie chcąc rozstać się z nimi nawet na jeden dzień. Imieniny Niny, będące zarazem jej urodzinami, przynosiły dziewczynce mnóstwo cudownych niespodzianek. Szalała ze szczęścia, gdy ojciec kupił jej siwego kucyka. Odtąd towarzyszyła mu w czasie konnych spacerów, a ludzie oglądali się, zachwyceni widokiem malutkiej panienczki w czarnej amazonce, pewnie kłusującej przy boku

wielkiego ogiera, na którym jechał ojciec. Byli nierozłączni aż do dnia wybuchu powstania.

W nieznanym mieście Nina czuła się zupełnie zagubiona. Brakowało jej przestrzeni parkowej z masą zielonych drzew i chmielowej altanki, gdzie latem matka czytała jej bajki biskupa Krasickiego. Tęskniła do wytwornych salonów rodzinnego domu, w którym od wieków mieszkali jej przodkowie, gromadząc dzieła sztuki.

W rok po upadku powstania nadeszło z Magdeburga urzędowe zawiadomienie o śmierci Alfreda Nałęczowskiego. Jaga sama odebrała tę straszną wiadomość i powodowana współczuciem ukryła list, nie mówiąc o nim nikomu. Matka z każdym dniem czuła się słabsza. Jesienią słała się po pokoju, blada i apatyczna. Czasami, budząc się w nocy, Nina słyszała jej stłumiony płacz. W dzień matka nie płakała nigdy, uśmiechem dodając córce odwagi. Uczyła ją historii Polski i wspominała burzliwe dzieje starożytnego i potężnego niegdyś rodu Nałęczów.

Śmierć matki, zmarłej przed samym Bożym Narodzeniem, spadła na dziewczynkę jak grom z jasnego nieba, pograżając ją w otchłani rozpacz. Dopiero wtedy zrozumiała, że ojciec już nigdy nie wróci, a teraz jego śladem odeszła matka, nie mogąc przeboleć rozłąki z ukochanym. Jedyłą osobą łączącą ją z przeszłością była Jaga. Nina przywiązała się do niej zaborczo, niepewna, czy któregoś dnia również i niania nie zechce jej opuścić.

Naglona listami pań z towarzystwa dobroczynnego, przybyła do Gniezna jedyna siostra matki, ciotka Maria Borutyńska. W niewielkim pokoju, ponurym i ciemnym, wchodzącą damę powitała brzydka rudowłosa dziewczynka, patrząc na nieznaną ciotkę pokornie i z nadzieją. Widok siostrzenicy w żałobie wycisnął ciotce z oczu kilka łez. Uzyskawszy zezwolenie władz pruskich, pani Borutyńska zabrała Ninę i Jagę do swojego majątku, leżącego w Górach Świętokrzyskich, na ziemiach zaboru rosyjskiego. Niestety, atmosfera dworu w Sarnikach nie przypominała ciepłego, pełnego miłości klimatu rodzinnego domu. Nina z dziecięcą ufnością oczekiwała, że nowi krewni okażą jej serce i otoczą troskliwą opieką. Gotowa była odpowiedzieć miłością na miłość. Spotkał ją bolesny zawód, ale nigdy nie wyznała, co wtedy czuła. Zamknęła się w sobie, cierpliwie znosząc szykany ciotki.

W miarę upływu czasu pani Borutyńska stawała się dla niej coraz bardziej surowa, wymawiając siostrzenicy każdy zjedzony kawałek chleba. Groźny,



niedostępny wuj Ksawery nawet nie ukrywał, że dziewczynka jest mu ciężarem, którego chętnie pozbyłby się z domu.

Możliwe, że źródłem niechęci ciotki była matczyzna zawiść. Z biegiem lat z brzydkiego, zamkniętego w sobie dziecka Nina rozwinęła się i rozkwitła w niepospolicie piękną dziewczynę. Najpierw zauważało się jej oczy, szaroniebieskie, przezroczyste jak woda, w oprawie długich ciemnych rzęs. Mieniły się jak klejnoty pod łukami brwi. Te przepiękne oczy nadawały charakter całej twarzy, o klasycznych rysach kamei, małym nosku i upartym podbródku. Po słynnej z urody matce Nina odziedziczyła wysmukłą figurę, piękne dłonie i małą stópkę oraz wspaniałe włosy o barwie jesiennych kasztanów. Ciotka, przenosząc wzrok z córki na siostrzenicę, zaciskała zęby i pochmurniała. Binia była urocza i czarująca, lecz nie wzięła po matce jej efektownej piękności.

Przed laty ciotka Maria wniosła mężowi wielki posag i opętała go urodą. Mimo upływu czasu wuj Ksawery był w żonie namiętnie zakochany, spełniając każdy jej kaprys. Dla nikogo nie było tajemnicą, że to pani Maria rządziła majątkiem, trzymając żelazną ręką męża, dziewczęta, domowników i poddanych na wsi. Mając twarde, nieustępliwy charakter, sprawiała jednocześnie wrażenie kruchej i bardzo kobiecej. Jednak przed jej niezłomną wolą pokornie kapitulował srogi wuj, a panny bały się jej jak ognia. Służba wolała wziąć baty od pana, niż narazić się cymkolwiek pani dziedzicze.

Po klęsce powstania listopadowego majątki szlachty zaczęły podupadać, ale wuj Ksawery, słuchając rad żony, prosperował znakomicie, załatwiwszy sobie dostawy płodów rolnych dla wojska rosyjskiego. Bogacił się, żyjąc w wiecznym strachu, że władze carskie przypomną sobie o powstańczej działalności jego ojca, poległego w bitwie pod Ostrołęką, oraz starszego brata, zesłanego dożywotnio na Sybir.

W sarnickim dworze odbywały się huczne przyjęcia dla przedstawicieli władz carskich, a wuj Ksawery ukazywał się na nich w galowym mundurze, w którym w 1856 roku witał w Warszawie, w gronie szlachty polskiej, przybyłego cara Aleksandra II. Poglądy polityczne wuja nie wydawały się w tym czasie czymś gorszącym i odosobnionym, ponieważ podzielała je wtedy znaczna część starszego pokolenia, zmęczonego długoletnimi wojnami i boleśnie doświadczonego nieszczęściami, które dotknęły cały naród.

\*\*\*

Dwór w Sarnikach był ogromny, wzniesiony jeszcze za czasów ostatniego Jagiellona, wielokrotnie przebudowywany. Już z daleka widoczny był

wysoki dach polski i dwie okrągłe wieżyczki w narożnikach budynku. Stał na końcu długiej alei obsadzonej topolami, z dala od wsi, na skraju lasu pokrywającego stoki Gór Świętokrzyskich.

Po niespokojnej nocy rano wstał mroźny i świetlisty. W promieniach bladego zimowego słońca skrzył się świeżo spadły śnieg. Borutyńscy pojechali na mszę, ale Nina musiała pozostać w domu, zajęta przygotowaniem noworocznego obiadu. Od świtu wszyscy domownicy mieli pełne ręce roboty.

Rankiem przybył z Makowa wymuskany lokaj, przywożąc dla pań kwiaty i życzenia. Ciotka Maria otrzymała purpurowe róże, Bina delikatną mimozę, a w pudle przeznaczonym dla Niny znajdował się bukiet seledynowych bzów. Odchyliwszy jedwabną bibułę przykrywającą kwiaty, wtuliła twarz w wonne kiście. Do bukietu załączony był bilecik z hrabiowską koroną. „Niechaj te kwiaty powiedzą Ci «dzień dobry» w dniu, w którym podobno spełniają się życzenia. Będzie mi miło, jeśli uśmiechniesz się do nich, mój mały promyczku”. Dziesiątki razy odczytywała skierowane do niej słowa i z bijącym sercem po kryjomu przyciskała bilecik do ust.

Wiedziała, że wuj Aleks będzie tego dnia w Sarnikach na obiedzie i postanowiła ubrać się wyjątkowo starannie. Długo szukała w swojej skromnej garderobie odpowiedniej sukni. Większość jej toalet była poprzednio własnością ciotki lub Bini. Po namyśle zdecydowała się na suknię z mięsistego brzoskwiniowego jedwabiu. Nie podobała się Bini, więc niania przerobiła ją dla Niny, wydłużając za krótką spódnicę wstawkami z taniej koronki. Duży dekolt, wycięty w karo, wykończony był plisowaną bertą, a szeroka spódnica krynoliny mocno marszczona w talii.

Stojąc na środku swego pokoju, zaczęła się ubierać. Przy pomocy Jagi włożyła gorset i sztywne halki, mające kilka szerokich falban. Właśnie sięgała po suknię, kiedy drzwi, szarpnięte niecierpliwą dłonią, otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wkroczyła ciotka Maria w aksamitnej świątecznej toalecie w kolorze burgunda. Obrzuciwszy siostrzenicę bystrym wzrokiem, zrobiła w stronę Jagi wymowny gest dłonią.

– Zostaw nas!

Niania wyszła, ociągając się, bardzo niespokojna. Poranna wizyta ciotki nie wróżyła nic dobrego. Nina była przekonana, że przyszła ukarać ją za wczorajsze nieposłuszeństwo. Ze strachem zastanawiała się, jaką karę tym razem otrzyma. Pani Borutyńska usadowiła się na krześle przy stolyczku,

starając się nie pognieść krynoliny. Siedziała w milczeniu, oddzielona od Niny szerokością dywanika, i prezentowała się wytwornie w starannej fryzurze i brylantowych kolczykach. Uznawszy, że panna jest już dostatecznie wystraszona, chrząknęła z zadowoleniem, wygładzając fałdy spódnicy.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że zasłużyłaś na surową karę – odezwała się, mierzając Ninę zimnym spojrzeniem. – Zachowałaś się bezczelnie, odmawiając mazura panu hrabiemu Woroncowowi. Obawiam się, że pani Paula poczuła się tym dotknięta. Okłamałaś mnie, mówiąc, że boli cię noga, co nie przeszkadzało ci potem wywijać aż do odjazdu.

– Proszę, niech mi ciocia wybaczy, ale pan pułkownik zachował się wobec mnie nietaktownie. – Nina odważyła się odezwać w swojej obronie.

– Milcz, nie przerywaj mi! Jesteś głupia. Pan Woroncow jest dobrze widziany na dworze i każda panna z radością przyjęłaby jego zaloty. – Ciotka potrząsnęła głową i westchnęła. – No dobrze, ostatecznie mogę ci go darować, bo hrabia przecież nie ożeniłby się z tobą. Widziałam, że miałaś powodzenie. Czy ktoś ci się może oświadczył?

– Nie.

Słowa ciotki boleśnie zraniły Ninę. Długotrwała tresura nie zdołała wykorzenić z niej godności. Gdy podrażniono jej dumę rodową, potrafiła przeciwstawić się nawet wujowi Ksaweremu. Zarumieniona z przykrości nerwowo mięła w palcach płócienną halkę.

– Barycz mile na ciebie patrzy. Co ty na to? – indagowała ciotka.

– On mi się nie oświadczył.

– Hm... mądra panna potrafi umiejętnym zachowaniem zobowiązać kawalera do deklaracji. Stwierdzam, że nie potrafisz w praktyce wykorzystać moich rad. Nie jesteś już dzieckiem i wiecznie nie możesz siedzieć w Sarnikach. Wobec tego ja zadecyduję o twojej przyszłości. – Ciotka zamilkła, a na jej drobnych ustach ukazał się przebiegły uśmiech. – Nie wspomniałam ci przed balem, że poprzedniego dnia był u mnie Orlewicz i oficjalnie oświadczył się o twoją rękę. Pragnie cię poślubić, mimo że jesteś uboga, bez posagu, a wyprawę otrzymasz bardzo skromną. Ja i wuj Ksawery nie mamy nic przeciwko temu, żebyś go poślubiła.

Nina szeroko otworzyła oczy i aż poszarzała na twarzy. To był prawdziwy szok! Orlewicz był nadleśniczym w lasach Borutyńskich i już od dawna wpatrywał się w nią z uwielbieniem. Był miłym i przyzwoitym człowiekiem, ale wychodząc za niego, musiałaby wyrzec się sfery, w której wyrosła.

Nawet dla zubożałej panienki pochodzącej z wielkopańskiej rodziny takie małżeństwo było po prostu mezaliansem. Jako pani Orlewiczowa spadłaby do poziomu żony pracownika dworskiego, nieprzyjmowanej na salonach. Może właśnie tego życzyła sobie ciotka? Mając przeświadczenie, że należy do wykwintnego, cywilizowanego świata bogatego ziemiaństwa polskiego, Nina nie zamierzała tracić tej pozycji społecznej. Od najmłodszych lat rodzice, a potem Jaga wpajali jej dumę rodową. Z dwojga złego wolałaby zostać starą panną Nałęczowską niż panią Orlewiczową.

Złożyła na kolanach splecione dłonie i siedziała w milczeniu. Głos ciotki wtargnął w jej myśli:

– Powinnaś Bogu i mnie dziękować, że daję ci szansę na dostatnie życie – podjęła pani Borutyńska, udając, że nie widzi nieszczęśliwej miny siostrzenicy.

– Kiedy ja, proszę cioci, nie kocham pana Orlewicza – oznajmiła potulnie Nina, wyłamując sobie palce i przygryzając usta.

– Miłość to mrzonka z marnych powieści, którymi nabijasz sobie głowę. Prawdziwe przywiązanie przychodzi po ślubie. Proszę cię, wstań, kiedy mówię do ciebie.

Nina posłusznie podniosła się z łóżka, na którym siedziała, i stanęła z nisko opuszczoną głową. Obawiała się, że ciotka może zmusić ją do poślubienia Orlewicza. Nie była jeszcze pełnoletnia, a Borutyńscy sprawowali nad nią opiekę.

– Decyduj się, bo obiecałam Orlewiczowi dzisiaj odpowiedzieć. – Ciotka patrzyła na nią ze zniecierpliwieniem. Krzesło, na którym siedziała, było twarde. Poprawiła się na nim, nie spuszczając z Niny przenikliwych oczu. – Zastanów się dobrze. Niedługo będziesz miała szesnaście lat. Ja w tym wieku już szłam do ołtarza i nigdy tego nie żałowałam. Twoja matka, będąc niewiele starsza, oczekiwała twoich narodzin. A babka marszałkowa stanęła na ślubnym kobiercu, mając lat czternaście. Chcesz zostać starą panną? To może być twoja ostatnia szansa. Dziewczęta bez posagu miewają wielbicieli, ale rzadko trafia im się mąż. Orlewicz nie jest biedny, a jego Gliszczyska to ładny kawał ziemi. Od dawna wiedziałas, że on ma do ciebie słabość.

Ciotka wstała i ujęła Ninę za podbródek, unosząc jej twarz ku sobie. Szorstkim ruchem Nina uwolniła się z jej rąk. Myśli przelatowały jej przez głowę jak spłoszone ptaki. A może ciotka dobrze jej radziła? Młody leśniczy miał swój dom, a jego ojca ludzie posądzali, że posiadał ukryte pieniądze. Boże, co miała robić? Rozejrzała się z bezradną miną. Przed sobą widziała

oczy ciotki, wpatrującej się w nią z napięciem. Pani Borutyńska jak kot na tłustą mysz czyhała na jej zgodę.

– No więc jak? Zdecydowałaś się już?

Nina przymknęła oczy. Pod jej powiekami ukazał się nagle obraz Aleksa. Jego twarz była tak realna, jakby stał przed nią. Bursztynowe oczy uśmiechały się, dodając jej otuchy. Ból mocno zaciśniętych palców przywrócił jej przytomność umysłu.

– Bardzo żałuję, ciociu, ale nie poślubię pana Orlewicza – oświadczyła stanowczo.

Ciotka wydawała się tym zaskoczona i zarazem zawiedziona, ale próbowała jeszcze perswazji.

– Zastanów się, dziecko – powiedziała z rzadką u niej cierpliwością. – Nie musisz się spieszyć. Pomówię z Orlewiczem, a on z pewnością da ci czas do namysłu. – Próbowała ratować niezręczną sytuację, chcąc otworzyć sobie furtkę do dalszych negocjacji.

– Moja decyzja jest ostateczna – ucięła Nina.

Stały na wprost siebie, mierząc się nieustępliwym wzrokiem, i w tym momencie wydawały się lustrzanym odbiciem – obie władcze i pełne dumy. Ciotka cofnęła się i niecierpliwie strzepnęła z sukni niewidoczny pyłek.

– Spodziewasz się, że ktoś inny się zadeklaruje?

– Nie spodziewam się niczego.

– Rozumiem. Zrobisz, jak zechcesz. Nie nalegam. Ale pamiętaj, że po ślubie Bini i jej wyjeździe do Księstwa Poznańskiego będziesz musiała opuścić Sarniki. Natychmiast.

– Dobrze, ciociu. – Nina zbladła, ale nie spuściła z twarzy pani Borutyńskiej jasnego spojrzenia.

W jej oczach malował się wyraz dojrzałego postanowienia i uporu, który był dla ciotki nieprzyjemnym odkryciem. Była z siebie niezadowolona. Nie odezawszy się więcej, wyszła, szumiąc szeroką krynoliną. Jaga, zaniepokojona długą rozmową, zastała Ninę siedzącą na brzegu łóżka i nieruchomym wzrokiem wpatrzoną w rozświetlone promieniami słońca okno.

\*\*\*

Po południu przed ganek dworu zaczęły zajeżdżać karety i sanie, a salon pełen był gości. Panie poobsiadały kanapki, szepcząc ulubione ploteczki. Mężczyźni przenieśli się do kancelarii wuja, z dala od szczebiotu pań. Był

tam zimny bufet i palarnia. W dymie papierosów i cygar w spokoju komentowali ostatnie wydarzenia polityczne.

Po rozmowie z ciotką Ninę okropnie rozboleła głowa. Ukończywszy najpilniejsze zajęcia, postanowiła przejść się po ogrodzie. Dzień chylił się ku zachodowi, bladły promień słońca wiszącego nisko nad horyzontem. Spokój styczniowego popołudnia zakłócały wrony i kawki siedzące na ośnieżonych gałęziach ogromnych topoli. Idąc wolno krok za krokiem, śledziła oczami bezpromienną tarczę słońca chylącą się za zbocza gór. Drzewa stały nieruchome, wyciągając ku niebu bezlistne grube konary. Ogród był duży i piękny. Miał grabowe alejki, strzyżone szpalery z bukszpanów i rzadkie gatunki drzew. Dookoła klombu i nad strumykiem stały ławeczki darniowe pokryte śniegiem.

Nina nie lubiła wielkich przyjęć w Sarnikach. Zawsze się jej wtedy wydawało, że wszyscy patrzą na nią z politowaniem, widząc w niej domowe popychadło i domyślając się, że suknia, którą ma na sobie, poprzednio była własnością ciotki albo siostry ciotecznej. Myśl o tym była dla niej nieznośna i upokarzająca, raniła boleśnie.

Z dworskiej oficyny wyszedł młody mężczyzna w kurcie ze skóry jelonka i wysokich butach. Szybko minął podwórze, starając się przeciąć jej drogę. Dogonił ją nad strumieniem, bo tam Nina zatrzymała się niezdecydowana, zastanawiając się, czy iść dalej w stronę lasu, czy może zawrócić. Posłyszawszy za sobą kroki, obejrzała się i na widok intruza w mgnieniu oka przybrała wyniosły, odpychający wyraz twarzy.

– Co pan tu robi, panie Orlewicz? – Z wyraźną niechęcią zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów.

Młody człowiek się zmieszał, a lekki uśmiech zgasł na jego wargach.

– Panno Janino... – zaczął nieśmiało, lecz nie dane mu było dokończyć zdania.

– Jak, proszę? – wycedziła przez zęby, unosząc wysoko brwi. W jej sercu nie było w tej chwili nic prócz nienawiści.

– Bardzo przepraszam – poprawił się prędko. – Ośmieliłem się podejść, żeby złożyć pani, panno Nałęczowska, świąteczne życzenia.

„Ty przekłety głupcze! – pomyślała z wściekłością. – Przez ciebie ciotka pierwsza mi je złożyła”.

– Dziękuję – mruknęła, patrząc na niego ze złością, a jej oczy lśniły gorączkowym blaskiem na trupio bladej twarzy. – Co jeszcze? – spytała, widząc, że Orlewicz nie zamierzał odejść.

Chrząknął, zbierając się na odwagę. Ninie przyszło na myśl, że leśniczy miał bardzo głupią minę, ale to spostrzeżenie wcale jej nie rozśmieszyło.

– E... szukałem sposobności, żeby pomówić z panią – powiedział.

– Ja sobie tego nie życzę! – wybuchła z pasją. – Nie mamy wspólnych zainteresowań ani wspólnych celów. Na przyszłość proszę się więcej nie narzucać! – Mówiła to tonem głębokiej pogardy, niedbale bawiąc się wiązaniem kaptura.

Zdawała sobie sprawę, że zachowywała się okrutnie i niesprawiedliwie, raniąc tego mężczyznę, którego jedyną winą była miłość do niej. Ale nie mogła mu przebaczyć niefortunnych oświadczeń, dających ciotce Marii nareszcie okazję do wymówienia jej domu. Niezrażony jej opryskliwością, Orlewicz podszedł jeszcze krok bliżej i odezwał się pośpiesznie, obawiając się, że ona znowu nie pozwoli mu dokończyć zdania.

– Przed chwilą pani dziedziczka powiadomiła mnie o pani decyzji. Nie mam o to żalu. Jestem tylko prostym szlachcicem, a pani wywodzi się z wielkiego rodu. Ale jestem uczciwym człowiekiem, a moje nazwisko jest czyste. Mój dziadek poległ pod Iganiami<sup>23</sup>, broniąc ojczyzny. Nie jestem bogaty, lecz moje Gliszczyska zapewniłyby pani życie bez troski. Miałem nadzieję, że w moim domu będzie pani lepiej niż w Sarnikach, bo wiem, że tutaj nie jest pani szczęśliwa.

Słuchając go od niechcienia Ninę ogarnął nagły chłód. Więc nawet służba dworska rozmawiała na jej temat i komentowała jej sytuację. Kto wie, może nawet szydzili sobie z jej poniżenia! Na tę myśl ogarnął ją niemal szal. Oczy jej rozbłysły złym ogniem. Obrzuciwszy go nienawistnym spojrzeniem, już otworzyła usta, żeby mu dokuczyć, zranić do żywego tak dotkliwie, jak i ją tego dnia skrzywdzono.

Orlewicz stał przed nią pokornie, miętosząc w rękach futrzaną czapkę. W jego pocziwych niebieskich oczach dostrzegła tyle miłości, że złagodniała i zawstydzona się wypowiedzianych w pasji słów. Odruchowo wyciągnęła do niego rękę.

– Zdaję sobie sprawę, że miał pan najlepsze intencje – szepnęła. – Naprawdę bardzo mi przykro, że nie mogę odwzajemnić pańskich uczuć. Być może będę nieszczęśliwa, ale postąpię zgodnie z nakazem serca.

– Rozumiem panią i proszę pamiętać, że zawsze gotów jestem służyć pani swoim domem i życiem. – Złożył jej niski ukłon.

Posłała mu uśmiech i pobiegła do domu. Policzki płonęły jej ze wstydu i nie była pewna, czy nie popełniła poważnego życiowego błędu, odrzucając

jego oświadczyły. „Kto wie, jak ułożyłoby się moje życie, gdyby nie wczorajszy bal – pomyślała, przyspieszając kroku. – Ale teraz nie mogę go przyjąć. Ani jego, ani nikogo innego”.

Wchodząc do sieni, wpadła w ramiona Bini.

– Wszędzie cię szukam. Zuzia powiedziała mi, że wyszłaś się przejść.

– Głowa mnie rozbolała. – Nina powiesiła na wieszaku z rogów jelenich futro i przed okrągłym lustrem poprawiła włosy.

Binia objęła ją i pokiwała głową.

– Oho, podejrzewam, że mamcia maczała w tym paluszki. Ale nie przejmuj się, do jutra jej przejdzie. Za to w naszym saloniku jest bardzo wesoło. Chodźmy! – Binia pochwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

W niewielkim pokoju położonym na tyłach dworu młodzież urządziła sobie zabawę noworoczną. Ciasno tam było od pastelowych krynolin i bardzo głośno. Przy pianinie siedział Tadeusz i grał, a raczej rozbijał instrument, z łobuzerską miną myśląc się celowo co kilka taktów. Wtórowały mu dwie panny: jedna grała na grzebieniu, druga waliła łyżeczką w tacę. Przy tej piekielnej muzycze tańczyło kilka par, potrącając się ze śmiechem.

Nina momentalnie zapomniała o wszystkich przykrościach, które ją tego dnia spotkały. Tadeusz puścił do niej oko i zwolnił tempo, przez co walc żywo przypominał marsz pogrzebowy. Jaś Borutyński stawiał w tańcu jakieś przedziwne *pas*<sup>24</sup>, szepcząc coś do ucha tłusciutkiej pannie. Oboje pokładali się przy tym ze śmiechu. Pojawienie się w pokoju Niny towarzystwo powitało gromkimi brawami. Siekielski zabębnił na pianinie tusz. Jaś posadził swoją partnerkę na kanapce, podszedł do instrumentu i energicznym ruchem zamknął wieko. Tadeusz udał, że płacze. Wstał i przybrał pozę amanta z prowincjonalnego teatryku.

– O pani! – zwrócił się do Niny, z talentem naśladowując akcent kiepskiego aktora. – Gardzę tą hołotą, która nie rozumie się na muzyce. Ucieknijmy razem na bezludną wyspę, aby żyć z dala od świata. Będę ci przynosił kiście bananów i chłodził liściem palmowym. Powiedz „tak”!

– Poczekaj, zaraz się spakuję – szepnęła Nina z rozmarzeniem. – Ale przedtem przyniosę dubeltówkę wuja i przytrzymam cię, dopóki Zosia cię nie zastrzeli. Potem w spokoju zjemy obiad i trochę sobie potańczymy.

– Mała wiedźma – mruknął z urazą. – Co z ciebie wyrośnie?

– Trusiu, on się zgrywa na sentymentalnego ramola Saint-Pierre<sup>25</sup> – przerwała mu Nina ze śmiechem. – Jak możesz znosić takiego typu.



Panna Zosia Syrwin, śliczna blondyneczka, potrząsnęła lśniącymi francuskimi lokami.

– Już zdecydowałam, że go nie poślubię – oświadczyła, zerkając zalotnie na narzeczonego. – Tadzio jest niepoprawny. Chyba zastrzelimy go jeszcze przed obiadem!

Nina z uśmiechem rozejrzała się po saloniku. Nie brakowało nikogo z najbliższej mieszkających przyjaciół. Na skrzyżowanej w ósemkę kanapie siedziały siostry bliźniaczki, panny Wąsockie. Młodsza o kilka minut Jadwiga – ładna brunetka – ani trochę nie przypominała siostry, okrągłutkiej Stasi, znanej ogólnie z ciętego języczka i kompletnego braku taktu. Nina wolała jej nie zaczepiać i usiadła przy Zosi, swojej najlepszej przyjaciółce i narzeczonej Tadeusza, nazywanej ogólnie „Trusią” z powodu śnieżnej cery i łagodności.

Z chłopców oprócz Jasia i Siekielskiego był jeszcze Barycz oraz szczupły nerwowy szatyn Kazio Biecki, robiący słodkie oczy do panny Doroty Jabłockiej. Wprawdzie miała ona aż dwadzieścia lat, ale była posażną jedynaczką. Przy Baryczu stał Władysław Lasewicz, smagły brunet o wschodnich rysach, co stanowiło dziedzictwo po tatarskich przodkach – właściciel dużej wsi Poraje, człowiek światły, dobry patriota. Młodzi mężczyźni byli przeważnie przystojni, wysocy i dobrze zbudowani, skorzy do ryzykownych czynów, otwarci na nowinki idące z Zachodu. Lubili polowania i przebywanie na świeżym powietrzu, od wczesnych lat zaprawieni do jazdy konnej i łowów na grubego zwierza w puszczy. Dziewczęta, wychowane na pensjach klasztornych, znały języki obce i były odcytane. Wszyscy znali się od dziecka, co nie przeszkadzało im flirtować i docinać sobie wzajemnie.

Młodzież bez przerwy chrupała orzechy, pieczone kasztany i makagigi. Siekielski przysiadł się do Jasia i zaczął z nim rozmawiać ścisłym głosem. Tadeusz, przystojny i zamożny, ku rozpaczy matek mających córki na wydaniu jesienią zaręczył się ze śliczną panną Syrwin z pobliskich Ciążyn.

– Żałuj, Kaziu, że nie byłeś na balu w Makowie – odezwała się Binia.

Siedząc przy stole, czyniła honory domu i kroїła świąteczny placek migdałowy. Z tulskiego samowara ulatywały białe obłoczki pary.

– Miałem pecha i spadłem z konia – odpowiedział Biecki. Dostrzegł oczy przyjaciół zwrócone w jego stronę i dorzucił ze złością: – No co się tak

gapiecie? Nigdy nie spadliście z konia? Przez tę bestyjkę skręciłem sobie nogę. Janek świadkiem!

Jaś chrząknął i spuścił oczy.

– Tak, młode klaczki bywają narowiste – zauważył Barycz basem.

Biecki się nabzdyczył, poprawiając nerwowo spadające mu na nos binokle.

– Zdaje się, Waciu, że usiłujesz być wścibski! – warknął gniewnie.

Barycz, stojący przy oknie, przypatrywał się skaczącym po śniegu kawkom. Ale podrażniony tonem Bieckiego, odwrócił się błyskawicznie i zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

– Radzę ci trzymać język za zębami, bo ci go przytnę! – rzekł z wyraźną groźbą.

– Tak? A co mi zrobisz? – Biecki wojowniczo wyprostował się na całą wysokość, choć głową sięgał Baryczowi do ramienia.

– Połamie ci kości! – wykrzyknął zirytowany Jaś, widząc, że obaj chłopcy gotowi są skoczyć sobie do oczu. – Lepiej wyjdźcie się kłócić na mróz, może trochę ochłoniecie.

Barycz spojrzał na Ninę i opanowawszy się, poczęstował się kawałkiem placka. Biecki wzruszył ramionami i przysiadł się do Doroty Jabłockiej. Przegrawszy w karty rodzinny majątek, przesiadywał w miastach po kasynach, pragnąc się odegrać, lub całymi miesiącami mieszkał w Brzeźńcu, majątku Siekielskich, których był dalekim krewnym. Dawniej próbował zalecać się do Bini, ale uznawszy, że pan Borutyński prędzej poszczuje go psami, niż odda mu córkę za żonę, zajął się Dorotą, starając się dostrzec coś pociągającego w jej ironicznie przymrużonych oczkach i płaskiej jak deska figurze. Robił, co mógł, by oczarować Dorotę, prawiąc jej komplementy i całując po rękach. Panna wyczyniała takie grymasy, że Nina, obserwująca te huraganowe zaloty, dusiła się ze śmiechu, dzieląc się szeptem uwagami z Zosią. Obie chichotały, zasłoniwszy twarze wachlarzami. Cicha rozmowa Jasia z Tadeuszem nie podobała się Stasi Wąsockiej.

– Panowie, zlitujcie się! Przestańcie paplać jak dwie papużki nierozłączki i zacznijcie nas bawić! Od czego tu jesteście? Jasiu, powiedz nam, jak się zapowiada karnawał w Warszawie.

– O karnawale możesz sobie, koteczku, poczytać w „Tygodniku Ilustrowanym” – odezwał się Lasewicz, patrząc na Jasia. – Nas interesują sprawy, o których w prasie się nie pisze.

Chłopcom zabłyśły oczy i natychmiast przestali zajmować się dziewczętami i jedzeniem. Wpatrywali się z wyrazem oczekiwania w Jasia i aby nic nie rozpraszało ich uwagi, wypędzili spod stołu leżące tam psy. Młode pokolenie nie pamiętało terroru paskiewiczowskiego po upadku powstania listopadowego. Nie byli sparaliżowani strachem jak starsi, a ich postawy kształtowała literatura romantyczna i przemycane przez kordony pisma emigracyjne. Gotowi byli konspirować i marzyli o walce, wyobrażając sobie, że nareszcie przychodzi czas zapłaty za lata niewoli, cierpień i ciemienia narodu.

– Podobno w Warszawie nie ustają manifestacje. – Barycz wyraźnie się ożywił i odruchowo sprawdził, czy za drzwiami nikt nie podsłuchiwał. – Słuchaj, Jasiek, tutaj są także ludzie kochający ojczyznę. My również chcemy zrobić coś pożytecznego.

Nina drgnęła, a jej serce na moment zamarło. Przełękała się, że rodacy znowu przestają kierować się rozumem, a zaczynają powodować emocjami.

– Patrzcie, orły rwą się do lotu! – zakpił Jaś, lecz zaraz spoważniał. – Coś wam powiem... Kiedy w tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym roku zmarł hrabia Zygmunt Krasiński, a jego zwłoki przywieziono do Warszawy, władze carskie nakazały szybko i bez rozgłosu pochować wieszczą. My, studenci, poszliśmy wtenczas na dworzec kolei żelaznej, wzięliśmy trumnę na ramiona i zanieśliśmy ją do kościoła, skąd miała zostać przewieziona do Opinogóry. Pochód żałobny otaczała sotnia kozaków z policmajstrem! W taki sposób ojczyzna żegnała wielkiego poetę – przerwał, odetchnął i ciągnął dalej: – Zastanawiałem się wtedy, co się stanie z niesłychanie ważnym przesłaniem, pozostawionym nam przez trzy filary podtrzymujące w nas wiarę i nadzieję: Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Myślałem, czy potrafimy być godni tej wielkiej spuścizny, tego testamentu spoza grobu, i czy zdołamy ją udźwignąć w niesprzyjających warunkach. Czy nie okażemy się mali duchem, niezdolni wywalczyć wolności ojczyzny? – Jaś westchnął. – Rozejrzyjcie się po Europie. Włochy, od wieków podzielone, na naszych oczach w krwawych walkach odzyskują niepodległość, wyzwalając się z austriackiej niewoli. Przewodzi im Garibaldi. Niemcy marzą, by zjednoczyć się w jeden wielki naród. A my? Nikt za nas nie wywalczy niepodległości, jeżeli sami się za to nie weźmiemy. Generał Mierosławski nawołuje nas z Paryża: „Narodzie, przebudź się!” – Jaś się zadyszał i umilkł, a w saloniku zapadła taka cisza, że słyhać było przyspieszone oddechy podnieconych chłopców.

Nina poczuła paniczny strach. Wiedziała, że generał Mierosławski, przebywający na emigracji w Paryżu, dowodził stamtąd, iż walka jest nieunikniona, zapewne w nadziei, że sam stanie na czele powstania. Nina nienawidziła go z całego serca. Po klęsce wybuchu zbrojnego w Wielkopolsce umiał wywinąć się od odpowiedzialności i wyroków sądu pruskiego, a jej rodziców spotkał tragiczny los z winy jego militarnych błędów.

– Jezus Maria! – zawołała, blednąc. – Co ty pleciesz? Przecież powstanie udać się nie może!

– Panna ma tyle rozumu, co kura! – odburknął Tadeusz z zaciętym wyrazem twarzy. – Musi się udać. Pomoże nam Garibaldi, a cesarz Napoleon III wkroczy tu z armią francuską. Wyrzucimy z Polski zaborców! Chcemy być wolni!

– A czym zamierzacie pokonać cara? – spytała drwiąco.

Barycz oderwał się od okna, podszedł do niej i zacisnąwszy wielką dłoń w pięść, podniósł ją wysoko nad głowę.

– Tym! – powiedział dobitnie.

– To życzę powodzenia – wycodziła z chłodną uprzejmością, myśląc przy tym: „Jezu, co za osioł!”.

Jaś usiadł do pianina i wziął biegle kilka akordów. Potem mocnym, dźwięcznym głosem zaśpiewał jedną z licznych zwrotek pieśni, która w niedalekiej przyszłości zyskała sobie nazwę polskiej *Marsylianki*:

*Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki  
Otaczał blaskiem potęgi i chwały,  
Coś ją osłaniał tarczą swej opieki  
Od nieszczęść, które przygnębić ją miały,  
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:  
Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!*

„Jestem bardzo ciekawa, dlaczego to Pan Bóg ma nam zwrócić wolność, którą sami z własnej woli zaprzepaściliśmy” – pomyślała Nina trzeźwo, nie dając się ponieść egzaltacji. Ale inni z zapartym tchem słuchali podniosłych słów pieśni, najsurowiej zabronionej przez carskie władze.

Dorota Jabłocka udawała wzruszenie, starając się wycisnąć z oczu łezkę.

– Jak tylko wybuchnie powstanie, założę u nas lazaret! – oznajmiła podniośle.

Biecki spojrział na nią z podziwem.

– To wielkie poświęcenie – powiedział, zaglądając jej w oczy i czule ściskając jej dłoń. – Przecież kobiety są takie delikatne i wrażliwe. Czy nie jest ci słabo? Może wody?

Stasia Wąsocka zareagowała wybuchem śmiechu.

– Owszem. Kaziu, przynieś wiadro wody i wylej ją na głowę tej bohaterce. Słabe kobieciątko! Dora ma wrażliwość słonia, a krzepę parobka. Widziałam, jak sama taszczyła papę Jabłockiego, gdy zaproszył sobie głowę na pikniku w Dalewicach. Lazaret? Nie bądź naiwny i nie bierz na serio jej górnolotnych deklaracji. Ona jest taka leniwa, że nie wyprałaby ci nawet brudnych gaci!

Panny pospuszczały oczy, rumieniając się ze wstydu, a chłopcy pokładali się ze śmiechu.

– Stasiu! – Bliźniacza siostra wydała z siebie rozpaczliwy jęk. – Boże, boję się gdziekolwiek z nią pokazać, bo jak ona już coś palnie...

Winowajczyni rozejrzała się niewinnie po twarzach przyjaciół.

– Czy męskie gacie to coś nieprzyzwoitego? Przecież nawet ksiądz proboszcz je nosi. Prawda, Władeczkuz? – Posłała Lasewiczowi kokieterijne spojrzenie i puściła do niego oko.

– Panowie, na dziś koniec dyskusji – powiedział Jaś pośpiesznie. – Nasze damy się nudzą. Może spotkamy się jutro w Brzezińcu? Pogadamy, nie zanudzając naszymi męskimi sprawami ślicznych panińskich uszek.

– Znakomicie, przyjedziemy – zapewnił go Lasewicz z radością.

– To tak wygląda wasza noworoczna zabawa? – z przekąsem odezwała się ciotka Borutyńska, od dłuższego czasu podsłuchująca ich rozmowę. – Spiski wam w głowie?

– Matko Boska, mamcia! – Binia zerwała się tak gwałtownie, że przewróciła filiżankę z herbatą.

Ciotka Maria niby to żartem wytargała Jasia za ucho.

– Nie buntuj mi gości, ty zapaleńcze. Masz szczęście, że wuj tego nie słyszał – rzuciła mu do ucha.

Nie zważając na protesty młodzieży, zagarnęła ich i zapędziła do salonu, gdzie już starsi państwo porzysiadali się wygodnie, oczekując zaproszenia na świąteczny obiad.

Nina się rozglądnęła i z radością dostrzegła jasną głowę Aleksa. Rozmawiał ze starszym panem Siekielskim, ojcem Tadeusza, lecz zobaczywszy ją, przeprosił swego rozmówcę i przyszedł się przywitać. Nina, cała w piasach, nisko dygnęła, wpatrując się w niego oczarowana.

– Gdzie się chowałaś, promyczku? Myślałem, że nie ma ciebie w domu. – Uścisnął jej rączkę, jednym rzutem oka oceniając jej toaletę. Lekkim skinieniem głowy wyraził swą aprobatę.

– Siedziałam z przyjaciółmi w bocznym saloniku. I dziękuję za kwiaty, są prześliczne. Miałam wrażenie, że nastąpiła wiosna, bo cały pokój pachnie bzami.

– Bardzo się cieszę.

– Pierwszy raz w życiu dostałam taki piękny bukiet – wyznała.

– Ale z pewnością nie ostatni – rzekł z uśmiechem.

Zauważył, jak drgnęła, widząc, że ciotka Maria zmierzała w ich stronę. „Musiano jej wyrzucić ogromną krzywdę” – pomyślał. Znając od dawna Borutyńskich, współczuł jej serdecznie. Była taka młodziutka i bezbronna...

Korzystając z praw pani domu, ciotka Maria podeszła do nich z wymuszonym uśmiechem.

– Olesiu, proszę, zabaw panią wojewodzinę. Siedzi sama i dopytuje się o ciebie – odezwała się słodko. – A ty, moje dziecko, zechciej dopilnować, żeby obiad był na czas. Goście są głodni. – Ujęła kuzyna pod ramię i wprowadziła ze sobą.

Ninie łzy napłynęły do oczu, lecz przełknęła je mężnie, nie pozwalając sobie na mazgajstwo. Idąc przez salon, dostrzegła hrabinę Paulę. Siedziała w pobliżu kominka i zamieniała z damami obojętne francuskie frazesy. Na chłodny ukłon Niny odpowiedziała czarującym uśmiechem. Jej zachowanie wydało się Ninie za głośnie i zbyt wulgarne. Zazdrosnym okiem obrzuciła jej suknię ze złotawej tafty, przybraną futrem soboli. Naszyjnik z topazów w złocie uzupełniał toaletę. Po raz kolejny Nina z rozgoryczeniem stwierdziła, że Pan Bóg stanowczo nie darzy ludzi jednakowymi względami. Tej obłudnej kobiecie dał rzadką piękność, bogactwo, tytuł, a nade wszystko wspaniałego mężczyznę za męża. Poczuli do Pauli niechęć graniczącą z nienawiścią. Stwierdziła złośliwie, że dama w jej wieku nie powinna już przywiązywać takiej wagi do swojego wyglądu.

Stosując się do poleceń ciotki, raz jeszcze sprawdziła, czy wszystko przygotowane jest do obiadu. Zajrzała do kuchni i do jadalni. Upewniwszy się, że dekoracja stołu i nakrycie są bez zarzutu, uspokojona powróciła do dużego salonu, aby nie tracić z oczu Aleksa. Zmęczona całodzienną krzątaniem przysiadła w kąciku za wielką choinką, marząc, żeby ciotka chociaż na jakiś czas zapomniała o jej istnieniu.

W srebrnych świecznikach paliły się wysokie białe świece. W ich blasku pokój wyglądał uroczco. Brązowe aksamitne kotary i portiere chroniły przed mroźnymi podmuchami wiatru. W kominku płonął ogień z bukowych polan, a na wywoskowanej do połysku posadzce leżały wschodnie dywany. Barwne kaukaskie kilimy ozdabiały ściany. Wisały na nich stare portrety i wspaniałe zbiór wschodniej broni, kolekcjonowanej przez całe pokolenia. Meble, rzeźbione i kosztowne, ciotka Maria otrzymała w ślubnej wyprawie. Miękkie kanapy i fotele zarzucono dla wygody kolorowymi poduszkami.

Nina miała ogromny żal do ciotki, że w czasie zebrań towarzyskich w Sarnikach nigdy nie poprosiła jej, aby coś zagrała. A przecież wiedziała, że siostrzenica ma wybitne zdolności pianistyczne, budzące podziw u warszawskich profesorów muzyki. Z westchnieniem poruszyła palcami, obawiając się, że wkrótce całkiem zeszywnieją, a wówczas już definitywnie pożegna się z marzeniami o karierze pianistki.

Tymczasem w kancelarii wuja starsi panowie okupowali krzesła w pobliżu kominka i stołu zastawionego tak obficie, że jedzenia wystarczyłoby do nakarmienia niewielkiej wygłodzonej armii. Ciotka wprowadziła tam Jasia, a goście zasypali go pytaniami o zjazd monarchów w Warszawie. Na prowincji ludzie interesowały niecodzienne wydarzenia, bowiem prasa zamieszczała na ten temat wyjątkowo skąpe wzmianki.

Wspomniany zjazd trzech władców miał miejsce 20 października 1860 roku i stał się sensacją Europy. Jednakże stara stolica Królestwa Polskiego przyjęła monarchów chłodno i milcząco. Car Aleksander II, cesarz Austro-Węgier, Franciszek Józef, oraz następca tronu pruskiego i kuzyn cara – książe Wilhelm – przejechali niemal pustymi ulicami, gdzieniegdzie tylko witani skąpymi oklaskami. W Europie następowały w tym okresie przełomowe wydarzenia. Garibaldi wyparł z Sycylii okupujących wyspę Austriaków, a 2 sierpnia nastąpił desant rewolucyjnej armii włoskiej w Reggio. Cesarz Francji, Napoleon III już nosił się z zamiarem zaatakowania Austriaków w Wenecji. Wojna europejska wisiała w powietrzu. Burzyły się Bałkany, pragnąc wyzwolić się spod jarzma austriackiego. Również w Polsce narastało niezadowolenie społeczeństwa zawiedzionego w swych nadziejach, które nie doczekało się spełnienia carskich obietnic. W całym świecie podnosiła się fala rewolucyjnego wrzenia, budząc przerażenie monarchów absolutnych. Trzej despoci zjechali do Warszawy, aby omówić polityczne alianse i ratować zagrożone trony.

Jaś z ironią skomentował przyjęcie cara, doskonale zdając sobie sprawę, że wuj Ksawery nie będzie tym zachwycony.

– Prawdziwy pech prześladował Najjaśniejszego Pana – opowiadał z nieukrywaną satysfakcją. – Galowy spektakl w Teatrze Wielkim zakończył się skandalem, bo łożę cesarską oblano obrzydliwie cuchnącym płynem, zaś w czasie przedstawienia „rozwydrzona młodzież” wypuszczała z baloników paskudnie woniejące gazy. Najjaśniejszy Pan był blady i zapewne miał mdłości, ale bohatersko dotrwał do końca. Na szczęście nie była to opera, tylko balet *Modniarki*. Po zakończeniu przedstawienia goście pośpiesznie opuszczali teatr, zatykając nosy. Ale cesarz pozostał tam jeszcze, racząc rozmawiać z co ładniejszymi baletnicami.

Starszy pan Siekielski parsknął śmiechem, pośpiesznie udając, że kaszle. Wuj Ksawery przyglądał się bratankowi podejrzliwie, kręcąc głową. O działalności konspiracyjnej Jasia wiedział, a może się tylko domyślał, ale młody student był jego ulubieńcem i wielką nadzieją na przedłużenie rodu. Uważał go za przybranego syna i gotów był przebaczyć mu to ciężkie przewinienie.

– No to ładnie się pokazaliśmy – mruknął ponuro. – Wstyd i kompromitacja przed całą Europą. Nie umiecie uszanować władzy danej nam przez Boga!

– Raczej przez diabła! – bąknął pan Syrwin, ojciec Zosi, dawny oficer z powstania listopadowego.

Panowie jednomyślnie udali, że ogłuchli i nie słyszeli tej niebezpiecznej uwagi, ale otyłemu jegomościowi w przyciasnym fraku nie podobały się widocznie komentarze Jasia. Obserwował go złymi oczkami zatopionymi w nalanej twarzy.

– A pan, młody człowieku – odezwał się – zdaje się cieszyć z tych niegodziwych czynów obrażających majestat.

Zapadła pełna napięcia cisza, a wuj Ksawery poruszył się niespokojnie.

– Nie widzę powodu do rozpacz – odparł Jaś obojętnie.

– Rozumiem – sapnął grubas głosem przypominającym krakanie wrony.

Wuj Ksawery się zdenerwował, bo o grubasie powiadano, że trudni się donosicielstwem. Teraz także, unosząc się udawanym gniewem, próbował sprowokować Jasia do szczerzej wypowiedzi.

– Wam, smarkaczom, zachciewa się jakiejś konstytucji, demokracji, anarchii! Masoni, zasrani burzyciele porządku ustanowionego przez Stwórcę! Osobiście zerznąłbym wam zadki pasem!



Jaś pobladł i wykonał taki ruch, jakby chciał prowokatora chwycić za gardło, ale opanował się, tylko jego młodzieńcza twarz pociemniała.

– Pan mnie obraża – powiedział, unosząc z godnością głowę. – Jest pan, widzę, przedstawicielem tej wstecznej części naszego społeczeństwa o mentalności z czasów feudalnych.

– A wy, smarkacze, chcecie, żebyśmy rozdali ziemię chamom, a sami wyrzucali gnój z obory? – Grubas zaśmiał się szyderczo.

– Praca nie hańbi, a odrobina wysiłku na świeżym powietrzu wyszłaby panu na zdrowie – odpowiedział spokojnie Jaś.

– Milczeć! – ryknął prowokator, a jego nalana twarz poczerwieniała jak u rozwścieczonego indora.

Zanim wuj Ksawery zareagował, Jaś powstał i złożony panom ukłon, posłał grubasowi wyzywające spojrzenie.

– Grozi panu apopleksja, ostrzegam jako przyszły lekarz. Jeżeli czuje się pan obrażony, gotów jestem natychmiast dać panu satysfakcję z bronią w rękę. Żegnam! – Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Wuj Borutyński odprowadził go wzrokiem, w którym obawa mieszała się z rodową dumą. Wiedział, że Jaś świetnie strzelał, a odwagi miał raczej za dużo niż za mało. Postawa bratanka mocno mu zaimponowała. Był absolutnie przekonany, że gdyby ten stary dureń przyjął wyzwanie, Jaś nafaszerowałby go ołowiem jak kaczkę. „Moja krew!” – mruknął z zadowoleniem. Donosiciel najwidoczniej się przestraszył, bo prędko zmienił temat i zaczął rozmawiać zupełnie innym tonem.

Nina, wtulona w róg kanapki, nawet nie spostrzegła Jasia, który cicho podszedł i przyglądał się jej badawczo.

– Źle się czujesz? – spytał, kładąc dłoń na jej czole.

– Jestem trochę zmęczona, bo wcześniej wstałam.

– Ciotka wysługuje się tobą. Słuchaj, kim jest ten grubas czerwony na gębie?

– To Raniewicz. Uważaj na niego, bo jest na usługach policji. Nikt go nie zaprasza, ale on sam wszędzie się wciska. Proszę cię, misiu. – Nina użyła pieszczotliwej nazwy nadanej mu w dzieciństwie. – Nie dyskutuj z wujem o polityce. On jest przekonany, że imperium rosyjskie powołane jest do odegrania dziejowej roli w Europie, i nie próbuj go przekonać, iż jest w błędzie, bo tego ci nie wybaczy.

– To byłoby bezcelowe. Nie martw się o mnie, kotku. Jutro wyjeżdżam, a dziś chcę się wytańczyć i zamawiam u ciebie pierwszego kadryla.

Przyłączyli się do nich Tadeusz z Bieckim i przez chwilę wesoło rozmawiali.

– Ale tu dziś mnóstwo ładnych panien – zauważył Biecki. – Jest w czym wybierać.

– Potworny zarozumialec – Nina potrząsnęła głową. – Nie asystujesz Dorocie?

Westchnął, nie przejawiając ani cienia zapału.

– Cóż... Dora ma niezły posag, ale pięknnością nie grzeszy. Ach, te pieniądze, jak ja je kocham.

Tadeusz w obawie, aby Kazio nie zepsuł sobie szansy na dobry ożenek, próbował zbagatelizować jego szczere wyznanie.

– Nino, nie powtarzaj nikomu tego, co plecie ten facet, dobrze? O, grają walca! Panowie, ruszajmy uradować serduszka dam. Nie powiesz nikomu?

– Obiecuję. Szepnę tylko słówko Zosi.

– Jezu! – stęknął Tadeusz. – Chodźmy, chłopcy, bo mam wielką ochotę sprawić lanie tej przemądrzałej pannicy.

Nina zachichotała i pogroziła mu palcem. Jaś przypatrywał się jej z upodobaniem.

– Ślicznie dziś wyglądasz.

– Ja? Spójrz tylko na panią hrabinę Paulę, to dopiero piękność.

– Powiem ci szczerze, że mnie się ona nie podoba. Ma w sobie coś niepokojącego, jakiś dziwny wyraz oczu. Chorobliwy wyraz. Nie potrafię tego zdefiniować w kategoriach medycznych, ale mam wrażenie, że patrzę na osobę bardzo konfliktową. Jest zbyt wyzywająca, a ja lubię kobiety subtelne, mniej zmysłowe.

– Ale wszyscy panowie ją adorują – zauważyła Nina.

– Nie wszyscy. – Jaś z uśmiechem musnął palcem jej delikatny policzek. – Późne lato czy wczesna jesień bywają piękne, ale już przywodzą nam na myśl zimę. A ty jesteś samą wiosną.

Podziękowała mu całusem, zastanawiając się, czy powiedzieć, że ciotka zamierza wydać ją za Orlewicza, ale po namyśle zrezygnowała, nie chcąc poróżnić go z wujostwem, którzy go szczerze kochali.

Hrabina jakby wyczuła, że o niej była mowa, bo przerwała rozmowę z adorującymi ją panami i wolnym krokiem zmierzała w stronę kanapki.

– Miło mi, że mam dziś przyjemność poznać rodzinę mego męża – odezwała się po francusku, podając rękę Ninie i Jasiowi. – Nie

przeszkadzam? – Spojrzała na niego z wyraźną kokieterią, a jej czarne oczy zabłyśły.

– Bynajmniej. – Skłonił się uprzejmie. – Mam nadzieję, że pani hrabina raczy przez chwilę dotrzymać towarzystwa Ninie. Ja muszę zamienić kilka słów z kolegami.

Łaskawie skinęła głową i skubnęła z wazonu kwiatek.

– Czarujący chłopiec – powiedziała, odprowadzając Jasia wzrokiem. – Twój adorator?

– To mój kuzyn! – oświadczyła Nina z naciskiem.

– *Cousinage, dangereux voisinage*<sup>26</sup>! – Niezrażona jej chłodem Paula usadowiła się na kanapce, roztaczając woń drogich perfum o zapachu róży.

– Masz już pewnie wielu wielbicieli?

– Na to jestem za młoda. – Nina nawet nie siliła się na grzeczność, rozdrażniona niedyskretnymi pytaniami hrabiny.

– Na to nigdy nie jest za wcześnie, przekonasz się. Wierzysz w powinowactwo dusz? Coś w tym musi być, bo wyobraź sobie, że od pierwszej chwili poczułam do ciebie sympatię.

Nina usłyszała fałszywą nutę w jej głosie. Pamiętała, że na balu hrabina zaledwie raczyła skinąć jej głową, a po odjeździe pułkownika w ogóle przestała ją dostrzegać. Zatem kłamała.

– Nie jesteś za młoda, żeby podobać się mężczyźnie. Panowie lubią świeże buzie. Znam kogoś, kto jest tobą bardzo zainteresowany.

Nina zbladła, bo przyszło jej na myśl, że Paula odkryła, kto od wczoraj zaprzętał jej wyobraźnię. Wydało się jej, że gorset ją dławił, i odetchnęła głęboko, chłodząc się wachlarzem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, hrabina spojrzała na nią badawczo.

– Nie interesuje cię, o kim mówię?

– Nie! – Nina miała wprost bolesną świadomość, że Paula sobie z nią igrała jak kot z myszą.

– Nie udawaj! – Hrabina się roześmiała. – Powiem ci jednak. Zrobiłaś ogromne wrażenie na panu pułkowniku Woroncowie. Zatrzymał się w miasteczku i pragnie się z tobą spotkać.

Nina szeroko otworzyła oczy, wprost nie wierząc własnym uszom. Ta kobieta proponowała jej ułatwienie schadzki z nieznanym mężczyzną, który nawet nie został jej przedstawiony na balu. Wśród ludzi dobrze wychowanych było to czymś tak niesłychanym, że powinna wstać i natychmiast odejść, by poskarżyć się ciotce, bowiem propozycja Pauli była

obelgą. W ten sposób można było potraktować pokojówkę, i to nie każdą. Śmiertelnie obrażona Nina już otwierała usta, aby dać hrabinie stosowną odprawę, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Wybuchając gniewem, raz na zawsze zamknie sobie drogę do Makowa. Pani Klonowiecka z pewnością wszystkiego się wyprze i poskarży się na nią mężowi, a ten nigdy więcej nie zaprosi jej do pałacu.

Zadając gwałt swojej szczerej, otwartej naturze, Nina przywołała na usta uśmiech, równie nieszczerzy jak Pauli.

– Ale ja nie znam tego pana – powiedziała, skromnie spuszczać oczy.

– Myślałam, że zamieniłaś się w posąg! – Hrabina odetchnęła i posłała jej ciepłe spojrzenie. – Czego ty się boisz? Przecież ciekawość nie jest grzechem. Jutro mogę przyjechać po ciebie karetą i razem wybierzemy się do miasteczka. Będiesz mogła obejrzeć sobie pana Woroncewa z bliska. To bardzo majątny i wpływowy człowiek, a ty powinnaś już myśleć o swojej przyszłości. Paniąka bez posagu musi być przewidująca.

Każde wypowiedziane przez nią słowo było dla Niny nowym policzkiem. Jednak z zadziwiającą w jej wieku obłudą dalej prowadziła tę słowną rozgrywkę. Dałaby wiele, żeby się dowiedzieć, dlaczego Paula pragnęła zbliżyć ją do mężczyzny, który niewątpliwie coś dla niej znaczył.

– O, ja bardzo chętnie wybiorę się do miasteczka, jeżeli tylko ciocia wyrazi na to zgodę – oświadczyła Nina z miną grzecznej paniąki.

Paula poruszyła się niespokojnie, ściągając czarne brwi.

– Zamierzasz prosić ciotkę o zgodę? Przecież jesteś na tyle dorosła, by sama zdecydować, z kim chcesz się spotykać.

– Bez wiedzy opiekunów nie mogę widywać się z obcymi panami – powiedziała Nina i trwożnie zatrzepotała rękami. – O moim mariażu zadecydują wujostwo.

– O jakim mariażu? – Paula się zakrztusiła i zamilkła, uświadomiwszy sobie, że powiedziała za dużo.

Nina udała, że nie usłyszała hrabiny, i słodko się uśmiechnęła. Tylko oczy jej pociemniały, przybierając niemal granatową barwę.

– Przecież to oczywiste, że pan pułkownik nie mógłby widywać się ze mną w innym celu – oświadczyła z naiwną szczerością.

Paula siedziała z rozchyłonymi ustami, nie mogąc się zdobyć na odpowiedź.

– Przepraszam – odezwała się zupełnie innym tonem. – Obawiam się, że popełniłam nietakt. Przyznaję, że prośba Płatona Mikołajewicza o

pośrednictwo bardzo mnie zbulwersowała. Uznałam jednak, że decyzja w tej kwestii należy wyłącznie do ciebie. Zdaję sobie sprawę, że pułkownik zachował się niewłaściwie, lecz tłumaczy go fakt, iż mocno zapadłaś mu w serce. Trudno go o to winić. Niestety, ja mam słaby charakter i nie potrafię odmówić, kiedy ktoś o coś mnie prosi. A potem pokutuję za niepopelnione winy. Nie chcę być przez ciebie źle zrozumiana, bo miałam jak najlepsze intencje, przysięgam. Toteż byłabym ci ogromnie wdzięczna, gdybyś zachowała dyskrecję i nikomu o naszej rozmowie nie mówiła. Najlepiej potraktujmy ją jako zwykły żart, dobrze?

Paula złożyła idealnie wypielęgnowane dłonie na kolanach i z niewinną miną spojrzała na Ninę.

– O, ani przez chwilę nie wątpiłam, że pani hrabina raczyła żartować! – odparła Nina z lodowatą wyniosłością, zaskakującą u tak młodziutkiej dziewczyny.

– Czy zechcą panie przyjąć mnie do towarzystwa? – spytał Aleks, podchodząc do kanapki.

Usiadł na krześle i spojrzał na żonę. Spozrzegł, że była czymś mocno poruszona, a Nina miała rumieńce i spuściwszy oczy, uparcie wpatrywała się w posadzkę.

– Wolno wiedzieć, o czym panie dyskutowały?

Paula rozpaczliwie szukała w głowie jakiegoś sensownego wykrętu, lecz nic nie przychodziło jej na myśl.

– Rozmawialiśmy o powinowactwie dusz – pośpieszyła jej z pomocą Nina, uśmiechając się ironicznie.

– Doprawdy? – Aleks ze zdziwieniem uniósł brwi. – To bardzo oryginalny temat.

– I równie pouczający – rzekła Nina z przekonaniem, bawiąc się wachlarzem.

Paula chrząknęła nerwowo i odruchowo poprawiła na szyi drogocenny naszyjnik, bo naraz odniosła wrażenie, że klejnot jest o wiele za ciasny.

– Pardon, Sasza, to była zwykła, błaha salonowa pogawędka – próbowała zbagatelizować sprawę. – Obawiam się, że tylko znudziłam pannę Ninę. Taka rozmowa nie pozostawia śladu i po minucie już się nie pamięta jej treści, prawda?

– A jednak bardzo żałuję, że nie miałem okazji wziąć udziału w dyskusji – powiedział hrabia.

– Ja również! – półgłosem mruknęła Nina, a Paula zarumieniła się gwałtownie. – Ale pani hrabina jest w błędzie, ponieważ dla mnie ta rozmowa była cenną nauką.

Popatrzyła hrabinie w oczy, zimnym i twardym wzrokiem. „To jeszcze nie koniec między nami – pomyślała z zawziętością. – Przyjdzie dzień, że wyrównamy rachunki”.

Wynajęci muzycy zagrali pierwszego kadryla, a Ninę odszukał Jaś, upominając się o obiecany taniec. Kiedy podał jej rękę, Nina wsparła się na niej, oddychając z ulgą. Przy Jasiu zawsze czuła się bezpieczna. Prędko narzuciła na ramiona szal i dygnawszy uprzejmie, oddaliła się w głąb salonu.



22 Ludwik Mierosławski (1814–1878) – generał, działacz Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, dowódca oddziału w powstaniu wielkopolskim (1848). Uczestnik rewolucji we Włoszech i Niemczech. Od lutego 1863 roku dyktator powstania styczniowego. Pobity pod Krzywosądem i Nową Wsią, jakiś czas przebywał w Galicji, potem uszedł do Francji.

23 Bitwa w powstaniu listopadowym (10 kwietnia 1831 roku), zakończona zwycięstwem generała Prądyńskiego nad Rosjanami.

24 fr. krok

25 Jacques-Henri Bernardin de Saint-Pierre – autor powieści Paweł i Wirginia, sławiącej życie wśród dzikiej przyrody.

26 fr. niebezpieczne pokrewieństwo

## Rozdział 2

Rok 1861 rozpoczął się masowymi demonstracjami społeczeństwa domagającego się w zaborze rosyjskim swobód obywatelskich i reform. W Królestwie Polskim, zwanym inaczej Królestwem Kongresowym, sztucznie stworzonym w czasie kongresu wiedeńskiego w 1815 roku, pozbawionym rdzennych ziem polskich zagarniętych przez Prusy i Austrię, nastroje radykalizowały się z dnia na dzień. Wszystko wskazywało na to, że zbliżają się przełomowe wypadki mogące nawet wstrząsnąć posadami carskiego tronu.

W mroźne zimowe noce na tle gwiazdzistego nieba widoczna była jasna kometa ciągnąca za sobą ognisty ogon. Ludzie żegnali się na ten znak przekonani, że złowrogie i tajemnicze zjawisko jest zwiastunem nieszczęścia. Spodziewano się wybuchu epidemii cholery, kataklizmu, a nawet wojny. Punktem zwrotnym w dziejach ówczesnej walki opozycyjnej stało się otwarcie w Warszawie w 1857 roku Akademii Medyko-Chirurgicznej, a nieco później założenie w stolicy Towarzystwa Rolniczego pod przewodnictwem popularnego i mądrego hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, skupiającego najbardziej oświeconą arystokrację i postępową szlachtę. Oba te ośrodki – studencki radykalny oraz liberalny elity – już w niedalekiej przyszłości stać się miały załączkami niezależnej myśli politycznej, a zarazem dwiema partiami bez pardonu zwalczającymi się wzajemnie.

W środowiskach studenckich, licealnych, rzemieślniczych i mieszczańskich coraz chętniej słuchano płomiennych i pozerskich odezw generała Ludwika Mierosławskiego, wzywającego z Paryża naród do zbrojnej rozprawy z zaborcą. Imię włoskiego rewolucjonisty Garibaldiego stało się dla Polaków symbolem walki o niepodległość. Młodzież nosiła czerwone bluzy „Garibaldi”, przewiązując je sznurami z kotwicą, i marzyła o wyzwoleniu kraju spod carskiego jarzma. W głębokiej konspiracji zatliła się iskierka buntu będąca zarzewiem straszliwej pożogi.

\*\*\*

W lutym mieszkańcy Warszawy postanowili uroczyście uczcić trzydziestą rocznicę krwawej bitwy pod Grochowem. Studenci pisali ulotki wzywające

do masowych demonstracji i rozdawali je przechodniom. 25 lutego 1861 roku o godzinie 17:30 na Rynek Starego Miasta napływały zewsząd tłumy. Pogoda była prawie wiosenna. Słońce już zaszło, lecz na niebie świeciły jeszcze zorze wieczorne. Na ulicę Freta, przed kościół Ojców Paulinów, zajechał chłopski wóz, a kilku studentów wręczało ludziom wychodzącym z nabożeństwa przywiezione biało-amarantowe chorągiewki.

W zapadającym mroku naraz zapłonęły setki pochodni niesionych przez młodzież. W krwawym blasku ognia formował się pochód. Na czele stanął warszawski szewc Ignacy Paradowski. Z trzymanego drzewca zdjął pokrowiec i rozwinął ogromną chorągiew z wyhaftowanym srebrnym orłem. Na ten widok ludzi ogarnęła ekstaza. Padali na kolana w uliczne błoto, wyciągając do chorągwi ramiona. Przechodnie dołączali do pochodu, zmieniając go w wielotysięczną manifestację. Idący na czele studenci zaintonowali suplikację<sup>27</sup>, dodając słowa: „Abyś nam Ojczyznę wrócić raczył. Wysłuchaj nas, Panie”. W pobliskich kościołach zaczęto bić w dzwony do wtóru pieśni. Powiewały chorągwie cechowe, znaki dawnych ziem polskich i proporce. Karol Nowakowski, student Szkoły Sztuk Pięknych, obdarzony mocnym wspaniałym głosem, zaczął śpiewać pieśń jeszcze nie wszystkim znaną, która w niedługim czasie stać się miała niemal hymnem narodowym, pieśnią buntu i nadziei:

*Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki  
Otaczał blaskiem potęgi i chwały.*

Cały pochód zamarł z wrażenia, a potem pojedynczo nieśmiało ludzie zaczęli się przyłączać, aż potężna pieśń wyrwała się z tysięcy piersi i zatrzęsała murami Starego Miasta. Płynęła uroczyście, żarliwie, wznosząc się w bezchmurne gwiaździste niebo. Tysiące nóg deptało rozmiękły śnieg, a z mijanych kamieniczek wyglądali mieszkańcy, oklaskując pochód, rzucając im pod nogi kwiaty. Na widok płynącego na czele orła warszawiacy w szalonym uniesieniu wyrzucali w górę czapki i krzyczeli: „Polska zmartwychpowstaje!”.

Ogromny pochód, owacyjnie witany, wolno ze śpiewem wkroczył na Rynek. Ludzie jakby upili się tą namiastką wolności. Rozgorączkowani, podnieceni nie zwracali uwagi na narastający odgłos pędzących koni. Z bocznych uliczek wypadły szeregi kawalerii i przypuściły szarżę na bezbronnych śpiewających w uniesieniu ludzi. Błysnęły wzniesione szable, a rozpedzone szwadrony wbiły się klinem w czoło pochodu, tratując i raniąc uczestników manifestacji. Ulice zboczyła krew. Ale i ludzi ogarnęła



wściekłość. Zaczęli się zawzięcie bronić, młóćąc drzewcami chorągwi i bijąc wydartymi skąd się dało kamieniami. Brutalnie wyciągano z tłumu opierających się mężczyzn i pędzono ich do Cytadeli, a kozacy okładali batami bezbronne ofiary. Walka manifestantów z uzbrojonymi po zęby policją, żandarmami i wojskiem nie miała żadnych szans. Każda próba obrony wzmagiała tylko furię napastników, podniecając ich do okrucieństwa. Aresztowanych kopano, bito, nie oszczędzono nawet kobiet.

Książę Gorczakow, namiestnik Królestwa Polskiego sprawujący władzę w imieniu cara, wprowadził w stolicy specjalne środki ostrożności. Ulicami jeździły patrole kozackie, na placach i rynkach wojsko urządziło biwaki, rozpalając wielkie ogniska. Na skrzyżowania ulic zatoczono baterie armat, a przez jezdnie przeciągnięto żelazne łańcuchy. Działa na murach Cytadeli groziły miastu bombardowaniem.

Warszawa zatrzęsała się z oburzenia. Miasto przypominało kocioł wrzącej wody. Uniesieni gniewem mieszkańcy głośno domagali się sprawiedliwości. Członkowie Towarzystwa Rolniczego i marszałkowie szlachty, przybyli na nadzwyczajny zjazd mający uchwalić uwłaszczenie wsi, demonstracyjnie zrzekli się swoich funkcji. Książę namiestnik zadesperzował do cara, donosząc, że w Warszawie panuje już spokój, ale nie była to prawda.

\*\*\*

Nazajutrz po mszy świętej w kościele Karmelitów ruszył w stronę zamku pochód. Jego uczestnicy zamierzali upomnieć się o bezprawie aresztowanych. Tłum szedł godnie, z powagą, śpiewając *Z dymem pożarów*. Idącemu na przodzie księdzu ktoś podał krucyfik i obraz z Matką Boską. Ale plac Zamkowy był zamknięty przez wojsko, a na uczestników pochodu posypały się razy kozackich nahajek. W jednej chwili ksiądz został pobity, krzyż połamany, a obraz zbezczeszczony. Kozacy, spinając wierzchowce, wpadli w tłum, płazując szablami, kłując pikami i bijąc. W całym mieście mieszkańcy ścierali się z wojskiem chcącym rozpędzić zbiegowisko.

– Rozejść się, bo każę otworzyć ogień! – zagroził generał Zabłocki, dowodzący akcją pacyfikacyjną.

– Nie masz prawa! Napoleon nie pozwolił! – krzyknął ktoś z tłumu.

Ludzie wierzyli głęboko, że „siostrzyca Francja” ujmie się za sponiewieranym narodem i pod wodzą cesarza pośpieszy Polsce z pomocą. W zamieszaniu ktoś cisnął kamień, trafiając w generała. Rozwścieczony oficer rozkazał otworzyć ogień do zebranego na nowo pochodu. Grzmot salwy karabinowej i brzęk rozbitych szyb zmieszał się z okrzykami bólu. Na

jezdnię upadło pięciu zabitych i mnóstwo rannych. Od kul rosyjskich poległo dwóch szlachciców, rzemieślnik, robotnik i młodzieńki uczeń liceum warszawskiego. Nazwiska Michała Arcichiewicza, Filipa Adamkiewicza, Karola Brendela, Marcelego Karczewskiego i Zdzisława Rutkowskiego wpisały się w historię męczeństwa narodu.

Westybul wytwornego hotelu Europejskiego, gdzie tymczasowo złożono ciała zabitych, zamienił się w kaplicę żałobną. Przy zwłokach studenci zaciągnęli wartę. Mieszkańcy stolicy znosili tam kwiaty i modlili się z płaczem. Następnie zwłoki przeniesiono do kościoła Świętego Krzyża, a na środku świątyni stanęło pięć wspaniałych katafalków pośród setek płonących świec. Przy trumnach urosły istne pagórki z bukietów i wieńców, nieustannie znoszonych przez warszawiaków. Stolica okryła się kirami, opłakując swoje dzieci. Od rana do nocy do świątyni napływała rzeka ludzi, a nieprzebrane tłumy stały na ulicy, otaczając kościół żywym pierścieniem i w milczeniu oczekując na swoją kolej. We wszystkich kościołach stolicy, w żydowskich synagogach i protestanckich zborach odbywały się uroczyste nabożeństwa żałobne. Do miasta zjeżdżały na pogrzeb delegacje ze wszystkich dawnych ziem polskich.

Tragiczne wydarzenie wstrząsnęło nawet Rosjanami. Jakiś młody oficer chciał wejść do kościoła, ale ludzie zastąpili mu drogę, rozkazując mu odejść. Uniesiony rozpaczą rozplakał się i wyciągnąwszy szablę, złamał ją.

W sam dzień pogrzebu Warszawa zamarła. Sklepy i urzędy zamknięto. Wystawy udekorowano wieńcami z cierni i kirami oraz portretami zabitych. Wszędzie widniały symbole żałoby: połamane krzyże, palmy, trupie czaszki. Okna i balkony przysłonięto czarnymi draperiami. Arcybiskup Fijałkowski, ogólnie uważany za prymasa Polski, ogłosił rzecz niesłychaną w dziejach Europy: bezterminową żałobę narodową! Sama ceremonia pogrzebowa zamieniła się w olbrzymią manifestację jedności narodowej. Arystokracja i szlachta wystąpiły tego dnia w strojach polskich: kontuszach, deliach i kołpakach z piórami. Z szablami przy boku! Niesionym trumnom nawet rosyjskie wojsko oddawało honory. Wiadomość o tragedii warszawskiej lotem błyskawicy dotarła do najdalszych krańców kraju. Rozdarte części ogromnej Rzeczypospolitej łączyły się teraz w żądzy odwetu. Książę namiestnik Gorczakow nie oczekiwał tak dramatycznego zakończenia rozruchów. Przerażony, wyobrażał sobie reakcję cesarza i drżał na samo wspomnienie wybuchu rewolucji. Poleciał złagodzić sankcje i przez pewien

czas Warszawa cieszyła się niebywałą swobodą. Wojsko nie wychodziło z koszar, a policji i żandarmerii jakby nie było.

Uroczyste nabożeństwa żałobne odprawiano we wszystkich kościołach na terenie Polski. W Warszawie, u ojców reformatorów, chórem dyrygował sam Stanisław Moniuszko. Wielkie damy, z księżną Lubomirską na czele, kwestowały po świątyniach, zbierając datki na rzecz rodzin ofiar i cele narodowe. Ludzie spontanicznie oddawali kosztowności, klejnoty, srebra, pieniądze. Panie pochowały stroje karnawałowe, przywdziewając kiry. Ogromnie modne stały się ubiory narodowe: kontusz lub żupan, wysokie buty i czapka konfederatka. Odwołano wszystkie zabawy, bale i spotkania towarzyskie. Cały kraj ogarnęła cisza i smutek. Z ambon kościołów, z synagog i zborów najlepsi mówcy wygłaszali kazania pełne patriotycznych treści.

Tymczasem do Warszawy przybył ze swojego majątku w Chrobrzu Aleksander margrabia Wielopolski Gonzaga Myszkowski, cieszący się łaskami władz carskich. Z rozkazu samego cesarza stanął na czele Komisji Rządowej. Jego pierwszym krokiem było rozwiązanie powszechnie szanowanego Towarzystwa Rolniczego oraz samorządowych władz miejskich. Mieszkańcy głośno protestowali, a młodzież pod wodzą młodziutkiego Leona Frankowskiego<sup>28</sup> urządziła przed siedzibą margrabiego kocią muzykę. Rozgorączkowany tłum żył pełen nadziei na przyszłość. Powszechnie sądzono, że władze carskie ugięły się pod naciskiem opinii publicznej. Nikt nie przewidywał nadciągającej nieubłaganej katastrofy.

\*\*\*

Nina schyliła się w siodle i ściągnęła cugle klaczki Paminy, pilnie nasłuchując. Gdzieś daleko, poza wzgórzami, odezwała się trąbka, po niej zagrzechotały kołatki. Puszcza szła obława. Z takiej odległości do uszu Niny dochodziły jedynie szmery, ale ona wiedziała, że kilkudziesięciu chłopów płoszy zwierzynę, pędząc ją w stronę stanowisk myśliwych. Polowanie, ulubiona rozrywka ziemiaństwa polskiego, nigdy jej nie pociągało. Kochała zwierzęta i choć uznawała celowość łowów, nigdy nie brała w nich udziału. Dziś przybyła do puszczy, usłyszawszy przypadkiem, jak wuj Ksawery mówił ciotce, że w polowaniu udział weźmie sam hrabia Klonowiecki. Nina tak bardzo pragnęła ponownie zobaczyć Aleksa, że zniżyła się do prośby, namawiając ciotkę Marię, by pozwoliła jej jechać z wujem.

Pierwsza miłość jest prosta, wystarcza jej niewiele. Miłość Niny była tak pokorna, że nie pragnęła niczego poza widokiem ukochanego. Była

zakochana całym sercem. Uwielbiała Aleksa za męską urodę, za wyniosłą postać, szczupłą talię, wąskie biodra znakomitego jeźdźca i długie smukłe nogi. Kochała jego oczy o złotawej barwie bursztynu, pięknie zarysowane usta i dumne spojrzenie. Lecz najbardziej kochała go za okazaną jej dobroć, której tak niewiele w życiu doznała. Leżąc samotnie w swoim pokoiku na facjatce, płakała z tęsknoty.

Po balu sylwestrowym miała okazję widzieć Aleksa kilka razy. Tańczyła z nim na herbatce karnawałowej w Ciężynach, a także na jego życzenie razem z nim i Binią uczestniczyła w wielkim kuligu i obiedzie na zamku w Kurozwękach. Zawsze okazywał jej prawie ojcowską życzliwość i troskę. Tego akurat Nina życzyła sobie najmniej, próbując nieśmiało zainteresować go swoją osobą. Pod koniec lutego, w dzień imienin hrabiego, w pałacu miał się odbyć bal. Na tę okazję Nina czekała, pracowicie przerabiając starą toaletę wizytową ciotki Marii. Ściboliła całymi wieczorami, choć ciotka zapowiedziała, że siostrzenica na raut nie pojedzie. Jeszcze czego!

Pewnego zimowego dnia ciotka powróciła z wizyty u sąsiadów Jabłockich tak zdenerwowana, że nie zdejmując w sieni futra, wpadła jak burza do kancelarii męża.

– Ksawuniu! – zawołała jeszcze w drzwiach. – Natychmiast się zbieraj i jedź do Bodzentyna! Sprzedaj kwatermistrzowi z wojska resztę ziemniaków, wódkę i kapustę. Wojsko teraz wszystko kupi!

Wuj Borutyński, zajęty rozmową z ekonomem, podniósł na żonę oczy z wyrazem osłupienia.

– Co tobie, Marychno? – spytał, zauważywszy na policzkach żony mocne wypieki.

Ruchem dłoni nakazał ekonomowi, aby się oddalił. Stary sługa wyniósł się z kancelarii błyskawicznie, gotowy ukryć się przed wzrokiem pani w mysiej dziurze. Ciotka omdlewającym ruchem osunęła się na krzesło, powoli zdejmując z głowy spowijające ją szale.

– Pośpiesz się, Ksaw – ponagliła męża.

– W ubiegłym tygodniu odmówiłem mu sprzedaży ziemniaków, zapomniałaś?

– Nie, po prostu powiedz, że sprzedajesz z zapasów przeznaczonych dla domu. Mamy dużo kaszy. Z pewnością dostaniesz wyższą cenę.

– Z jakiej racji?

– Ach, bo ty, kochanie, nic nie wiesz! – westchnęła ciotka. – Tym szaleńcom w Warszawie zachciało się zrobić rewolucję. Wczoraj ze stolicy

wrócił Jabłocki, bo zjazd Towarzystwa Rolniczego został zawieszony ze względu na rozruchy w mieście. Doszło do tego, że księżę namiestnik zmuszony był wysłać na ulicę wojsko, a sprowokowani żołnierze użyli broni. Jest pięciu zabitych i mnóstwo rannych. Arcybiskup Fijałkowski, zamiast powagą kapłańską uśmierzyć wzburzoną hołotę, ogłosił bezterminową żałobę narodową! Zupełne szaleństwo! A ten niedołęga Jabłocki po cichu popiera tych wywrotowców. Głupiec! Tyle pieniędzy wyrzuconych na darmo, bo toalety balowe trzeba będzie zamknąć w szafie. Wszystkie zabawy odwołane. Ach, Boże!

Borutyński wstał i przeszedł się po pokoju, ściągając nastrzępione czarne brwi i mruczając coś pod nosem. Jego zaciśnięte usta wyrażały tłumioną złość.

– Tak, masz rację, aniołku. Musimy sprzedać, co się da, bo władze mogą znowu wprowadzić stan wojenny – skomentował nowinę przywiezioną przez żonę. Na jego wyrazistej twarzy pojawił się ponury grymas.

W sąsiednim pokoju panny, szyjące wyprawną bieliznę, usłyszały podniesione głosy i jak dwie szare myszki wśliznęły się do kancelarii, skromnie przystanąwszy na progu.

– A wy tu czego?! – warknęła ciotka, lecz była tak wzburzona, że machnęła ręką i pozwoliła im pozostać.

– Przekłęci szaleńcy! – wybuchnął z pasją wuj Ksawery. – Bezmyślni smarkacze ośmielają się prowokować samego cara. Taką potęgę! Znowu sprowadzą na kraj nieszczęście, jak trzydzieści lat temu. Niepodległość im się marzy. Wolne żarty! Gdyby jakimś cudem Polska odzyskała wolność, to w krótkim czasie znowu byśmy ją przefrymarczyli. Na nas potrzeba twardej ręki, bo sami nie potrafimy rządzić. Co jeszcze mówił Jabłocki?

– Opowiadał, że w Warszawie wszyscy ludzie przywdziali żałobę. Panowie przestali nawet nosić cylindry i włożyli konfederatki. Błazny! Po kościołach damy zbierają datki na jakieś cele narodowe. – Ciotka Maria z politowaniem wzruszyła ramionami. – Naturalnie, ja nie włożę czarnej sukni i nie pozwolę na to dziewczętom. Z jakiej racji? Że gdzieś kilku półgłówków dało się zastrzelić?

Binia pobladła i z przerażeniem spojrzała na Ninę.

– Mamo, nie wolno tak mówić. Ludzie mają prawo domagać się rządów konstytucyjnych i reform – odezwała się, sama zdumiona własną odwagą.

– Konstytucja? – Ojciec zmierzył ją posępnym, szyderczym wzrokiem. – Kozacy nahajkami wypiszą ją tym szczeniakom na zadkach! – prychnął z ironią.

– Papcio nie ma racji! – zawołała Binia, a jej łagodne niebieskie oczy naraz rozbłysły. – Ja włożę czarną suknię i będę kwestować w kościele.

Ciotka Maria skamieniała, a wuj był bliski apopleksji.

– Milcz, smarkata! – wrzasnął i tupnął nogą.

Jednak Binia miała także gorącą krew w żyłach i temperament Borutyńskich. Zaperzyła się i przekrzykując strach, oświadczyła podniesionym tonem:

– Przepraszam rodziców, ale ja to zrobię! Nie chcę, żeby opowiadano sobie, że jesteśmy złymi Polakami. Poproszę księdza proboszcza, by pozwolił mi kwestować po mszy. Pomogą mi pani wojewodzina, Nina i inne dziewczęta. Niech mamcia nie szyje mi sukni na raut w Makowie. Mamy żałobę narodową i na żadną zabawę nie pójdę! – mówiła, zacinając się i czując, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Zwracam ci uwagę, że to nie ksiądz proboszcz, ale my, rodzice, dajemy ci dach nad głową! – oświadczyła gniewnie matka. – Dopóki cię karmimy, zrobisz, co rodzice ci każą!

– Nie zrobię – odparła Binia cicho, ale tonem, którym jeszcze nigdy nie ośmieliła się przemawiać do matki. W jej głosie brzmiał gniew i żelazny upór, rodowa cecha Borutyńskich.

Rodzice, kompletnie skonsternowani, ochłonawszy z szoku, po namyśle zezwolili jej na wzięcie udziału w kweście, nie chcąc zadzierać z wojewodzina. Stara dama jeszcze tego samego dnia przyjechała do Sarnik z taką propozycją. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się sprzeciwić wojowniczej starszej pani, nawet wuj Ksawery.

Wszystkie zabawy odwołano, a damy włożyły żałobne toalety. Z Warszawy nadchodziły konspiracyjną pocztą listy od Jasia, z których panny dowiadywały się o dalszych niepokojach w stolicy. Obawiały się o jego bezpieczeństwo, przeczuwając, że Jaś zawsze znajdzie się tam, gdzie jest najgoręcej. W jednym z listów znajdował się piękny wiersz młodego lwowskiego poety, Mieczysława Romanowskiego<sup>29</sup>. Tak bardzo spodobał się Ninie, że deklamowała go głośno, siedząc wieczorem na łóżku w pokoju Bini.

*Co tam marzyć o kochaniu,  
O bogdance i róż rwaniu –  
Dla nas nie ma róż!  
My – jak ptacy na wędrowce –  
Dziś tu, jutro na placówce*

*Może staniem już.  
Co śni serce, niech raz prześni.  
W trwodze życia twarde pieśni  
Niech wiodą jak w tan.  
A miast ręce – rękojeści  
Szczery uścisk. Gdy obwieści  
Z niebios chwilę Pan.  
  
Szczęście, dola później może.  
Ach, lecz tylko ty wiesz, Boże  
Co tam spotka nas.  
Ty wiesz, komu uścisk miły,  
Komu kwiaty na mogiły  
Niesie przyszły czas.*

Ten wiersz zrobił na Ninie szczególne wrażenie. Wydało jej się, że jest on zwiastunem nieszczęścia, przepowiednią nie tylko dla niej, ale dla całego pokolenia młodych Polaków. Starannie złożyła kartkę z zapisanymi strofami i schowała ją do szkatułki, gdzie przechowywała najcenniejsze pamiątki.

Kwestując w zimnym kościele, Binią przeziębła się fatalnie. Zmartwiona ciotka pielęgnowała gorączkującą córkę, a mroźne zimowe dni schodziły Ninie w smutku i ciszy. Dopiero nadzieja spotkania Aleksa na polowaniu wyrwała ją z apatii i wprawiła w radosne podniecenie.

\*\*\*

Siedząc na grzbiecie klaczy, śledziła wzrokiem przepyszną panoramę łagodnych wzgórz pokrytych puszcą i z goryczą doszła do wniosku, że jej starania nie zdały się na nic, bo hrabia nie przyjechał. Jedyłą pociechą była przyjemność jazdy konnej na pięknej Paminie pożyczonej od Bini. Śliczne zwierzę o złotawej sierści było podarunkiem rodziców na osiemnaste urodziny jedynaczki. Nowe siodło przysłał w świątecznym prezencie narzeczony Bini, pan Świerczyński. Niełatwo siedzieć bokiem na szerokim damskim siodle, ale młodej panie nie uchodziło udawać chłopca i dosiadać konia po męsku.

Góry Świętokrzyskie, porośnięte gęstym borem, stanowiły prawdziwy matecznik kryjówek dzikiej zwierzyny i raj dla myśliwych. Nina rzuciła okiem na szczyt Łysicy i zauważyła, że gromadzą się nad nią chmury, wróżąc zmianę pogody. Z obu stron otaczał ją wysokopienny bór. Wierzchołki masztowych sosen i jodeł kołysały się w podmuchach wiatru.

Nina uwielbiała lasy, ale dziś ona i klaczka były już zmęczone, bo przez kilka godzin galopowały. Śliczna Pamina pokonywała trudne stoki, skacząc przez przeszkody i reagując na każdy ruch amazonki.

Naraz klacz, stojąca dotąd spokojnie, chrapnęła głośno i wyciągnawszy szyję, zaczęła podejrzliwie węszyć. Nina pogładziła ją po szyi, nie wiedząc, co wierzchówkę zaniepokoiło. Trąciła stopą lśniący bok klaczki i wolno ruszyła w stronę leśniczówki. Polowanie zapewne już się skończyło, bo nie słychać było odgłosów obławy i strzałów. Nina była doświadczoną amazonką i zupełnie dobrze posługiwała się bronią palną, chociaż nie mogła się mierzyć celnością strzałów z panną Kazimierą Lasewiczówną, starszą o wiele lat siostrą Władysława. Panna Kazimiera była prawdziwą mistrzynią strzelby, a polowania stały się dla niej najmiłą rozrywką.

Nie mając zamiaru brać udziału w łowach, Nina pozostawiła swoją lekką flintę w leśniczówce, mając przy sobie jedynie pistolet, ostatnią pamiątkę po ojcu, którą udało się matce wywieźć z Jaśminowa. Nina osobiście dbała o ten przedmiot pochodzący z rodzinnego domu, czyszcząc, oliwiąc i nabijając broń. Dziś także włożyła do kieszeni kożuska kilka zapasowych naboí. Kierując klaczą, spostrzegła, że cienie drzew się wydłużyły, a tarcza słoneczna zawisała nisko nad horyzontem. Cmoknęła głośno, zachęcając Paminę do przyśpieszenia kroku. Wtem koń stanął jak wryty, a potem zaczął się cofać, chrapiąc trwożnie i przysiadając na tylnych nogach. Z gąszczu krzewów malin wysunął się wolno szary zwierz i przystanąwszy, przyglądał się im uważnie.

– Wadera – szepnęła Nina. – Jaka wielka... Ależ patrzy...

Nie czuła strachu, bo w lesie byli ludzie, a wilki trzymały się stadem, gdy nie były płoszone. Ta wilczyca pewnie także uciekła przed obławą. Zima była mroźna, ale nie słyszało się, by wilki atakowały ludzi, bo często płoszyło je wojsko maszerujące traktami do większych miast. Dawnymi czasy watahy były ogromne, liczące nawet kilkadziesiąt osobników. Wygłodzone, nie wahały się atakować samotnych jeźdźców, a nawet rzucały się na konne orszaki. Polowano na nie, rzucając im na przynętę żywego prosiaka i z pędzących co koń wyskoczy sań strzelając do oszalałego z głodu stada. Ale tak bywało przed wiekami, potem wojska nieprzyjacielskie przetrzebiły także i watahy.

Przypatrując się wilczycy, Nina nieznacznie sięgnęła za pas, wyciągając pistolet. Wadera dalej stała bez ruchu, obserwując konia i amazonkę parą wąskich błyszczących ślepiów. Gdy Nina wyciągnęła broń, wilczyca drgnęła



i postąpiła kilka kroków do przodu. Od tego momentu wypadki potoczyły się błyskawicznie. Pamina stanęła dęba, o mało nie zrzucając Niny z siodła. Okazując paniczny strach, wyprostowana jak struna, zrobiła zwrot na tylnych nogach i pomknęła przed siebie jak wichur. W ostatniej chwili Nina zdołała wepchnąć pistolet za pas i kurczowo uchwyciła się siodła, kładąc się niemal na szyi klaczy. Pamina lotem ptaka przesadzała krzaki, wystające pnie, wąskie szczeliny skalne. Wyciągnięta w szalonym pędzie, wyrzucając z płuc kłęby pary, leciała wprost przed siebie na oślep, nie trzymając się drogi.

Po pewnym czasie Nina odzyskała przytomność umysłu i starała się utrzymać na siodle, obawiając się upadku i złamania karku. Próbowwała delikatnie kierować Paminą, lecz znarowiona klacz nie pozwoliła narzucić sobie drogi. Szarpiąc cugle i szczerząc zapienione zęby, pędziła, nie zwalniając tempa, gdzie ją oczy poniosą. Znajdowały się na rozległej łące, lecz oszalała z przerażenia klacz szybko zbliżała się do lasu, a tam groziło Ninie niebezpieczeństwo strącenia z siodła przez niskie konary. „Jezu, ale ja mam dziś pecha – myślała, bardziej zła niż przerażona. – Nie przyjechał pan Aleks, a teraz ta przeklęta kobyła uparła się, żeby połamać mi kości”.

Zdecydowanym ruchem uniosła się na siodle i z całej siły zaczęła ściągać cugle, pragnąc powstrzymać rozpędzoną klacz. Pamina rzuciła łbem, rżąc dziko, i jeszcze przyspieszyła bieg. Walka pomiędzy znarowioną klaczką a Niną przeciągała się, tymczasem las zbliżał się z nieubłaganą prędkością. Zachodziła obawa, że oślepiona strachem Pamina rozbije się o drzewa.

Wtem pod nogami rozpędzonego konia rozwarła się płytka szczelina skalna. Klacz i amazonka, machnąwszy potężnego kozła, rozleciały się w dwie przeciwne strony. Rozpadlina nie była głęboka i miała dno przykryte grubą warstwą śniegu, jednak wstrząs był tak silny, że upadając, Nina na krótko straciła przytomność. Otworzyła oczy, usłyszawszy, że ktoś nadjeżdża. Jęknęła i wcisnęła się głębiej w śnieżną pierzynę. Koń się zbliżył, rozległo się podejrzliwe parsknięcie i jeździec zatrzymał się w pobliżu. Nie otwierała oczu, udając zemdlenie.

– Wielki Boże, co się pani stało? – zawołał z niepokojem męski głos.

Orlewicz zeskoczył z konia, przyklęknął i pochylił się nad nią. Zgarnawszy garść śniegu, zaczął energicznie nacierać jej skronie, lekko poklepując po policzku. Nina czuła się bardzo słabo, jak po chorobie. Ciało miała poobijane i obolałe od stłuczeń. Uniosła się na łokciu i jęknęła, macając się po głowie. Futrzana czapeczka zapadła się gdzieś, a włosy

rozsywały się po ramionach. Próbowwała zebrać je i spleść w warkocz, ale każdy ruch sprawiał jej ból, więc dała sobie spokój z fryzurą.

– Jak się pani czuje? Kości niezłamane? – pytał Orlewicz z zatroskaną miną.

„Mam złamane serce, ale ty nic na to nie możesz poradzić” – pomyślała, ale że nie wypadało o tym mówić, więc tylko westchnęła ciężko i spróbowała się podnieść.

Orlewicz pomógł jej stanąć na nogach i otrzepał ze śniegu.

– Mój Boże, taki wypadek. – Krzątał się koło niej jak kwoka koło kurczęcia. – Co panią boli? – Przeląkł się, zauważywszy na jej twarzy grymas.

– Wszystko mnie boli, ale to się mogło skończyć o wiele gorzej – stęknęła, nieznacznie rozcierając tylną część ciała.

– Dlaczego tak nieostrożnie pani jechała? Przecież mogła się pani zabić, a koń złamać kark.

– Matko Boska, co z Paminą?! – krzyknęła i poczuła, że robi się jej słabo. – Gdzie klacz? – Rozejrzała się z trwogą.

Jeśli Paminie stało się coś złego, to ona nie ma po co wracać do domu, bo wuj Ksawery obedrze ją ze skóry. Klacz była bardzo cennym koniem węgierskim. W Sarnikach było stado dobrych wierzchowców, ale Nina nigdy nie miała własnego, jeżdżąc na przygodnych szkapach. Z ogromną ulgą dostrzegła Paminę stojącą za krzakiem. Klacz trochę chwiała się na nogach, ale gdy Nina podeszła do niej, zarżała cicho, jakby przepraszała za chwilę uniesienia.

– Ona wpadła w zaspę i trochę się potłukła, ale już przychodzi do siebie – pocieszył ją Orlewicz.

Nina wyciągnęła rękę, gładząc szyję klaczy. Pamina parsknęła i delikatnie dotknęła chrapami jej palców.

– Widzisz, głupia, co narobiłaś? – Nina spojrzała na nią z wyrzutem i lekko trzepnęła ją rękawiczką po pysku. – Mogłaś zabić mnie i siebie.

– Nie widziała pani rozpadliny?

– Pamina przeraziła się wadery i poniosła. Nie mogłam jej opanować, bo zachowywała się jakby ją giez ukąsił.

– Wadera? – zdziwił się leśniczy. – A gdzie ją pani spotkała?

– Na ścieżce prowadzącej w stronę Łysej Polany. Stała i patrzyła na mnie. Chciałam strzelić, ale Pamina się przelękała i poniosła.

– Coś podobnego... – Orlewicz potrząsnął głową. – Przecież wilk boi się człowieka. Aha, już wiem! – zawołał. – Chłopi mówili, że koło wsi krąży wilczyca, taka bezczelna, że w jasny dzień ukradła prosiaka z podwórka.

– Możliwe. – Nina zachwiała się, czując zamęt w głowie. – Czy mógłby mnie pan odprowadzić do leśniczówki? Nie czuję się dobrze.

– Naturalnie. Wezmę panią na mego konia, bo klacz zmęczona – powiedział, wyciągając ręce, by podsadzić ją na siodło. Ale ona wyminęła go i podeszła do klaczki.

– Dziękuję. Pojadę na Paminie – oświadczyła stanowczo. – Boże, przecież ona krwawi! – zawołała, zauważywszy na złotawej sierści konia czerwoną smugę.

Orlewicz przyjrzał się rance i wyjął z torby garść pakuł oraz pudełko z maścią. Troskliwie posmarował zranione miejsce i pomógł Ninie dźwignąć się na siodło.

W lesie była już cisza, tylko z daleka rozległo się czasami ujadanie ogarów. Widocznie myśliwi zeszli już ze stanowisk i schodzili się na bigos i kieliszek starki. Dojeżdżając do leśniczówki, dostrzegli na podwórzu gromadkę łowców. Ubrani w kozuchy i wysokie buty, ze strzelbami przewieszonymi przez ramię, trzymali na smyczach szczekającą i warczącą sforę psów. Rozmawiali głośno, śmiejąc się i sprzecząc. Kłócono się o najlepszy strzał i o to, kto co zabił. Na drabiniastym wozie leżały upolowane zwierzęta: dzik, dwa jelenie i sarna. Pomiedzy mężczyznami jedyną kobietą była panna Lasewiczówna. Nie opuściła żadnego polowania, będąc zawsze niekwestionowaną królową łowów. Nie dbając o elegancję, miała na sobie kozuch barani i wysokie palone buty. Spod podpiętej spódnicy wyglądały męskie spodnie. Wsparta o pień, rozmawiała z panem Wąsockim, czule gładząc zapieniony pysk rzucającego się wściekle na długiej lince brytana.

Podjeżdżając do leśniczówki, Nina czuła coraz większy strach na samą myśl o rozmowie z wujem. Pan Borutyński pierwszy dostrzegł jeźdźców i postąpił krok, przysłaniając oczy dłonią przed promieniami słońca odbitymi od śniegu.

– Nina, jak ty wyglądasz? – odezwał się, ściągając czarne brwi.

– Przepraszam wuja, spadłam z konia – szepnęła, blednąc pod jego groźnym wzrokiem. Wpadła w panikę, lecz próbowała ukryć lęk i się opanować.

– A co to Paminie? – zaniepokoił się, zauważywszy na boku klaczy smugę białej maści.

– Odrobinę skaleczyła się przy upadku, ale to tylko drobne zadraśnięcie – wyjaśniła, chcąc zbagatelizować sprawę i obserwując z narastającym lękiem wypieki na policzkach wuja.

– Upadła? Pamina upadła, a ty na niej siedzisz? Złaż natychmiast z tego konia! – ryknął z wściekłością. – Ty niezdaro! Zmarnować taką klaczkę! Rany boskie, taka strata! – lamentował, jakby już widział przed sobą martwą Paminę. – Kary nie ma na tę dziewczuchę! Precz mi z oczu, smarkata! Wrócisz do domu chłopską furką! Do czeladnej, do garów, nie na polowanie! – wrzeszczał, nie przejmując się obecnością obcych ludzi.

Myśliwi przerwali kłótnię o psa i odwrócili się w ich stronę, przysłuchując się awanturze. Na nieładnej twarzy panny Kazimierzy odmalował się wyraz niesmaku. Powstrzymała jednak brata, który zamierzał ująć się za Niną. Nie wypadało obcym wtrącać się w rodzinne swary.

– Po jakiego diabła wzięłem cię na to polowanie? – Wuj Ksawery podszedł do klaczy i obejrzał jej zraniony bok.

– Najmocniej wuja przepraszam, ale to był wypadek. – Nina, drżącym, łzawym tonem próbowała się usprawiedliwić. – Pamina zlekła się wilka i poniosła. Spadłyśmy do rozpadliny. Mogłam się przecież zabić.

– Mała strata – mruknął pod nosem. – Pogadamy o tym po powrocie do domu! – W głosie wuja zabrzmiała wyraźna pogróżka.

„Boże, dlaczego nie złamałam sobie karku?” – myślała z rozpaczą, mając ochotę zapaść się pod ziemię. Bała się czekającej ją kary. Kto wie, może każą jej klęczeć na grochu lub zamkną w pokoju o chlebie i wodzie? Z całej duszy życzyła sobie śmierci.

Sąsiedzi wiedzieli, że Borutyńscy traktują ją źle i niesprawiedliwie. Ich postępowanie budziło powszechne potępienie. Nawet proboszcz, zgorszony ich zachowaniem, stawał w jej obronie i często upominał ciotkę, co bynajmniej nie wpływało na polepszenie sytuacji Niny. A teraz wuj Ksawery pokazał, co potrafi, nie krępując się ludzi.

– Zapamiętaj sobie, że więcej na porządnego konia nie wsiądziesz! – zapowiedział, grożąc jej palcem.

Była trupio blada, ale w głębi jej dużych oczu zapaliły się iskry buntu i nienawiści. Trzęsa się cała, ale nawet na krok nie cofnęła się przed rozwścieczonym wujem. „Jeżeli mnie uderzy, oddam mu policzek, choćby miał mnie potem zabić!” – pomyślała.

Orlewicz zeskoczył z konia i stanął między nią a rozwścieczonym Borutyńskim.

– Klaczy nie stała się krzywda – rzekł spokojnie, patrząc swemu chlebobdawcy prosto w oczy. – Rankę sam opatrzyłem i prędko się zagoi. Ale panna Nałęczowska mocno się potłukła i potrzebuje odpoczynku.

– No proszę, znalazła sobie obrońcę! – Wuj skrzywił się z ironią. – Panie Orlewicz, niech się pan nie wtrąca w nie swoje sprawy. A ty – zwrócił się do Niny – idź do izby i ogarnij się trochę, bo wyglądasz jak nieboskie stworzenie. Potem Waluś odwiezie cię do domu. No, marsz, ruszaj się! – Machnął ręką, jakby odpędzał natrętnego psa.

Odwróciła się i wolno, ze schyloną głową skierowała się w stronę leśniczówki, przeklinając dzień i godzinę swoich narodzin. Cała płonęła ogniem nienawiści, życząc Borutyńskim wszystkiego najgorszego. W domu czekała ją jeszcze rozprawa z ciotką, a wuj nie zapomni surowo jej ukarać. Chciała umrzeć, zanim dojedzie do Sarnik. „Tyran, niegodziwiec!” – myślała, zaciskając drobne pięści. Potknęła się, nie widząc nic spoza zasłony łez spływających po policzkach. Spod gałęzi ogromnej jodły wyszedł wysoki mężczyzna, a jego silna ręka podtrzymała ją, chroniąc przed upadkiem.

– Ja odwiozę Ninę do domu. – Usłyszała znajomy niski głos.

Drgnęła, oczy jej zabłyśły, a na policzki wypłynął lekki rumieniec. A więc jednak przyjechał!

– Spóźniłem się trochę i nawet nie miałem okazji przywitać się z tobą – powiedział z uśmiechem. – Jesteś blada, promyczku. Po powrocie do domu koniecznie się połóż, bo inaczej odchorujesz ten upadek, moje biedne dziecko.

Zanim się spostrzegła, uniósł ją w ramionach i posadził w swoich saniach, troskliwie otulając futrami.

– Ciepło ci? Masz siny nosek. Poczekaj chwilkę, pójdę tylko przeprosić pana Wąsockiego, że nie będę na obiedzie. Postaram się również udobruchać Ksawerego, żebyś miała spokój. Zaraz wrócę.

Podniosła oczy, patrząc na niego z ogromną wdzięcznością i uwielbieniem.

– Tak mi przykro, że sprawiłam kłopot.

– Ależ to żaden kłopot, bo i tak nie zamierzałem jechać na obiad – odparł wesoło.

Wuj Ksawery stał przy Paminie, oglądając jej bok i klnąc pod nosem. Hrabia, zamieniwszy kilka uprzejmych słów z panem Wąsockim, pożegnał myśliwych i podszedł do klaczy. Poklepał ją po szyi i rzucił okiem na rankę.

– O, to tylko zadraśnięcie – zauważył.

– Ale upadek może jej zaszkodzić. Sam ją wyhodowałem, więc nie dziw się, że nerwy mnie poniosły, gdy zobaczyłem, w jakim jest stanie. – Wuj próbował się usprawiedliwiać, bo było mu nieprzyjemnie, że ten wytworny arystokrata był świadkiem jego ordynarnego wybuchu złości.

– Ona jest naprawdę śliczna. – Aleks pogładził zwierzę po miękkich chrapach. – Chyba czuje się dobrze, bo zachowuje się normalnie. Gdy tylko wrócę do Makowa, przyślę ci konowała. Obejrzy klacz i fachowo ją opatrzy – dodał prędko, zauważywszy czerwone plamy wypieków na policzkach wuja Ksawerego.

– Więc widzisz, ile mnie ta dziewczyna kosztuje! – wybuchnął Borutyński, ogarnięty nową pasją.

– Nic nie zapłacisz, bo to zwykła przysługa, jak to w rodzinie.

Ksawery sapnął i złagodniał, ujęty uprzejmością krewnego. Obaj panowie zamienili jeszcze kilka słów i rozeszli się w przeciwne strony. Nina, oczekująca ze strachem końca rozmowy, odetchnęła, gdy Aleks podszedł do sań.

– No i po kłopotcie – powiedział swobodnie. – W domu nie grozi ci burza. A teraz wypij to, proszę. – Podał jej obciążoną zamszem manierkę. Srebrna zakrętka zastępowała kieliszek. – Pij, promyczku! – ponaglił, widząc, że Nina się ociąga.

Posłusznie przełknęła długi łyk i zaniósła się kaszlem, nie mogąc złapać tchu. Krztusząc się, poczuła, że po żyłach rozchodzi się ogniste gorąco.

– Grzeczna panienska – pochwalił i wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, starannie wytarł jej wilgotne oczy i policzki. – Wódka cię rozgrzała i już nie grozi ci zapalenie płuc. Bardzo się potłukłaś?

– Nie, trochę – skłamała, zagryzając wargę, aby nie jęknąć z bólu.

– Oho, nie wierzę. Jutro nie będziesz mogła się ruszyć. Mówię to z doświadczenia, bo sam wiele razy spadłem z konia. Prawda, Stachu? – zwrócił się do starego stangreta, siedzącego z dumną miną na koźle.

– Święta prawda. A bo też jaśnie pan hrabia, będąc chłopcem, siedział na koniu jak pies na płocie. Dopiero jak pan koniuszy sprawił paniczowi lanie, a ja dołożyłem swoje, zaraz jaśnie pan nauczył się dosiadać konia. Wio, maluśkie! – Machnął batem nad grzbietami zaprzęgu.

– Miałem surowych nauczycieli, ale dzięki nim teraz nieźle trzymam się w siodle. – Aleks się uśmiechnął, okrywając Ninę i siebie niedźwiedzimi futrami podszytymi jedwabiem.

Czwórka siwych arabów ruszyła cwałem, rzucając łbami i potrząsając dzwonekami uprzęży.

– A teraz schowaj nosek, bo pojedziemy bardzo prędko – poradził.

Zamiast odpowiedzi pochwyciła jego rękę i przycisnęła do niej usta.

– Dziękuję – szepnęła. – Bałam się wracać do domu.

– Nie myśl o tym więcej, mój biedny promyczku – westchnął. – Wszystko będzie dobrze.

Sanie zmiotły śnieg płozami i zatoczywszy koło, wpadły w leśną przecinkę ciągnącą się pomiędzy rzędami pokrytych śniegiem olbrzymich jodeł. Nina, otulona aż po uszy futrami, nie odzywała się, zażenowana i skrępowana bliskością jego ciała. Przymknawszy powieki, rozkoszowała się pędem koni i szybkością jazdy. W drodze prawie nic do siebie nie mówili, bo silny mróz zatykał oddech. Czasami tylko on zwracał ku niej głowę i patrzył na nią, a wtedy Nina płonęła rumieńcem i wstydliwie opuszczała długierzęsy. Ale gdy Aleks nie spoglądał w jej stronę, obserwowała go ukradkiem. Na jego pociągłej twarzy rzadko gościł uśmiech, a pomiędzy ciemnymi brwiami często rysowała się pionowa zmarszczka tajemnej zgrzyoty. Kiedy jego wzrok spoczywał na niej, w oczach zaraz malował się smutek.

Tym razem droga do Sarnik wydała się Ninie stanowczo za krótka. Gdy sanie zatrzymały się przed dworem i Aleks pomógł jej wysiąść, zbladła i kurczowo chwyciła jego rękę.

– Źle się czujesz? – Pochylił się ku niej, patrząc na nią badawczo.

– Boję się! – przemówiła drżącym głosem. – Wuja, ciotki, tego domu...

– Uspokój się, promyczku. Obiecuję, że nikt cię nie skrzywdzi – dodał jej otuchy.

Bez protestu weszła do domu. Ciotka Maria przyjęła ich zdumiona, wypytując, co się stało. Hrabia wyjaśnił jej, że Nina miała wypadek, jest cierpiąca i zaraz powinna znaleźć się w łóżku. Zaintrygowana ciotka próbowała zatrzymać kuzyna na podwieczorku, ale on odmówił. Szepnął jej do ucha parę słów i pożegnawszy się z paniami, odjechał. Ciotka Maria była tym faktem nieco zawiedziona i zamierzała wybadać siostrzenicę, ale zauważywszy jej rozpalone policzki i wysłuchawszy chaotycznej opowieści o waderze, wzruszyła ramionami i wysłała ją do łóżka.

W pokoiku było chłodno. Nina rozebrała się pośpiesznie i zapomniawszy się umyć, wskoczyła do łóżka, naciągając kołdrę na głowę. Czyniła tak zawsze, kiedy spotkała ją przykrość albo chciała odgrodzić się od świata i

pomarzyć przed snem. Ogarek świeczki zamigotał i zgasnął, a pokój pogrążył się w mroku. Za oknem była już zimowa noc i padał gęsty śnieg. Skuliwszy się na posłaniu, Nina, jak zawsze po rozstaniu z Alekssem, miała świadomość bolesnej tęsknoty. Wydawało się jej, że otacza ją pustka, jak po utracie najbliższej osoby. Ciotka wspominała niedawno, że hrabia wybiera się za granicę, aż gdzieś pod Lwów, i pozostanie w Galicji do wiosny. Ta wiadomość tak Ninę zmartwiła, że uciekła do swojego pokoju i wypłakała się w poduszkę. Nie mogła sobie wyobrazić, jak to bez niego będzie. Bez nadziei na rychłe spotkanie, bez widoku ukochanej twarzy. Kiedy on odjedzie, nie będzie jej się chciało rano wstawać, by w pokorze znosić fochy ciotki i gderanie wuja. Przed nią nic, tylko pustka i smutek aż do jego powrotu.

Wspomnienie bliskości, gdy w saniach dotykali się ramionami, było dla Niny nie tylko szczęściem, ale i udręką. Z całą doniosłością uświadomiła sobie, że jej panińska miłość jest nie tylko głupia, ale też beznadziejna i nikomu niepotrzebna. Rozsądek podpowiadał jej, że na przekór żywionym przez nią uczuciom hrabia traktuje ją z ojcowską dobrocią i nic nie wskazuje na jakąkolwiek zmianę w jego zachowaniu. Miał przecież za żonę piękną, wytworną damę i nawet nie dostrzegał nieśmiałego uwielbienia Niny. Nie warto się było łudzić, że dojrzały mężczyzna, tak wyjątkowy, jak on, kiedykolwiek zwróci na nią uwagę. Zauroczenie beznadziejnie zakochanego w nim podlotka mogło mu się wydać zabawne. Kto wie, może nawet ciotka Maria nie zgorszyłaby się tym wcale. Co najwyżej popatrzyłaby na nią z politowaniem i puknąwszy się palcem w czoło, powiedziała:

– To miło ze strony Olesia, że stara się być dla ciebie uprzejmy, ale czy nie sądzisz, że twoje głupie miny muszą go bardzo śmieszyć?

Nina westchnęła ciężko i zwinęła się w kłębek, rozumiejąc, jak wielka przepaść dzieliła ją, ubogą, niedouczoneą dziewczynę, wegetującą żałością na łaskawym chlebie, od tak wielkiego pana, jakim jest hrabia Aleksander Klonowiecki z Makowa. Był dla niej równie nieosiągalny, co gwiazdka z nieba. Ale na wspomnienie jego bliskości, dotyku ręki i ciepła jego ciała ogarniała ją dziwna i słodka niemoc, zapewne na skutek wzrastającej temperatury.

Gdzieś daleko, w ogrodzie, przeciągłym wołaniem odezwała się sowa. „Boże, jestem zepsuta do szpiku kości i ksiądz proboszcz nie da mi rozgrzeszenia” – uświadomiwszy sobie głębię swej demoralizacji, szeptem odmówiła litanię loretańską. Skrzypnęły drzwi i do pokoju weszła niania,



niosąc na tacy talerzyk z kanapkami i szklanę naparu z kwiatu lipowego. Postawiła tackę na stolyczku i pochyliła się nad łóżkiem, odsłaniając płócienne firanki.

– Śpisz, kotku? Musisz coś zjeść i napić się ziół. Nie obawiaj się wuja. Przyjechał w dobrym humorze i wcale nie pamięta o twoim wypadku. Może zajrzesz do Bini? Chciała ci powiedzieć „dobranoc”. Jak się czujesz, moje kochanie?

Nina wyjrzała spod kołdry i zarzuciwszy jej ramiona na szyję, rozplakała się serdecznie.

– Nianiu... – Łkała, tuląc głowę do obfitej piersi Jagi. – Powiedz mi, dlaczego ja jestem taka nieszczęśliwa?

\*\*\*

27 Modlitwy błagalne.

28 Leon Frankowski (1843–1863) – działacz Czerwonych w powstaniu, komisarz Komitetu Centralnego Narodowego w województwie lubelskim. Stracony w Lublinie w 1863 roku. Miał dwadzieścia lat!

29 Mieczysław Romanowski (1834–1863) – poeta, uczestnik powstania styczniowego. Napisał m.in. tragedię Popiel i Piast. Poległ w swojej pierwszej bitwie, pod Józefowem Biłgorajskim.

Stara karetka tak mocno kołysała się na wyplukanych przez deszcz drogach, że Nina musiała uważać, żeby nie przygryźć sobie języka. Było jej duszno, gdyż okien nie otwierano w obawie, iż kurz wcisnie się do wnętrza. Pudło karety cuchnęło skórą, końskim potem i stęchlizną. Kanapki były twarde, a sam pojazd źle resorowany. Siedząc na wytartej pluszowej ławeczce, naprzeciw ciotki i Bini, Nina przyłożyła sobie do czoła chusteczkę skropioną wodą kolońską i przymknęła powieki, czując w skroniach nieznośne łupanie. Zapowiadała się migrena. Zmęczona i rozdrażniona, monosylabami odpowiadała na pytania ciotki i kuzynki. Spod ronda jedwabnej kapotki<sup>30</sup>, wiązanej wstążkami pod brodą, spływały strużki potu, wsiąkając w kołnierzyk. Suknia, zapięta aż pod szyję, wilgotna była od potu, a fiszbinę gorsetu uciskały ją pod żebrami. Czuła się brudna i nieszczęśliwa, złoścąc ciotce za niefortunny pomysł zabrania jej ze sobą do Warszawy.

Tego roku wiosna nadeszła niezwykle wcześnie i już w połowie marca ziemia pokryła się świeżą trawą. Nagie gałęzie drzew przysłoniła delikatna seledynowa mgiełka, a z zaoranych pól unosił się gorzki zapach poruszonej ziemi. Pod bezchmurnym niebem dzwoniły skowronki, w przydrożnych strugach pływały kaczki i gęsi, a po wilgotnych łąkach kroczyły bociany. Nina uwielbiała tę porę roku, idealnie nadającą się do odbywania konnych spacerów. Jednakże zaraz po Wielkanocy ciotka Maria, korzystając z pięknej pogody, postanowiła wybrać się do Warszawy i uzupełnić w stolicy braki w ślubnej wyprawie Bini.

Narzeczony córki, pan Edward Świerczyński, mieszkający w Księstwie Poznańskim, zaniepokojony dramatycznymi wydarzeniami w Królestwie Polskim stanowczo nalegał na przyspieszenie daty ślubu, obawiając się, że w razie wybuchu zbrojnego Prusy zamkną granicę Księstwa Poznańskiego. Czasu pozostało niewiele, a wyprawa panny młodej nie była jeszcze gotowa. Wujostwo, stosując się do życzenia wyrażonego przez przyszłego zięcia, przesunęli termin ceremonii weselnej z września na czerwiec, w święto Piotra i Pawła. Ciotka Maria z właściwą sobie energią rozkazała podkuć konie, przygotować karetkę do drogi i pozostawiwszy dom pod opieką Jagi, wyjechała, zabierając z sobą obie panny. Początkowo podróż była przyjemna, lecz w miarę upływu czasu zaczęła nużyć, a upał męczył. Na domiar złego jeden z koni cugowych okulał i przez wzgląd na kalekę pozostałe konie wlokły się noga za nogą w pyłe suchego traktu.

Za to Warszawa po dłuższej nieobecności wydała się Ninie piękna i ludna. Miasto powitało ich słoneczną pogodą, dźwiękami dzwonów wzywających

na poranne nabożeństwo oraz wzmożonym ruchem ulicznym. Stangret Jakubek z trudnością utrzymywał konie, lękające się miejskiego hałasu. Na chodnikach mijały się tłumy przechodniów, a w kierunku targowisk ciągnęły chłopskie furmanki z kojcami pełnymi drobiu, jarzyn i zwierząt rzeźnych. Turkotały ciężkie wozy, zatłoczone omnibusy, bryki szlacheckie i wytworne powozy.

Nina spostrzegła, że przybyło wiele nowych okazałych kamienic, pałaców, porządných sklepów i szerokich ulic. Zaraz za rogatką kareta ugrzęzła pomiędzy wojskowymi furgonami i posuwała się z denerwującą powolnością. Obie panny, wychyliwszy się przez okno, przypatrywały się mijanym widokom. Im także przyglądano się z ulicy, a w oczach przechodniów malowała się jawna wrogość. Mały ulicznik splunął w kierunku karety, wykrzywiając się w małym grymasie.

– Nie rozumiem, dlaczego oni tak na nas patrzą – zastanawiała się Binia.  
– Co im się w nas nie podoba?

Ciotka stanowczym ruchem zasłoniła oba okna firankami.

– Wasza niestosowna ciekawość naraża nas na afronty gawiedzi! – oświadczyła gniewnie. – Jakubek, poganiaj konie!

– Jak mam poganiać, kiedy tu tyle wozów, co w Bodzentynie w dzień jarmarku – mruknął stangret flegmatycznie.

– W takim razie skręć w boczną uliczkę, a potem poszukaj drogi na Krakowskie Przedmieście – poleciła pani Borutyńska.

Po kilku nieudanych próbach udało się im wjechać w wąską boczną uliczkę, brukowaną drewnianą kostką. Kareta, mocno podskakując, potoczyła się nareszcie w stronę Starego Miasta.

Pani Salomea Borutyńska, matka Jasia, zajmowała z synem kilkupokojowe mieszkanie w mieszczącej kamieniczce na placu Zamkowym. Utrzymywali się z procentów od niewielkiej sumy złożonej u książąt Sapiehów oraz kawałka resztówki wydzierżawionej dalekiemu krewnemu.

Sapiąc ze zmęczenia, panie po stromych schodach wdrapały się na trzecie piętro, a zadyszana ciotka Maria pociągnęła rączkę dzwonka. Drzwi otworzyła im pani Salomea, szczupła, delikatna kobieta o siwiejących jasnych włosach i słodkiej twarzy. Ujrawszy gości, wydała okrzyk radości, witając je z otwartymi ramionami i prawdziwie polską gościnnością.

– Marylko, serce, dlaczego nie dałaś znać, kiedy możemy się was spodziewać? – zawołała, całując spoconą damę, a następnie przyciskając do

piersi obie panny. – Jaś wyszedłby po was na roгатki, bo teraz u nas niezbyt bezpiecznie. Boże, jakże te dziewczątka wyrosły, a jakie śliczne! Wprost trudno mi uwierzyć, że Binia włoży wkrótce obrączkę ślubną, bo jeszcze tak niedawno nosiłam ją na rękach. A i ty, Nineczko, szybko pójdiesz w jej ślady, bo kwitniesz jak różyczka. Ale pozwólcie, kochane, do pokoju. Napijemy się herbaty. Różia, nastawiaj samowar, mamy gości! – zawołała w stronę kuchni. – Rozbierzcie się, najmilsze, bo dziś upał jak w czerwcu.

Ciotka Maria łaskawie pozwoliła jej zdjąć sobie z ramion jedwabną rotundę<sup>31</sup> podbitą papuzim atłasem. Pani Salomea rzuciła okiem na toalety pań i załamała ręce z wyrazem szczerzego przerażenia.

– Bójcie się Boga, tak ubrane jechałyście przez miasto?

Ciotka Maria krytycznie obejrzała się w lustrze, unosząc wysoko brwi.

– Jesteśmy niemodnie ubrane?

Pani Salomea oburącz chwyciła swoją nieco już przechodzoną czarną suknię i potrząsnęła nią, mówiąc:

– Ależ wszystkie Polki obowiązuje żałoba narodowa, nie wiecie o tym? Ludzie na ulicy brali was za Rosjanki! Na Boga, Marylko, zaraz się przebierzecie, bo jeszcze obrzucą was kamieniami albo obleją czymś paskudnym. Tu nawet małe dzieci i ich lalki noszą żałobę.

Ciotka Maria wysłuchiwała jej ze stoickim spokojem, lekko wzruszając ramionami.

– Przecież to śmieszne. W jakim celu mam się pocić? Nie przestrzegam żałoby, a moim dziewczętom także zabroniłam chodzenia w czerni. Nie chcę mieć żałobników w domu.

Tym razem Nina zgodziła się z ciotką. Nosić czarną suknię w takim upale? Za nic! Wystarczająco męczące były gorsety i ciężkie krynoliny, tak szerokie, że trudno było zmieścić się w nich w drzwiach. Ale Binia najwidoczniej nie podzielała jej zdania, bo wyraźnie posmutniała. Bała się matki, lecz nie zamierzała wyłamywać się z ogólnie przyjętych i respektowanych przez społeczeństwo zarządzeń arcybiskupa i opozycji.

– Wydaje mi się, mamu – odezwała się nieśmiało – że moją wyprawę należy uszyć w ciemnych kolorach.

– Nie dziwacz! – Jej matka roześmiała się teatralnie. – Wykluczone. My, kobiety, nie mieszamy się do polityki. W zamian panowie powinni w spokoju pozostawić nasze toalety.

Pani Salomea westchnęła i z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

– Obawiam się, że nie masz racji, Marylko. Tylko w ten jeden przejmujący sposób polskie kobiety mogą uczcić pamięć pomordowanych. Cała stolica w czerni, od księcia do żebraka. Cała Polska w czerni. Musicie się przebrać, bo może was spotkać afront.

Nina, jednym uchem przysłuchując się rozmowie obu dam, z przyjemnością rozglądała się po znajomych kątach. Będąc na pensji, bywała tu częstym gościem, a pani Salomea rozpieszczała ją, zgadując, że dziewczynka spragniona jest matczynej miłości. Salonik urządzony był skromnie, lecz ze smakiem. Pośród pospolitych mebli znajdowały się rzeczy piękne i kosztowne, pamiętające lepsze czasy. Jakaś palisandrowa komoda nabijana brązami, śliczna serwantka pełna figurek z saskiej porcelany, cenny włoski obraz oraz złożony zegar z orłami i wizerunkiem Napoleona I. Na podłodze leżał starannie utrzymany stary perski dywan. W pokoju Jasia było trochę dawnej bogato zdobionej broni, a na ścianach wisiało kilka pysznych sztychów angielskich, zaś na wschodnim kilimie znakomity portret Piotra Borutyńskiego, ojca Jasia, a stryjecznego brata wuja Ksawerego, malowany przez słynnego mistrza Orłowskiego<sup>32</sup>. Były to resztki z dużego niegdyś majątku, utraconego na skutek burz dziejowych.

Młoda pyzata służąca wniosła domowe przysmaki, rozdmuchała samowar i nakryła do stołu. Dziewczęta mlasnęły, widząc na paterze ulubione rożki z masą orzechową. Zatroszczywszy się o posiłek, pani Salomea z właściwym sobie taktem próbowała przekonać ciotkę Marię do nałożenia żałoby. Ale ciotka, zajęta wybieraniem ze słoiczka wybornych pikli do wędliny, uparcie odmawiała. Znudzona, rzekła na odczepnego:

– Nic nie poradzę, Salusiu, bo nie zabrałyśmy z domu ciemnych toalet.

– Ależ to się da załatwić, Marylko! – zawołała pani Salomea, pełna dobrych chęci. – Włóżysz po prostu którąś z moich sukien. Wprawdzie nie są one tak wytworne, ale trudno. Dziewczęta narzucają ciemne burnusy<sup>33</sup> i po kłopotcie. Och, tak się cieszę, że przyjechałyście. Biniu, twój ślub już w czerwcu?

– Tak, w Piotra i Pawła. – Zarumieniła się na wzmiankę o ślubie. – Liczę, że ciotunia i Janek przyjadziecie do Sarnik. Wymarzyłam sobie, że to Janek i wuj, pan hrabia Klonowiecki, będą moimi świadkami na ślubie.

– Naturalnie, drogie dziecko, przyjedziemy. O, jakże ci współczuję, Marylko. Z Sarnik do Księstwa Poznańskiego daleko. Rzadko będziecie mogli widywać waszą jedynaczkę. Ale Pan Jezus miłosierny dał wam drugą córkę na pociechę. Zostanie wam Ninceczka.

Ciotka Maria się zakrztusiła i zaczęła kaszleć. Odchrząknawszy, posłała pani Salomei chłodne spojrzenie.

– To mało prawdopodobne. Zapewne i Nina opuści niedługo Sarniki, układając sobie życie.

Pani Salomea się zmieszała, a na jej dobrej twarzy odmalował się wyraz przykrości. Zrozumiała, że niechcący popełniła nietakt. Nina pobladła i odłożyła na podstawek kruchy rogalik. Binia ściągnęła brwi i utkwiała wzrok w samowarze. Chcąc ratować niezręczną sytuację, ciotka Maria, świadoma niedostatków w wyprawie ślubnej córki, zaczęła wypytywać o najlepsze magazyny.

– Najmodniejszym magazynem jest salon sióstr Kuhnke przy Krakowskim Przedmieściu w Domu Malcza. W czasie rozruchów moskiewskie kule porozbijały im paryskie lustra. Materiały, moja droga, kupisz albo u Szlenkiera przy Senatorskiej, albo u pana Kwiatkowskiego przy Miodowej. To najwytworniejszy i najdroższy sklep w Warszawie. Biżuterię radzę kupić u Thonnersona. Jaś wszędzie was zaprowadzi.

– Pójdziemy do Kwiatkowskiego – zdecydowała ciotka Maria.

Zaraz po obiedzie panie, eskortowane przez Jasia, wybrały się na zakupy. Elegancki magazyn pełen był dam z *beau monde*<sup>34</sup>. Usługujący chłopiec podał im złożone krzesła, a zażywny kupiec, zwęszywszy większy zarobek, sam z pomocą dwóch subiektów prezentował damom towary. Materiałów było mnóstwo, ale wszystkie czarne lub popielate i fioletowe. Ciotka skrzywiła się z dezaprobatą.

– Nie, nie, moja córka wyjeżdża za granicę i nie będzie tam nosiła tych kirów. Proszę pokazać nam coś innego.

Pan Kwiatkowski leciutko uniósł brwi, lecz nie ośmielił się zaprotestować, tylko rozkazał subiektom przynieść z magazynu inne tkaniny. Na widok tęczy barw paniom zabłyśły oczy. Subiekci z wprawą rozwijali na ladach bele szewiotów, kaszmirów, aksamitów i jedwabów. Ciotka Maria była w swoim żywiole. Uważnie badała tkaniny, mnąc je w palcach i sprawdzając, czy się nie gniją. Wybrany materiał wskazywała palcem subiektowi, a ten odmierzał żadaną ilość metrów i pakował do eleganckich pudeł. Binia była w siódmym niebie.

– Mamciu, ten różowy tiul jest odpowiedni na letnią suknię balową. We Włoszech będzie upał, więc tylko muśliny, gazy i organdy. W Paryżu i w Rzymie będziemy w pełni letniego sezonu.

– Nie! – sprzeciwiła się matka. – Ten kolor nie jest twarzowy. Weźmiemy raczej jedwab w odcieniu sułtańskim. To się nosi w Paryżu! Poczekaj, dziecko, muszę się zastanowić. Aha! Byłabym zapomniała. Potrzebne są koronki. Walansjenki do obszycia bielizny, a gipiura i brabantkie na wstawki i kołnierzyki. Kupimy również tę etolę z selskinów<sup>35</sup>. Jest odpowiednia do toalety wieczorowej.

– To może jeszcze ten błękitny atlas? – szepnęła Binia z nadzieją.

– Nie! – apodyktycznie sprzeciwiła się matka. – Kupimy tę gazę *gris perle*<sup>36</sup>. Nie, Biniu, ta srebrna lama także nie jest dla ciebie. Młodej mężatce nie wypada nosić ciężkich tkanin rzucających się w oczy. Muślin będzie o wiele tańszy.

Biedna Binia zagryzła wargi i wymieniła z Niną bolesne spojrzenie. Po uregulowaniu przez ciotkę sporego rachunku Jaś polecił odnieść paczki pod wskazany adres i po chwili ponownie znaleźli się na ulicy. Jaś podał ramię pani Borutyńskiej, a panny szły za nimi.

– Czy zamierza ciocia dziś odwiedzić inne sklepy? – spytał Jaś.

Był okropnie znudzony babskimi zakupami i jeszcze tego dnia umówił się z kolegami organizującymi jutrzejszą demonstrację. Dyskretnie spojrzął na zegarek, spiesząc się na spotkanie.

– Dzisiaj już nie – odparła ciotka Maria, otwierając parasolkę, aby uchronić delikatną cerę przed promieniami słońca. – Zmęczyły mnie te sprawunki. Jesteśmy po podróży. Jaka szkoda, że jutro niedziela i sklepy zamknięte. A w poniedziałek święto Zwiastowania, więc dopiero we wtorek wybierzemy się do modniarek i jubilerów. Binia ma stanowczo za mało biżuterii. Och, jaki w tej waszej Warszawie ruch, a hałas! Za nic nie chciałabym tu mieszkać. Nie ma to jak wieś. Panny, nie zgubcie się w tym tłumie – upomniała dziewczęta.

Uskarżając się na gwar i ścisk, nie przestawała zasypywać Jasia pytaniami i ciekawie się rozglądać. Binia nie narzekała na miasto, podziwiając na wystawach modne stroje, wykwintne drobiazgi i klejnoty.

– Popatrz tylko, Ninko! – wołała co chwilę, szeroko otwierając błękitne oczy. – Jaki piękny kostium wiosenny! Co za bogactwo aplikacji! A ten kapelusik ze strusimi piórami to istne cudo! Mamciu, proszę, kup mi go! Och, Nineczko, spójrz na te kolczyki z szafirami. Są dokładnie w kolorze moich oczu! Nie wytrzymam do wtorku. Mamciu, błagam, wstąpmy do tego jubilera!



– Innym razem, moje dziecko – odparła matka z roztargnieniem. – Nie wleczcie się tak, bo nałykacie się kurzu.

Binia mruknęła coś, bardzo rozczarowana, ale za moment zastygła przed inną wystawą. Słuchając tego potoku wykrzykników, Nina bąkała coś pod nosem. „To niesprawiedliwe, mój Boże – myślała zbuntowana. – Dlaczego jeden człowiek otrzymuje od losu tak wiele, natomiast inny nie dostaje nic”. Wyobraziła sobie, jak ślicznie wyglądałaby w sukniach z tych pięknych tkanin i w klejnotach. Wstydziała się, że zazdrości Bini, którą bardzo kochała. Tylko ona jedna okazywała jej od pierwszej chwili siostrzaną miłość i broniła przed rodzicami. Lecz mimo wszystko Nina czuła zazdrość.

Przechodząc koło sklepów, pożerała wzrokiem rzeczy wyłożone na wystawach. Wytworne drobiazgi, bez których prawdziwa dama obejść się nie może. Duńskie rękawiczki z cieniutkiej skórki, modne obuwie od Hiszpańskiego, klejnoty, wachlarze ze strusich piór lub kości słoniowej, albo malowane w przedziwne kwiaty i wzory. Ałasowe gorsety, delikatna bielizna z najcieńszego batystu, pieniaąca się od koronek. Ach, tysiące cudownych przedmiotów. Tymczasem ona zmuszona była obywać się byle czym. Ciotka Maria nigdy nie pozwoliła jej na samodzielny wybór stroju. Kupowała dla niej u handlarzy żydowskich tanie i nieładne materiały, z których Nina przy pomocy niani szyła sobie sukienki i okrycia. Mając od dziecka wyrobiony smak i poczucie piękna, marzyła o wykwincie i przepychu. Czasami wyobrażała sobie, że posiada wielki majątek i może beztróska wydawać pieniądze w paryskich magazynach mody. Pragnęła mieć suknię od dobrej krawcowej i ładną bieliznę, nie tę z ordynarnego płótna, drapiącego jej delikatną skórę. W sklepie pana Kwiatkowskiego płonącym wzrokiem wpatrywała się w rozłożone na ladzie kosztowne materiały i drżała z pożądania, z goryczą rozmyślając, iż nigdy nie będzie miała środków, by kupić sobie cokolwiek tak drogiego. Binia bystrym okiem dostrzegła jej ukradkowe spojrzenia rzucane na wystawy i prędko ochłoneła z podniecenia, głośno uskarżając się na zmęczenie.

Po kolacji panie wcześniej udały się na spoczynek. Jaś wyszedł do miasta. Matka oczekiwała go z niepokojem, odmawiając różaniec. Obie panny zajmowały pokój z oknem wychodzącym na plac Zamkowy. Binia, głośno ziewając, rozebrała się prędko, wymamrotała pacierz i posławszy Ninie całusa, wskoczyła do łóżka i momentalnie zasnęła. Nina zdmuchnęła świeczkę i leżąc na kanapie, wpatrywała się w mrok, oczekując na sen, który nie nadchodził. W uchylonym oknie kołysała się krochmalona firanka



poruszana podmuchami wiatru. Na pustej ulicy rozległy się regularnie miarowe kroki stójkowego, patrolującego swój rewir. Zegar na wieży zamkowej wydzwaniał mijające godziny, a ona leżała udręczona bezsennością. Przykre, ponure myśli jak czarne kruki opadały ją, nie pozwalając zmrużyć oka. Chciała odpocząć, ale nie mogła opędzić się od dręczących ją trosk. Zmęczona i zdenerwowana wstała i na palcach, aby nie zbudzić Bini, podeszła do okna i zaczerpnęła świeżego powietrza. Przez chwilę wpatrywała się w pusty plac Zamkowy, a potem wróciła do łóżka, rozmyślając o swoich zmartwieniach.

Uwaga niebacznie wypowiedziana przez panią Salomeę i natychmiastowa replika ciotki Marii uzmysłowiły jej raz jeszcze, że wraz ze ślubem Bini skończy się dla niej czas pobytu w Sarnikach. Będzie musiała wynieść się stamtąd, a nie ma dokąd. Nie posiadała bliskich krewnych. Starszy brat ojca zginął jeszcze przed jej urodzeniem. Nie miała również majątku ani odpowiedniego wykształcenia, żeby podjąć pracę zarobkową. Zresztą damy z jej sfery nigdy nie pracowały zarobkowo. Uboga panna z dobrego domu miała przed sobą dwie drogi życiowe: wyjść za mąż lub wstąpić do klasztoru. Za mąż wyjść nie mogła, bo nie trafił się żaden odpowiedni konkurent. Poza tym była namiętnie zakochana w wuju Aleksie. Do klasztoru nie miała powołania, a co więcej, nie posiadała pieniędzy na posag klasztorny. Nawet guwernantką nie mogła zostać, nie mając odpowiednich kwalifikacji. Zresztą na nauczycielkę była stanowczo za młoda. Planując swoją przyszłość, musiała pamiętać, że od niej zależy los Jagi. Niania zastępowała jej matkę i była jedyną osobą na świecie, bez której Nina nie wyobrażała sobie życia.

Na samą myśl o opuszczeniu Sarnik ogarnęła ją rozpacz. Może będzie musiała wyjechać daleko od Makowa? Zimą hrabia pojechał do Galicji, a ona nie miała nawet okazji, żeby się z nim pożegnać. Po jego wyjeździe poczuła się jeszcze bardziej samotna i bezbronna. Podświadomie właśnie od niego wyglądała pomocy i wsparcia, bo po Borutyńskich to on był jej najbliższym krewnym. Jednak wrodzona duma nie pozwalała jej szukać ratunku u wuja, nie przeszłoby jej to przez gardło. Jaś pomógłby jej chętnie, nawet dziś napomknął, żeby więcej nie wracała do Sarnik, ale na to ona nie mogła się zgodzić. Mieszkać w Warszawie, tak daleko od Makowa? Nigdy! Pałac stał teraz pusty, bo hrabina Paula wyjechała do Petersburga, znudzona żałobą narodową. Nina zazdrościła jej męża i piękności, bowiem hrabina przedstawiała typ urody, który jak magnes przyciągał oczy mężczyzn.

Rozmyślając o mnożących się kłopotach, Nina usiadła na kanapce i objąwszy ramionami kolana, wpatrywała się w okno, wyglądając świtu. Ale za oknem była głęboka noc, Binia posapywała przez sen, a pod zamkiem strażę nawoływały się przeciągłymi głosami. Z dala rozległo się wycie bezdomnego psa, potem zaturkotała spóźniona dorożka i znowu wolno płynęły godziny.

Nad ranem powrócił Jaś. Do uszu Niny dobiegł słodki głos pani Salomei, pełen troski o ukochanego syna. Rozległ się szmer pocałunku i znowu zapadła cisza. „Ach, mój Boże, jaki ten Jaś szczęśliwy. Ma taką dobrą, kochającą matkę” – myślała Nina z najgłębszym żalem.

\*\*\*

Nazajutrz była niedziela. Ciotka Maria z samego rana rozchorowała się na migrenę i pozostała w łóżku. Dziewczęta parzyły jej zioła i cierpliwie znosiły kaprysy niedysponowanej damy. Pani Salomea pocziwie zmartwiła się nagłą dolegliwością krewnej i wyraziwszy swoje współczucie, kazała Rózi podać śniadanie. Po posiłku starsza pani z synem i służącą poszli na nabożeństwo i na pochód. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nimi, ciotka Maria natychmiast poczuła się lepiej. Kazała sobie przynieść zakupione poprzedniego dnia materiały i głośno zastanawiała się nad fasonami sukien, nie dopuszczając córki do głosu.

Gdy Borutyńscy wrócili do domu, ciotka dalej uskarżała się na nieznośnie bolącą głowę. Lecz tym razem pani Salomea była zbyt przejęta doniosłymi wydarzeniami, aby rozczulać się nad nią. Z entuzjazmem opowiadała o ogromnej manifestacji, w której udział wzięło ponad sto tysięcy ludzi! Warszawiacy protestowali przeciwko rozwiązaniu Towarzystwa Rolniczego i władz miejskich. Jaś zjadł pośpiesznie obiad i poszedł z kolegami rozdawać ulotki. O wyznaczonej godzinie tysiące ludzi ponownie przemaszerowało ulicami miasta, niosąc chorągwie z orłem i pogonią<sup>37</sup>. Tłumy otoczyły pałac hrabiego Zamoyskiego, wiwatując na jego cześć. Ale hrabia Andrzej, zwolennik rozwiązań pokojowych, nie był tym zachwycony. Tego dnia nie doszło do konfrontacji z wojskiem i zmyleni tym mieszkańcy stolicy nabrali przekonania, iż książe namiestnik ugnie się pod presją i nie posunie się aż do ostateczności. Przygotowano nowe demonstracje w nadziei, że Wielopolski będzie zmuszony wznowić działalność Towarzystwa Rolniczego i samorządu miasta.

Poniedziałek był dniem Zwiastowania Najświętszej Marii Panny, przeniesionym z Wielkiego Tygodnia. Od wczesnego rana nad Warszawą

niósł się dźwięk dzwonów wzywających wiernych na nabożeństwo. Spiżowa muzyka płynęła nad dachami Starego Miasta, nad strzelistymi wieżami kościołów i zamkiem, ku szeroko rozlanej płynącej majestatycznie rzece.

Podczas śniadania Jaś dzielił się z paniami wrażeniami z poprzedniego burzliwego dnia. Smarując maślaną bułeczkę miodem, wyśmiał bezsilność władz carskich, które najwidoczniej przerażone stanowczością społeczeństwa, pochowały się w mysie dziury.

– Wyobraźcie sobie, moje damy, że policji i żandarmerii prawie nie widać. Jakby ich wymiotło – opowiadał, odgarniając niecierpliwym gestem jasny lok spadający mu na czoło. – Dziś chowają pana Stobnickiego i na Powązkach zbierze się pół Warszawy. A może ciocia z kuzyneczkami zechcą mi towarzyszyć?

Ciotka Maria, zajęta nakładaniem na talerz sałatki z rzodkiewek, jajek i szczypiorku ze śmietaną, spojrzała na niego z zainteresowaniem.

– Wybacz, Jasiu, ale takie z nas parafianki, że nie znamy tu nikogo. Kimże był ten pan Stobnicki? – Nałożywszy sałatkę na plaster różowej szynki, zaczęła z apetytem zajadać.

Jaś odłożył bułeczkę, zapominając o jedzeniu.

– Stobnicki był żołnierzem księdza Sciegiennego<sup>38</sup> – wyjaśnił. – Skazany na wieloletnią służbę w karnej kompanii, pozostawił w kraju narzeczoną. Lecz panna Reiter była odważną kobietą i podążyła za nim. W Tomsku wzięli ślub, ale młoda pani nie wytrzymała surowego klimatu i zmarła, a Ksawerego sparaliżowało ze zgryzoty. Po latach wielkich cierpień udało mu się powrócić do kraju i tu biedaczysko zmarł.

Oczy Bini, słuchającej z zapartym tchem kuzyna, napełniły się łzami.

– Jakie to romantyczne! – zawołała wzruszona. – Polscy Romeo i Julia.

– Ślicznie to określiłaś, kochanie – pochwaliła ją pani Salomea. Pomyślała przy tym, że dzięki Bogu córka nie wdała się w rodziców. – Tak, to bardzo romantyczna historia i rodacy tłumnie odprowadzą biednego męczennika do grobu. Marylko, pozwolisz śmietanki do kawy?

Twarz ciotki przybrała odpychający wyraz hamowanej złości. Gniewnie odsunęła filiżankę.

– Nie, dziękuję – rzekła lodowato. – A co się tyczy pana Stobnickiego, to nie miałam przyjemności znać go osobiście i nie zamierzam uczestniczyć w jego pogrzebie. To sprawa rodziny.

– Nie, to sprawa każdego dobrego Polaka! – odparł Jaś porywczo i zamierzał jeszcze coś dodać, lecz kątem oka dostrzegł, że Binia daje mu

jakieś znaki.

Matka również to zauważyła i ściągnawszy brwi, powiedziała surowym tonem:

– Biniu, nie pójdiesz na żaden pogrzeb! Wybij to sobie z głowy. Polityka to sprawa mężczyzn. A ty, Jasiu, nie buntuj mi dziecka, bo co uchodzi młodemu chłopcu, nie wypada pannie przed ślubem. A mówiąc między nami, niepotrzebnie drażnicie rząd bezmyślnymi manifestacjami, a potem się uskarżacie, że policja potraktowała was brutalnie. Ot, na przykład w lutym wojsko ukarało kilku krzykaczy, a radykałowie narzucili narodowi żałobę. Czy to ma sens? Oglupiały motłoch występuje przeciwko pomazańcowi Bożemu. Rękę podniesioną na cesarza i prawowitego króla Polski powinno się uciąć!

Przy stole zapadła grobowa cisza. Pani Salomea zbladła, a na jej łagodnej twarzy odmalowało się cierpienie. Binia w milczeniu bawiła się wstążką od szlafrocza, przyciskając rzesami łzy cisnące się jej do oczu. Jaś aż posiniał z wściekłości. W zaciśniętych zębach mełł twarde słowa potępienia i tylko wzgląd na prawa gościnności powstrzymał go od zrobienia ciotce awantury. Przerwał posiłek, wstał i włożywszy obie zaciśnięte pięści do kieszeni, wyszedł do drugiego pokoju.

Jedna Nina siedziała niewzruszona, nie wtrącając się do rozmowy. Polityki się bała, a do manifestantów nie czuła sympatii, obawiając się, że mogą doprowadzić do niekontrolowanego wybuchu zbrojnego. Drugą noc źle spała, trapiąc się własnym niepewnym losem, wobec którego wszystko inne po prostu nie miało dla niej znaczenia. Pragnęła pozostać w domu sama i wypłakać się w poduszkę. Jednak ciotka Maria zdecydowała, że dziewczęta będą towarzyszyć starszym paniom w trakcie mszy w katedrze. Panny nie ośmieliły się oprzeć jej woli, gdyż ciotka była osobą zdolną najleniwszego parobka przeistoczyć w źródło energii.

Zdenerwowany Jaś, nie powiedziawszy nawet „do widzenia”, wyszedł z domu, zapowiadając matce, że nie wróci na obiad. Resztę humoru zepsuła ciotce Marii niemodna suknia, pożyczona od pani Salomei. Krzywiła się i mruzczała, miała jednak tyle rozsądku, by nie pokazywać się na ulicy wzburzonego miasta w jasnej toalecie. Dziewczęta narzuciły na siebie czarne peleryny i włożyły żałobne kapotki na głowę. Binia, obejrzawszy się w lustrze, pogardliwie wydeła wargi, ale nie pisnęła słówka. Nina nawet nie spojrzała na swoje odbicie. Wzięły się za ręce i wyszły ze starszymi damami pod czujną opieką Rózi.

Pogoda była prawdziwie wiosenna i mieszkańcy stolicy spacerowali lub podążali do kościołów, nie zważając na zarządzenie władz, surowo zabraniające w tym dniu zgromadzeń. Zbliżało się południe i zewsząd odezwały się dzwony. Najpierw rozkołysały się na wieżach katedry, potem u wizytek, u Świętej Anny, karmelitów, u Świętego Krzyża i Świętego Aleksandra, a także dalsze, aż po kres horyzontu. Powietrze drgało od spżizowego huku, stada siwych gołębi poderwały się z dachów Starego Miasta i poszybowały w czysty błękit nieba.

Do katedry świętojańskiej nie było daleko. Obie panny, idąc spacerowym krokiem, miały możliwość podziwiać szyk i elegancję warszawianek. Paryskie nowinki prędko przyjmowały się w stolicy i choć wszystkie kobiety nosiły żałobę, to fasony sukien, okryć i kapeluszy nie ustępowały wytwornością paryskim, a nawet wpływały na tamtejszą modę, gdyż czarny kolor stał się we Francji ostatnim krzykiem mody, w odruchu solidarności z cierpiącą Polską. Niektóre panie miały na sobie stroje narodowe: kontusiki i konfederatki przybrane piórami. Mężczyźni również zrezygnowali z wiosennych palt i wysokich cylindrów, ubierając się po polsku.

W blasku kwietniowego słońca Warszawa prezentowała się uroczco. Pałace, dworki i piękne kamienice tonęły w delikatnej zieleni. Parki pełne były wiosennych kwiatów, a na rogach ulic ubogie kobiety sprzedawały bukieciki pachnących fiołków. Jednak przygnębiające wrażenie sprawiały rotty wojska koczującego na placach. Ulicami regularnie przeciągały kozackie patrole, obrzucane przez przechodniów nienawistnym wzrokiem. Siedząc na niewielkich zwinnych konikach, kozacy wyglądali niepokojąco i groźnie w swoich wysokich papachach i pelerynach rozwiewających się na wietrze jak skrzydła drapieżnego ptaka. Uzbrojeni byli po zęby w karabinki, szable i wysokie piki, przypominające ułańskie lance. Przy siodłach mieli nahajki, ciężkie bicze oraz arkany służące do chwytania koni i ludzi. Ich brodate twarze i często skośne oczy wyglądały dziwnie azjatycko w stolicy kraju leżącego pośrodku Europy. Przechodnie omijali ich wzrokiem, udając, że wcale na nich nie patrzą.

Nad całym miastem ciążyła ogromna złowroga sylweta Cytadeli Aleksandrowskiej, wzniesionej za pieniądze z kolosalnej kontrybucji nałożonej na Warszawę po upadku powstania listopadowego. Z wysokich bastionów fortecy nowoczesne armaty groziły miastu bombardowaniem. Wszędzie widać było mundury – strojne i wytworne u oficerów, szare i ponure u prostych żołnierzy.

Lecz uwagę Niny przyciągnęły śliczne konie cugowe w ozdobnych szorach, zaprzęzone do błyszczących lakierem otwartych powozów. Siedziały w nich strojne damy i roześmiane dzieci, trzymające w objęciach lalki lub puchate zwierzątka. Czasami przemknęła ulicą kareta wioząca jakiegoś dostojnika lub przegalopował szwadron kawalerii. Młodzi oficerowie oglądali się za pięknymi Polkami mijającymi ich z wyniosłymi minami. Za Niną oglądali się wszyscy mężczyźni. Musiała się powstrzymać, by nie zatrzepotać rzęsami i ukryć uśmiech, bo bardzo lubiła flirtować.

– To miasto wygląda tak dziwnie, jakby jutro miała tu wybuchnąć wojna – szepnęła Bini do ucha.

– Oby jak najprędzej! – mruknęła z zawziętością panna Borutyńska.

Jej słowa tak zirytowały Ninę, że przestała się odzywać.

Katedra pełna była modlących się ludzi, nawet w bocznych nawach panował tłok i panie musiały stać. Nina była śpiąca i z trudem powstrzymywała ziewanie. Obejrzawszy obrazy i rzeźby znajdujące się w zasięgu jej wzroku, zaczęła się okropnie nudzić. Nie była pobożna, a widok rozegzaltowanego tłumu tylko ją drażnił. Miała do Pana Boga uzasadnione pretensje, że o niej zapomniał. Denerwowały ją pieśni patriotyczno-kościelne, śpiewane dość fałszywie podczas nabożeństwa:

*Boże Ojczy Twoje dzieci, płacząc, żebrzą lepszej doli,  
Rok za rokiem próżno leci, my w niewoli, my w niewoli.*

Kiedy ucichły te lamenty, w świątyni rozległ się potężny głos organów. Nina natychmiast się ożywiła i z zachwytem przysłuchiwała się mistrzowskiej grze organisty. Z mroków niepamięci wyłaniała się słodka twarz matki, pochylonej nad klawiaturą gnieźnieńskich organów.

Po powrocie do domu poczuła się taka senna, że zrzuciwszy z nóg pantofelki, odwiązała krynolinę i położyła się na kanapce, próbując zasnąć. Ale po pokoju chodziła Bini, przebierając się ze świątecznej sukni w domową. Potem usiadła na brzegu kanapki i zajrzała Ninie w twarz.

– Śpisz, złotko?

– Próbuję, ale mi przeszkadzasz – mruknęła, ziewając.

Bini przysunęła się bliżej, podkurczając pod siebie obie nóżki. W lekkiej perkalowej sukience w kwiatki wyglądała ślicznie i młodzieńczo. Wyciągnęła rękę i pogłaskała czule Ninę po głowie.

– Nie sypiasz nocami – powiedziała serdecznie. – Myślisz, że jestem ślepa i nie widzę, co się z tobą dzieje? Och, mamcia lubi być aż brutalnie szczerą.

A ty od jakiegoś czasu sprawiasz takie wrażenie, jakby ci życie obrzydło.

– Bo i po co żyć? – W oczach Niny pojawiły się łzy. – Dla kogo?

– Kochanie, tak mi wstyd za moich rodziców – westchnęła Binia, a na jej pogodnej twarzy odmalował się smutek. – Wstyd mi, bo nie tylko są egoistami, ale i ludźmi bez serca. To mnie rani. Przecież wiesz, że najchętniej podzieliłabym się z tobą wszystkim, co posiadam. Nie, gadam głupstwa! Niestety, ja nic nie posiadam i zadowolam się tym, co dadzą mi rodzice. Postępowanie ojca i matki z tobą jest niegodziwe. Nazywam rzeczy po imieniu i realnie patrzę na świat. Matka troszczy się o moją ślubną wyprawę, ale nawet nie raczyła mnie spytać, co ja myślę o moim przyszłym małżeństwie.

Słuchająca jej ze wzruszeniem Nina podniosła się na łokciu i ucałowała różowy policzek Bini.

– Przecież wiem, że masz złote serce. Proszę cię, nie przejmuj się tym, co mnie dotyczy.

– Muszę się przejmować, bo cię kocham, jesteś moją siostrą. Ale dopóki mieszkam w Sarnikach, niewiele mogę ci pomóc. Dlatego ucieszyłam się, że Edward zażądał przyśpieszenia daty ślubu. Gdy tylko wrócimy z podróży poślubnej, zabiorę cię do Świerszczyn.

– Wujostwo się nie zgodzą.

– Jako mężatka wyproszę sobie stanowczo wszelkie uwagi! – Binia odruchowo spojrzała w stronę drzwi. – Zachowanie mamy w Warszawie jest skandaliczne. Wczoraj udała chorą, żeby nie iść na pochód, dziś pokłóciła się z Jasiem i sprawiła ciotuni Salusi ogromną przykrość. Paliłam się ze wstydu. Matka jest taka chciwa i bezwzględna. Zeszłego roku, będąc w Świerszczynach, poszła do obory i przeliczyła wszystkie krowie ogony, sprawdzając, czy rzeczywiście jest ich osiemdziesiąt! Myślałam, że się pod ziemię zapadnę.

– Dobrze, że nie wybrała się do chlewika, by policzyć świnie – prychnęła Nina. – Ciotka ma taką głowę do interesu, że potrafiłaby diabłu sprzedać wodę święconą. Nie myśl o tym. Wkrótce czeka cię cudowna podróż poślubna. Wiesz, podejrzewam, że po cichu napisałaś do Edwarda, żeby nalegał na wcześniejszy ślub. Znam cię, mądralo!

Binia zmrużyła oczy i się roześmiała, podciągając spódnicę i pokazując falbany halek obszyte koronkami oraz nogawki płóciennych pantalonów sięgających połowy łydki.

– Ach, Nino, śni mi się ta podróż! – powiedziała z rozmarzeniem. – Pomyśl tylko... Paryż, Rzym, Weronę, Wenecja, a w drodze powrotnej Szwajcaria i Wiedeń! Na złość mamie przeczytam wszystkie niedozwolone książki, a w muzeach obejrzę sobie najbardziej nieprzyzwoite obrazy i rzeźby. Pójdziemy z Edwardem do kabaretu i w osobnym gabinecie będę piła szampana! Pamiętasz, jak mamcia mnie pouczała, żebym w muzeach oglądała wyłącznie obrazy o treści religijnej, ponieważ święci zwykle są ubrani po czubek głowy, więc się nie zgorszę. Jezu, jak ja nienawidzę tej wstrętnej hipokryzji!

– Ciotka trafiła kulą w płot! – parsknęła drwiąco Nina. – W albumie o sztuce Michała Anioła, który pożyczyła nam Stasia Wąsocka, był posąg biblijnego Dawida. Jest golusieńki, jakby dopiero co przyszedł na świat. Nawet bez listka figowego.

Panny spojrzały na siebie i zarumieniły się mocno.

– Tak, starsze damy są strasznie pruderyjne – przytaknęła Binia. – Dobrze, że ten album nie wpadł w ręce mamci, bo zaraz wylądowałby w piecu kuchennym. Wyobraź sobie, że za młodu mamcia wcale nie była taką skromniszą. Opowiadała mi w sekrecie stara klucznica Wierusia, jak to *grand-mère la maréchale*<sup>39</sup> nakryła mamcię i papcia na karesach w lamusie. Całowali się tak zapamiętale, że nawet nie słyszeli, jak *grand-mère* weszła. Za karę dostało się papciowi packą na muchy!

Wyobrazivszy sobie tę scenę, panny popłakały się ze śmiechu, obejmując się i tarzając z uciechy po kanapce.

– A ty, Biniu, całowałaś się już z panem Świerczyńskim? – spytała Nina ciekawie.

– Nie, i raczej nie mam na to wielkiej ochoty. – Binia wstała i stanęła przed lustrem, poprawiając rozczochrane włosy. W tafli dostrzegła zamyśloną Ninę.

– Słuchaj, kotku – zaczęła niepewnie – od jakiegoś czasu wydajesz mi się zmieniona. Wydorosłałaś, spoważniałaś... A może ty jesteś w kimś zakochana?

Nina tak się zmieszała, że przez jakiś czas nie wiedziała, co ma powiedzieć. Uciekła oczami przed badawczym spojrzeniem Bini. Nie chciała jej okłamywać, ale nie zamierzała też wyznać prawdy. Okazało się, że nie potrafi dobrze strzec swojej tajemnicy.

– Nie, w nikim się nie kocham i nigdy nie wyjdę za mąż.

– Co ty opowiadasz?! – zaniepokoiła się Binia. – Dlaczego?



– Bo żaden mężczyzna z naszej sfery nie ożeni się z panną bez posagu, a bez miłości za mąż nie wyjdę. – Nina spuściła oczy i cicho westchnęła. – Nie mówmy o tym więcej. Wiesz, jestem głodna jak wilk. Włóż pantofelki i chodźmy na obiad. Z kuchni płyną obiecujące zapachy.

W małej jadalni pyzata rezolutna Różia krzątała się przy stole, układając talerze i sztućce. Urozmaicała sobie to zajęcie podśpiewując pod nosem:

*Na Starym Mieście, przy wodotrysku,  
Pan policmajster dostał po pysku.*

Obie panny wybuchnęły śmiechem, a Różia puściła do nich oko i także zachichotała.

– Pewnie wielmożne panny nie wiedzą, że to szczerą prawdą – odezwała się, przerywając pracę i biorąc się pod boki. – Sam policmajster Trepow<sup>40</sup> dostał po gębie nie wiedzieć od kogo, a to kat dla ludzi. Niech no tylko wybuchnie powstanie, to powiesimy pana Trepowa z paradą na najwyższej latarni.

– Ty również możesz zginąć w powstaniu – zauważyła Nina, którą zirytowały słowa dziewczyny.

– Ojej, panienko złocista! – Różia w zapale machnęła ścierką jak sztandarem bojowym. – Ksiądz Mikoszewski<sup>41</sup>, proboszcz u Świętego Aleksandra, gadał, że w niebie wszystkie ludzie są równe. To może i ja bym się na męczennicę świętą nadała?

– Co Różia tak peroruje? Obiad podany? – Do pokoju weszła pani Salomea i krytycznym wzrokiem obejrzała stół.

Zawstydzona służąca dygnęła i szeleszcząc krochmalonymi spódnicami, pośpiesznie wyniosła się do kuchni, skąd zaraz rozległy się odgłosy gwałtownie w niemym proteście przesuwanych po blasze garnków.

– Dziewczyna szczerą jak złoto, ale strasznie pyskata. – Pani Salomea potrząsnęła głową. – A Jasiak jeszcze przewraca jej w głowie, zabierając na wiece i pochody. Różia, wniesze, dziecko, wazę z zupą. Panicz mówił, żeby na niego nie czekać z obiadem. Maryniu, prosimy do stołu. O Boże, gdzie ten Jaś się podziewa? Rano wybiegł prawie bez śniadania. – Zatraskana starsza dama wskazała dziewczętom miejsca i wzięła krochmaloną śnieżnobiałą serwetkę, rozkładając ją sobie na kolanach. – Maryniu! Róziu!

– No przecie idę! – Dziewczyna z nadąsaną miną wniosła wazę z zupą. – A dla naszego panicza to ja ugotuję wszystko świeże. Nie będzie jadł podgrzewanego obiadu, bo to niezdrowo. Podobno ludzie mają się modlić po

południu na placu Zamkowym pod figurą Matki Boskiej. Ja bym także tam poleciała. Wielmożna pani pozwoli?

– Lepiej siedź w domu, bo jeszcze guza oberwiesz. – Pani Salomea rzuciła okiem na zegar i zaczęła nalewać zupę.

Po obiedzie Nina zasiadła do starego pianina i grała polonezy Dobrzyńskiego<sup>42</sup>. Binia przewracała jej nuty, a obie starsze panie piły poobiednią kawę. Tymczasem Warszawa tętniła życiem. Po restauracjach ogródkowych na Frascati, na placach i rynkach gromadzili się mieszkańcy miasta, rozprawiając o aroganckim zachowaniu margrabiego Wielopolskiego i ostatnich zarządzeniach restrykcyjnych księcia namiestnika Gorczakowa. Czytano na głos ulotki rozdawane przez młodzież, drwiąc z tajnych agentów policji, tak charakterystycznie ubranych, że nawet ślepy mógłby ich rozpoznać.

Ale do przytulnego saloniku przy placu Zamkowym hałasy nie docierały. W pokoju rozlegały się delikatne dźwięki pianina i głos Bini śpiewającej pieśni Chopina. Na gdańskiej komodzie miarowo tykał brązowy zegar z orłem wzbijającym się do lotu, a pracowite ręce pani Salomei prędko migotały szydełkiem, snując pajęczą koronkę. Zamyślona ciotka Maria obliczała w duchu, ile jeszcze będzie ją kosztować wyprawa córki i zastanawiała się, na czym by tu zaoszczędzić.

Stopniowo muzykę i śpiew zaczął zagłuszać wzmagający się gwar. Drzwi salonu otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadła Różia, czerwona z podniecenia, z rozwianymi włosami i ogniem w oczach.

– Proszę wielmożnej pani! – wrzasnęła od progu. – Tłum ludzi wali pod zamek. Ojej, co to będzie?

Binia umilkła, Nina wstała od instrumentu i obie pobiegly do okna, otwierając je na oścież. Z wąskich uliczek Starego Miasta ciągnęły większe i mniejsze grupy ludzi, kierując się ku stojącej na placu figurze Matki Boskiej. Przeważała młodzież studencka i szkolna, ale byli i dorośli, a nawet starcy. Mundury akademików ocierały się o kapoty mieszczan i sute spódnice przekupek warszawskich. Kobiety prowadziły za rączki małe dzieci. Obok wlekli się żebracy, w nadziei na hojny datek. Pomiędzy idącą zwartą gromadą biedoty widać było ludzi dobrze ubranych, o pańskich twarzach. Tłum otoczył posąg Matki Boskiej, kobiety ustroiły go kwiatami, zapalając świece i znicze. U stóp figury uklękła młoda dama w żałobie, mając przy sobie dziecko ubrane na czarno. Drżącym ze wzruszenia głosem zaczęła odmawiać litanie loretańską.

– Królowo Korony Polskiej! – wołała łzawym głosem.

– Módl się za nami! – odpowiadał zgodny chór pokornie klęczących ludzi.

Po modlitwie z ciżby wystąpił szczupły student, wyprostował się i silnym pięknym głosem zaintonował: „Boże, coś Polskę, przez tak liczne wieki”. Wszyscy podchwycili melodię i majestatyczna pieśń popłynęła ponad zamkiem, odbijając się echem od starożytnych murów, i wzniosła się ku wieczornym zorzom. Z ulicy Trębackiej wyjechała karetka pocztowa zdążająca do Lublina. Woźnica przyłożył trąbkę do ust i naraz spłynęły srebrne dźwięki *Mazurka Dąbrowskiego*. Skoczna melodia była jak iskra rzucona na proch. Ludzi ogarnął szal radości. Czapki wyleciały w górę, rozległy się oklaski, a młodzież wiwatowała z zapałem.

– Niech żyją pocztowcy! Przecz z zaborcą! Niech żyje wolna, niepodległa Polska!

Porwany entuzjazmem tłum prawie nie zwrócił uwagi na zmieniającą się szybko sytuację. Z ulicy Miodowej wyłoniło się kilka rot<sup>43</sup> piechoty, z Krakowskiego Przedmieścia nadjechał szwadron żandarmerii konnej, a z Podwała wysunęła paszcze bateria armat. Sotnia<sup>44</sup> kozaków czekała tylko rozkazu, by spaść konie i skoczyć ku rozspiewanym i rozmodlonym ludziom, niespodziewającym się napaści. Śmiertelny krąg zacieśnił się wolno, szczelnie zamykając plac Zamkowy. Warknęły werble i jakiś urzędnik policji zaczął odczytywać wezwanie do rozejścia się. Jego wystąpienie przyjęto wybuchem śmiechu, gwizdami i zagłuszono oklaskami. Mali ulicznicy podbiegali do stojących bez ruchu żołnierzy, wykrzykując zapalczywie:

– Wynoście się do Moskwy! Nie chcemy was tutaj!

Zdenerwowany policjant zawołał:

– Ludzie, wracajcie do domu!

– My jesteśmy w swoim domu! – Usłyszał błyskawiczną ripostę. – To wy się wynoście!

Przekupki nie żałowały przekleństw, wygrażając wojsku pięściami, uczniacy gwizdali przeraźliwie na palcach. Nikt nie przejmował się stojącymi w groźnym bezruchu szeregami wojska.

– Ech, strachy na Lachy! – pokpiwano sobie bez troski.

Ludzie byli przekonani, że tym razem namiestnik nie posunie się do gwałtu. Na plac Zamkowy przybywało coraz więcej gapiów, zwabionych warkotem werbli i widokiem wojska. Żołnierze uprzejmie rozstępowali się przed nimi, dając im wolną drogę. W oknach mieszczańskich kamieniczek

ukazały się głowy mieszkańców, ciekawych widowiska. Niektórzy wychodzili z domów i przyłączali się do zbiegowiska. Tłum się powiększał.

Generał Chrulew, bohater bitwy sewastopolskiej, dowodzący na placu Zamkowym, skrzywił się z niesmakiem, stwierdzając z pogardą, że jednak przyjdzie mu zmierzyć się z tą bandą rozwrzeszczanych półgłówków. Skonstatował, iż niektórzy oficerowie zaczynają przejawiać kabotyńskie nastroje. Jeszcze się nic nie działo, a już poprzedniego dnia ten idiota Peucker<sup>45</sup> się zastrzelił, w fatalny sposób wyrażając swój sprzeciw wobec metod poskramiania polskiej hołoty, ordynarnej tłuszczy! Sentymentalny bałwan, nie oficer! Na szczęście niewielu miał naśladowców, bo wojsko nie powinno ulegać tanim wzruszeniom i mazgajstwu. Generał spojrział w stronę zamku i dłonią w nieskazitelnie białej rękawiczce czule poklepał szyję swojego konia. Wierzchowiec chrapał, przerażony zgiełkiem, i próbował stanąć dęba. Generał poskromił go i rozejrzawszy się w sytuacji, podjechał pod okno zamku, skąd księżę namiestnik Gorczakow obserwował plac.

– Chrulew, oni nie zamierzają się rozejść! – Na twarzy księcia namiestnika malowała się zimna furia, a oczy błyszczały złowrogo. – Cóż, w takim razie szarża!

Na skinienie dowódcy zwarte szeregi żandarmerii konnej ruszyły naprzód, ciężarem koni spychając ludzi i płazując ich szablami. W ślad za nimi skoczyli z wyciem kozacy, tłukąc z wysokości siodeł nahajkami i tratując bezbronnych. Pierwsza upadła młoda wdowa, cięta z góry szablą przez głowę. Jej długie jasne włosy rozesłały się miękko pod końskie kopyta. Czarny czepek potoczył się do rynsztoka, ciągnąc za sobą krepowy welon. Dziecko usiłowało podnieść matkę, lecz uderzone nahajką w głowę padło obok niej, a podkowy ciężkich kopyt wycisnęły na jego plecach krwawe ślady.

Zaskoczeni, przerażeni ludzie osłaniali głowy ramionami, chroniąc je przed ciosami szabel i batogów. Bici, uparcie trwali, nie zamierzając się rozejść. Ta bierna postawa tłumu zamiast łagodzić rozjuszyła napastników. Ciosy stawały się precyzyjne, szable cięły z góry wzniesione ramiona, siekły twarze, zagłębiając się sztychem w gardła i piersi. Na placu Zamkowym zaczęli padać pierwsi zabici i ranni. Zagrały trąbki i konnica prędko się wycofała, a na wprost zdziczałego z bólu i trwogi tłumu wysunęły się równe szeregi piechoty. Nikt nie uciekał, bo stamtąd już drogi ucieczki nie było, gdyż pierścień wojska szczelnie zamykał sąsiednie uliczki.

– Boże, ratunku! Mordują nas! – rozległy się rozpaczliwe krzyki.

– Nie uciekajmy. Mamy ginąć, umierajmy razem! – wołali inni, nie ruszając się z miejsca.

Na oczach zrozpaczonych ludzi kilka rot piechoty z zimną krwią załadowało karabiny ostrą amunicją. Pierwszy szereg żołnierzy przyklęknął na jedno kolano, przykładając broń do ramienia. Oczy ich bacznie śledziły szablę dowódcy. Uniosła się i przez mgnienie oka zawisła w powietrzu, a potem opadła świetlistą błyskawicą.

– Ognia!

Grzmot salwy wstrząsnął murami placu Zamkowego. Wybuchły straszne krzyki i jęki mordowanych. Po bruku popłynęła krew. Ranni tarzali się po ziemi, rozpaczliwie szukając ucieczki. Darli palcami kostki bruku i czołgali się w złudnej nadziei znalezienia kryjówki. Lecz na przeklętym placu nie było gdzie się schronić.

Z kościoła Świętej Anny wyszła procesja. Na przedzie postępował zakonnik, dźwigając przed sobą wielki krzyż z rozpiętym na nim ciałem Jezusa. Idąc wolno, śpiewał mocnym głosem suplikacje:

*Święty Boże! Święty mocny!  
Święty, a nieśmiertelny!  
Zmiłuj się nad nami!*

Pierwszy szereg piechoty cofnął się, robiąc miejsce drugiemu szeregowi, a ten klęknął z bronią przygotowaną do strzału. Następna salwa rozdarła powietrze. Kilku mężczyzn idących obok zakonnika bezwładnie osunęło się na ziemię. Pozostali szli naprzód, podejmując przerwany śpiew. Strzały karabinowe stanowiły jakby straszliwy akompaniament do wtóru ludziom idącym na pewną śmierć. Zmieniały się kolejne plutony, bez przerwy strzelając do idącego na oślep tłumu. Z jednej i z drugiej strony narastała zawziętość i determinacja. Twarze żołnierzy były kamienne, a w ich oczach czaiło się okrucieństwo, kiedy tak bezlitośnie wybierali sobie ofiary. Równie zapamiętałe były oblicza idących im naprzeciw ludzi w procesji. Nie zważając na strzały, trupy i lejącą się krew, hardo parli naprzód, patrząc śmierci prosto w oczy.

Dymy przysłoniły plac. W sąsiednich kościołach rozkołysały się dzwony. Dzwon katedry bił w jedną stronę, ponuro, gorączkowo, na trwogę. Za nim odezwał się drugi, trzeci, dziesiąty i po chwili były już wszystkie, jednym spiżowym dźwiękiem, głosząc śmierć. Przy ołtarzach księża odprawiali nabożeństwa za konających, a ludzie spokojnie przyjmowali komunię świętą

i wychodzili na ulicę, idąc prosto pod lufy karabinów, z heroiczną odwagą i głęboką nadzieją, że ofiara ich życia będzie policzona w niebie.

W miarę upływu czasu w oczach mordujących i mordowanych zaczęła narastać groza. Jakiś taki żołdat odrywał rękę od kolby karabinu i rękawem szarego szynela szybko ocierał łzę spływającą mu po policzku, ale zaraz podnosił broń do oka i strzelał, bo długie lata okrutnej musztry, pruskiego drylu i bicia zrobiły swoje i żaden z nich nie ośmielił się odmówić wykonania rozkazu.

Z bocznych uliczek ciągle jeszcze napływały gromadki ludzi nieświadomych tragedii, która się właśnie rozgrywała, i wpadali w śmiertelną pułapkę. Zakonnik prowadzący procesję z krzyżem szedł prosto na prażące ogniem plutony. Spod przykrótkiego habitu widoczne były jego chude nogi i stopy w rzemiennych sandałach. U jego boku, chroniąc się pod ramionami krzyża, dreptali modlący się głośno ludzie. Obok maszerował akademik Szkoły Sztuk Pięknych Karol Nowakowski, który miał odwagę pierwszy zaśpiewać głośno: „Boże, coś Polskę”. Uczestnik wszystkich pochodów, obdarzony pięknym głosem, śpiewał razem z innymi suplikacje. Wtem ciężki krzyż zakołysał się w rękach zakonnika, a on się zachwiał i przez moment stał nieruchomo, patrząc przed siebie okropnie wytrzeszczonymi oczami. Potem rozłożył ramiona i wypuściwszy z rąk krucyfiks, runął twarzą na bruk. Nowakowski bez wahania podniósł krzyż i poniósł go dalej. Ale jego twarz była dobrze znana policji i tajnym agentom. Na rozkaz Chrulewa pochwycono go i szarpiąc, bijąc po głowie, powleczono na Zamek Królewski.

Teraz na czele pochodu znalazł się młodzieńcy Żyd<sup>46</sup>, uczeń gimnazjum realnego. Śmierć zakonnika i pojmanie Nowakowskiego napełniły go przerażeniem. Rozejrzał się dokoła, pragnąc znaleźć drogę ucieczki i wydostać się z tego potwornego miejsca. Z dala dostrzegł uchyloną bramę i czyjaś rękę dającą mu znaki. Rzucił się biegiem w tamtą stronę. Lecz potknął się o upuszczony przez Nowakowskiego krzyż. Przez krótką chwilę toczył ze sobą zaciętą walkę. Bał się bólu i nie chciał umierać, mając dopiero siedemnaście lat. Przystanął, jakby zatrzymany w biegu niewidzialną siłą. Pochylił barki i mocując się ze sobą, powoli dźwignął z ziemi obłany krwią krucyfiks. Przycisnąwszy do piersi ten symbol obcej wiary, ruszył przed siebie na czele procesji, idąc ku swojemu przeznaczeniu.

Tymczasem żołnierze pośpiesznie nabijali karabiny, bez komendy, jak w czasie bitwy. Huk nowej salwy poniósł się echem po placu. Chłopiec opadł



na oba kolana, jakby w uniesieniu, z odrzuconą w tył głową i rozwartymi w bezgłośnym krzyku ustami. Jego szkliste szeroko otwarte oczy ostatnim spojrzeniem wpatrywały się w otchłań nicości. Potem miękko osunął się na wznak i legł, przykrywając sobą niesiony krucyfiks. Po wyprężonym w męce konania ciele Chrystusa spłynęła świeża krew.

Widząc dokoła śmierć, ludzie oprzytomnieli i zaczęli się rozpaczliwie bronić. Kiedy jedni umierali, inni z gołymi rękami rzucali się na żołnierzy z niesłychanym męstwem i ginęli, rozniesieni na bagnietach. Studenci zaczęli wyrywać kamienie z bruku i ciskali tymi nędznymi pociskami w stronę wojska. Tłum poszedł w rozsypkę, a potem zaczęły się straszliwe łowy, gdy każdy strzelec wybierał sobie ofiarę. Stosy trupów leżały w kałużach krwi, jęki rannych i rżenie konających ginęły w powszechnym chaosie walki. Nie słyhać było komend i pojedynczych głosów, tylko jeden straszliwy krzyk i strzały. Tłum falował, następując naprzód i cofając się, jak fale wzburzonego jeziora. Rozpędzani ludzie uparcie wracali, zbijając się w większe i mniejsze gromadki i próbując stawić opór napierającemu wojsku.

Naraz strzały umilkły, a na plac wpadli kozacy, z wyciem i gwizdami, dobijając rannych i mordując tych, którzy jeszcze żyli. Przebiegali plac, świszcząc, przy odgłosie trąbek i werbli. Skądś nadjechała dorożka, pusta i ciągnięta przez oszalałego ze strachu konia. Momentalnie pochwyciło ją kilkanaście rąk, wyprzęgło zwierzę i wlokąc powóz, zaciągnięto go na miejsce budowanej prowizorycznej barykady. Z okien kamienic mieszkańcy wyrzucali meble, wyjmowano bramy z zawiasów i ciskano na barykadę, żeby ukryć się za tą słabą zasłoną.

Stojące w oknie cztery kobiety, nieme z przerażenia, obserwowały okropne sceny masakry. Nina tak silnie przygryzła wargę, że na jej podbródek spłynęła niteczka krwi. Binia obiema rękami zasłoniła usta, tłumiąc wyrywający się z nich okrzyk zgrozy. Ciotka Maria z nieprzytomnym wyrazem twarzy modliła się głośno, kompletnie nie rozumiejąc tego, co mówi. Pani Salomea wychyliła się z okna do połowy ciała i pilnie wypatrywała kogoś na placu. Naraz wydała okrzyk i wyciągnęła rękę.

– O Jezus Maria, patrzcie, tam jest Janek!

Wszystkie dostrzegły w tłumie wysoką postać i jasną czuprynę Jasia. Walczył w grupie studentów, zmagając się z kozakami. Uzbrojony w szczapę drewna usiłował zwalić z konia rosnącego kozaka. Doniec osłaniał się, waląc jak oszalały nahajką, gdyż nie miał czasu sięgnąć po szablę czy

karabinek. Jaś, chwyciwszy jego konia za uzdę, mocnymi szarpnięciami próbował rzucić go na kolana. Walka się przeciągała, a wtedy w pobliżu pojawił się drugi kozak. Widząc kolegę w opałach, skoczył mu na pomoc. Jaś, błyskawicznie cięty w głowę i ramię, runął pod końskie kopyta. Pani Salomea z przeraźliwym krzykiem poderwała się od okna.

– Janek! Tam jest mój synek! O Matko Boska, ratuj moje dziecko! – wołała coraz cichszym głosem i postąpiwszy ku drzwiom, zemdlona osunęła się na podłogę.

Dziewczęta podbiegły do niej i razem podniosły nieprzytomną kobietę, z wysiłkiem dźwigając ją na kanapę.

– Mamo! – odezwała się Binia rozkazująco. – Skończ ten pacierz i pomóż ocucić ciocię. – Uniosła głowę i wymieniła z Niną spojrzenia. Zawsze rozumiały się bez słów.

Ciotka Maria przestała bełkotać i oprzytomniała. Jej uwagi nie uszły spojrzenia dziewcząt. Natychmiast domyśliła się, co planują.

– Nie! – krzyknęła histerycznie, chwytając córkę za ramię. – Nigdzie nie pójdziesz, zabraniam!

Binia wolno odwróciła głowę i popatrzyła jej w oczy ostrym, nieustępliwym wzrokiem. Matce zdawało się, że lodowate palce ścisnęły jej serce. „Boże – pomyślała wstrząśnięta – ta dziewczyna o takich zimnych, twardych oczach to przecież nie moja łagodna, słodka córeczka”.

– Proszę, niech mama mnie puści – powiedziała Binia cichym, jakby obcym głosem.

Jej twarz była bez wyrazu, tylko w głębi niebieskich źrenic rozpałił się płomień srogiego gniewu. Z siłą zupełnie niespodziewaną u tak drobnej osobki wyrwała się z rąk matki. Palce pani Borutyńskiej rozdarły tylko cienką tkaninę sukni, a Binia już była za drzwiami. Zrozpaczona matka oparła głowę o ścianę i zaczęła szlochać jak na pogrzebie.

W sieni czekały już na Binię służąca Rózia i Nina. Zbiegły prędko po schodach i przyczyły się w bramie, wypatrując dogodnego momentu, żeby dotrzeć do nieprzytomnego Jasia. Nie były pewne, czy jeszcze żyje. Po placu uwijali się kozacy, zapędzając uciekających ludzi w łapy żandarmerii. Kilku puściło się w pogoń za biegnącymi w popłochu kobietami niosącymi małe dzieci. W ostatniej chwili zdążyły dopaść prowizorycznej barykady, a ukryci tam mężczyźni wciągnęli je do środka, broniąc się kamieniami. Kozacy tak bardzo byli zajęci zdobywaniem barykady, że nie zważali na nic innego. Ten moment wybrały dziewczęta, chyłkiem wybiegając z bramy. Jak okiem



sięgnąć plac pokryty był ciałami zabitych i rannych. Mdły odór wisiał w powietrzu, powodując nudności. W dymie prawie nie było widać zamku, a jedynie wyniosła Kolumna Zygmunta pięła się wysoko w czysty błękit nieba. Czyjeś ręce pochwyciły skraj sukni Niny.

– Pomocy! – jęknął ktoś boleśnie. – Mam w domu małe dzieci...

Nie zwalniając biegu, Nina brutalnie wyszarpnęła suknię, nawet nie spojrzawszy pod nogi. Zgięta w pół pędziła dalej, dusząc się z płaczu. Dopadły Jasia, który oprzytomniawszy, czołgał się w stronę domu. Bez namysłu pochwyciły go za ręce i nogi, nie zważając na zranione ramię. Nina dźwigała jego nogi, z przerażeniem wpatrując się w siną z bólu twarz, w półprzysłoniętą zakrwawionymi włosami. Z głębokiej rany na głowie kapiała krew, znacząc ich ślady. Spieszyły się bardzo, żeby powracający kozacy nie odcięli im drogi do domu. Taszcząc z wysiłkiem rannego, nieustannie urażały jego ramię. Jaś jęczał i przeklinał je po łacinie, życząc sobie śmierci.

Wtem Binia zatrzymała się tak gwałtownie, że Nina potknęła się i o mało nie runęła na Jasia.

– Boże, przecież on się całkiem wykrwawi – wysapała Binia, ocierając dłonią pot z czoła.

– To może ja oderwę kawał koszuli i opatrzę panicza? – ofiarowała się Rózia i przykucnąwszy, zaczęła zębami odrywać brzeg płóciennej falbany.

– Nie stójmy tutaj. – Nina rozejrzała się ze strachem. – Zaraz będziemy w domu. Jasiu... – Pochyliła się nad jęczącym głucho rannym. – Wytrzymaj jeszcze trochę, tylko błagam, nie stękaj tak głośno, do licha, bo nam ściągniesz na kark kozaków.

Kuzyn nie odpowiedział, bo zemdłał. Odsapnęły i powlekły go dalej. Nina plątała się w fałdach szerokiej spódnicy, potykając się co krok. Lepki swędzący pot spływał jej po twarzy, zalewając oczy. Czuła na ustach jego słony smak. Była śmiertelnie przerażona i marzyła o bezpiecznym schronieniu, z dala od strzałów, wrzasków i krzyków mordowanych. Czasami ogarniała ją taka panika, że miała ochotę porzucić Jasia i uciekać gdzie oczy poniosą. Wstydziała się swego tchórzostwa i zazdrościła Bini i Rózi odwagi, widząc, z jaką zimną krwią i poświęceniem niosły rannego. Przemagając strach, szła, przypadając do ziemi, kiedy słyszała gwizd kul. Pocieszała się tylko nadzieją, że zbawcza brama domu już blisko. Jeszcze tylko kilkanaście kroków i Jaś będzie uratowany, a one bezpieczne.

Potknęła się, a gdy podniosła głowę, zauważyła ze zdumieniem, że idące przodem dziewczęta przystanąły. Skamieniałe z przerażenia wpatrywały się w ogromnego kozaka, który niespodziewanie zajechał im drogę, wyrastając przed nimi jak spod ziemi. Już od pewnego czasu obserwował trzy młode kobiety chyłkiem ciągnące rannego. Smagnął konia arkanem i podjechał ku nim cwałem, zagradzając im drogę. Stały, odruchowo zasłaniając rannego własnymi ciałami.

Nina przełknęła ślinę i oblizała suche wargi. Niezdecydowanie zadreptała w miejscu. Serce waliło jej jak oszalałe, podchodząc do gardła, a wzdłuż kręgosłupa przebiegły lodowate ciarki. Boże, jakże się bała! Nie wątpiła, że kozak zaraz zamorduje Jasia, a potem na nie przyjdzie kolej. A może zawoła kamratów, a ci zaciągną je do swoich koszar? Spojrzała na nieprzytomnego Jasia, tak bardzo drogiego jej sercu. Wyobraziła sobie straszliwą rozpacz cioci Salusi, oplakującej jedyne go syna. Gdyby to ona zginęła zamiast Jasia, nikt prócz niani i Bini nie będzie po niej płakał. Wyobraziwszy sobie własną śmierć, zamiast lęku poczuła morderczą furję. Była wściekła na Jasia, że lekkomyślnie wziął udział w awanturze, narażając się na utratę życia. Przeklinała siebie, że z własnej nieprzymuszonej woli wpakowała się w kłopoty i prawdopodobnie nie wyjdzie z nich cała. Ale największą pasję budził w niej kozak, który zagroził im drogę do domu, gdy tylko kilka kroków dzieliło ich od zbawczej bramy.

Jaś jęknął, a ją ogarnął ogromny żal. Kochała go jak brata i za nic nie chciała, żeby umierał tak młodo. Ostrożnie położyła jego nogi na ziemi i zdecydowanym ruchem wysunęła się do przodu, stając oko w oko z napastnikiem. Za plecami słyszała zdyszane oddechy obu dziewcząt i pojękiwanie rannego. Bała się, wewnątrz trzęsła się w niej każda żyłka, ale wyprostowana, nie okazując obawy, utkwiała oczy w skośnych źrenicach kozaka.

– Idź precz – odezwała się rozkazująco. – Won! – I tupnęła nóżką, jakby odpędzała wiejskiego kundla. Nie była pewna, czy coś przez to zyska, ale nie mogła stać jak słup, czekając biernie na śmierć.

Kozak, sięgający już po karabinek, dosłownie zbaraniał. Różnica pomiędzy potężnym mężczyzną uzbrojonym po zęby a tą kruchą, delikatną panią była wprost porażająca. Coś jakby cień uśmiechu przemknęło po wargach kozaka, gdy z wysokości siodła patrzył na tę kruszynę. Nie wiadomo, jak by się sprawy potoczyły, gdyby w tę dramatyczną scenę nie wmieszał się obdarty ulicznik. Zorientowawszy się w sytuacji, pochwycił

spory kamień i grzmotnął nim kozaka. Potem włożył dwa palce w usta i gwizdnął tak przeraźliwie, że wierzchowiec zaczął się miotać i stawać dęba. Kozak zaklął głośno i wbiwszy ostrogi w boki konia, pogalopował za uciekającym zręcznie chłopakiem.

– Boże, błogosław temu dzieciakowi – westchnęła Nina z najgłębszą wdzięcznością.

Nie marudząc, dziewczęta podniosły Jasia i prędko zaciągnęły go do bramy, gdzie już czekały na niego troskliwe ramiona matki. Słyszały, jak z góry ciotka Maria przywołuje Binię, ale postanowiły pozostać i razem z mieszkańcami domu znosiły do sieni rannych leżących w pobliżu. Pracowały bez wytchnienia aż do chwili, gdy w najbliższym otoczeniu zabrakło ofiar potrzebujących pomocy.

Nad dachami Starego Miasta rozpały się wieczorne zorze. W purpurowych łunach zachodu, w cichym bezwietrznym powietrzu kołowały gołębie wracające do swoich gniazd. Ale na placu Zamkowym nie milkły strzały, dalej padali zabici i ranni. Mordowano bez miłosierdzia, nie okazując nikomu łaski. Plac przypominał potworne jatki, rynsztokami płynęła krew, zastygając w wielkie kałuże. Ani na moment nie przestały dzwonić kościelne dzwony.

Ogólnie szanowany doktor Chałubiński osobiście pojechał do margrabiego Wielopolskiego, prosząc go o interwencję u księcia namiestnika. Początkowo obrażony i zacięty dostojnik nawet nie chciał z nim mówić. Zdesperowany doktor stracił cierpliwość i chwyciwszy go za ramię, pociągnął do okna.

– Czy pan nie rozumie, że kartaczą nam lud?! – wrzasnął czerwony z oburzenia nieczułością magnata.

Wielopolski wsłuchał się w basowy pomruk armat, które włączyły się do akcji.

– Jezus Maria! – jęknął, blednąc, i już bez protestów wszedł do karety.

Chałubiński przewiózł margrabiego przez ulice wzburzonego miasta, pełne szalejących z rozpacz i gniewu ludzi, gotowych podejrzanego rozszarpać na sztuki. Dramatyczna rozmowa Wielopolskiego z księciem trwała pół godziny, a w tym czasie na placu Zamkowym ginęli ludzie. Potem z balkonu zamku dano znak zaprzestania rzezi. Nad miastem zapadł ciepły wiosenny zmierzch. Na ulicach zapalono lampy gazowe, a na przedmieściach ludzie zwoływali się, aby razem iść i zobaczyć, co się zdarzyło na placu Zamkowym. Naraz z bastionów Cytadeli ryknęły działa, a

z żelaznych bram twierdzy wysunęły się kolumny piechoty, szwadrony kawalerii i baterie armat, zajmując najważniejsze strategiczne punkty stolicy. Na placach i rogach głównych ulic wojsko formowało szanice, kierując paszczyce dział na budynki mieszkalne.

Pragnąc ukryć rozmiary zbrodni, pośpiesznie uprzętnięto plac. W mroku, rozświetlonym tylko pochodniami, żołnierze ładowali ciała na wózki i grzbiety koni, zabierając je do zamku. Świadkowie masakry i mieszkańcy pobliskich kamieniczek postanowili im w tym przeszkodzić. W jednej chwili wywiązała się rozpaczliwa walka o każde zwłoki i każdego rannego. Okropnym scenom przyglądał się srebrzysty księżyc płynący nad dachami miasta. Na korytarzach, w sieniach i na podwórzu zamkowym leżeli zabici i ranni. Pod wyniosłymi kolumnami wspinających sal przez długie godziny rozlegały się jęki. Lśniące posadzki zalane były krwią. Ranni, pozbawieni pomocy lekarskiej, konali w męczarniach, a ich ciała jeszcze tej nocy żołnierze zakopywali w fosach Cytadeli, a nawet podobno wrzucali trupy do Wisły.

Śmiertelna cisza zaległa Warszawę. Na ulicach przy wielkich ogniskach biwakowali żołnierze, a po mieście krążyły baterie armat z zapalonymi lontami, gotowe rozpocząć bombardowanie lub w razie zbiegowiska plunąć w tłum kartaczami. Była to okropna noc, ponieważ nikt nie wiedział, co się jeszcze może wydarzyć. Pan hrabia Andrzej Zamoyski napisał do księcia Górczakowa: „Krew wzywa krew, krew utrwala nienawiść”. Były to prorocze słowa i stały się złowieszczą przepowiednią na przyszłość.

\*\*\*

Równie ponury jak noc nastał kolejny kwietniowy poranek. Zrozpaczeni mieszkańcy stolicy biegali po szpitalach i kostnicach, na próżno poszukując swoich bliskich. Służby porządkowe od świtu krzątały się na placu, szorując szczotkami krew, spłukując bruk wodą i posypując go popiołem. Po mieście rozeszły się patrole w poszukiwaniu ukrywanych ciał zabitych i rannych. Policja i żandarmeria wpadały do domów, kościołów i klasztorów, siłą zabierając trupy i poranionych. Kto stawiał opór, tego porywano i wieziono do Cytadeli. Nikt nie wiedział, gdzie pochowano zwłoki pomordowanych. Sprawę tę władze carskie otaczały najgłębszą tajemnicą.

Na nieszczęsne miasto spadł istny grad zakazów i represji. Wprowadzono godzinę policyjną i po zmroku nie wolno było nikomu wychodzić z domu bez przepustki i zapalonej latarki ręcznej. Zamknięto teatry i resursy. Zakazano zebrań towarzyskich, a znalezionych rannych zamykano w

więzieniach, zaś ukrywające ich rodziny były surowo karane wysokimi grzywnami lub aresztowaniem. Z ulic zniknęły stroje narodowe, zabronione przez carskie władze. Żałoba była również zabroniona i przed zamkiem kozacy chwyтали na arkany kobiety w żałobnych sukniach, uprowadzając je do swoich koszar. Opowiadano sobie szeptem o zbiorowych mogiłach gdzieś w pobliżu Cytadeli, lecz prawdy nikt nie znał.

Dla całego narodu, zjednoczonego w bólu i gniewie, Warszawa stała się znowu krwawym symbolem bohaterstwa i męczeństwa. Ludzie byli przygnębieni i smutni, ale świadomi tego, że to jeszcze nie koniec, a dopiero początek nieustępliwej walki o wolność i wyzwolenie całości Rzeczypospolitej Trojga Narodów<sup>47</sup>.

Młodzież stolicy zeszła do podziemia. Mieszkańcy ulic nadwiślańskich, tragarze, stróże, służący, rzemieślnicy oraz wspaniała, dumna i patriotyczna młodzież inteligencka żywiłowo i masowo wstępowali do tajnych organizacji, składając w kościołach przysięgę. Niemal cały niższy kler, a także wielu biskupów, z arcybiskupem Fijałkowskim na czele, poparło dążenie społeczeństwa do walki zbrojnej – do wybuchu powstania.

Pamiętny i straszny dzień Zwiastowania przeszedł do historii pod nazwą „Masakry na placu Zamkowym w dniu 8 kwietnia 1861 roku”.



<sup>30</sup> Rodzaj ozdobnego czepka.

<sup>31</sup> Szeroki płaszcz damski bez rękawów.

<sup>32</sup> Aleksander Orłowski (1777–1834) – malarz, rysownik, karykaturzysta.

<sup>33</sup> Długie wierzchnie okrycia damskie z kapturem.

<sup>34</sup> fr. wyższe sfery

<sup>35</sup> Szal z futra młodych fok.

<sup>36</sup> fr. szaroperłowy

<sup>37</sup> Herb Litwy.

<sup>38</sup> Piotr Ściegienny (1800–1890) – ksiądz, rewolucyjny demokrat działający wśród chłopów, uważany za autora Złotej książeczki; organizator chłopskiego powstania na Kielecczyźnie w 1844 roku. Spędził 25 lat w więzieniach i na zesłaniu.

<sup>39</sup> fr. babcia marszałkowa

<sup>40</sup> Teodor Trepow (1803–1889) – generał major, pod koniec 1860 roku mianowany oberpolicmajstrem warszawskim, ustąpił po manifestacjach w 1861 roku, ale w połowie 1863 roku powrócił na dawne stanowisko. 2.11.1863 roku dokonano nań nieudanego zamachu.

<sup>41</sup> Karol Mikoszewski (zm. 1886) – ksiądz, członek Komitetu Centralnego Narodowego, przyczynił się do podporządkowania niższego kleru władzom podziemnym. Redagował „Głos Kapłana”, działalność powstańczą zakończył razem z Langiewiczem; czynny na emigracji i wydalony

z Francji, osiadł w Szwajcarii. Powrócił do kraju, gdzie został uwięziony i zesłany do Woroneża. Zwolniony w 1885 roku, zmarł w Budapeszcie.

42 Ignacy Feliks Dobrzyński (1807–1867) – kompozytor muzyki klasycznej.

43 Tu: pluton w wojsku rosyjskim.

44 Odpowiednik szwadronu w kozackiej kawalerii.

45 Jan Peucker, służący w Zarządzie Kwatermistrzostwa Wojsk Rosyjskich, popełnił samobójstwo 7.04.1861 roku, co skłoniło Rosjan do wycofania wojsk i w czasie demonstracji nie doszło do masakry ludności cywilnej. Niestety, następnego dnia nic już nie zatrzymało rosyjskiej szarży...

46 Michał Landy (1844–1861) – uczeń gimnazjum warszawskiego.

47 Korona, Litwa i Ruś.

## Rozdział 3

Przez szeroko otwarte drzwi z salonu do ogrodu płynął odurzający zapach kwitnących bzów. W blasku majowego słońca lśniły wypolerowane meble i wyfroterowana podłoga przykryta wzorzystym dywanem. Siedzące dokoła okrągłego stołu dziewczęta w ciężkich czarnych sukniach sprawiały smutne wrażenie. Ich splecione w warkocze włosy wsunięte były w jedwabną siatkę, na węzłach ozdobioną gagatami<sup>48</sup>. Szyjąc białe atłasowe kokardy, rozmawiały z sobą półgłosem. W sarnickim dworze przygotowywano się do uroczystości weselnych. Żałoba narodowa nie zezwalała na huczne zabawy. Zgodzono się więc, że wesele będzie skromne, jedynie na sto osób. W drodze wyjątku wieczorem miał się odbyć bal.

Od dnia tragicznych wydarzeń warszawskich upłynęło już półtora miesiąca, lecz na prowincji temat ten był ciągle aktualny. Do Sarnik przyjeżdżali znajomi, niekiedy z odległych miejscowości, aby od naocznych świadków dowiedzieć się o szczegółach masakry. Jednakże pani Borutyńska, obawiając się donosu, zabraniała dziewczętom rozmawiać z obcymi na ten temat. Sama także nabrała wody w usta, zbywając ciekawskich ogólnikami.

Jednak Nina często wracała pamięcią do przeżytych wówczas momentów grozy. Na szczęście Jaś przeżył i uniknął aresztowania. Zawdzięczał to zimnej krwi i odwadze Rózi. Kiedy strzały umilkły, na placu Zamkowym policja i żandarmeria szalały, rewidując każdy dom w poszukiwaniu rannych i zwłok pomordowanych. W środku nocy rozległo się walenie do bramy kamieniczki. Stróż, pouczony, co ma robić, celowo się guzdrał, zwlekając z otwarciem bramy, aby ukrywającym się ludziom dać czas do ucieczki. Jaś uciekać nie mógł i pani Salomea wpadła w rozpacz. Jedna Rózia nie straciła animuszu. Zakręciła się po pokoju i zdarła z głowy ciotce Marii koronkowy czepek nocny, wciskając go na jasne włosy rannego. Czepek dokładnie zakrył bandażę, a gładka młodzieńcza twarz Jasia do złudzenia przypominała młodą dziewczynę. Rózia, przyjrząwszy się z zadowoleniem swojemu dziełu, kazała mu włożyć nocną koszulę matki i podciągnęła wysoko kołdrę, przezornie kładąc pod nią spory jasiek. Świece przyciemniono abażurkami, a gdy rozwścieczeni policjanci wpadli do przedpokoju, odważna dziewczyna urządziła im głośną awanturę.

– No i czego tak walicie?! – wrzasnęła, wygrażając im pięścią. – Co to ja głucha jestem? Pani rodzi, a te puste łby drzwi rozwalają! Nie straszcie kobiety, bo jeszcze jaką pokrakę urodzi. Co, nie wierzycie? To popatrz jeden z drugim, jak pani cierpi, i wynoście się. Skaranie boskie z tą hołotą! Cicho, nie tupać!

Pyskując, otworzyła na oścież drzwi do pokoju. Policjanci, speszeni widokiem leżącej na łóżku młodej kobiety stękającej z bólu, zajrzeli tylko i zmieszani cofnęli się do przedpokoju. Różia wzięła się pod boki, mierząc ich groźnym wzrokiem.

– Co się tak gapisz, jak ciełę na malowane wrota?! – huknęła na ogłupiałego policjanta, który zapuszczał jeszcze żurawia do sypialni. – Rodzącej baby nie widziałeś? Ciebie to pewnie osioł w galopie zgubił, co? *A idi k'czortu!* – piekliła się, kiedy policjanci pośpiesznie zbiegali po schodach.

Zwycięsko uśmiechnięta zatrzasnęła drzwi. W samą porę, bo właśnie zemdlona ciotka Maria spadła z krzesła. Pani Salomea całowała dziewczynę po rękach, dziękując jej za ocalenie syna. Binia i Nina, obie w nocnych koszulach, chwyciły się w objęcia i odtńczyły na środku pokoju dziką sarabandę, śmiejąc się i płacząc na przemian. Jaś leżał cicho i dopiero ochłonawszy z wrażenia, kazał sobie podać lustro. Obejrzał się w nim i uświadomiwszy sobie, iż policjanci wzięli go za rodzącą, dostał takiego ataku śmiechu, że trzeba mu było zaaplikować brom.

Wspominając dramatyczne i komiczne momenty, Nina uśmiechnęła się i usiadła prosto, masując ścierpnięte ramiona. Ona jedna nie szyła kokard, lecz haftowała barwne polne kwiaty na szerokiej jedwabnej szarfie. Jej hafty były wyjątkowo piękne i oryginalne. Sama wymyślała wzory, tworząc igłą prawdziwe małe dzieła sztuki. Jednakże z całego serca nie cierpiała robót ręcznych, którymi zawsze była obarczana.

Dorota Jabłocka wpięła w gotową kokardę złotą szpilkę i wrzuciła ją do pudła stojącego na podłodze.

– Mam nadzieję – odezwała się półgłosem – że na weselu nie będzie się wspominać o tych potwornych scenach z Warszawy. Tyle się ostatnio o tym nasłuchałam, że teraz co noc śni mi się jakiś nieboszczyk.

Stasia Wąsocka zamieniła z siostrą bliźniaczką znaczące spojrzenia.

– No, no, co ty powiesz! – mruknęła. – Pewnie Kazia Bieckiego znowu gdzieś wyniosło. Hm, z braku żywego adoratora mógłby być i nieboszczyk,



pod warunkiem że byłby odpowiednio przystojny i gorący. W piekle bywa ciepło.

Panny zachichotały, a Dorota poczerwieniała z oburzenia.

– Radzę ci, ty mądralo, lepiej pilnuj Władka Lasewicza, bo drugi taki głupi już ci się nie trafi – syknęła z gniewem.

– Tere-fere! – Tuściutka panna Wąsocka pokazała jej koniuszek języka. – Przecież ja ci dobrze radzę. Ale na wszelki wypadek zmów wieczorem paciorek, jak nas mamy uczyły: „O Boże, daj męża, niech miłość zwycięża. Niech będzie kulawy, ślepowy, niechby pił i mnie bił, żeby tylko był”.

Na tę bezczelną uwagę Dorota wciągnęła nosem powietrze jak szarżujący byk, lecz nie zdążyła się odciąć, bo do salonu weszła ciotka Borutyńska wracająca z ogrodu. Niosła płaski kosz pełen gałązek bżów i kolorowych tulipanów.

– Biniu, o której zapowiedział się hrabia? – spytała.

– W południe. Zaraz powinien tu być.

– Idę zanieść kwiaty do sypialni. Daj mi znać, gdy tylko przyjedzie. – Wychodząc, ciotka przezornie pozostawiła uchylone drzwi.

Wiadomość o przyjeździe Klonowieckiego zelektryzowała dziewczęta.

– To pan hrabia powrócił już z zagranicy? – Podniecona Dorota zerwała się z krzesła i strzepnęła suknię. – Jaki to piękny mężczyzna, wytworny i dystyngowany. Prawdziwy arystokrata w każdym calu.

Mówiąc to, podeszła do lustra i od niechcienia poprawiła włosy, odruchowo oblizując wargi i składając je jak do pocałunku. Nina spojrzała na nią złym okiem. Przyszło jej na myśl, że Dorota przypominała w tej chwili kotkę marzącą o smakowitej tłustej myszy. „Wielki Boże, wuj Aleks musiałby cierpieć na kurzą ślepotę, gustując w tej wymokłej wydrze. Włosy rzadkie ani biustu, ani pupy, a pretensje jak u księżniczki. Z rozkoszą kopnęłabym ją w tę baniastą krynolinę!” – rozmyślała, posyłając pannie Jabłockiej złowrogie spojrzenie.

– W jakim celu pan hrabia przyjeżdża do Sarnik? – dopytywała się Dorota, jednocześnie mizdrząc się do lustra.

– Cóż to ciebie obchodzi? – Nina miała ochotę dać jej w ucho.

Dorota zwróciła na nią małe złośliwe oczka z wyrazem lodowatej wyniosłości. Za każdym razem dawała Ninie niedwuznacznie do zrozumienia, że jest ona tylko nędznym popychadłem w domu Borutyńskich, zaledwie tolerowanym w towarzystwie.

– Ciebie nie pytałam, więc bądź tak dobra i nie wtrącaj się do rozmowy – wycedziła z miazdzącą pogardą. – Przecież do ciebie nie przyjeżdża.

– Tym bardziej do ciebie! – odpaliła Nina, czując, że panna Jabłocka szuka z nią zaczepki. – Niepotrzebnie wdzięczysz się do lustra. Najlepiej każę je zabielić wapnem, żebyś się nie przestraszyła, jak nagle w nie spojrzysz. – Umilkła, zauważywszy, że Binia daje jej ostrzegawcze znaki.

– Po tym, co się wydarzyło w Warszawie, nie zdążyliśmy tam kupić biżuterii. – Binia taktownie próbowała zażegnać wiszącą w powietrzu awanturę. – Papcio zadepeszował do Lwowa, prosząc wuja Aleksa, żeby zakupił dla mnie klejnoty. O, już widać karetę na drodze!

– Czy pani hrabina również przyjeżdża? – Dorota ze złośliwym uśmiechem zerknęła na pochyloną nad haftem Ninę.

– Hrabina przebywa w Petersburgu i wróci dopiero na mój ślub. Bardzo jestem ciekawa, co wuj Aleks mi kupił. – Binia uniosła wysoko spódnicę i pobięła powiadomić matkę.

Serce Niny mocniej zabiło. Nareszcie znowu go zobaczy! Była blada, miała zimne dłonie i z emocji mocno przygryzła dolną wargę. W zamyśleniu nie spostrzegła, że w drzwiach stała Binia i przypatrywała się jej badawczo. Panny w popłochu porządkowały stół, poprawiały fryzury i wygładzały pomięte suknie. W sieni rozległ się dźwięczny męski głos. Klonowiecki mówił coś do swojego lokaja. Wszedł do pokoju i przywitał się z dziewczętami. Nina, nie podnosząc spuszczonej powiek, odgadła, kiedy zbliżył się do niej. Dygnęła nisko i podała mu rękę. Zaraz potem do salonu wpadła ciotka Maria, witając kuzyna z przesadną serdecznością. Za hrabią lokaj wniósł elegancko zapakowane pudła. Wszystkie panie, z wyjątkiem Niny, ciekawe pochylły się nad stołem. Binia z wypiekami na policzkach wydała okrzyk radości, otwierając etui z biżuterią. Uszczęśliwiona, rzuciła się wujowi na szyję i mocno go ucałowała.

– Bibianno! – upomniała ją matka. – Wybacz jej, Olesiu, to jeszcze takie dziecko...

– Było mi bardzo przyjemnie, że za drobną przysługę zostałem tak hojnie wynagrodzony. Czy mój wybór odpowiada przyszłej pannie młodej?

Binia pisnęła z radości i podskoczyła, odkrywając coraz to piękniejsze klejnoty.

– *Oh, c'est très beau!*<sup>49</sup> – Przyłożyła do sukni delikatny naszyjnik ze spineli blad różowej barwy. – Nino, spójrz tylko!

– Rzeczywiście prześliczny. – Nina na moment podniosła oczy i zaraz je spuściła, wstydząc się wzroku Aleksa, który na nią patrzył.

– Boże, jakie to чудо! – Jadwiga Wąsocka, obejrzawszy dużą broszkę z brylantów ułożonych na kształt róży, podała ją siostrze.

Stachna odwróciła się do Niny.

– Rzuć, do licha, tę dłubaninę i chodź obejrzyć te śliczności. Czemu nic nie mówisz?

Wszystkie oczy skierowały się na Ninę, a ona po raz drugi spłonęła ognistym rumieńcem.

– Przecież widzisz, Stasiu, że mam pilną robotę. Biżuterię obejrzę później.

– Pulpeciku, jesteś nietaktowna – wtrąciła się Dorota niewinnym tonem. – Może Nina o kimś marzy, a ty przerywasz jej słodką zadumę.

Ninie zimny dreszcz przebiegł po plecach. Dorota miała bystre oko, a język ostry jak brzytwa. Jeżeli, nie daj Boże, coś przewąchała, to tego odkrycia z pewnością nie zachowa dla siebie, tylko wszystkim rozpowie. Na samą myśl o takiej ewentualności Ninę rozboleła głowa. Nienawidziła panny Jabłockiej i marzyła, by wyrwać Dorocie kilka garści włosów oraz podrapać ją do krwi. Wstrętne ropucha! Z krwiożerczych myśli obudził ją głos Bini:

– Doro, zostaw Ninkę w spokoju. Biedaczkę od samego rana głowa boli.

Panna Jabłocka z niedowierzaniem uniosła brwi.

– Doprawdy? Nic nam nie mówiła.

– A czy ty opowiadasz nam, ile razy całujesz się w kącie z Kaziem? – palnęła bez namysłu Stasia.

Dziewczęta pospuszczały głowy, uśmiechając się pod nosem. Nawet hrabia nie zdołał utrzymać powagi. Dorota oniemiała i zaczęła się krztusić, nie mogąc wydobyć głosu.

– Nie chciałbym się dostać na języczek panny Stasi. – Aleks spojrzał z uśmiechem na rezolutną pannę.

– Cóż znowu? Pan hrabia jest zawsze *comme il faut*<sup>50</sup>. Ale naszej Dorci należy czasami przytrzeć rogi, bo zanadto bodzie.

– Stasiu! – jęknęła Jadwiga, zrozpaczona zuchwałością siostry.

– *Oh, soyez tranquille!*<sup>51</sup> – zasyczała Dorota, na przemian blada i czerwona.

Ciotka Borutyńska postanowiła przywołać dziewczęta do porządku.

– Stasiu! – rzekła surowo. – Swoje domysły pozostaw dla siebie. Nino, jeżeli czujesz się cierpiąca, to idź do swojego pokoju. Jaga przyniesie ci obiad.

Nina z nieszczęśliwą miną podniosła się z krzesła. Naturalnie dziś, kiedy nareszcie wrócił hrabia, ciotka każe jej iść do siebie. A wszystkiemu winna była ta żmija Dorota i jej idiotyczne docinki.

– Och, och! – nie wytrzymała Stasia. – Nasza luba Dorotka uraczyła nas francuszczyzną od strony Bodzentyna! Dooobrze, już milczę!

Nina bez słowa zebrała przybory do haftu i skierowała się do drzwi.

– Nie odchodź, Nino! – zawołał za nią Aleks. – Najlepszym lekarstwem na migrenę jest spacer. Maryniu, czy wolno mi zabrać Ninę na przechadzkę?

Ciotka uniosła głowę znad rozłożonych na stole pudełek i spojrzała na niego z roztargnieniem.

– Słucham? Aha, dobrze. Idźcie sobie, bo my musimy wszystko dokładnie obejrzeć.

Na nieładnej twarzy Doroty odmalowała się zawiść. Zazdrościła Bini małżeństwa z bogatym kujawskim ziemianinem. Na domiar złego pan hrabia wybrał się z Niną na spacer! Miała wielką ochotę, aby im towarzyszyć, ale nie usłyszawszy zaproszenia, zajęła się oglądaniem perłowej koliai.

Hrabia podał ramię Ninie i sprowadził ją po schodkach do ogrodu. W milczeniu szli ścieżką w stronę bystrej górskiej rzeczki. Dzień był śliczny, prawdziwie majowy. Od rabat z rosnącymi na nich kwiatami odrywały się barwne motyle, szybując w błękit nieba. Wzdłuż ścieżki rosły krzewy białego i liliowego bzu, a jego zapach był ciężki i upajający. Duży dwór wyglądał bardzo malowniczo w zieleni starych jesionów, dębów i włoskich topoli. Lekki powiew wiatru poruszał liśćmi, przynosząc z pobliskiego warzywnika fragmenty rozmów kobiet okopujących grządki. Serce Niny przepełniała radość, że byli nareszcie sami i przez krótki czas będzie miała Aleksa tylko dla siebie. Szła przy jego boku tak lekkim krokiem, iż zdawała się płynąć. Trzymała się niezwykle prosto, poruszając się z gracją, i wyglądała uroczo w szerokiej czarnej krynolinie, podkreślającej śnieżną białosć skóry. Patrzyła na promienie słońca przeświecające poprzez gęstwinę zieleni, zachwycając się kolorami tęczy w kroplach rosy na pączkach polnych róż.

Naraz przyszło jej na myśl, że tylko miesiąc dzielił ją od ślubu Bini. Zaraz potem będzie musiała opuścić ten dom, do którego bardzo się przywiązała, niezależnie od przykrości, które ją spotykały pod tym dachem. Spuściła oczy i patrzyła w ziemię pod stopami, starając się przybrać beztroską minę i odruchowo bawiąc się zerwanym kwiatkiem.

– Zaproponowałem spacer, ponieważ musimy poważnie porozmawiać – odezwał się Aleks, przerywając nieco przydługie milczenie. – Ale najpierw powiedz mi, czego Borutyńscy życzyliby sobie na prezent ślubny dla Bini.

– Sreber stołowych – odparła bez namysłu. – Ciotka marzy o nich.

– Doskonale, tak właśnie przypuszczałem. – Aleks z zadowoleniem skinął głową. – No, to jedną sprawę załatwiliśmy. Nino, słyszałem, że po ślubie Bini wybierasz się za granicę. Z kim jedziesz i po co?

Nina westchnęła ciężko i spojrzała na niego z wahaniem.

– Nie wiem, czy powinnam o tym mówić.

– Dlaczego?

– Ciotka zabroniła mi rozmów na ten temat. Pojadę do Berlina.

Aleks przystanął raptownie i spojrzał na nią zdumiony.

– Zamierzasz towarzyszyć młodej parze w podróży poślubnej?

– Nie... – Zacinając się i jękając nerwowo, Nina zaczęła zwierzać się ze swoich kłopotów. – W Sarnikach nie mogę siedzieć w nieskończoność, bo wujostwu nie jestem potrzebna. Byłam w trudnym położeniu, ale na szczęście Binia napisała do pana Świerczyńskiego, a ten polecił mnie swojej krewnej mieszkającej w Berlinie. Ta dama poszukiwała lektorki i zarazem *dame de compagnie*<sup>52</sup>, która zajęłaby się również jej dziećmi. Obiecała godziwą zapłatę. Wuj Ksawery już stara się dla mnie o paszport i pewnie w lipcu wyjadę. – Bohatersko przełknęła łzy i umilkła.

Wysłuchał jej, rysując laską na piasku jakieś wzory.

– Borutyńscy zgadzają się na twój wyjazd? – Popatrzył na nią uważnie.

– Tak – wyszeptwała. Oczy jej się zaszklily i zwilgotniały. Wstydziła się, nie chciała przy nim płakać, lecz cała nagromadzona w niej rozpacz spłynęła nagle potokiem łez. – Ja boję się tam jechać! – łkała, wycierając dłonią mokre policzki. – Nie znam tych ludzi, ale nie mam się gdzie podziać, a wujostwo już mnie nie chcą.

Nawet nie spytał, dlaczego Borutyńscy pragną się jej pozbyć. Z zachowania wuja Ksawerego (i plotek sąsiadów) wiedział dostatecznie dużo o kłopotach Niny w tym domu. Poczul narastającą wściekłość, a oczy pociemniały mu z oburzenia.

– Nie płacz, promyczku. Łzami niczego nie zmienisz – powiedział z wymuszonym spokojem. – Nie pojedziesz do Berlina, bo ja się na to nie zgadzam! Czy ci Borutyńscy rozum stracili? Lektorka, niańka do dzieci? Przecież ty sama jesteś jeszcze dzieckiem. Wnuczka marszałka, senatorów i krewna biskupów jakąś *dame de compagnie*? Niestychane! – prychnął

pogardliwie. – A mówiłem ci, żebyś z każdym kłopotem zwracała się do mnie. Dlaczego nie napisałaś? Mój administrator, pan Bochniak, natychmiast dałby ci adres i przekazał list mnie. Wróciłbym wcześniej, a ty nie musiałabyś wylewać łez i prosić obcą osobę o pomoc. Pan Świerczyński niepotrzebnie się fatygował, bo do Prus nie pojedziesz! Pytam, dlaczego mnie nie zawiadomiłaś?

– Wstydziałam się. – Pociągnęła żałośnie nosem.

– A teraz się nie wstydzisz?

– Bardzo się wstydzę, ale nie chcę jechać do Berlina i nie wiem, co mam zrobić – szlochała.

– Należało mi zaufać! – rzekł surowo, patrząc na nią przenikliwie. – A widzisz, masz nauczkę! Należy zawsze słuchać starszych, to znaczy mnie! No, proszę, otrzyj oczka. Obiecuję, że wszystko dobrze się zakończy. – Lekko pogłaskał ją po wilgotnym od łez policzku.

– Proszę mnie nie pocieszać – wybełkotała, pociągając nosem. – Ja wiem, że nie można mi pomóc.

– Nie pleć głupstw, promyczku. Powiedziałem, że będzie dobrze, a ja nie rzucam słów na wiatr.

Nina powoli się uspokajała, a w jej sercu obudziła się nowa nadzieja. Już nie była sama. Znalazł się ktoś, komu mogła powierzyć swój los. Nie wiedziała, jak może okazać mu swoją wdzięczność, więc tylko patrzyła na niego z uwielbieniem. Światło dnia jeszcze podkreślało jego urodę. Zapewne dużo przebywał na świeżym powietrzu, bo cerę miał nieco opaloną. Kiedy się uśmiechał, ukazując wspaniałe zęby, każda kobieta, patrząc na niego, czuła przyspieszone bicie serca. Był bardzo wysoki, Nina sięgała mu zaledwie do ramienia. W wieku trzydziestu pięciu lat wyglądał zdumiewająco młodo. Pomimo chłodnego, powściągliwego zachowania miał mnóstwo cichych wielbicielek, o czym doskonale wiedział. Nina ogromnie tęskniła za nim, a gdy nareszcie powrócił, była wprost nieprzytomna z radości. Wpatrując się w jego bursztynowe oczy, utwierdzała się coraz bardziej w przekonaniu, że poza nim już nikogo w jej życiu nie będzie.

Na brzegu rzeczki stała stara drewniana ławka. Usiedli, a Aleks wyciągnął z kieszeni batystową chusteczkę i starannie wytarł jej oczy i mokre policzki.

– Wysiąkaj nasek! – polecił ojcowskim tonem. – Prowadząc poważne rozmowy, powinnaś zawsze mieć pod ręką chusteczkę. W twoim wieku dziewczęta zajęte są nauką, strojami i zabawą, a nie walką o przetrwanie. Wkrótce opuścisz Sarniki, ale do Prus nie pojedziesz.

– A gdzie ja się podzieję? – zagadnęła żałośnie, posłusznie siąkając nos i starając się opanować nową chęć do płaczu.

– Jeszcze się nad tym zastanowię – rzekł wymijająco. – Przede wszystkim muszę porozmawiać z Borutyńskimi. Przyjmując cię pod swój dach, zobowiązali się tym samym do opieki nad tobą. Ale zaręczam ci, że już niedługo będziesz miała piękny, szczęśliwy dom.

Westchnęła z ulgą. Gdyby śmiała, upadłaby mu do nóg, ale onieśmielała ją owa wielkoświatowa aura emanująca z jego sposobu bycia i bogactwo, które go otaczało.

– Pamiętaj, promyczku, że nie jesteś sama na świecie – powiedział z naciskiem. – A teraz może mi wyjaśnisz, dlaczego z takim uporem nazywasz mnie panem? Przecież jestem twoim wujem.

Nina przełękła się, by nie odgadł uczuć, które nią kierowały, i nie domyślił się jej serdecznej tajemnicy.

– Przepraszam, ale ten stopień pokrewieństwa niemile mi się kojarzy. Był pan świadkiem awantury, którą urządził mi w zimie wuj Ksawery. Poza tym wujowie bywają przeważnie starzy, otyli i wąsaci, a pan jest przecież młody – wykręciła się dyplomatycznie.

Zaśmiał się, ujął jej rączkę i złożył na niej lekki pocałunek.

– Jestem ci bardzo zobowiązany za komplement, ale niestety, mam już swoje lata. Byłem na ślubie twoich rodziców.

– A jakie to ma znaczenie? – Wzruszyła ramionami. – Pan, panie Alku, zawsze będzie młody.

– Panie Alku? Wprawdzie nikt mnie tak dotąd nie nazywał, ale mi się to podoba. – Skinął głową. – No, jeszcze trochę cierpliwości, promyczku, a znajdziesz się tam, gdzie już nikt nie będzie na ciebie gderał.

– Aha, oprócz mojej niani – mruknęła nadąsana. – Niania zawsze mnie poucza. Od rana do wieczora ciągle od niej słyszę: „Dama powinna zachowywać się nienagannie i nigdy nie uzewnętrzniać swoich uczuć. Damy nie płaczą przy ludziach, nie krzyczą i nie tupią. Są zawsze uprzejme i wyrażają się elegancko”... – Nina z prawdziwym talentem naśladowała głos i mimikę Jagi. – A ja, panie Alku, jestem beksą i często się złoszczę. A kiedy jestem zła, to wrzeszczę i tupię. Czasami robi mi się niedobrze na samą myśl, że muszę być damą! – zakończyła wyznanie, boleśnie wzdychając.

– Niestety, od tego się nie wykręcisz – stwierdził rozbawiony. – Ale to wcale nie znaczy, że masz być nienaturalna i sztuczna. Opowiedz mi coś o

sobie.

– Kiedy boję się, że pana to nie zainteresuje.

Zaprotestował, a wtedy Nina, rewanzując się za jego dobroć, wstała z ławki i przykucnąwszy na brzegu rzeczki, zbierała cały bukiet błękitnych niezapominajek i wręczyła mu kwiaty. Podziękował jej uśmiechem. Usiadła i opowiedziała mu o pierwszych, cudownych latach na warszawskiej pensji panny Emilii Gosselin, ukochanej Goslinki ubóstwianej przez pensjonarki. Panna Emilia posiadała tak wielki urok osobisty, że potrafiła przekonać ciotkę Marię o konieczności kształcenia Niny, obdarzonej wielkim talentem muzycznym. Lecz po pewnym czasie ciotka, zauważywszy, że pani przełożona, gorąca patriotka, wpajała swoje przekonania wychowankom, odebrała dziewczęta z jej pensji i oddała je do klasztoru panien sakramentek. Tam także nie było źle, zakonnice nawet obiecały zorganizować jej koncert na zakończenie ostatniego roku na pensji. Ale pech chciał, że Bini oświadczył się pan Świerczyński, a ciotka dla oszczędności natychmiast odebrała dziewczęta w połowie roku szkolnego. Nina nie mogła odżalować, że przerwała naukę, bo miała nadzieję, że usłyszy ją jakiś muzyk i ułatwi jej karierę pianistyczną. Umilkła zdyszana i zerknęła na hrabiego w obawie, że go nudzi.

– Przepraszam. Może ja za dużo gadam? Wuj Ksawery uważa, że od mojego gęgania głowa mu puchnie.

– Promyczku, ja nie jestem wujem Ksawerym. Mam nadzieję, że kontynuujesz ćwiczenia muzyczne?

Potrząsnęła głową i poskarżyła się, że nie ma gdzie grać, gdyż w domu instrument jest stary, a poza tym nie wolno jej nikomu przeszkadzać muzyką. Ciotka Maria twierdziła, że pannie bez posagu talent niepotrzebny. Powinna umieć upiec chleb, tuczyć drób i zarządzać służbą. Tymczasem ona kochała muzykę i z całej duszy pragnęła pięknie grać na fortepianie.

– Ach, Boże... – szepnęła, spuszczać głowę. – W Sarnikach wszystko jest zabronione. Książki ciotka zamyka w kancelarii wuja, a tam już nie możemy z Binią się dostać, bo w oknach są kraty. Nie pożyczamy książek, bo ciotka ma okropny zwyczaj wycinania stron, które wydają się jej nieodpowiednie. Niedawno przyłapała nas na czytaniu i musiałyśmy z Binią przez godzinę klęczeć na grochu.

– Cóż to za metody wychowawcze! – Aleks gniewnie zmarszczył brwi.

– A jakie bolesne! Ciotka pilnowała, żeby Jaga nie podłożyła nam poduszek pod kolana.



– To okrutna tortura! – stwierdził, nie kryjąc oburzenia. – A co takiego czytałyście?

– *Balladynę* pana Słowackiego.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– I za to klęczałyście na grochu?

– Tak, bo ciotka uznała, że *Balladyna* źle się prowadziła, a sam pan Słowacki był bezbożnikiem i masonem. Za to Pan Bóg pokarał go suchotami!

Aleks potrząsnął głową.

– Zdumiewające – mruknął. – Jakże się ta Marynia zmieniała.

– Aha! Panie Alku, co to znaczy „mason”?

Z uwagą wysłuchiwała wyjaśnienia, żałując, że jej sukienka jest przerabiana i ma wyraźną cerę po rozdarciu. Pantofelki także były podniszczone, więc prędko schowała stopy pod ławkę. Nie zdawała sobie sprawy, że emanowała czarem młodziutkiej kobiecości. Ośmielona, sama zaczęła zadawać mu pytania, interesując się jego pobytem w Paryżu i młodymi latami, które spędził w Korpusie Paziów w Petersburgu. Opowiedział jej wiele zabawnych zdarzeń z tego okresu, a ona reagowała wybuchem serdecznego śmiechu, zupełnie zapomniawszy o zmartwieniach. Była uważną słuchaczką, stawiając pytania inteligentnie i dociekliwie, a jej komentarze były wesołe i dowodziły spostrzegawczości. Patrzyła na niego zauroczona jego odmiennością, którą różnił się od znajomych chłopców. Zastanawiała się także, dlaczego jego oczy tak często wyrażały smutek. Pomyślała, że pewnie jest za głupia i za mało wykształcona, aby go zrozumieć.

– Właściwie powinnaś mieć jeszcze guwernantkę – powiedział zamyślony.

– Nie, po co? – zdziwiła się. – Przecież jestem dorosła.

Roześmiał się i poklepał ją po ramieniu.

– Owszem, szesnaście lat to sędziwy wiek. Ale nawet taka staruszka powinna się jeszcze doksztalać. Postaram się, żebyś mogła grać na dobrym instrumencie, czytać mądre książki i dowiedzieć się o wielu ciekawych rzeczach.

– Naprawdę, panie Alku? – Nina aż wstrzymała oddech z wrażenia. – Bardzo chcę się uczyć, bo wiem, że nie grzeszę mądrością. Nie potrafię jeść ostryg ani homarów i nie znam mnóstwa czynności potrzebnych w naszej sferze. Ale obiecuję panu solennie, że wszystkiego się nauczę.

Koło ich ławki przeszedł ogrodniczek. Nina momentalnie zamilkła, zbladła, a cała radość i ożywienie uleciały z niej jak powietrze z przekłutego balonika. Podniosła się z ponurą miną, przeczuwając, że to ciotka posłała tego chłopaka na przeszpiegi.

– Musimy wracać, bo ciotka Maria będzie gniewać się na mnie – odezwała się z nieukrywanym żalem.

W salonie pani Borutyńska posłała im przeciągłe badawcze spojrzenie. Rumieńce na policzkach Niny i jej świetliste oczy pozwalały się wiele domyślać.

– Daruj, Olesiu – odezwała się z fałszywą słodyczą. – Zająłymi się klejnotami i nawet nie zdążyłam spytać cię o Paulinkę. Co to za prześliczna kobieta! Wprost napatrzeć się nie można.

– Dziękuję, Paula czuje się znakomicie – odpowiedział chłodno.

– Mój drogi, masz najpiękniejszą kobietę za żonę w całej guberni, a nawet w Królestwie!

Aleks nie wyglądał na zachwyconego jej pochwałami.

– Przesadzasz, Maryniu. Znalazłbym równie piękne panie, nie wychodząc z tego pokoju.

Dziewczęta, uszczęśliwione jego galanterią, dygnęły, rumieniąc się z radości. Ale Nina natychmiast domyśliła się prawdziwych intencji ciotki. „Wstrętna złośliwa czarownica! – pomyślała z gniewem. – Wcale bym się nie zdziwiła, widząc, że wylatuje przez komin na miotle na Łysą Górę!”

Hrabia zaczął się żegnać, dziękując za zaproszenie na obiad i tłumacząc odmowę pilnymi sprawami majątkowymi. Wbrew tradycji nakazującej pani domu żegnać gości w progu salonu, ciotka odprowadziła kuzyna aż na ganek. Panny pobiegły za nimi i mogły przez chwilę podziwiać prześliczną wiedeńską karetkę zaprzęzoną w czwórkę arabów. Takiego zaprzęgu nie miał nikt w całej guberni. Na wysokim koźle siedział starszy stangret w bogatej liberii i młody lokaj. Obaj mieli dumne miny charakteryzujące służbę z wielkopańskich domów. Nina zwróciła uwagę na wymalowaną na drzwiczkach ekwipażu tarczę herbową z dziewięciopałkową hrabiowską koroną. Kiedy konie ruszyły, długo nie odrywała oczu od oddalającej się karety.

Zaraz po obiedzie dziewczęta rozjechały się do domów. W pokoju kredensowym<sup>53</sup> Jaga starannie myła srebra stołowe użyte w czasie posiłku. Nina liczyła je, wycierała miękką ściereczką i układała w dużym safianowym pudle. Ciotka Maria otworzyła rzeźbioną szafę kredensową i

wyjęła z niej półmisek z przygotowaną dla męża przekąską. Nałożyła jeszcze na talerz porcję zimnego rostbefu, dekorując mięso drobniutkimi korniszonami i marynowanymi rydzami. Wuj Ksawery lubił dobrze zjeść, a na obiad była pieczeń z zająca w sosie winnośmietanowym, kasza i zasmażane buraczki. Ciotka nakazała kucharce trzymać ogień pod piecem, aby potrawy były gorące, i odłożyła dużą porcję budyniu dla męża. Znudzona Binia kręciła się po kredensie, gryząc sucharki i co chwilę wpadając komuś pod rękę. Skończywszy przygotowywać zakąski, ciotka raczyła spojrzeć na Ninę.

– Zauważyłam, że wyraźnie narzucałaś się panu hrabiemu. Pamiętaj, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Cóż takiemu wielkiemu panu do takiej smarkuli? O czym tak długo rozmawialiście?

– Pan hrabia pytał mnie, czego wujostwo życzą sobie na prezent ślubny dla Bini.

– O! – Pani Borutyńska zamarła z wrażenia. – Ciebie pytał? Co powiedziałaś?

– Mnie pytał, bo to ma być niespodzianka. Wspomniałam, że odpowiednie byłyby srebra stołowe.

– Doskonale! – ucieszyła się ciotka. – No, przecież raz ruszyłaś dowcipem jak zdechłe ciele ogonem. A co na to pan hrabia?

Binia stanęła jak wryta, oszołomiona przyszłym prezentem. Jaga zastygła ze ścierką, którą ostrożnie myła srebra, i obie razem z ciotką czekały w napięciu na odpowiedź Niny.

– Pan hrabia powiedział, że dobrze.

Pani Borutyńska odetchnęła i rozpromieniła się z radości.

– Słyszałaś, Biniu? Dostaniesz od wuja srebra. A ile grosza się zaoszczędzi! No, Olesia stać na takie kosztowne prezenty. A już się martwiłam, że czeka nas nowy wydatek. Szkoda, że nie pomówił ze mną. Zawsze dziwak. Ale przez tyle czasu nie rozmawialiście o srebrach. Gdzie byliście?

– Siedzieliśmy nad rzeczką. Wuj opowiadał takie ciekawe rzeczy o Paryżu i swoich podróżach.

Pani Borutyńska uniosła z ironią brwi.

– Rzeczywiście? Siedzieliście nad rzeczką i gadaliście o Paryżu?

– A co innego mieliśmy robić? – naiwnie spytała Nina, szeroko otwierając oczy.

Nie wiadomo dlaczego jej pytanie rozwścieczyło ciotkę.

– Jesteś bezczelna! – wrzasnęła z pasją. – Ja ci mówię, że ty się jeszcze doigrasz! Wstrętne dziewczynisko! Ledwie z pieluch wyrosłaś, a już wdzięczyłaś się do chłopców. Skokietowałaś Orlewicza, ale sakramentu się bałaś. A może masz na oku lepszą partię? O, ja dobrze wiem, co ci chodzi po tej głupiej głowie. Ale nic z tego! Nie dopuszczę, żeby pod moim dachem taka smarkula gziła się po krzakach z żonatym mężczyzną. Spójrz tylko w lustro! Gdzie tobie do jego żony?!

Nina stała z rozchyłonymi ustami, drżąca, przerażona nagłym atakiem.

– Mamo, przecież Ninka nie zrobiła nic złego. – Binia, zgorziona zachowaniem matki, solidarnie ujęła się za siostrą.

– Milcz! – Matka tupnęła. – Nie wtrącaj się, kiedy ja mówię! Ona daje ci zły przykład!

Trupio blada Nina uchwyciła się stołu, żeby utrzymać równowagę, bo nogi ugięły się pod nią.

– Dlaczego ciocia na mnie krzyczy? – odezwała się nieswoim głosem. – Przecież ciocia sama pozwoliła mi pójść z panem hrabią na spacer. Ja nie kokietowałam pana Orlewicza, nie chciałam, żeby mi się oświadczył. I nie siedzieliśmy z panem hrabią w krzakach, tylko na ławce w ogrodzie.

Głęboko zraniona, próbowała się usprawiedliwić, chociaż wiedziała, że to i tak nic nie pomoże. Oczy jej napełniły się łzami, a drobne usta się trzęsły, powstrzymując szloch. Absolutnie nie rozumiała oskarżeń ciotki i wzdrygnęła się, czując nadciągającą burzę. Ale Jaga doskonale pojęła aluzję i aż zatrzęsała się z oburzenia. Przerwała polerowanie sreber i stanęła przed rozwścieczoną damą, instynktownie zasłaniając sobą Ninę. Pani Borutyńska często wyżywała się na siostrzenicy, nie szczędząc jej klapsów, a nawet policzków.

– Proszę pani dziedziczki... – odezwała się cichym, łamiącym się ze wzburzenia głosem. – Pani nie powinna odzywać się w ten sposób do dziecka przez pamięć o jej matce. Ninka jest niewinna i nic złego się nie dzieje. Nic, czego mogłaby się wstydzić.

– A Jaga tu czego?! – krzyknęła ciotka, dysząc z gniewu. – Może się Jadze tu nie podoba, to wolna droga! Fora ze dwora! A ty, moja panno... – Podeszła do Niny i pogroziła jej palcem. – ...nie rób minki skrzywdzonej niewinności. Na szczęście wkrótce wyjedziesz do Berlina, a pani Darecka ma ciężką rękę dla służby i prędko wybije ci z głowy fanaberie. Jak napracujesz się w dzień i kilka razy wstaniesz w nocy do dzieci, to ci się odechce amatorów. Aż do ślubu Bini zabraniam ci się pokazywać w salonie,

kiedy przyjadą goście. Masz siedzieć u siebie albo w kredensie. To najodpowiedniejsze miejsce dla ciebie.

Nina patrzyła przez chwilę na ciotkę, gryząc wargę, a potem pochwyciła szeroką spódnicę i z głośnym płaczem uciekła na facjatkę, zatraskując za sobą drzwi. Jaga z ponurą miną, cała roztrzęsiona, powróciła do przerwanej zajęcia. Nie mogła się uspokoić i przeboleć obelg rzucanych jej ukochanej dziewczynce. Pracowała z kamienną twarzą, przeklinając w duchu panią Borutyńską. Nie mogła jej wybaczyć, że tak okrutnie, zupełnie bez powodu, sponiewierała Ninę.

Binia spod oka przypatrywała się matce, czekając, aż przejdzie jej złość. Nie rozumiała, dlaczego tak uparcie matka zatruwała życie córce jedynej zmarłej siostry, którą niegdyś bardzo kochała. Usiadła na brzegu stołu i wpatrując się w okno, kołysała w powietrzu nóżkami.

– Najwyższy czas, żeby pomówić z księdzem proboszczem o dekoracji kościoła – odezwała się nagle.

Matka zbyła jej słowa wzruszeniem ramion, zajęta układaniem na półmiskach plastrów różowej szynki, zimnej pieczeni cielęcej i pasztetu z dziczyzny. Rzuciwszy okiem na zegar, pomyślała, że mąż już powinien wrócić z Suchedniowa. Zawsze się niepokoiła, kiedy długo nie było go w domu.

– Przede wszystkim zajmij się swoją wyprawą – odburknęła ostro. – Na koszulach i halkach brakuje monogramów. Pomyśl także o przygotowaniu pokoju dla Edwarda. Przyjeżdża w przyszłym tygodniu. Moim zdaniem najlepszy będzie ten zielony salonik obok kancelarii ojca. Należy tylko zmienić kotary przy oknach i wyprać firanki. To jest praca dla ciebie.

– Wydaje mi się, że odpowiedniejszy byłby dla niego ten pokój z tapetą w liście bluszczu, w południowym skrzydle. Ma wyjście na ganek – odważyła się zaproponować Binia.

– Nie. Rób, co każę.

– Dobrze. – Binia miała wielką chęć zwać z domu, zanim gniew matki zwróci się przeciwko niej. – W takim razie pojedziemy z Ninką konno na plebanię i na miejscu obejrzymy, co jest do zrobienia.

– Nic pilnego. Sama pomówię z proboszczem w niedzielę po mszy. – Pani Borutyńska schowała pudło ze srebrami do masywnej szafki i starannie zamknęła ją na klucz. – Trzeba zapędzić dziewczyny z czeladnej do plecenia wieńców.

Binia poczerwieniała i ściągnęła brwi.

– Mama wybacz! – powiedziała opryskliwie. – Ale ostatecznie to mój ślub i ja się tym zajmę!

Zbuntowana, ze wzrastającym zdenerwowaniem, coraz szybciej machała nogami, kołysząc się w przód i w tył.

– Przestań kołysać diabła! – krzyknęła matka. Była rozdrażniona i zmęczona, zamierzała się położyć i zdrzemnąć do czasu przybycia męża, tymczasem córka zatrzymywała ją w kredensie. – No dobrze – skapitulowała. – Jedź sobie, ale tylko ze stajennym. Nina nie jest dla ciebie odpowiednim towarzystwem.

– A stajenny jest? Zdumiewające! – Binia nie zamierzała ustępować. – Pojadę z Niną. Nie zamierzam w czasie jazdy prowadzić konwersacji z parobkiem.

Zbliżał się czas rozstania z rodzicami i rychły wyjazd z rodzinnego domu dodawał jej odwagi. Matka już nie miała nad nią takiej władzy jak wcześniej. Była dorosła i wychodziła za męża, postanowiła nie ustępować. Pani Borutyńska, obserwująca córkę ukradkiem, stwierdziła zaskoczona, że cicha i uległa Binia jednak odziedziczyła po niej mocny charakter i silną wolę.

– No więc jedźcie, tylko na miłość boską, przestań zawracać mi głowę! – Machnąwszy ręką, poszła się położyć, mamrocząc coś do siebie pod nosem.

Rozczochrany stajenny przyprowadził przed ganek dwie kłaczki. Spłakana Nina niechętnie przyjęła zaproszenie Bini na przejażdżkę. Miała ochotę pozostać w swoim pokoju i wypłakać się w samotności. Obawiała się jednak, że ciotka przypomni sobie o niej i obarczy nową robotą. Przebrała się w amazonkę, a raczej w płócienną bluzkę i spódnicę noszącą tak szumną nazwę, wyszła z domu i wsparła stopę na ręce parobka. Zręcznie dźwignęła się na siodło, cmoknęła na konia i ruszyła w ślad za jadącą stępą Binią. Zamiast skręcić w topolową aleję wiodącą do wsi, Binia skierowała Paminę w stronę lasu. Po chwili otoczył je bór, mocno podszyty karłowatą drzewiną, krzakami i ogromnymi paprociami. Smukłe, wyniosłe pnie jodeł wznosiły ku błękitnemu niebu strzępiaste korony. Słońce schodziło już ku zachodowi, złocąc czuby drzew. Powietrze wonne było od zapachu kwiatów, leśnych ziół, żywicy i rozgrzanej ziemi. Z głębi lasu dochodziły głosy ptaków: śpiew drozda, jednostajne stukanie dzięcioła i skrzeczenie sójek. Sroki wydawały donośne okrzyki, przelatując falistym lotem z miejsca na miejsce, zaintrygowane widokiem jeźdźców. Konie szły prawie bezszelestnie po miękkiej trawie, tonąc po piersi w szmaragdowych paprociach.

Oczarowana urokiem lasu Nina przestała żałować, że dała się namówić na spacer, i ściągnęła cugle, jadąc noga za nogą, żeby dłużej rozkoszować się swobodą i pięknem natury. Kochała las, drzewa, kwiaty i zwierzęta. Cisza i spokój zasypiającej wolno przyrody kojąco oddziaływały na jej skołatane nerwy. Obie wybrały się na konny spacer po raz pierwszy od dnia powrotu z Warszawy. Ciotka Maria nie darowała im nieposłuszeństwa i ukarała dziewczęta bardzo surowo. Szczególnie dokuczała Ninie, podejrzewając, iż to ona była inicjatorką wyprawy po rannego Jasia. Swoje niezadowolenie ciotka okazywała jednoznacznie, nie odzywając się do nich przez tydzień ani słowem. Polecenia wydawała im przez służbę. Dziewczętom nie wolno było oddalać się z domu poza furtkę ogrodu i przebywać w salonie w czasie wizyt gości. Za karę pracowały w kuchni, pomagając kucharce przy robieniu wędlin i sporządzaniu marynat. Razem z wynajętymi szwaczkami szyły i znaczyły monogramami wyprawną bieliznę Bini albo układały w skrzyniach porcelanę i drobniejsze przedmioty, które przyszła pani Świerczyńska zamierzała zabrać do nowego domu. Harowały jak wyrobnice, porządkując strych. Wynosiły stamtąd odwieczne gazety i stare graty. Strych, wysprzątnany i wyszorowany do białości, miał się stać w czasie wesela sypialnią dla męskiej młodzieży.

Zbliżający się czas rozstania pogodził matkę z córką, lecz bynajmniej nie złagodził wrogiego stosunku ciotki do siostrzenicy. Pani Borutyńska dokuczała Ninie z rosnącą zawziętością, zapowiadając, że od ślubu Bini nie będzie dla niej miejsca w Sarnikach. Sytuacja Niny stawała się po prostu dramatyczna. Na pomoc Jasia liczyć nie mogła, bo ranny nie podniósł się jeszcze z łóżka. Dopiero Bini zwróciła się do narzeczonego, a ten polecił ją swojej krewnej. Powrót do Prus przejmował Ninę trwożą. Wracaly obrazy śmierci matki i nędzy, którą przeżywały w Gnieźnie. U ciotki Borutyńskiej doznała wiele niezawinionych krzywd, ale tutaj się wychowała i całym sercem pokochała krainę Gór Świętokrzyskich. Kochała ogromne puszcze, dwory, pałace arystokracji, pełne prastarych zabytków kościoły i klasztory, pradawne zamki rycerskie świadczące o wspaniałej historii narodu. Nie wyobrażała sobie życia z dala od tej cudownej, pełnej legend ziemi.

Zatroskana Jaga z bólem patrzyła na jej bladą, splakaną buzię i czerwone od wylanych łez oczy. Jednakże, będąc sama na łaskawym chlebie, niewiele mogła pomóc swej pupilce. Pełniąc przez lata obowiązki klucznicy, potrafiła stać się potrzebną. Pani Borutyńska zaproponowała jej nawet dożywotni pobyt w Sarnikach, wspomniawszy, że Jaga była zaufaną garderobianą na

dworze matki, lecz ona zdecydowanie i stanowczo odmówiła, oświadczając, że pójdzie za Niną choćby na sam koniec świata.

Dopiero rozmowa z wujem Alekssem tchnęła w Ninę odrobinę nadziei. Nie wiedziała, gdzie znajdzie ten drugi dom i niepokoila się przyszłością kryjącą same niewiadome. Obawiała się również, aby wuj Aleks, uniesiony ojcowską troską, nie umieścił jej na jakiejś klasztornej pensji. Miała powyżej uszu ciągłych rygorów i zakazów. Marzyła, by posmakować swobody, pocieszając się, że na razie nie ma powodu do rozpacz. Najważniejsze, że nie pojedzie do Berlina! Chciałaby zamieszkać gdzieś w pobliżu Makowa, ale rozumiała, że są to marzenia ściętej głowy. Wkrótce ślub Bini i wtedy rozstrzygną się również i jej losy.

Przyszło jej na myśl, że na weselu spotka się zapewne z hrabiną Paulą. Nienawidziła jej! Paula obraziła ją śmiertelnie, a co więcej, była żoną mężczyzny, którego Nina uwielbiała. Z palącym uczuciem zawiści porównywała własne ubogie sukieneczki z paryskimi kreacjami pani Klonowieckiej. Z obsesyjną wręcz zazdrością rozmyślała o beztroskim, próżniaczym trybie życia tej niegodziwej kobiety, porównując je ze swoją ponurą, nędzną egzystencją. Jej zdaniem Paula nie zasługiwała na takie jedwabne życie. Była podła i źle wychowana, a jednak mąż kochał ją i obsypywał kosztownościami. Ech, nie ma sprawiedliwości na tym świecie!

Uświadomiwszy to sobie raz jeszcze, z wściekłością szarpnęła cugłami, aż przerażona klacz zarżała i stanęła dęba, o mało nie zrzucając Niny z siodła. Hałas zaniepokoił jadącą przodem Binię. Powstrzymała Paminę i obejrzała się za siebie.

– Co się dzieje?

– Nic takiego, tylko ta bestyjka postanowiła połamać mi kości – skłamała Nina, czerwieniąc się ze wstydu. Wyrzucała sobie, że sprawiła zwierzęciu ból. Nigdy nie uderzyła żadnego konia, darząc miłością nawet najstarsze szkapy.

– Odpoczniemy tu chwilę – oznajmiła Binia i nie czekając na zgodę, zeskoczyła z klaczy, klepiąc ją po szyi.

– A proboszcz? – zdziwiła się Nina.

– Zdążymy. – Binia przywiązała cugle do krzaka, usiadła na mchu i wsparła się plecami o pień wysmukłej sosny.

Nina przysiadła obok niej i nagle zapanowało niezręczne milczenie. Konie chodziły w pobliżu, skubiąc soczystą trawę i opędzając się ogonami od



much. W gęstwinie liści świergotały ptaki, a łagodny wiatr chłodził spocone twarze dziewcząt.

– Właściwie to ja się wcale do księdza proboszcza nie wybierałam – odezwała się Binia i znowu zamilkła, niespokojnie zerknąwszy na kuzynkę.

– Naprawdę? – Nina ułożyła się wygodnie na miękkiej murawie i podłożyła ramiona pod głowę. Nie wiedziała, do czego zmierzała Binia i wołała nie zabierać głosu, czekając, co powie.

Kuzynka ponownie spojrzała na nią i rumieniąc się w zakłopotaniu, przygryzła dolną wargę.

– Ninko... – przemówiła, zebrawszy się w końcu na odwagę. – Za kilka tygodni już mnie w Sarnikach nie będzie i jeden Bóg wie, kiedy się znowu zobaczymy. Taka okazja porozmawiania w cztery oczy może się nam drugi raz nie trafić. Przecież wiesz, jak mamcia uwielbia podsłuchiwać i cały czas ma nas na oku. Czy wolno mi zadać ci bardzo osobiste pytanie?

– Aha... – Nina miała nieprzenikniony wyraz twarzy i patrzyła w niebo, śledząc wzrokiem przepływające puszyste obłoczki.

– Nie gniewaj się na mnie, ale odniosłam wrażenie, że wuj Aleks nie jest ci obojętny. Rozumiesz, co mam na myśli? Czy ty go kochasz?

Nina tak długo nie odpowiadała, że speszona Binia miała ochotę zapaść się pod ziemię ze wstydu.

– Najmocniej cię przepraszam, bo widzę, że palnęłam okropną gafę! – jęknęła. – Ale dzisiaj patrzyłaś na niego jakimś szczególnym wzrokiem i cała aż promieniałaś radością. Matka także to spostrzegła i dlatego urządziła tę bezsensowną awanturę. Przepraszam...

Niespodziewanie Nina się poderwała i usiadła, cała zjeżona, wpijając w nią napastliwe spojrzenie.

– Czego ty ode mnie chcesz?! – wybuchła z pasją. – A gdyby nawet tak było, to co? Mam wskoczyć do studni? Czy ja krzywdzę kogoś tą miłością? Czy to grzech pokochać człowieka, który okazał mi tyle serca i zapalił światło nadziei?

Wpatrywała się w osłupiałą Binię płonącym wzrokiem, zaciskając obie dłonie w pięści. Kochała kuzynkę, uważała ją za rodzoną siostrę, ale zirytowana obraźliwymi podejrzeniami, którymi uraczyła ją ciotka, w porywie gniewu odegrała się na Bogu ducha winnej Bini. Na szczęście ta wcale się nie obraziła, tylko objęła ją za szyję i ucałowała. Nina popatrzyła jej w oczy, a potem, przejęta skrucą, upadła na kolana Bini, płacząc i mocząc łzami jej spódnicę.

– Najmilsza, wybacz, jestem podła! Nie powinnam wrzeszczeć na ciebie. Wcale nie zasługuję na twoją miłość. Nieraz zazdroszczę ci, że jesteś bogata. Widzisz? Już nie będziesz mnie kochać. – Zalewała się łzami, całując ją po rękach.

– Nie bredź, kotku! Na twoim miejscu zachowywałabym się o wiele gorzej. Ja również niekiedy zazdroszczę ci urody. Żadna z nas nie jest aniołem i Bogu dzięki, bo ziemia nie przypomina raj. Czy wuj Aleks wie, że go kochasz?

Nina uniosła czerwoną splekaną twarz i spojrzała na nią z przerażeniem.

– Biniu, nigdy sobie na to nie pozwolę. Och, zapewne pomyślałby, że jestem idiotką. No bo kimże ja jestem? Prostą dziewczyną bez wykształcenia. Zwyczajną gęsią. Chyba coś mi padło na mózg. Ale wiesz, czasami kiedy o nim myślę, wydaje mi się, że on jest drugą połową mojej duszy. Tym, kogo los mi przeznaczył. – Uszczęśliwiona, że nareszcie może się komuś zwierzyć, znajdując przy tym całkowite zrozumienie, przysiadła się bliżej i powtórzyła Bini rozmowę z Alekssem.

– A widzisz, niedowiarku? – Bini się zaśmiała, ściskając ją. – Bóg cię wysłuchał. Wuj naprawdę znalazł się bardzo szlachetnie, tylko hrabina nie budzi mojej sympatii. Ona jest jakaś dziwna, prawda?

– Jest cyniczna i niegodziwa! – I Nina opowiedziała jej o skandalicznej propozycji Pauli w dzień Nowego Roku.

– Nie do wiary! – Bini aż się poderwała z oburzenia. – Podejrzewam, że ta kobieta wcale nie jest damą. Nie rozumiem, jak wuj Aleks, mężczyzna tak wyjątkowy, mógł poślubić tak nędzną kreaturę. Wiesz, pani wojewodzina kiedyś przebąkiwała, że ona nawet nie pochodzi ze szlachty. *Une rien du tout!*<sup>54</sup>

– *Oui* – zgodziła się z nią Nina. – *Elle à de chance cette rien du tout*<sup>55</sup>. Jest piękna, to trzeba przyznać, i może dlatego pan Alek tak ją kocha. Zauważyłaś jej stroje? A klejnoty? Zresztą czy to możliwe, żeby osoba niepochodząca z wyższych sfer mogła być frejliną<sup>56</sup> na cesarskim dworze?

– Tego nie wiem. – Bini wyjęła z kieszeni dwa cukierki i poczęstowała Ninę. – Jaka szkoda, że wuj Aleks tak wcześnie się ożenił. Mógł poczekać, aż ty dorośniesz. Mamcia zachwyca się hrabiną pewnie dlatego, żeby zrobić pani wojewodzynie na złość, bo wie, że ona Pauli nie znosi. Często wstyd mi za rodziców, ale nic na to nie mogę poradzić. Mnie także bez pytania wydają za mąż.

– Może wujostwo sądzą, że on ci się podoba?

– Podoba? – Binia parsknęła drwiącym śmiechem. – O miłości nie może być tu mowy. Przecież dzieci i ryby głosu nie mają. To wyłącznie kontrakt i nic więcej.

Nina popatrzyła na nią z czułością i głębokim współczuciem. Biedna bogata narzeczona. Zrobiło się jej przykro, że dotąd więcej myślała o sobie i z przerażeniem zrozumiała, że gdy Binia wyjedzie, już nikt i nigdy jej nie zastąpi i że będzie szalenie za nią tęsknić.

– Pewnie przyjemnie jest pokochać kogoś – szepnęła zamyślona Binia.

– Nie wiem, bo mnie wcale nie jest przyjemnie – odparła Nina z westchnieniem. – Nawet przy spowiedzi nie mówię prawdy, bo może ksiądz proboszcz nie dałby mi rozgrzeszenia. To przecież wielki grzech kochać się we własnym wuju.

– Przesadzasz, kotku. Wasze pokrewieństwo nie jest aż takie bliskie. Gdyby wuj był wolny, mogłabyś go poślubić. Babcia Eleonora *secundo voto*<sup>57</sup> wyszła za rodzzonego brata swej matki i wszyscy chwalili ten związek, bo majątek pozostał w rodzinie.

– Owszem – przyznała Nina. – Ale babcia marszałkowa miała majątek, a dziadek Dobraniecki był kawalerem. Ja nie posiadam posagu i nie byłabym odpowiednią partią dla hrabiego.

– Co ty pleciesz, kochanie? Liczą się koligacje. Jesteś wnuczką marszałka szlachty, prawnuczką senatora, stryjeczny dziadek był biskupem, a po mieczu pochodzisz z jednej z najstarszych familii w Polsce. Nałęczę figurują w kronikach już za pierwszych Piastów. *Entre nous soit dit*<sup>58</sup>, małżeństwo wuja wydaje się jakieś dziwaczne, nie uważasz? Może i moje będzie podobne?

Nina się wzdrygnęła, bo naraz ogarnęło ją jakieś złe przeczucie. Zamierzała wytoczyć mocne argumenty przeciw małżeństwu Bini, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

– Nie można tego ślubu odłożyć? Błagam, najdroższa, nie wychodź za pana Świerczyńskiego bez miłości!

Binia odetchnęła i zsunęła kapelusz na tył głowy.

– Mam dalej znosić wścibstwo matki i wrzaski ojca? – W jej oczach pojawił się twardy wyraz. – Nie! Wprawdzie Edward nie przypomina królewicza z bajki, jest nudny i nijaki, ale posiada duży majątek, wygodny dom i niewielu krewnych. Będę miała własne pieniądze i swobodę. A najważniejsze, że Kujawy to już Wielkie Księstwo Poznańskie,

inne państwo, i daleko stamtąd do Sarnik. Ale gdziekolwiek będę, zawsze możesz na mnie liczyć.

Uniosła ramiona i zaczęła upinać warkocze, które wysunęły się spod kapelusza.

– Boję się o ciebie – rzekła Nina. – Z panem Świerczyńskim różnicie się charakterem i wiekiem.

– Mama mówiła, że najlepszy mąż to starszy mężczyzna, bo potrafi uszanować żonę. – Binia się zarumieniła i spuściła oczy.

– Czyżby? To dlaczego ciotka nie poślubiła starego dziada, tylko wyszła za człowieka, którego kochała? I co to znaczy, że starszy uszanuje żonę? Młody tego nie potrafi?

Binia potrząsnęła głową i złożyła na jej czole czuły pocałunek.

– Jedźmy już na tę plebanię, bo matka gotowa sprawdzić, czy tam byliśmy.

Wstała i otrzepała spódnice z drobin mchu i sosnowych igieł. Dosiadły koni i ruszyły ku wsi. Las pozostał za nimi, a dookoła rozciągały się faliste pola uprawne, zasiane zielonkawym jeszcze zbożem i równymi rzędami ziemniaków. Pomiedzy gęstymi jak szczotka kłosami niby płomyki migotały czerwone maki polne. Przy miedzy błękitniały chabry i plenił się kąkol. Spod kopyt klaczy uciekały w popłochu szare kuropatwy, zające i przepiórki, kryjąc się w wysokiej trawie.

Droga, po obu stronach wysadzana włoskimi topolami, wiodła do wsi. Na jej końcu stał kościół. Popędziły konie, bo słońce już zachodziło i z wolna wypełzały cienie wieczoru. Chłopi, pracujący jeszcze na dworskich polach, kłaniali się pannom do ziemi. Binia odpowiadała uprzejmym skinieniem głowy i zamieniła kilka słów z karbowym, polecając mu kończyć pracę, bo ludzie są zmęczeni. Gdy ruszyły w dalszą drogę, poprawiła się w siodle i rzekła:

– Na naszym folwarku w Hożej pracował kiedyś młody pisarz prowentowy<sup>59</sup>. Raz zasiedziałam się na folwarku, a on odprowadził mnie do domu, bo zanosilo się na burzę. – Binia skróciła cugle, bo Pamina rzuciła łbem i niespokojnie zadreptała. – Wtedy on mnie pocałował!

Nina była tak wstrząśnięta tym szczerym wyznaniem, że wydała okrzyk i o mało nie spadła z konia. Pomimo ubóstwa zachowała dumę rodową i nie mogła pogodzić się z myślą, że młoda dama pozwoliła prostemu gryziopiórkowi podnieść na siebie oczy. Mało tego, dopuściła go do poufałości! Binię rozśmieszył wyraz zgorszenia malujący się na jej twarzy.

– Nie powinnaś mieć mi tego za złe. Wyobraź sobie, że hrabia Klonowiecki stracił majątek i został zwykłym zjadaczem chleba. Odwróciłabyś się od niego?

– Ależ kochanie, to zupełnie coś innego! – oburzyła się Nina. – Kochałabym go nawet wtedy, gdyby siedział pod kościołem.

Wyobraziwszy sobie hrabiego siedzącego pod kościołem z ręką wyciągniętą po jałmużnę, Binia ze śmiechu aż się skręciła na siodle. Nina spojrzała na nią urażona, ale nie utrzymała powagi i także zaczęła się śmiać.

Pola uprawne się skończyły i wjechały w opłotki wsi. Sarniki były dużą osadą, lecz widząc nędzne, rozpadające się chałupy, Nina pomyślała, że w niedalekiej przyszłości wuj Ksawery może mieć poważne kłopoty ze swoimi poddanymi. Wuj Borutyński był znakomitym gospodarzem, oszczędnym i zaradnym, ale los chłopów wcale go nie obchodził. Był srogim dziedzicem i nigdy nie okazał ludziom ani odrobiny szacunku za ich ciężką pracę. Chłopi drżeli na jego widok, jednocześnie śmiertelnie go nienawidzili i czekali tylko na okazję, żeby się zemścić. Minęło dopiero piętnaście lat od straszliwej rzezi galicyjskiej szlachty, mordowanej przez zbuntowanych chłopów pod przywództwem Jakuba Szeli<sup>60</sup>, i starsi gospodarze we wsi dobrze o tym pamiętali. Władzom carskim wszelkie konflikty klasowe były bardzo na rękę, gdyż skłócały już i tak podzielone społeczeństwo polskie.

Minąwszy wieś, dziewczęta zatrzymały się przed kościołem. Zbudowany na planie krzyża budynek z polnego kamienia był bardzo stary. Smukła wieża z dzwonami wznosiła się ponad korony niebotycznych lip. Obok kościoła był piękny cmentarz, na którym grzebano od pokoleń nie tylko chłopów, ale i okoliczną szlachtę, mającą tam rodzinne grobowce. Przy murze cmentarnym rosły wielkie krzewy jaśminów obsypanych kremowymi kwiatami. Ich upajający zapach unosił się dookoła, zwabiając tysiące pszczół. Za murem był sad, a dalej stała plebania – biały dworek porośnięty bluszczem.

Proboszcza nie zastały. Rozłożysta żona organisty, pełniąca obowiązki gospodyni, dygnawszy uprzejmie, powiadomiła panny, że ksiądz dobrodziej siedzi w kościele z nowym wikarym. Przez potężne wrota dębowe, nabijane stalowymi ćwiekami, weszły do świątyni. Unosiła się tu charakterystyczna woń składająca się z resztek zapachu kadzidła, wosku, zbutwiałego drewna, przedziwna i nieokreślona, jak wszystkie rzeczy ogromnie stare. Kamienna posadzka, starta tysiącami stóp wielu pokoleń, zapadła się, tworząc niebezpieczne dołki grożące zwichnięciem kostki. W bocznych kaplicach

panował już mrok, a promienie zachodzącego słońca wpadały tylko do głównej nawy przez wysokie gotyckie okna, rozświetlając zakurzone witraże, drewniane posągi z oblazłą pozłotą i obrazy tak stare, że nie było widać, co przedstawiały. Z czarnego popękanego tła wyłaniały się fragmenty twarzy, rąk, czasem kawałek rozwianej szaty. W ścianach bocznej nawy znajdowały się grobowce dawno zmarłych dziedziców Sarnik – fundatorów wielokrotnie palonego kościoła. Wykute w miękkim piaskowcu wizerunki wspartych na mieczu rycerzy oraz niewiast w zasłonach na głowach, klęczących z pobożnie złożonymi dłońmi z różańcem oplatającym ich palce, czas bezlitośnie przeorał, zacierając rysy twarzy oraz epitafia.

Pod wyniosłym sklepieniem latały jaskółki mające gniazda pomiędzy kapitelami kolumn. Ich ostry świergot był jedynym dźwiękiem zakłócającym panującą tu ciszę. Dziewczęta, idąc środkiem kościoła, odczytywały wprawione w ściany tablice z łacińskimi sentencjami. Ich kroki rozbrzmiewały nienaturalnie głośno, burząc spokój świętego miejsca. Przed wielkim ołtarzem uklęknęły i odmówiły modlitwę za dusze zmarłych. Gdy podniosły się z kolan, Binia spostrzegła, że spod drzwi prowadzących do zakrystii widać smugę światła. Delikatnie zapukała, wołając półgłosem:

– Proszę księdza proboszcza!

– A kto tam? – Rzeźbione drzwiczki się uchylily i stanął w nich niski, okrągły jak piłeczka staruszek z wianuszkiem siwych włosów dookoła głowy.

Obie panny bardzo go kochały i uważały za najlepszego przyjaciela. Pomimo wieku miał energiczne ruchy, a na twarzy pogodny uśmiech.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Binia podeszła do niego i pocałowała go w rękę. – Mogę księdzu dobrodziejowi zająć trochę czasu?

– Na wieki wieków. Pewnie, moje dziecko. A kto stoi za tobą, bo niedowidzę.

– To ja, proszę księdza. – Nina wyszła z cienia, dygnęła i także pocałowała proboszcza w rękę.

– Aha! To ty, Ninko? Czy coś się stało? Może, nie daj Panie Jezu, ktoś zachorował? – zaniepokoił się. Pośpiesznie wyszedł z zakrystii, mrużąc krótkowzroczne oczy.

– Nie, w domu wszyscy zdrowi – uspokoiła go Binia. – Chciałam tylko porozmawiać z księdzem o dekoracji kościoła przed moim ślubem.

– Prawda! To już wkrótce, na Piotra i Pawła. Godnych obrałaś sobie patronów, moje dziecko. – Proboszcz odwrócił się w stronę zakrystii i

powiedział głośno: – Księżę Rafale, a niechże ksiądz wyjdzie, bo mamy gości.

Rozległ się stuk odsuwanej krzesła i po chwili wyszedł stamtąd wysoki, smukły kapłan. Nie odzywając się, z dala uklonił się pannom.

– To mój nowy wikary, ksiądz Rafał Żabiec – przedstawił go proboszcz. – A to córka pana dziedzica i siostrzenica pani dziedziczki. Ksiądz Rafał dopiero od wczoraj w Sarnikach, więc oprowadzam go po naszym gospodarstwie. Ale chodźmy stąd, moje dzieci, bo tu ciemno, a ja, stary, niedowidzę.

Wyszli z kościoła i wąską ścieżką pomiędzy krzakami malin i agrestu doszli do ganku plebanii. Proboszcz zatrzymał dziewczęta na kolacji, miały więc możliwość przypatrzeć się nowemu wikaremu. Był bardzo młody i niezwykle piękny. Gęste falujące włosy miały błękitnawy odcień kruczych piór, a duże szare oczy ocieniały fryzowane rzęsy. Z delikatnej białej cery i ślicznych rysów podobny był do młodziutkiej dziewczyny. Nawet głos miał wysoki, a całe jego zachowanie nacechowane było dziewczęcą skromnością i wstydlivością.

Obserwująca go dyskretnie Nina nie mogła pojąć, co skłoniło tego zachwycającego chłopca do przybrania sutanny i skazania się na wieczną samotność. Zauważywszy jej badawcze spojrzenie, ksiądz Rafał opuścił długie rzęsy i zarumienił się mocno. „Dziwny ksiądz” – pomyślała Nina i odwróciła głowę, aby go nie peszyć.

Kolacja przeciągnęła się, bo wiele spraw było jeszcze do omówienia, ale wikary nie siedział do końca, lecz wstał i skłoniwszy się, zamierzał odejść. Binia pożegnała go serdecznym uśmiechem, a Nina przekornie wyciągnęła do niego rączkę. Ksiądz Żabiec uściśnął ją i bez słowa wyszedł. Jego dłoń była zimna, a uścisk słaby i bierny. Kiedy wychodził, jego cień, długi i czarny, rzucony na ścianę na mgnienie oka zawisnął nad głową Niny. Nie wiadomo dlaczego, bez żadnej konkretnej przyczyny, ogarnął ją lodowaty strach. Nagle poczuła do wikarego niczym nieuzasadnioną niechęć, graniczącą wprost z nienawiścią. Nie rozumiała, dlaczego tak się stało, nie знаła źródła i motywu irracjonalnego wstrętu. Była jednak najzupełniej pewna, że nigdy nie polubi młodego księdza.

Za to proboszcz odprowadził Żabca ciepłym spojrzeniem.

– To taka dobra, czysta dusza – rzekł, zniżając głos do szeptu. – Tylko jeszcze nieobyty w świecie i lęka się kobiet. Jest synem chłopca spod Wąchocka. Ojczysko ręce sobie urobił, żeby synowi dać wykształcenie, a



Rafał to ksiądz z powołania. Bogu dziękuję, że dano mi go do pomocy. Starość na karku i sił już mi braknie. – Proboszcz się zamyślił i zwróciwszy oczy na Binę, ciągnął, uśmiechając się do niej: – Jak ten czas leci. Tak mi się zdaje, że zaledwie wczoraj przyniesiono mi ciebie do chrztu, a ty już wkrótce staniesz przed ołtarzem, aby ślubować mężowi. W tym kościele twoje prababki wiązały się świętym węzłem małżeńskim od szesnastego stulecia.

– A kiedy zbudowano ten kościół? – spytała Nina.

– Zapewne na początku tysiąclecia. Dawniej stała tu gontyna pogańska. Kościół wiele razy palili Tatarzy i Litwini, potem Krzyżacy wzniesli w nim ogień. Burzyli go Szwedzi i Siedmiogrodzianie. Ale pobożni parafianie podnosili go z gruzów i trwał dalej. W jego podziemiach spoczywają niemal wszyscy Borutyńscy, prócz tego rycerza, który poległ w bitwie z Kozakami pod Beresteczkiem<sup>61</sup>. Nie mają tu swego grobu twój dziad, poległy pod Ostrołęką<sup>62</sup>, i stryj zesłany na Ural. Kiedyś, po latach, spoczna tu pewnie twoi rodzice, a może i ty kiedyś wrócisz do rodzinnego gniazda. – Zamilkł, a dziewczęta nie przerywały mu zamyślenia.

Z drewnianego zegara wyskoczyła kukułka i wykukała dziewiątą godzinę. Panny pożegnały się z proboszczem i dosiadłszy koni, wyjechały na polną drogę niedaleko zakola rzeczki. Na niebie już błyszcząły pierwsze gwiazdy, ale od południa nadciągały chmury i zanosilo się na deszcz. Rzeczka pluskała, mącąc wieczorną ciszę. Na szczycie wzniesienia rozpostarła się przed nimi ogromna przestrzeń, falująca trawą, przecięta wstęgami strumieni i potoków, pełna niewielkich zagajników i pól, barwnych niby pasiak łowicki, a w oddali, w krystalicznie czystym powietrzu, widoczne były ciemne grzbiety gór.

Z obawą minęły prastare kurhany tatarskie i mogiły Szwedów, żołnierzy króla Karola Gustawa, poległych tu podczas potopu. Podanie głosiło, że w pobliżu mogił straszy, bowiem leżeli w nich poganie i heretycy, pogrzebani bez świętych sakramentów.

W koronach drzew szumiał wiatr i jęczał w krzewach porastających dawne groby. Nad górami zaczęło się błyskać. Panny podcięły konie i popędziły galopem, nie oglądając się za siebie. Na szczęście ciotka wysłała im naprzeciwko parobka z pochodnią, a ten odprowadził je aż do drzwi dworu.

\*\*\*

<sup>48</sup> Kamienie ozdobne (w czasie żałoby narodowej kobiety nie nosiły kosztownej biżuterii).



49 fr. Och, to jest piękne!

50 fr. jak należy

51 fr. Och, uspokój się!

52 fr. dama do towarzystwa

53 Inaczej kredens – pomieszczenie służące do przechowywania bielizny stołowej, serwisów, srebra stołowego i sztuców. Tam dekorowano potrawy przed ich podaniem na stół.

54 fr. Takie nic!

55 fr. Ma szczęście, że takie nic.

56 Dama dworu na dworze cara rosyjskiego.

57 łac. z drugiego małżeństwa (nazwisko)

58 fr. mówiąc między nami

59 Urzędnik dworski zajmujący się administracją majątku.

60 Jakub Szela (1787–1866) – gospodarz ze wsi Smarzowa w Małopolsce, przywódca krwawej rebelii chłopskiej. Stał się synonimem bezmyślnego okrucieństwa i ślepej nienawiści. Mordował szlachtę małopolską na rozkaz władz austriackich i tym przyczynił się do upadku rewolucji krakowskiej (1846), gwarantującej chłopom uwolnienie od pańszczyzny i wolność. Tak zwaną rabację galicyjską i postać Szeli przedstawia Stefan Żeromski w dramacie Turoń.

61 Pod Beresteczkiem w 1651 roku Polacy pod wodzą króla Jana Kazimierza Wazy pokonali wojska kozacko-tatarskie dowodzone przez Bohdana Chmielnickiego.

62 Pod Ostrołęką w 1831 roku rozegrała się krwawa bitwa z armią rosyjską dowodzoną przez gen. Dybicza, zakończona klęską wojsk polskich walczących pod dowództwem gen. Skrzyneckiego.

Dzień świętych Piotra i Pawła wstał ciepły i słoneczny, pachnący jaśminem i różami rozkwitającymi w ogrodzie. Przed dwór sarnicki, odświeżony i ozdobiony girlandami z zieleni, od samego rana zajeżdżały powozy, bryczki i jeźdźcy na rasowych wierzchowcach. Na ganku, pod oplecionymi bluszczem kolumnami, gospodarze witali przybywających gości. Sprowadzona z miasta orkiestra stroiła instrumenty. Służący roznosili na tacach buliony, kawę, wino, zakąski, ciasta i lody. Przez zielone trawniki szły dziewczęta w pastelowych krynolinach, z kwiatami we włosach, szepcząc sobie do ucha sekrety, chichocząc i zerkając zalotnie na wystrojonych kawalerów. W dużym salonie rozsiadły się starsze damy, zajmując kanapy i fotele. Pochylone ku sobie oddawały się ulubionemu zajęciu, szeptem obmawiając Borutyńskich i młodą parę, nie pozostawiając na nikim suchej nitki.

Po południu zaplanowano uroczysty obiad, a wieczorem miał się rozpocząć bal. W kancelarii wuja był zimny bufet i palarnia. Panowie otaczali stoły zastawione półmiskami z zimnym mięsiwem, pieczonym drobiem i dziczyzną, wędlinami, różnymi rybami, ostrymi zakąskami i misami kawioru. Pękały majonezowe polewy sałat, strzelały korki od szampana, a niektórzy panowie mieli już dobrze w czubie. Opowiadano sobie półgłosem pieprzne dowcipy, nagradzane śmiechem i oklaskami. W gronie družbów w strojach polskich stał pan młody, wysoki blondyn z przerzedzonymi nad czołem włosami. Miał senne bladoniebieskie oczy i pełne zmysłowe wargi. Jak na mężczyznę w średnim wieku usposobienie miał chłodne, zupełnie pozbawione poczucia humoru. Pił dość dużo i był już lekko wstawiony.

Przyszłego męża Binia знаła krótko. W czasie kilkudniowych wizyt w Sarnikach zachowywał się bez zarzutu, obsypując narzeczoną kwiatami, słodyczami i upominkami. Na zaręczyny dostała śliczny pierścień z dużym brylantem. Ładnie deklamował wiersze, dobrze jeździł na koniu, był pełen galanterii i przed młodą narzeczoną roztaczał urokliwy obraz życia we dwoje. Binia go nie kochała, ale lubiła. Był flegmatyczny i oszczędny, jak większość Wielkopolan, ale cechy te były raczej zaletą niż wadą. Posiadał znaczny znakomicie zagospodarowany majątek w pobliżu Gniezna i był dość przystojny. Czego więcej mogła oczekiwać?

Z grona młodzieży Edward natychmiast wyróżnił Jasia i Tadeusza. W czasie długich konnych spacerów prowadził z nimi poważne rozmowy, tłumacząc im działalność opozycji ziemiańskiej w Wielkim Księstwie

Poznańskim. Ze zdumieniem dowiedzieli się, że w Wielkopolsce opozycja jest zupełnie legalna. Nikt tam nie konspiruje, bowiem jak ognia obawiano się niekontrolowanego wybuchu zbrojnego. W zaborze pruskim Polacy mieli w niemieckim parlamencie swoich przedstawicieli i głośno mówili o tym, co im się nie podoba. Taka ugodowość Wielkopolan budziła w Jasiu i Tadeuszu Siekielskim zdumienie, a nawet niechęć, ponieważ obaj byli zwolennikami powstania zbrojnego.

Przed ślubem Binia uparła się, żeby pierwszą druhną była Nina w parze z hrabią Klonowieckim. Ciotka Maria protestowała, zamierzając dać kuzynowi druhnę z liczącej się rodziny, pewnie swoją ulubienicę Dorotę Jabłocką, lecz Binia nie ustąpiła i postawiła na swoim. Świerczyński także był niezadowolony, mając narzeczoną za złą, że zadaje się z ubogą krewną. Nie wtrącał się jednak, żeby nie drażnić Bini, ale zapewnił teściową, iż w przyszłości postara się ograniczyć do minimum stosunki żony z panną Nałęczowską.

Nina już od świtu była na nogach, doglądając w kuchni poczęstunku dla gości i obiadu na sto osób. Narzuciwszy na siebie obszerny fartuch, w laczkach na gołych stopach i rogatych papilotach na głowie, niestrudzenie krzątała się po kuchni, spiżarni i pokoju kredensowym, dokąd wpadali spoceni służący i porywali przygotowane tace z półmiskami, filiżankami i kieliszkami z winem. W kuchni panował piekielny upał. Dygotały stolnice pod gwałtownymi ruchami wałków, a na olbrzymim piecu gotowały się i dusiły potrawy. Pachniała smażona cebulka, koper i świeże warzywa. Nina, doprawiając majonez maleńkimi korniszonami, układała plan pracy, która ją jeszcze tego dnia czekała. Ocierając pot z czoła, podrygiwała w takt dolatującej z ogrodu muzyki. Cieszyła się na wieczorny bal w nadziei, że zatańczy z hrabią choć jednego walca. Jej karnecik zapisany był do ostatniej stroniczki, a młodzi panowie przyjeżdżali do Sarnik, aby zamówić u niej tańce na weselnym balu.

Obok, w pokoju kredensowym, niania rozmawiała z ciocią Salomeą, przybyłą z Jasiem na ślub z Warszawy. Starsza pani nudziła się w salonie i przyszła pomóc Jadze. Obie układały na kryształowych paterach owoce i nakładały do porcelanowych miseczek galaretki owocowe, dekorując je bitą śmietaną i kandyzowanymi winogronami.

Przed południem do kuchni wpadł zadyszany lokaj, przynosząc pustą tacę, i poprosił Ninę do jaśnie panienki. Tradycyjnie panna młoda nie pokazywała się gościom aż do chwili błogosławieństwa. Chyłkiem, schodami dla służby,

Nina pobiegła na piętro. Weszła do sypialni nowożeńców i zatrzymała się w progu. Pokój tonął w kwiatach. W wysokich kryształowych wazonach stały bukiety białych róż, girlandy różane oplatały kolumnienki łoża, zasłanego atlasową kapą puszystą od koronek i tiulów, białe kokardy przystrajały poduszki na kanapce i fotelikach oraz baldachim łoża. Na środku błękitnego dywanu stała Binia, bosa i zdenerwowana, w przepięknej sukni ślubnej. U jej stóp pełzały na kolanach trzy szwaczki, mozolnie fastrygując obręb szerokiej krynoliny. Na widok Niny panna młoda odepchnęła szwaczki i rzuciła się do niej ze łzami w oczach.

– Spójrz tylko! – wykrzyknęła z rozpaczą. – Suknia za długa! Widzisz? Przewróć się na środku kościoła przez tę przeklętą kieckę. Nawet do jutra nie zdołamy jej przyfastrygować.

Szwaczki w poczuciu winy pospuszczały głowy, nie śmiejąc się odezwać. Suknia rzeczywiście była za długa, a orszak weselny wyruszał do kościoła za trzy godziny. Nina obejrzała śnieżną toaletę i z namysłem ściągnęła brwi.

– A dlaczego panny uparły się skracać suknię dołem? Wydaje mi się, że wystarczyłoby podwinąć ją przy szarfie. Nikt tego nie zauważy, a potem się poprawi.

Zatroskane twarze szwaczek aż się rozpromieniły, a Binia z głośnym piskiem rzuciła się Ninie na szyję.

– Och, najmiłsza, jakaś ty mądra! Oczywiście, to jedyne wyjście. Za godzinę suknia będzie gotowa.

Przy pomocy szwaczek zdjęła z siebie suknię i w samych pantalonach, obszytych brukselską koronką, w webowym<sup>63</sup> staniczku oraz atlasowym gorsecie stanęła przed lustrem. Przeginając się i okręcając, przypatrywała się sobie z upodobaniem. Nina przycupnęła na skraju aksamitnego fotelika, ocierając fartuchem wilgotne czoło. Binia w tafli lustra dostrzegła jej zaczerwioną od ognia twarz i przybrudzony fartuch. W jednej chwili spoważniała, a w jej błękitnych oczach zapłonął gniew.

– Rodzice to już zupełnie wstydu nie mają! – powiedziała po francusku, nie życząc sobie, aby zrozumiały ją szwaczki. – Właśnie dziś matka kazała ci się zająć kuchnią? Przecież wuj Aleks proponował własnego kuchmistrza! O, mam tego dosyć!

Zapominając zupełnie o swym oszczędnym stroju, podbiegła do okna i wychylając się do połowy, zawołała ojca. Wuj Ksawery wyszedł na ganek i zadarł głowę.

– Papciu, gdzie mama?

– Matka bawi w salonie gości, nie przeszkadzaj jej.

– Jednak niech papcio poprosi mamcię do mnie.

Ciotka Maria, sapiąc, weszła na piętro i rzuciwszy okiem na córkę, zaraz znalazła powód do surowej uwagi.

– Dlaczego stoisz w samych pantalonach? To nieprzyzwoite, włoż peniuar. Czego chcesz ode mnie?

Binia, jakby nie słysząc słów matki, z rozmachem klapnęła na kanapkę i nonszalancko założyła nogę na nogę. Nie chcąc, by obcy ludzie byli świadkami rodzinnej sceny, uprzejmie zwróciła się do szwaczek:

– Może panny przejdą do garderoby i tam dokończą skracanie sukni. Służący zaraz przyniesie słodycze i coś do picia. – Dopilnowała, żeby szczelnie zamknęły za sobą drzwi, i z westchnieniem wskazała palcem na Ninę. – Obawiam się, że mama zamierza skompromitować nas dziś przed gośćmi. Tak wygląda moja pierwsza druhna!

– Przecież mówiłam ci, żebyś wybrała inną pannę.

– To jest moja siostra! Nie życzę sobie, żeby w takim dniu wyglądała jak kopciuch.

Ciotka Maria spojrzała na Ninę z wyraźnym niesmakiem.

– Czemu nie jesteś w kuchni? Nikt nie pilnuje kucharki i służby, a oni kradną.

– W kuchni? – prychnęła Binia z narastającą pasją. – Właśnie! Tylko patrzeć, jak przybędą państwo Klonowieccy i nabiorą o nas pięknego wyobrażenia! Moja pierwsza druhna umazana sadzami! Wuj pomyśli, że chcemy mu zrobić afront! Wstydzę się za rodziców! Wszyscy wiedzą, że ponieważ jesteście najbliższą krewną. Może rodzicom nie zależy na opinii ludzkiej, ale mnie tak! Proszę, żeby mama uwolniła Ninę od obowiązków. Życzę sobie tego!

Takim tonem Binia jeszcze nigdy nie zwracała się do matki. Nina przełękła się, że ciotka odegra się na niej. Lecz tym razem pani Borutyńska zachowała kamienny spokój. Chłodno zwróciła się ku siostrzenicy i skinęła głową.

– Idź do swego pokoju, przebierz się i zejdź do salonu.

– Dziękuję cioci – szepnęła Nina i odetchnęła.

– Nie ma za co. – Ciotka Maria skrzywiła się złośliwie. – Jutro opuścisz Sarniki.

Nina oniemiała i patrzyła na nią z przerażeniem i niewiarą.

– Jutro? Dlaczego? A dokąd ja mam iść, ciociu? – pytała, drżąc na całym ciele.

– O to spytaj pana hrabiego. Teraz on jest twoim opiekunem – oświadczyła ciotka uszczypliwie i nie obdarzywszy dziewcząt ani jednym więcej spojrzeniem, wyszła z szelestem amarantowej sukni, bardzo zadowolona wywołanym wrażeniem.

– O czym mama mówiła? – zdziwiła się Binia. – Gdzie ty masz jechać?

Nina z rozpaczą chwyciła się za głowę.

– Nic nie wiem! Nikt mnie o zdanie nie pyta. Wszystko się załatwia poza moimi plecami, jakbym była martwym przedmiotem. Jezu, co teraz ze mną będzie? – Wysiąkała nosek w róg fartucha.

Binia objęła ją i ucałowała w przybrudzony sadzą policzek.

– Nie widziałaś, że mama była wyraźnie w złym humorze? Coś się jej nie udało. O, jestem pewna, że wuj obmyśli coś dobrego dla ciebie. A gdyby ci było źle, zaraz do mnie napisz. Gdy wrócę z podróży poślubnej, zabiorę cię do Świerszczyn. Idź, przebierz się, złotko, a ja na chwilę się położę. Bogu dzięki, że wkrótce obie opuścimy ten dom. – Ziewnęła, przetarła klejące się powieki i wyciągnęła się na kanapce.

W pokoiku na facjatce Nina zrzuciła przepocony fartuch i krzątała się w samej płóciennej koszulce, uszczęśliwiona, że ciotka nie wpakowała jej lokatorki w czasie wesela. Widocznie uznała, że pokój nie nadaje się dla gościa. Rozważając słowa ciotki, naląła do miednicy chłodnej wody z dzbanka i umyła się starannie, po balowemu. Woda przyjemnie odświeżyła jej zgrzane ciało. Po kuchennym hałasie rozkoszowała się samotnością i marzyła, żeby nareszcie znaleźć się w takim miejscu, które naprawdę stanie się dla niej domem rodzinnym.

Stojąc naga, jak śliczny posążek z alabastru, usiłowała obejrzeć się w lusterku, ale w mętnej wypełzłej tafli niewiele można było zobaczyć. Z gniewem cisnęła stare lustro do szuflady. Ciotka Maria tępiła u niej każdy przejaw próżności, ostrzegając, że pewnego dnia zobaczy w lustrze diabła! „Z pewnością wolałabym czasem zobaczyć diabła niż ciotkę Marię! – myślała. – Ciekawa jestem, co pan Alek postanowił? Pewnie był tu wczoraj i rozmawiał z wujostwem, gdy obie z Binią pojechałyśmy do spowiedzi”. Buntowała się, że musi ulegać woli dorosłych i iść tam, gdzie jej każą, ale dla Aleksa poszłaby nawet piechotą do piekła.

Uklękła przy łóżku i przeżegnawszy się, powiedziała tak głośno, jakby się obawiała, że Pan Bóg jej nie dosłyszcy:

– Spraw, miłosierny Panie, żebym nie musiała tułać się po świecie i była blisko pana Alka. A za pokutę możesz policzyć mi sto tysięcy lat czyśćca! Amen! – Uznała, że taka pokuta za możliwość widywania hrabiego będzie dla Pana Boga uczciwym interesem.

Pomodliwszy się, wzięła grzebień i zaczęła rozczesywać długie gęste włosy. Poprzedniego wieczoru niania zwilżyła je wodą z cukrem, nakręcając na papiloty. Sycząc z bólu, szarpała je z całej siły, mamrocząc, że wolałaby wyłysieć niż tak cierpieć. Rzuciła okiem na zegar i stwierdziła, że na toaletę pozostało jej niewiele czasu. Na łóżku leżała wyprasowana suknia. Ulegając prośbom Bini, ciotka pozwoliła jej wybrać sobie materiał na toaletę weselną. Zaraz wpadł jej w oko kremowy muślin, delikatny i powiewny. Przy pomocy szwaczki i niani uszyła sobie prawdziwie letnią kreację. Suknia miała duży kwadratowy dekolt z koronkową bertą i króciutkie rękawki z kilku falbanek. Spódnica, mocno marszczona i zakończona trzema falbanami, rozkładała się szeroko. Bardzo się Ninie podobała, choć ciotka dla oszczędności nie sprawiła jej już sukni balowej.

Wkładając świeżą bieliznę, marzyła o przyszłości. Marzenia nic nie kosztowały i były jej główną rozrywką. Będąc jeszcze dzieckiem, modliła się, żeby szybko nie zasnąć, i w nocnej ciszy uciekała w krainę fantazji. Przytłoczona tragicznymi wydarzeniami, stworzyła sobie własny świat będący jej azylem, ucieczką od ponurej rzeczywistości. W Sarnikach i na pensji, leżąc w łóżku, przeżywała wyimaginowane przygody, zawsze kończące się szczęśliwie. Stawała się bohaterką niezwykłych awantur, będących odbiciem przeczytanych ukradkiem książek. W jej magicznym świecie nie istniały śmierć i rozłąka. Czasami nawet w ciągu dnia próbowała się wcielić w wymyśloną postać, grając przed lustrem jakąś scenkę. Kiedy tak stała zagapiona, zwykle jak spod ziemi wyrastała ciotka Maria i przywoływała ją do przytomności za pomocą kilku bolesnych klapsów.

– Powiedz mi, dlaczego tak się wpatrujesz w to lustro, jak sroka w kość? – pytała zaintrygowana. – Widzisz tam coś ciekawego?

– Ja... tylko się tak bawię, ciociu – zwierzyła się Nina nieostrożnie i zaraz pożałowała swojej szczerości.

– Oszalałaś, dziewczyno! – Ciotka popatrzyła na nią z politowaniem i wzruszyła ramionami. – Spójrz do lustra! Jesteś ruda, blada, chuda jak szczapa! Przyjemnie ci patrzeć na siebie?

Dziewczynka spuszczała głowę, zacinając się w milczeniu, albo wybuchała płaczem. Nie próbowała nawet wyjaśnić ciotce, że w lustrze

zamiast siebie widzi promienną piękność. Kiedy poznała wuja Aleksa, zaczęła marzyć, żeby choć raz pokazać się na balu w szmaragdowej sukni i kolii ze szmaragdów. Może wtedy pan Alek zwróciłby na nią uwagę i przestał ją traktować jak małe dziecko. „E, nic z tego nie będzie – stwierdziła z goryczą. – Jestem beznadziejną idiotką!”.

Do drzwi zapukała Zuzka, pokojówka Bini, i pomogła jej zasnurować gorset, a nawet uczesać włosy w długie francuskie loki. Narzuciwszy na siebie szlafroczek, Nina udała się do pokoju siostry, żeby asystować przy toalecie panny młodej. Ciotka ze łzami w oczach upinała na głowie córki welon z cieniutkiej jak mgła koronki. Pod wieniec włożyła złotego dukata z Matką Boską oraz szczyptę soli i cukru na szczęście. Nina, układając fałdy ślubnej krynoliny, naraz uprzytomniła sobie, że nazajutrz Binia odjeżdża i nigdy już nie wróci do rodzinnego domu jako beztroska panienka. Wyobraziwszy to sobie, rozplakała się na cały głos. Zawtórowały jej trzy szwaczki, pół płacząc, pół śpiewając, jak to czynią prości ludzie na wiejskich weselach. Panna młoda trzymała się dzielnie, lecz widząc dookoła twarze zalane łzami, ukryła głowę w fałdach spódnicy matki i także zaczęła szlochać. Pierwsza opanowała się pani Borutyńska i sięgnąwszy po puderniczkę oraz puszek łabędzi, dyskretnie przypudrowała policzki Bini ryżowym pudrem.

– Nie płacz, bo będziesz miała czerwone oczy – ostrzegła, poprawiając jej na głowie przekrzywiony wieniec z kwiatów pomarańczowych.

Nina wróciła do siebie, aby dokończyć toaletę. Zuzka pomogła jej narzucić kilka sztywnych halek ozdobionych haftem angielskim i falbanami. Potem włożyła suknię, a pokojówka zapięła jej na plecach obcisły stanik. Na szczęście Nina miała ładny biust i nie musiała używać wkładek, jak chuda Dorota. Zawiązała w talii szarfę z brązowego aksamitu i szybko zmieniła laczki na jedwabne pantofelki pod kolor sukni. Na ręce wciągnęła długie kremowe rękawiczki z koronkowym manszetem, a na przegubie zawiesiła wachlarz z cennej weneckiej koronki i kości słoniowej.

Pokojówka przypatrywała się jej, zafascynowana całą ceremonią.

– Ojej, jak panienka ślicznie wygląda! Może nawet ładniej od panny młodej – chwaliła, obchodząc Ninę i wygładzając fałdy. – Ale szyja goła.

Nina przyznała jej rację i sięgnęła do hebanowej szkatułki, gdzie przechowywała swoje pamiątki. Wydobyła z niej safianowe pudełko, w którym leżał duży krzyż ze złota i rubinów. Był to wspaniały klejnot, bardzo kosztowny, roboty amsterdamskich złotników. Ten krzyż i wachlarz z kości



słoniowej należały niegdyś do matki Aleksa. Oba te przedmioty Nina otrzymała od niego w prezencie na swoje szesnaste urodziny, będące zarazem dniem jej imienin. Stara pani wojewodzina, ujrawszy krzyż na jej szyi, załamała ręce.

– Na litość boską! – wykrzyknęła z przerażeniem. – Kto daje młodziutkiej pannie rubiny? To przecież przepowiednia wielkiej rozpaczy! Ach, ten Oleś! Ja mu zaraz powiem, niech odbierze ten krzyż i ofiaruje ci jakiś inny klejnot.

Ale Nina nie była przesądna i nie myślała rozstawać się z prezentem od Aleksa. Wpatrując się w lustro, poprawiła wiszący na szyi krzyż i zeszła do salonu. Wynajęci muzycy zagrali poloneza, a w szeroko otwartych drzwiach ukazała się panna młoda, prowadzona przez rodziców. W obłokach śnieżnej koronki, gazy i atłasu wyglądała prześlicznie, płynąc lekko po posadzce w atłasowych pantofelkach. Wuj Borutyński sprawiał imponujące wrażenie, w czarnym aksamitnym kontuszu przepasanym bezcennym pasem słuckim<sup>64</sup>. Lewą rękę wspierał na rękojeści szabli, usianej drogimi kamieniami. Spod kontusza widoczny był purpurowy żupan, zapinany na brylantowe guziczki. Ciotka Maria też aż skrzyła się od rodowych brylantów. Za panną młodą postępował szereg druhen w pastelowych krynolinach z bukietami kwiatów w dłoniach, a przy pannach szli družbowie, panicze z najlepszych rodzin, również w bogatych kontuszach i przy szabli.

Błogosławieństwo trwało krótko, bo nadszedł czas wyjazdu do kościoła. Czekano tylko na przyjazd Klonowieckich, którzy jak na złość się spóźniali. Ciotka Maria raz po raz spoglądała na zegar, gdyż pragnęła pochwalić się przed gośćmi swoją arystokratyczną rodziną. Ponadto zależało jej na prezencie ślubnym. Poprzedniego dnia przyjechała Paula, wyjątkowo jako mężatka zaproszona na dziewiczy wieczór, ale siedziała dziwnie osowiała i zabawiwszy niecałą godzinę, wymówiła się migreną i powróciła do Makowa. Wuj Borutyński już chciał posłać konnego do pałacu, lecz w tej chwili zatoczyła się przed ganek wytworna czarna, błyszcząca lakierem kareta, wybita w środku białym atłasem, a za nią elegancki otwarty powóz, w którym siedzieli hrabia i hrabina. Karetę pożyczył wuj Aleks państwu młodym do ślubu. Był to najmodniejszy ekwipaż świeżo zakupiony w Wiedniu.

Hrabia wysiadł pierwszy i podał rękę żonie, która jakby z obawą postawiła na stopniu małą stopę. Była blada, lecz wyglądała zachwycająco w atłasowej toalecie paryskiej w kolorze orange, haftowanej srebrem. Na szyi skrzył się diamentowy naszyjnik, a w uszach lśniły diamentowe kolczyki.

Uśmiechnęła się, lecz obserwująca ją z niechęcią Nina natychmiast spostrzegła, że oczy Pauli były nienaturalnie rozszerzone i jakby szklane. Pani wojewodzina posłała Pauli ostre spojrzenie i zacisnęła wąskie wargi, podając jej końce palców. Tylko na czole chrzestnego syna złożyła czuły matczyzny pocałunek.

– Co z nią? – szepnęła mu do ucha.

– Już dobrze – odrzekł półgłosem i wprowadził żonę do salonu.

Borutyńscy powitali ich owacyjnie. Aleks uznał za stosowne przeprosić za spóźnienie.

– Prosimy o wybaczenie, lecz rano Paula poczuła się nieco niedysponowana – rzekł i obejrzał się na żonę, roześmianą i otoczoną rojem czarnych fraków.

Rozpromieniona ciotka Maria patrzyła na duże pudła wnoszone przez służących. Mieściły się w nich wspaniałe srebra stołowe. Borutyńscy aż zachłystywali się radością, dziękując wylewnie Pauli, a dopiero potem hrabiemu. Binia najpierw serdecznie ucałowała wuja, Pauli złożyła jedynie powściągliwy ukłon, i to dopiero w drugiej kolejności. Świerczyński nie znał hrabiny, bo powróciła z zagranicy przed samym ślubem. Jej olśniewająca uroda i paryska elegancja zrobiły na nim wielkie wrażenie. Tego dnia Paula była szczególnie piękna, choć twarz miała zmęczoną i bladą. Przy powitaniu podała panu młodemu wypielęgowaną dłoń, spoglądając na niego z wyraźną kokieterią. Ośmielony, pochylił się do przodu i zuchwale zajrzał w jej oczy. Hrabina opuściła długie rzęsy, a na jej czerwonych wilgotnych wargach zaigrał tajemniczy uśmiezek. Świerczyńskiemu ciarki przebiegły po krzyżu i postanowił trzymać się od niej z daleka.

Tymczasem Aleks wyjął z eleganckiego pudła przepiękny bukiet róż i podszedł do Niny, rozmawiającej z Zosią Syrwin.

– Panie są dziś tak czarujące, że udziałem nas, mężczyzn, może być tylko poddanie lub co najwyżej nadzieja na łaskawe wejrzenie – rzekł, wręczając bukiet Ninie. – Żałuję, Nino, że masz takiego nieciekawego družbę jak ja.

– Pan hrabia nie mówi tego poważnie – szepnęła Zosia. W błękitnej jedwabnej krynolinie i w perłach na szyi była po Ninie najpiękniejszą panną i sprawiała wrażenie delikatnego kwiatu. – Nikt tutaj nie może równać się z panem hrabią.

– Jestem bardzo zobowiązany za miłe słowa. – Złożył jej ukłon.

– Powiedziałam tylko prawdę. – Zosia się zarumieniła i śpiesznie dodała:

– Przepraszam, Binia mnie woła! – Dygnęła i lekko pofrunęła przez salon.

Aleks odprowadził ją wzrokiem.

– Urocza panienka. Ale ja nie powiedziałem ci jeszcze, Nino, że wyglądasz przepięknie.

– Dziękuję, panie Alku. O, jaki śliczny bukiet! – Przycisnęła kwiaty do piersi. Były to długie wpeł rozkwitłe kremowe pąki róż, przewiązane wstążką tej samej barwy co jej suknia. – A ja już się obawiałam, że przydarzyła się państwu jakaś zła przygoda.

– Paula źle się poczuła. Ja mam żelazne zdrowie i nigdy nie choruję. Obiecałaś mi walca, czy tak?

– O, dla pana zarezerwowałam kilka tańców.

– Żałuję, promyczku, ale na balu nie będę. Musimy wcześniej wrócić do domu.

– Koniecznie? – Nina posmutniała i podniosła na niego oczy przezroczyście jak kryształ. – Dziś ślub Bini. Będzie jej przykro... i mnie także – odważyła się szepnąć.

– Uwierz mi, że tak będzie lepiej. Ale zdążymy porozmawiać, bo mam ci wiele do powiedzenia.

– Ciotka wspominała, że wczoraj rozmawialiście państwo o mojej przyszłości. – Nina pobladła i spojrzała na niego z obawą. – Tak się czegoś boję!

– Pragnę, żebyś była szczęśliwa, uwierz mi. – Złożył na jej rączce lekki pocałunek.

Ich rozmowa zwróciła uwagę siedzących na kanapie dam. Paula uniosła czarne brwi i patrząc na męża, odezwała się półgłosem:

– Doprawdy wzruszające. Widać, że ta panienka bardzo ceni sobie związki rodzinne.

– Rzeczywiście. To sympatyczna cecha charakteru Niny – zgodziła się ciotka wiele znaczącym tonem.

– Dosyć! – ucięła surowo wojewodzina. – Zostawcie to dziecko w spokoju. Maryniu, przypominam ci, że to twoja siostrzenica!

Pani Borutyńska poczerwieniała i obrażona wstała z kanapy. Tłumacząc się obowiązkami gospodyni, pośpiesznie wyszła z salonu. Rozległ się marsz weselny, a karetę państwa młodych otoczyła banderia drużbów z obnażonymi szablami, siedzących na rasowych koniach i tworzących eskortę honorową.

Nina podziękowała Bogu, że Paula wymówiła się zmęczeniem i pozostała we dworze. Dzięki temu to ona siedziała teraz w powozie przy boku wuja,

mając naprzeciwko Zosię i Jasia. Czowała się taka szczęśliwa, że obdarzyła uśmiechem starego stangreta sztywno siedzącego na koźle, młodego lokaja z zadartym nosem i wspaniale cztery araby ciągnące powóz. Otworzywszy parasolkę, patrzyła z zachwytem na Aleksa. Zdjął jedwabny cylinder i nadstawił twarz ku słońcu. Miał na sobie wytworny popielaty frak i białą atlasową kamizelkę. Pasemko jego złotych włosów powiewało na wietrze. Nina westchnęła i spochmurniała, przypomniawszy sobie, z jaką fałszywą miną Paula mierzyła ją wzrokiem. „Niestety, z taką boginią nie mogę mierzyć się urodą” – myślała z goryczą. Podskoczyła, wyrwana z zamyślenia, kiedy Jaś dotknął jej policzka.

– Śpisz, kotku, jak zając z otwartymi oczami?

– Nie. Po prostu podziwiam piękne widoki. Chyba nie ma piękniejszej ziemi niż nasze Góry Świętokrzyskie.

– Naprawdę? – zaśmiał się Jaś. – Szkoda, bo chciałem ci zaproponować podróż do Włoch.

– Widzę, że po chorobie wrócił pan do zdrowia, bo i humor panu dopisuje – zauważył Aleks.

– Owszem. Goło, ale wesoło, jak powiadają studenci. Ja jestem twardy facet. Nawet kozunie nie potrafili mnie uśmiercić. Przeszkodziła im w tym zbożnym dziele ta oto ruda pannica! – Wskazał palcem na Ninę.

– Jeszcze jeden taki miły komplement, a cię uśmiercę! – zagroziła.

– Tylko żartowałem. – Jaś z łobuzerską miną zsunął biały cylinder na tył głowy. – Naprawdę jesteś zuchem. Pamiętasz, jak kiedyś udało się nam podrzucić ciotce Maryni dwie żaby do łóżka? Wuj wszczął śledztwo, ale winnych nie znalazł. W końcu doszedł do wniosku, że żaby wlażyły przez okno. Tymczasem Nina, podając ciotce zioła, ukryła w kieszeni dwie dorodne ropuchy.

Panna Syrwin i Aleks zgodnie wybuchli śmiechem.

– Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ciotka tak szybko wyskoczyła z łóżka i tak głośno krzyczała – zauważyła Nina niewinnie.

Zosia wstrząsnęła się z obrzydzeniem.

– A fe, ja bym nigdy żaby do ręki nie wzięła.

Jaś mrugnął z chytrą miną.

– Właśnie na to liczyliśmy! Nina jest jedyną znaną mi panną, która nie boi się ani żaby czy myszy, ani nawet nietoperza!

– Ani kozaków – dorzucił Aleks, posyłając jej uśmiech. – To już koniec studiów, panie Janku?

– Już bliżej niż dalej. Potem czeka mnie tylko doktorat. Cieszę się, bo od pana doktora Chałubińskiego otrzymałem propozycję asystentury. Będę miał dużą praktykę w szpitalach.

– W takim razie pozostaje tylko rozejrzeć się za jakąś posażną panną. – Hrabia spojrział na niego, lekko unosząc brwi.

– Oj, chciałyby dusza do raju, ale grzechy nie puszczają – odparł Jaś z żalną miną. – Chyba już zostanę starym kawalerem.

– Phi! – prychnęła Zosia. – Też masz dylemat! Z pewnością w Warszawie bałamucisz co ładniejsze mieszczki.

– Nie zgadłaś. – Jasna twarz Jasia nagle posmutniała. – Mam tylko jedną panią i gdy ona zażąda, trzeba jej wszystko dać.

– Brawo! – wykrzyknęła Zosia z tryumfem. – Słyszeliście państwo? Przyznał się! Mów zaraz, co to za tajemnicza dama.

– Polska – szepnął.

– Och, nie rób z siebie Brutusa. Tadeusz jest także dobrym Polakiem, a jednak się żeni. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

– Nawet bardzo pomaga – stwierdził z powagą Aleks. – Bo mnoży patriotów. Ale pan Jaś widocznie pragnie służyć tylko jednej pani.

Student z powagą skinął głową i zapadło milczenie.

Pod kołami powozu zgrzytał piasek i słychać było parskanie koni. Jadących urzekło piękno krajobrazu roztopionego w blasku czerwcowego słońca. Dzień był upalny, lecz krystalicznie czyste powietrze oraz idący od gór i puszczy rzeźwy powiew wiatru sprawiały, iż nie było duszno. Po niebie wolno płynęły białe puszyste obłoki, przybierając coraz to inne kształty. Wysoko, pod kopułą błękitnego nieba, dzwoniły skowronki. Ziemia aż po skraj horyzontu była łagodnie pofalowana, jakby wzburzone jezioro zastygło nagle w bezruchu. W oddali, za pstrą szachownicą pól, podnosiły się pasma gór porośnięte odwieczną puszcza. Piaszczysta droga wiła się kapryśnie pośród złocących się łąków zbóż, lnu i rzepaku. Na rozstajach stały przydrożne kapliczki, ustrojone w wieńce z polnych kwiatów. Na poboczu drogi rosły rosochate wierzby, grusze polne, derenie i jałowce. Kwitły storczyki i polne róże, a powoje pięły się na przydrożne murki, będące pozostałością po umocnieniach obronnych. Ścieżkami wśród pól szły gromady chłopstwa w świątecznych ubraniach. Kobiety w barwnych strojach wyglądały jak czerwone maki pośród zboża. Na widok nadjeżdżającego powozu chłopci zdejmowali słomiane kapelusze i kłaniali się aż do ziemi. Kobiety

wstydliwie przykucaly, kryjąc za plecami niesione w rękach buty, wdziewane dopiero przed kościołem.

– I pomyśleć – odezwał się naraz Jaś – że w Stanach Zjednoczonych Ameryki od kwietnia toczy się wojna o prawa dla Murzynów. A ja się pytam, kto weźmie w obronę polskiego chłopca, tak okrutnie krzywdzonego i wyzyskiwanego?

– Prawo dla Murzynów to jedynie amerykański chwyt, by zamydlić wszystkim oczy. W rzeczywistości chodzi wyłącznie o władzę nad całością państwa. Północ nie życzy sobie, aby Stany Południowe miały własny rząd. Pan Lincoln nie ma zamiaru dopuścić do stworzenia nowego państwa, zwalczając wybrany w wolnych wyborach rząd Południa. Nie wiem, jak to się ma do głoszonych przez niego haseł o demokracji.

– Ale Murzyni staną się wolni – westchnął Jaś. – A nasi chłopcy?

Aleks spojrział na niego z uwagą.

– Murzyni będą wolni tylko na papierze. – W jego głosie zabrzmiała ironia. – A nasi chłopcy? Przecież jeszcze w lutym zjazd Towarzystwa Rolniczego miał oczynszować chłopów!

– Pan doskonale wie, panie hrabio, że chodzi mi o równouprawnienie ludu i rozdział ziemi dla najuboższych. Chłopców nie stać na kupno gruntu od dziedzica, zaś rząd nie posiada na ten cel pieniędzy. Obaj wiemy, że słuszne skargi rolników uśmierza wojsko carskie wzywane przez dziedziców. W Zabłudowie stu chłopów otrzymało po kilkadziesiąt różeg, ku wiecznej hańbie szlachty!

– A mnie mamusia mówiła – nieśmiało wtrąciła się Nina – że w czasie powstania w Wielkopolsce pod Miłosławiem walczyło mnóstwo chłopów. Tam już dawno zniesiono pańszczyznę, a chłopcy czują się Polakami.

– A wiesz, kto zniósł w Wielkopolsce pańszczyznę?! – zawołał gniewnie Jaś. – Król pruski! Zaborca! Tylko patrzeć jak u nas car zyska dozwoloną wdzięczność chłopstwa i nareszcie wyzwoli ich od roboty na pańskim! Mam serdeczną prośbę do pana hrabiego...

– Chętnie ją spełnię.

– Tu, w Sarnikach, mieszka stary chłop, żołnierz napoleoński. Razem z ojcem wujka Ksawerego i jego bratem brał udział w powstaniu w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym roku. Kula zmiażdżyła mu kolano w bitwie pod Ostrołęką i jest kaleką. Nazywa się Gulak. To człowiek naprawdę godny. Ale wuj Ksawery odebrał darowaną mu dawno temu ziemię i każe

mu przychodzić na odrobek pańszczyzny. Czy może się pan za nim wstawić?

– Obiecuję, że zajmę się tym zaraz po weselu.

– Dziękuję. Wuj wielce pana hrabiego poważa. I jeszcze coś... Gulak ma wyjątkowo zdolnego wnuka. Dzieciak się marnuje, bo dziadka nie stać na szkołę. Dałem chłopcu książki, ale to wszystko, co mogę dla niego zrobić, bo u nas w domu się nie przelewa. Gdyby ktoś zechciał pomóc temu chłopskiemu dziecku...

– Niech mały przyjdzie do Makowa i zgłosi się do nauczyciela w naszej szkole. Jeśli okaże się naprawdę zdolny, wyślę go do Kielc, gdzie już kilku chłopców uczy się w gimnazjum.

Jaś się rozpogodził i mocno uściśnął rękę hrabiego.

Powiał silniejszy wiatr i zmierzwił staranną fryzurę Aleksa. Podniósł prawą rękę, przyglądając potargane włosy. Na jego serdecznym palcu błysnęła gruba złota obrączka ślubna. Za tym błyskiem pomknęła myśl Niny. Ta obrączka symbolizowała jego nierozwalny związek z Paulą. Ta obrączka to przynależność hrabiny do zamkniętego kręgu arystokracji, bogactwo, pałace i mężczyzna, którego Nina bardzo kochała. Aleks bawił się pierścieniem. Może zauważył jej spojrzenie? W jasnym świetle słońca czyste złoto błędnio. Błędnio również twarz Niny, a jej oczy wpatrywały się nieruchomym, uporczywym wzrokiem w jego dłoń i w tym momencie ślub siostry oraz bal przestały mieć dla niej jakiegokolwiek znaczenie.

Stangret i lokaj tak pilnie przysłuchiwali się rozmowie państwa, że niepoganiane konie szły coraz wolniej. Gdy zajechali przed kościół, w drzwiach zakrystii stanęła sama panna młoda, podtrzymując rękami krynolinę.

– Czekamy! – krzyknęła. – Koło wam spadło czy śnieg drogę zawiął?

Jaś objął ją i cmoknął w koniec noska.

– Nie złość się, złotko, jeszcze zdążysz zostać mężatką.

Zagrały organy i ceremonia ślubna się rozpoczęła. Nina nie mogła powstrzymać łez, patrząc, jak Binia spokojnie i pogodnie odpowiadała na pytania księdza, a potem ufnym gestem podała mężowi rękę, żeby mógł jej włożyć na palec obrączkę. Z chóru rozległ się śliczny śpiew Jadwigi Wąsockiej, przy akompaniamencie organów i skrzypiec, na których grał Lasewicz.

Gdy państwo młodzi wyszli z kościoła, na wieży rozległ się głos dzwonu odzywającego się tradycyjnie przy weselach, chrzcinach i pogrzebach

dziedziców Sarnik. Druhny rwały kwiaty z bukietów i rzucały je pod stopy młodej pary. Stangreci strzelali z batów, a wiejskie dzieciaki darły się jak opętane. Rodzice i obaj księża wyprzedzili państwa młodych, aby – jak każe tradycja – powitać ich chlebem i solą na progu rodzinnego domu.

Zaraz po przyjeździe z kościoła Nina pobiegła do kuchni, niespokojna o obiad. Ale Jaga, dyrygująca kucharką i służącymi, posłała jej pogodny uśmiech.

– Wszystko będzie na czas – sapnęła. – Idź stąd, koteczku, bo powalasz suknię. Zajdź do kredensu, pani Salomea chciała z tobą pomówić.

Ciocia Salusia pociągnęła Ninę do ustronnego kąta.

– Marylka wspominała, że masz jechać do Berlina – rzekła, patrząc na nią z niepokojem. – Nie rób tego, dziecko! Lepiej jedź z nami do Warszawy. U starej ciotki nie będzie ci źle, a i dla Jagi znajdzie się wygodny pokój.

Przejęta głęboką wdzięcznością, Nina ucałowała obie jej ręce.

– Nigdy nie zapomnę, że ciocia ofiarowała mi swój dom. Może w przyszłości będę mogła się zrewanżować. Ale do Berlina nie pojedę, bo wuj Aleks sobie tego nie życzy.

– Bardzo się cieszę. Pamiętaj, że w Warszawie nasz dom jest zawsze dla ciebie otwarty. – Pani Salomea pogładziła ją po policzku. – Idź, dziecinko, do salonu i baw się dobrze. Młodemu zawsze przyjemniej z młodzieżą.

W salonie kończono tańczyć mazura. Tadeusz jak zwykle był niezastąpiony w roli wodzireja, a prowadząca z mężem taniec Binia miała zarumienione policzki i błyszczące oczy. Wydawała się szczęśliwa, ale Tadeusz, który poprosił Ninę do walca, w zaufaniu wyraził opinię, że Świerczyński nie zrobił na nim dobrego wrażenia.

– Ta wielkopolska pyra za bardzo zadziera nosa – zawyrokował. – Szkoda, że Binia nie poślubiła jakiegoś chłopca z sąsiedztwa.

Nina miała podobne zdanie, jednak przez solidarność z rodziną wolała nie zabierać na ten temat głosu.

W przerwie pomiędzy tańcami poproszono młodą mężatkę, aby coś zaśpiewała. Binia miała ładny głos i nie dała się długo prosić. Nina zasiadła do fortepianu i zaczęła przeglądać nuty, zastanawiając się nad wyborem pieśni.

– Słonko, zaśpiewaj *Rosła kalina z liściem szerokim* pana hrabiego Komorowskiego – zaproponowała.

Rozpoczęła przygrywkę, a Binia, wzięwszy głęboki oddech, zaczęła śpiewać czystym, dźwięcznym sopranem. Śpiewała w sposób zdolny



poruszyć znudzonych gości. Nina akompaniowała jej dyskretnie, obserwując z narastającym oburzeniem Paulę. Ignorując występ Bini, hrabina rozmawiała, nawet nie ścisząc głosu, z jakimś młodym mężczyzną. Nie tylko nie słuchała śpiewu, ale w samym środku pieśni dał się słyszeć jej śmiech, zbyt głośny, żeby mógł zostać niezauważony. Z twarzy Niny odpłynęła cała krew. Ogarnięta nagłą furią, przestała grać i wstała od instrumentu. Binia również zamilkła speszona. Nie namyślając się, Nina pochwyciła ją za rękę i w pełnej konsternacji ciszy obie opuściły pokój. Dopiero na schodach dogonił je zdyszany Jaś. Zastąpiwszy im drogę, zatrzymał zdenerwowane dziewczęta.

– Na litość boską! – krzyknął, gwałtownie łapiąc oddech. – Nie róbcie skandalu w obecności tylu gości. Sprawicie przykrość panu hrabiemu!

Binia z wahaniem spojrzała na Ninę, ale ona nie zamierzała ustępować.

– Pani hrabina Klonowiecka zachowała się w sposób karygodny! – oświadczyła obrażona. – Zrobiła przykrość Bini, i to w dniu jej ślubu! Jest źle wychowana!

Prychnęła wściekle i tupnęła. Jaś popatrzył na nią z czułością, bo nie potrafił gniewać się na tę śliczną furię. W sukurs pośpieszył mu Aleks, usiłując nieco zbagatelizować naganne zachowanie żony.

– Biniu, serdecznie przepraszam – powiedział, całując obie ręce młodej pani. – Nino, proszę, uspokój się. Mojej żonie jest ogromnie przykro. Zaręczam, że Paula osobiście obie panie przeprosi. Wracajmy do salonu.

Rzeczywiście Paula miała tak skruszoną minę, że Binia udała, iż uważa incydent za niebyły, jednak Nina zapisała sobie w pamięci to wydarzenie. Orkiestra zagrała melodyjnego walca i Świerczyński poprosił żonę do tańca. Przed Niną skłonił się sam hrabia. Popłynęli w prędkich obrotach dookoła salonu, a kiedy walc się skończył, razem wyszli na ganek, a stamtąd do ogrodu. Nina, zmęczona tańcem, szybkimi ruchami wachlarza chłodziła rozpaloną twarz. Była zdumiona, że z ust ciotki Marii nie usłyszała ani jednego słowa nagany i domyśliła się, że ciotka była zadowolona z jej stanowczej reakcji.

Poprzez gęste liście drzew popołudniowe słońce rzucało długie złote strzały na zielone trawniki. Po ścieżkach spacerowały dziewczęta, sprawiając wrażenie kolorowych motyli. Przez szeroko otwarte okna i drzwi salonu dobiegały łagodne dźwięki muzyki, głosy i śmiechy gości. Mijając zakochane pary, doszli do końca ogrodu i usiedli na ławce nad strumykiem. Naraz Ninę opanował taki niepokój i strach, że miała ochotę uciec do

swojego pokoju, wskoczyć do łóżka i nakryć się kołdrą wraz z głową. Doskonale zdawała sobie sprawę, że w tym momencie decydowały się jej losy. Okropnie bała się tego, co za chwilę może usłyszeć z ust wuja Aleksa, ale przez wrodzoną dumę wstydziła się okazać strach. Przybierając pozornie obojętny wyraz twarzy, nerwowo kręciła guziczek przy rękawiczce, jakby chciała go urwać. Oczekiwała z drżeniem jego decyzji; jak skazaniec czekała na wyrok. Jego bursztynowe oczy patrzyły na nią przenikliwie. Czując na sobie ten wzrok, rumieniła się i bladła. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, co się działo w jej duszy, bo ujął jej rękę i mocno uściśnął.

– Rozmawiałem o tobie z Borutyńskimi – odezwał się pierwszy. – Razem doszliśmy do wniosku, że ja mam więcej możliwości, aby zająć się twoją przyszłością. Do czasu twojej pełnoletniości będę twym opiekunem. Promyczku, zaufaj mi. Bardzo zależy mi na tym, żebyś była szczęśliwa.

Jego ciepły uśmiech dodał jej otuchy i nieco uspokoił.

– Dziękuję – szepnęła.

– Posłuchaj, mam dla ciebie trzy propozycje i pozostawiam ci wolny wybór. Możesz jechać do Warszawy. Tam mieszka moja ciotka, pani hrabina Tekla Klonowiecka. Jest wdową, osobą zupełnie samotną i godną najwyższego szacunku. Mówiłem jej o tobie. Ciocia najchętniej zastąpi ci matkę i otoczy troskliwą opieką. Będiesz się tam kształcić u najlepszych profesorów, a dla dokończenia edukacji wyjedziesz z ciocią w roczną podróż za granicę. Co ty na to?

Słuchała go bardzo uważnie, a gdy skończył mówić, na jej buzi ukazał się wyraz rozczarowania. Warszawa? Tak daleko od Makowa? Kto wie, co to za dama ta hrabina? Może ma charakterek ciotki Borutyńskiej, a wtedy trafi z deszczu pod rynnę! Nie należy się spieszyć z decyzją. Postanowiła spokojnie wysłuchać, co wuj Aleks ma jej jeszcze do zaoferowania i dopiero potem zastanowić się nad wyborem.

– Aha. To bardzo interesujące – bąknęła. – A ta druga propozycja?

– W pobliżu Lwowa jest klasztor z pensją dla dziewcząt z najlepszych rodzin. Przełożoną tego klasztoru jest moja krewna. Mogłabyś tam ukończyć naukę, wychodząc stamtąd jako wszechstronnie wykształcona młoda dama.

Ta propozycja zupełnie nie przypadła jej do gustu. Nie była pobożna i nie zamierzała spędzać następnych kilku lat w regule klasztornej, nawet za cenę wyższego wykształcenia, o czym dotąd mogła tylko marzyć. To, co usłyszała, napełniło jej serce goryczą. Nigdy nie znajdzie się blisko obiektu swego uwielbienia. Widocznie on także sobie tego nie życzył i dlatego

chciał umieścić ją daleko, u obcych, obojętnych ludzi. Ogarnęła ją bezbrzeżna rozpacz, a na jej długich rzęsach ukazały się dwie duże łzy. „Czym zawiniłam, mój Boże, że nikt mnie nie chce? – zadała sobie pytanie. – Czy już do końca życia tułać się będę po cudzych kątach, zawsze niepewna przyszłości? Dla wszystkich jestem tylko niechcianym ciężarem”.

– Odniosłem wrażenie, że jak dotąd moje propozycje nie wzbudziły twego entuzjazmu – zauważył cicho Aleks. Pochylił się ku niej i spostrzegł łzy w jej oczach. – Nino, kochanie, dlaczego płaczesz? Chcę tylko twego dobra. A może masz własne plany? Mów śmiało!

– Nie, nie mam – wykrztusiła i smętnie pociągnęła noskiem.

„Mam, och mam! – myślała w tej samej chwili. – Pragnę być przy tobie do końca życia, ale nie mogę ci o tym powiedzieć!”.

– Coś mi się zdaje, że ja nie umiem rozmawiać z młodymi panienkami – zauważył z rezygnacją. – Promyczku, nie rób takiej rozpaczliwej minki, bo już i tak bardzo nisko oceniam swoje zdolności opiekuna. Żałujesz Sarnik? Nie można iść przez życie, oglądając się ciągle wstecz. Do ciebie należy przyszłość! No, nie wiem, jak będzie przyjęta moja trzecia propozycja... A może chciałabyś zamieszkać w Makowie? Pamiętam, że ci się tam podobało.

Nina skamieniała, nie wierząc własnym uszom, i siedziała bez ruchu z rozchyłonymi ustami, wprost porażona nieoczekiwanym szczęściem. Czy to możliwe? Zamieszka razem z nim w pałacu! Pan Bóg jednak raczył wysłuchać jej próśb, mimo iż zwątpiła w Jego miłosierdzie. Jednym skokiem z najgłębszej rozpaczyny przeszła do oszałamiającej radości. Miała ochotę rzucić się mu na szyję, całować jego ręce i krzyczeć na cały głos: „Jadę do Makowa!”, ale dobrze wychowanej pannie nie wolno było uzewnętrzniać uczuć. Choć wszystko w niej kipiało i pragnęła zatańczyć na środku trawnika, siedziała grzecznie z opuszczoną głową i rękami złożonymi na kolanach.

Aleks zmartwił się jej pozorną obojętnością, bo nie miał pojęcia, co może jej jeszcze zaproponować.

– To do Makowa też nie chcesz przyjechać? No to już nie wiem, co mam robić – powiedział bezradnie.

Szał radości, który ją ogarnął, sprawił, że zapomniała o konwenansach. Jak zwykle w momentach uniesienia, machnęła ręką na wymogi *savoir vivre*'u, zdecydowanie je odrzucając i lekceważąc.

– Czy wolno mi wybierać? – upewniła się na wszelki wypadek.

– Oczywiście.

– Naprawdę? – Przycisnęła obie dłonie do mocno bijącego serca. – Panie Alku, ja chcę do Makowa! Tylko tam, nigdzie indziej! – Szczęście odmalowało się na jej twarzy, pokrywając policzki mocnym rumieńcem.

– Cieszę się, że jednak nasze poglądy są zbieżne. – Odetchnął z ulgą. – Tak będzie chyba najlepiej, ale nie chciałem ci niczego sugerować.

– Mój Boże, jestem taka szczęśliwa, panie Alku, i bezgranicznie wdzięczna za pana dobroć! Nawet do głowy mi nie przyszło, że mogę zamieszkać w Makowie – szepnęła z akcentem żarliwego dziękczynienia. – Nie potrafię wyrazić, co czuję, ale dla pana mogłabym spędzić noc na cmentarzu w same Zaduszki!

Roześmiał się serdecznie.

– Aż takiej ofiary nigdy od ciebie nie zażądam, ale miło mi, że jesteś zadowolona.

– Wniebowzięta, panie Alku! – wykrzyknęła spontanicznie.

Rozważała w myślach każde słowo wypowiedziane chwilę wcześniej przez hrabiego i nagle do jej serca wkradł się cień. Uświadomiła sobie, że zamieszka pod jednym dachem z Paulą, której nie darzyła sympatią. Ale pocieszyła się zaraz, że fakt ten nie ma znaczenia wobec szansy spędzenia życia w pobliżu jej ideału. „Nareszcie wyrwę się spod kurateli wujostwa, opuszczę Sarniki i zamieszkam w pałacu! Czy to przypadkiem nie sen?”. Mocno uszczypnęła się w rękę. Zabolało, więc nabrała pewności, że jest to cudowna rzeczywistość.

– A czy pani hrabina również wyraziła zgodę, żebym zamieszkała w Makowie? – spytała, nie patrząc na niego. – Nie jestem pewna, czy nie obraziła się dziś na mnie.

– Nie sądzę, choć twoje *sortie*<sup>65</sup> było dosyć demonstracyjne. Maków należy do mnie i to ja zapraszam cię do mojego domu ze szczerego serca. Paula jest znudzona wsią i cieszy się, że zyska w tobie młode i miłe towarzystwo. Mam nadzieję, że pałac stanie się dla ciebie prawdziwym domem rodzinnym.

– Dziękuję. A ciotka Maria nie była temu przeciwna? Dała się przekonać?

Nie odpowiedział, a na jego ustach pojawił się zagadkowy uśmiech. Nina przez długi czas nie była świadoma, że o jej losie przesądził przepiękny naszyjnik z rubinów ofiarowany ciotce przez ciotecznego brata.

– Powinniśmy już wracać do gości – rzekł, wstając z ławki i podając jej rękę. – Odprowadzę cię, a jutro przyjadę po ciebie i zabiorę do Makowa.

Nie wypuszczając jego dłoni, Nina podniosła ją do ust i ucałowała.

– Do końca życia będę panu wdzięczna – powiedziała, patrząc na niego z uwielbieniem. – Czy mogłabym wyjechać stąd pojutrze? Chciałabym zostać tu do chwili wyjazdu Bini. Potem zaraz się spakuję.

– Nie widzę przeszkód. Pod warunkiem że już nie będziesz się zamartwiać gderaniem ciotki.

– O, teraz już na pewno nie!

Pierwszą osobą, na którą się natknęli, wracając przez ogród, była Paula. Siedząc pod rozłożystym jaworem, rozmawiała z kilkoma panami naraz. Zauważywszy męża, powstała z ławki i podążyła ku niemu.

– Sasza, szukał cię pan Świerczyński – powiedziała, posyłając Ninie miły uśmiech. – Ślicznie wyglądasz, gołąbko. Siedzieliście państwo nad rzeczką? Urocze miejsce, takie zaciszne i chłodne w tym upale.

– Siedzieliśmy! – ostro uciał Aleks. – Panna Nina zgodziła się zamieszkać w Makowie. Może zechcesz jutro zająć się przygotowaniem dla niej apartamentu?

– Naprawdę zamieszkasz u nas? – W czarnych oczach hrabiny zabłysła nieudawana radość. – To znakomicie! Nareszcie w tym wielkim ponurym domu zamieszka ktoś młody i wesoły. Sasza, mówiłam, że pan Świerczyński...

– Słyszałem! – przerwał jej, prawie niegrzecznie. – Idę się pożegnać. – Posłał żonie znaczące spojrzenie. – Pamiętaj, że jesteś niezdrowa i powinnaś odpocząć – rzekł z naciskiem. – Za pół godziny wyjeżdżamy. Nino, do zobaczenia jutro. Baw się dobrze. – Skłonił się, uściśnął jej rękę i odszedł.

– Zaraz przyjdę – wymamrotała Paula uległym tonem, ale jej oczy wyrażały bunt i gniew.

– Nie żał pani balu? – zapytała Nina, kiedy zaczęły spacerować po ogrodzie. Pomyślała, że hrabina wcale nie wygląda na osobę potrzebującą wypoczynku.

– Naturalnie, że żał, ale już pogodziłam się z faktem, że mam męża dziwaka. Nie uwierzysz, jaki on potrafi być apodyktyczny i uparty! Po prostu nieznośny! Nie lubi się bawić, woli siedzieć w bibliotece i wdychać kurz ze starych szpargałów. A ja umieram z nudów! Nie wiem, po co przyjechaliśmy na tę obskurną wiochę. A w Paryżu i Petersburgu było mi tak dobrze.

Podążając wolnym krokiem w stronę stawu rybnego, skarżyła się na osamotnienie i wspominała z tęsknotą rozkoszną egzystencję w wielkich miastach. Z zapalem opisywała wspaniałe uroczystości dworskie, wielkie

bale, maskarady i defilady wojskowe. Zachwycała się beztroskim życiem paryżan i elegancją francuskiego dworu. Z drwiną wysmiewała tutejszych prowincjonalnych casanovów, ośmielających się zalecać do niej, ale już w następnej chwili ubolewała, że sąsiedzi od niej stronili. Obiecywała sobie, że po osiedleniu się Niny w pałacu zaczną nareszcie prowadzić dom otwarty i przyjmować gości.

Nina odniosła niemiłe wrażenie, że Paula była jakaś dziwna. Humor miała tak zmienny, że bez widocznej przyczyny traciła wesołość i popadała w przygnębienie, aby za moment również bez powodu odzyskać dobry nastrój. „Nie rozumiem... – myślała. – Sprawiałam jej zawód, odmawiając schadzki z Woroncewem. Dziś ją obraziłam, wychodząc z Binią z salonu. A mimo to wydaje mi się, że jest szczerze zadowolona z mego przyjazdu do Makowa. Dałabym wiele, żeby dowiedzieć się dlaczego”.

Nad stawem rybnym stała porośnięta chmielem altanka. Siedział w niej wuj Borutyński w towarzystwie obu księży, popijając domowe wino chłodzone w stawie. Mijając altankę, Paula od niechcienia zajrzała do środka i raptownie przystanęła, zapominając o niedawnych skargach.

– Kto to jest? – zagadnęła poruszona. – Ten młody mężczyzna siedzący obok proboszcza?

– Nasz nowy wikary. Nazywa się Rafał Żabiec i przybył do Sarnik w czasie, gdy pani była jeszcze za granicą.

– Doprawdy prześliczny chłopiec – oświadczyła Paula z ożywieniem.

– Przecież to ksiądz. – Nina wzruszyła ramionami. Dla niej duchowni nie mieli płci.

Lecz hrabina już jej nie słuchała, tylko figlarnie zapukała palcem w drewnianą kratę, zaglądając do altany.

– Prosimy, prosimy! – Wuj Ksawery zerwał się z ławki i kłaniając się, wprowadził ją do środka. – Niechże droga hrabina raczy spocząć. O tu, koło mnie! – Zakrzętnął się, robiąc jej miejsce. – Nareszcie napatrzymy się do woli tych śliczności. A może kieliszeczek wina? Zaręczam, jest doskonałe.

– Owszem, poproszę – zgodziła się Paula, siadając naprzeciw obu księży.

Nina usadowiła się przy proboszczu, bardzo niezadowolona z pomysłu hrabiny. Nie lubiła przebywać w towarzystwie wuja i chciała raz jeszcze zobaczyć Aleksa. Tymczasem Paula rozłożyła na ławce atłasową spódnicę i wyglądziwszy ją, zwróciła się do proboszcza:

– Zamierzam wybrać się do księdza dobrodzieja z wizytą. To nie uchodzi, żeby parafianka nie złożyła ofiary na nasz kościół.

– Będzie mi miło. – Proboszcz uprzejmie skinął głową. – Ofiara także jest bardzo wskazana. Przeklęta ta mamona, diabelski wynalazek, ale bez niej ani rusz. Dach w kościele przecieka, bo jakiś niecnota wybił szybę za ołtarzem i w czasie mszy taki przeciąg, że tylko łaska boska utrzymuje mnie jeszcze przy zdrowiu. Cała nadzieja w hojnych parafianach.

– O, jestem pewna, że nikt nie pożałuje grosza na taki zbożny cel. Prawda, kuzynku? – Paula posłała Borutyńskiemu zalotne spojrzenie, udając, iż nie dostrzega jego zmieszania. – Jak to dobrze, że ksiądz proboszcz ma już pomocnika.

Staruszek zawstydził się swojego roztargnienia.

– *Mea culpa!* – Uderzył się w pierś. – Przepraszam, nie przedstawiłem państwa. To mój nowy wikary, Rafał Żabiec, a to pani hrabina Klonowiecka z Makowa.

Paula utkwiała w młodym księdzu błyszczące czarne oczy z dziwnym wyrazem i wyciągnęła do niego dłoń w jedwabnej rękawiczce. Na jej palcach błysnęły brylanty pierścieni. Nina uznała to za dowód złego smaku. Żadna z prawdziwie wytwornych dam nie nosiła pierścionków na rękawiczce.

– *Mon Dieu*, ksiądz taki młody i już wikary? – zdziwiła się Paula. – Winszuję.

Żabiec zaledwie ośmielił się dotknąć jej palców, rumieniąc się przy tym po uszy.

– Doprawdy zazdroszczę księżom tej sielankowej ciszy... – Hrabina westchnęła z rozmarzeniem. – Uwielbiam spokój i niegdyś sama zastanawiałam się, czy nie wstąpić do monas... klasztoru – ciągnęła podniosłym tonem, ku konsternacji Niny pamiętającej, iż przed chwilą dama skarżyła się jej na potworne nudy w tej polskiej wsi zabitej deskami, z dala od wielkiego świata. W rozmowie z Borutyńskim i proboszczem posługiwała się językiem francuskim, lecz do Żabca zwracała się po polsku, okropnie kalecząc każde słowo.

Wikary nie odpowiedział, ale siedząc z nieszczęśliwą miną, posyłał proboszczowi rozpaczliwe spojrzenia i rozglądał się, jakby zamierzał dać drapak. Proboszcz, rozbawiony tym niemym błaganiem o pomoc, nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Pani hrabina raczy wybaczyć, ale ksiądz Rafał nie jest przyzwyczajony do towarzystwa osób z wielkiego świata i krępuje się dam – wyjaśnił.

Paula zrobiła tak niewinną minę, że nawet zając poczułby się przy niej lwem.

– Ależ ja jestem bardzo księdzu życzliwa. Wszyscy tu jesteśmy księdzu przyjaźni – zapewniała.

Żabiec, uspokoiony jej zachowaniem, przewyciężył wrodzoną nieśmiałość i obdarzył ją spłoszonym spojrzeniem.

– Bóg zapłać wielmożnej pani za dobre słowo – szepnął. – W seminarium nie uczą światowych manier. Brak mi ogłady, jestem tylko biednym księdzem, synem prostego chłopa.

– Piękna pokora – pochwaliła. – Ale duszpasterzowi wypada mieć nieco więcej stanowczości i pewności siebie. Powiadają, że każdy żołnierz nosi w plecaku marszałkowską buławę. Zapewne i księża widzą w perspektywie infułę i pastorał biskupi. Czy dobrodzieje grają w szachy?

– Ja gram – oznajmił proboszcz.

– W takim razie zapraszam obu dobrodziejów do mego Makowa! Urządzimy sobie partyjkę wista lub preferansa albo zagramy w brydża. Znajdzie się gdzieś może jakaś butelka maślacza, zapraszam.

„Maków nie jest twój, tylko pana Alka!” – pomyślała ze złością Nina.

– Chętnie przyjadę któregoś popołudnia. – Proboszcz z wdzięcznością przyjął zaproszenie. – Umówimy się na przyszły tydzień.

– Proszę bardzo. Ksiądz wikary także koniecznie musi przyjechać, bo powinien oswoić się z towarzystwem.

– Ale ja nie umiem grać – rzekł Żabiec pokornie.

– To naprawdę nic trudnego. Nauczymy księdza – nalegała Paula. – Prawda, Nino?

– Tak, naturalnie. – Znudzona Nina podniosła się z ławki. – Przepraszam, muszę już wrócić do salonu – powiedziała, dygając.

– Więc idź, moja śliczna, i powiedz Saszy, żeby mi przysłał konie przed północą, bo zdecydowałam się dłużej pozostać w Sarnikach. Kuzynku... – zwróciła się do Borutyńskiego – poproszę o drugi kieliszek wina. Jest znakomite.

Biegając w podskokach do dworu, Nina natknęła się przed domem na Jasia i Tadeusza. Palili papierosy i rozmawiali ze sobą półgłosem. Na ich widok wydała z siebie dziki pisk i rzuciła się na szyję Jasiowi, a potem cmoknęła Tadeusza.

– Misiuniu, Tadziu! – krzyknęła rozpromieniona. – Wuj Aleks zabiera mnie do Makowa! Będę mieszkała w pałacu! Hurra! – Podskoczyła i



popędziła do domu, by podzielić się tą wspaniałą nowiną z Binią i Zosią.

– Ot, koza! – mruknął Siekielski, patrząc za nią z uśmiechem.

Wraz z zapadnięciem nocy w ogrodzie zapalono lampiony, a panie zmieniły w pokojach suknie popołudniowe na toalety balowe. W salonie rozpoczęły się tańce. O północy odprowadzono młodą parę do małżeńskiej sypialni. Tam państwo młodzi polskim obyczajem poczęstowali najszanowniejszych gości wieczerzą cukrową, składającą się z marcepanów, wina i owoców. Po poczęstunku młodą parę pozostawiono samą.

O pierwszej Nina udała się na spoczynek. Była taka zmęczona i senna, że ledwie trzymała się na nogach. Od tygodnia spała tylko po kilka godzin, ale na balu bawiła się wspaniale. Była bez wątpienia najpiękniejszą panną i zasłużenie święciła tryumfy. Nie mogła odżałować, że wuj Aleks tak wcześniej odjechał, choć Paula zdecydowała się pozostać dłużej i wróciła do Makowa dopiero po północy, przedtem odwożąc powozem obu księży na plebanię. Położywszy się do łóżka, Nina natychmiast zasnęła, nie bacząc na dolatujące z salonu rozmowy i dźwięki orkiestry. Lecz sen nie przyniósł jej ukojenia. Dręczyły ją koszmary. W pewnej chwili usiadła na łóżku, cała drżąca, bo wydawało się jej, że słyszy przeraźliwy krzyk. Jakiś czas bacznie nasłuchiwała, czekając, aż głos się powtórzy, lecz w salonie grała muzyka, a pod oknami spacerowali goście, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Uznała, że musiało się jej coś przyśnić i zasłoniwszy głowę kołdrą, mocno zasnęła.

\*\*\*

<sup>63</sup> Weba – cienkie kosztowne płótno lniane.

<sup>64</sup> Bogato zdobiony pas kontuszowy, wyrabiany w Słucku (stąd nazwa). Manufaktury zajmujące się wyrobem pasów, zwane persjarniami, powstały z czasem w: Korcu, Kobylce, Grodnie, Sokołowie, Krakowie i Gdańsku.

<sup>65</sup> fr. wyjście

Przebudziło ją lekkie pukanie. Otworzyła oczy i rozejrzała się nieprzytomnie. Był wczesny świt, a spoza przymkniętej okiennicy padał na podłogę pierwszy nieśmiały promień słońca. Bal się zakończył, bo w domu panowała cisza. Wszyscy goście widocznie już spali. Nina obudzona o świcie zawsze bywała w bardzo złym humorze, widząc cały świat w czarnych barwach. Usiadła na posłaniu, ze zmarszczonymi brwiami, w myślach wysyłając intruza do wszystkich diabłów. Zastanawiała się ponuro, kto dobijał się do drzwi o tak barbarzyńskiej porze. Przyszło jej na myśl, że to ciotka wymyśliła dla niej nowe zajęcie. O, nic z tego! Jutro wyjeżdża do Makowa i więcej nie zamierza wysługiwać się Borutyńskim. Lecz po namyśle doszła do wniosku, że to nie może być ciotka. Z pewnością balowała do rana i niedawno poszła spać. Wobec tego Nina postanowiła udawać, że śpi, i wcale się nie odzywać. Ułożyła się wygodnie, owinęła kołdrą i próbowała ponownie zapaść w sen, jednak ktoś stojący za drzwiami uparcie poruszał klamką. Usiadła, cała zjeżona ze złości.

– Kto tam? – odezwała się zachrypniętym ze snu głosem.

– Otwórz, to ja – pisnął w odpowiedzi cienki głosik.

– Co za „ja”?

– To ja, Binia.

Nina jednym skokiem znalazła się przy drzwiach i przekręciła klucz w zamku. Na progu stała Binia w samej koszulce nocnej, przystępując z nogi na nogę, bo podłoga była zimna, a ona bosa. Nina aż otworzyła usta ze zdumienia na widok pani młodej stojącej w drzwiach i przypatrywała jej się z niedowierzaniem.

– To ty, kochanie? Dlaczego nie śpisz? – spytała, odzyskawszy zdolność mowy.

Ale Binia odsunęła ją bez słowa i weszła do środka, starannie zamykając za sobą drzwi na klucz.

– Najmilsza, co się stało? Gdzie twój mąż? Och, nie stój boso, bo się przeziębisz. Weź moje pantofle albo lepiej chodź do łóżka.

Binia jak somnambuliczka zrobiła kilka kroków i runęła twarzą na łóżko, wybuchając strasznym płaczem. Zatykając sobie usta poduszką, zanosila się krzykiem i łkaniem. Nina stała nad nią blada, z zaciśniętymi pięściami i nie wiedziała, co ma robić. Oprzytomniawszy, zaczęła uspokajać szlochającą Binię, gładząc ją po głowie i całując po rękach. Ale ona nie mogła się uspokoić i tak szlochała, jakby duszę chciała wypłakać. Nina zastanawiała się gorączkowo, czemu zawdzięcza wizytę młodej mężatki o świcie, i to w

stanie krańcowej rozpacz. Próbowwała przemyć jej twarz chłodną wodą, lecz ona ciągle odwracała od niej głowę, wciskając twarz w poduszkę. Poprzestała więc tylko na otarciu jej szyi i ramion wilgotnym ręcznikiem, a potem przytuliła ją mocno do siebie, szepcząc do ucha słowa otuchy i podsuwając sole trzeźwiące. Z wolna łkania cichły i Binia jeszcze tylko wzdychała spazmatycznie, pociągając czerwonym z płaczu noskiem.

– Najdroższa, powiedz mi wreszcie, co się stało – dopytywała się Nina, wstrząśnięta jej rozpaczą. – Umieram z niepokoju. Dlaczego płaczesz? Gdzie twój mąż?

Binia wolno uniosła głowę, otarła mokre policzki i odgarnawszy z czoła potargane włosy, odezwała się chrapliwym, zupełnie obcym głosem:

– Nie dotykaj mnie! Przy tobie czuję się nieczysta... cuchnąca, brudna jak świnia!

– Jezus Maria! – jęknęła Nina. – Co ty mówisz? Dlaczego nie mam cię dotykać? Boże, czy ja w końcu dowiem się od ciebie, co ci się przydarzyło? Ktoś cię skrzywdził? Musisz mi zaraz wszystko powiedzieć!

– Chcesz wiedzieć? – Binia gwałtownie zerwała się z posłania i chwyciwszy obiema rękami koszulę, potrząsnęła nią, patrząc na siostrę szeroko rozwartymi oczami. – Popatrz! Widzisz? Nino, nie wychodź za mąż!

Z ust Niny wydarł się okrzyk grozy na widok krwawych plam rozlanych na śnieżnym batyście. Koszula nocna była poszarpana, bogate koronki podarte. Rozerwany dekolt ukazywał na szyi i piersiach Bini sine wybroczyny i otarcia skóry.

– Rany boskie! Kto cię tak poranił? Dlaczego twój mąż cię nie bronił? Och, zaraz wezwę pomoc, obudzę ludzi! – Skierowała się do drzwi, lecz Binia mocno chwyciła ją za rękę i zatrzymała.

– Nie! – krzyknęła histerycznie. – Nie wolno ci wołać nikogo! I nie wspominaj mi o mężu! Nie chcę o nim myśleć, bo oszaleję! – Upadła przy łóżku na kolana, wstrząsana nowym atakiem płaczu.

Nina przeżyła istną torturę, czekając, aż Binia się uspokoi.

– Siostro, nie wyobrażasz nawet sobie, przez jakie piekło dziś przeszedłam. – Binia uniosła głowę i popatrzyła jej w oczy. – Matka nie powiedziała mi, co czeka kobietę w noc poślubną. Dopiero on... po fakcie! Oświadczył mi cynicznie, że każda mężatka przechodzi przez to po ślubie. Kłamał! Nie uwierzyłam, bo gdyby tak było, żadna z nas nie wyszłaby za mąż. O, jakie to

straszne, jakie obrzydliwe i ponizające. – Rzuciła się na łóżko, bijąc pięściami w poduszki i tarzając się po posłaniu w ataku hysterii.

Nina, obawiając się, że Binia może zrobić sobie coś złego, pochwyciła ją w ramiona.

– Jedyne, uspokój się, błagam! Rozumiem, że on ci zrobił krzywdę, ale dlaczego mi nie powiesz, co między wami zaszło? Oświadczył ci, że każdy mąż bije żonę w noc poślubną? Przecież to absurd! Rozgniewał się na ciebie?

Nieszczęsna pani młoda z jękiem potrząsnęła głową.

– Nino, ty nic nie rozumiesz! On mnie nie bił! Tak się tego wstydę, ale przysięgam, że ja nie jestem niczemu winna. Nie chciałam tego!

– To ja już jestem zupełnie głupia. – Nina bezradnie rozłożyła ręce. – Czego nie chciałaś? Dalej nie wiem, o co chodzi. Usiądź i postaraj się opowiedzieć mi dokładnie, co się wydarzyło. Przecież mnie możesz zaufać. Nigdy nikomu nie powtórzę, co usłyszałam od ciebie.

– Tak, tylko tobie. – Binia usiadła w ulubionej pozycji, podwijając pod siebie nogi. Napiła się wody podanej przez Ninę i raz po raz wzdychając, zaczęła mówić łamiącym się, płaczącym głosem: – On przez cały dzień był dla mnie bardzo miły. Powiedział, że mnie kocha, i całował po rękach. Byłam tym nawet przyjemnie zaskoczona. Cieszyłam się, że będzie nam z sobą dobrze. Zauważyłam jednak, że pił za dużo wódki i wina. – Binia przerwała i zaczęła ciężko oddychać. – Kiedy zostaliśmy sami, zaczął się zachowywać wprost nieprzyzwoicie. Całował mnie aż do bólu, chwycił za piersi i... – Urwała i zaczerwieniła się. – Złękłam się, że mnie udusi. Prosiłam, żeby poszedł do siebie. Roześmiał się i oznajmił, że odtąd będziemy sypiali razem. Oszałał! Chciałam uciec, ale mnie złapał i zaciągnął do łóżka. Krzyczałam, biłam go, kopałam i wzywałam pomocy, ale orkiestra głośno grała i nikt mnie nie usłyszał. Boże! – krzyknęła, szarpiąc włosy i wijąc się w męce. – Przysięgam, ja tego nie chciałam, ale on mnie zmusił! O, jak ja go nienawidzę! Nie pojedę z nim nigdzie, wolę zamieszkać w klasztorze do końca życia. Nie wyobrażasz sobie, jak ja się nim brzydę! Sobą także. Jestem brudna, ohydna, odrażająca!

Wzdrygając się, płakała głośno, obejmując kurczowo szyję Niny. „Matko Święta, co to za noc poślubna? – myślała z przerażeniem Nina. – Biedna Binia, a z tego Świerczyńskiego prawdziwy potwór, chociaż wyglądał całkiem przyzwoicie”. Czule pogładziła zmierzwiłone włosy siostry.

Zauważywszy, że Binia powoli się uspokajała, a płacz cichł, postanowiła mimo wszystko dowiedzieć się prawdy.

– Kochanie... – szepnęła. – Ja nadal nic nie rozumiem. Jeżeli on cię nie bił, to dlaczego jesteś pokrwawiona? Pani wojewodzina wspominała, że jakiś pan bił żonę zaraz po ślubie i Kościół rozwiązał to małżeństwo. Może i w tym przypadku tak się stanie? Dlaczego nie chcesz powiedzieć o tym matce?

Binia oblała się szkarłatnym rumieńcem i spuściła głowę.

– Nikomu nie mogę o tym powiedzieć. To obrzydliwe!

– Ale mnie nie musisz się wstydzić. Nigdy nie miałyśmy przed sobą sekretów, pamiętasz? Komu się pożalisz? Może razem wymyślimy coś mądrego.

– Będiesz się mną brzydziła. Nie zechcesz mnie więcej pocałować ani nawet dotknąć – wyszeptwała biedna młoda pani i zaczęła się trząść jak w febrze.

– Siostrzyczko, przysięgam na zbawienie duszy, że nigdy nie odsunę się od ciebie, cokolwiek mi powiesz.

Binia namyślała się jakiś czas, lecz kiedy Nina ją objęła i ucałowała, przytuliła się do niej ufnie i zbliżywszy usta do jej ucha, zaczęła się zwierzać, przerywając co chwilę i zanosząc się łkaniem. Słuchającej z najwyższą uwagą Ninie oczy zaokrągliły się z wrażenia. Rozchyliła usta, pobladła, a potem gwałtownie poczerwieniała, wciągając głęboko powietrze. Zrobiło jej się gorąco i jakoś dziwnie słabo, jakby miała zemdleć. Krew uderzyła jej do głowy, więc żeby ochłonać, szybko wystawiła nogi spod kołdry.

– Och! – wysapała, bardzo przejęta i rozgorączkowana. – Biniu, a jeżeli on mówił prawdę i pożycie małżeńskie na tym polega?

– Nie! To niemożliwe! – zawołała Binia, wstrząsając się z odrazą. – Przecież to straszny grzech! Kościół nie tolerowałby czegoś takiego. On mnie z pewnością okłamał! Jest nienormalny! Czy możesz sobie wyobrazić, żeby twoi rodzice robili coś takiego? Och, taka jestem zbolą! Miałam krwotok i cała pościel pochłapana jest krwią – jęknęła, masując sobie brzuch.

– Moje biedactwo najśłodsze! – Nina ucałowała ją, wstała z łóżka i naląła z dzbanka do miednicy chłodnej wody. Postawiła miednicę przy łóżku. – Umyj się, złotko, zaraz lepiej się poczujesz. Ale jeżeli to nie tak, w takim razie skąd się biorą dzieci? – zastanawiała się głośno.

Binia weszła do miednicy i starannie obmyła całe ciało.

– On mi powiedział, że z tego, ale to przecież niemożliwe! Żaden ksiądz nie pobłogosławiłby takiego małżeństwa, prawda?

Nina przypomniała sobie, co pewnego razu zaobserwowała na dziedzińcu czworaków, idąc do obory. Wtedy po raz pierwszy niania urządziła ciotce Marii prawdziwą awanturę i odtąd nigdy więcej ciotka nie posyłała jej do stajen czy obór. Gdy parobkowie przyprowadzali wiejskie krowy do dworskiego byka lub klacz do ogiera, niania pilnowała obu dziewcząt, nie spuszczając z nich oka. Nie wolno im było chodzić koło czworaków, żeby się czymś nie zgorszyć. Na polecenie ciotki nawet psy i suki z dworskiej sfory trzymane były osobno. Więc może jednak to właśnie tak?

Nina pośpiesznie się przeżegnała, przejęta głębią własnego zepsucia. Nie, przecież to szaleństwo. Nie wolno ludzi porównywać do zwierząt, kobieta nie jest krową, którą doprowadza się do byka. Małżeństwo z pewnością jest bardziej romantyczne i pozbawione cech wulgarnych. Dzieci daje Pan Bóg. Tak mówił proboszcz na kazaniu, a on przecież wie najlepiej. Chciała wyrzucić z myśli te nieprzyzwoite obrazy, lecz one uparcie wracały.

– Biniu... – odezwała się niepewnie. – Czy ciotka przed ślubem nic ci nie mówiła o obowiązkach żony?

– Nie – szepnęła żałośnie Binia. – Powiedziała tylko, że z woli Bożej kobieta powinna ulegać chuciom męża. Nie wiesz przypadkiem, co znaczy ta „chuć”?

– Pewnie, że nie wiem – westchnęła Nina z rezygnacją. – Może to jakaś choroba, na którą cierpią mężczyźni? Pamiętasz, jak pan Jabłocki miał kłopoty z pęcherzem, to ciotka powiedziała, że o takich sprawach panny nie tylko mówić, ale nawet myśleć nie powinny, bo to ciężki grzech!

Binia znowu wpadła w rozpacz i zaczęła płakać.

– Wysłałam za mąż głupia jak but! – zawodziła. – Co ja mam robić? Jaka szkoda, że Stasia Wąsocka pojechała do domu. Może ona coś wie?

– Akurat! – mruknęła Nina. – Wie tyle samo, co my.

Wróciła do łóżka i zamyśliła się głęboko. Miała dużo zdrowego rozsądku i jakoś trudno było jej uwierzyć, że pan Edward okazał się szaleńcem. Był pijany, to prawda, ale zaraz wariat? O nocy poślubnej nigdy nie mówiło się głośno, a wychodzące za mąż dziewczęta z reguły nic na ten temat nie wiedziały i dowiadywały się prawdy dopiero po ślubie. Jeżeli Świerczyński był przyzwoitym człowiekiem, powinien poczuwać się do obowiązku i przygotować młodą żonę do współżycia małżeńskiego, jeśli nie uczyniła

tęgo matka. Tymczasem pan młody okazał się brutalem i po pijanemu strasznie skrzywdził Binię, zrażając ją do siebie. Przeżyty w tę noc szok z pewnością nie ułatwi im porozumienia. Co za głupiec! Zgrzytnęła zębami, mając ochotę chwycić pogrzebacz, pójść do sypialni i zdzielić go nim w głowę!

– Czy to długo trwało? – spytała, oblewając się rumieńcem ze wstydu.

– Dość długo. On to zrobił aż dwa razy! – jęknęła biedna Binia.

– Sadysta! Biniu, posłuchaj... – odezwała się Nina zdecydowanym tonem.

– Musisz koniecznie porozmawiać z matką. To absolutnie niezbędne.

– Nigdy! – zawołała Binia z przerażeniem. – Ona mi tego nie wybaczy.

– Nie ma nic do wybaczenia. To ona wydała cię za tego nędznika i jest odpowiedzialna za to, co się stało. – Na samą myśl, że ciotka może krzyczeć na Binię, poczuła mrowienie w plecach. W obronie siostry gotowa była skoczyć ciotce do oczu z pazurami. – Zaręczam, że matka nie powie ci złego słowa. Jeżeli okaże się, że twój mąż jest nienormalny, Kościół udzieli wam rozwodu lub zezwoli na separację. A gdyby tak miało być... – Nina urwała, a potem dodała pośpiesznie: – Matka powie ci, co masz robić. Nie możesz cierpieć bez końca.

– Ale ja nie chcę do niego wracać! – Binia skurczyła się na łóżku, obejmując kolana ramionami. – Nienawidzę go! Jest wstrętny, nieprzyzwoity i odrażający. Obnażył się przede mną!

Nina pokiwała głową, patrząc z bólem na jej ciało ze śladami ugryzień i podkrążone oczy. Wstała, podała jej czystą koszulę, uczesała i na palcach pobiegła do kuchni. Wróciła, niosąc filiżankę ciepłego mleka.

– Wypij to, kochanie. A on nie widział, jak wychodziłaś z pokoju?

Błękitne oczy Bini aż pociemniały z gniewu. Zaciśnęła drobne dłonie, a na jej bladej znękanej twarzy odmalował się wyraz głębokiej nienawiści.

– On? – syknęła z pogardą. – Pijany zasnął i chrapie jak zarzynany baran!

„O Matko Boska – rozmyślała Nina. – Żeby tak można było zwrócić się do kogoś mądrego po radę, ale do kogo? Nawet niania nie wie nic o tych sprawach, bo nie była mężatką”. Wyjrzała przez okno, uchylając drewnianą okiennicę. Słońce już wstawało, lecz drzewa w sadzie tonęły jeszcze w porannym cieniu.

– Jest bardzo wcześnie – zauważyła, kładąc się do łóżka. – Biniu, przytul się do mnie i spróbuj zasnąć. Potrzebujesz wypoczynku.

Binia przyznała jej rację i wyciągnęła się wygodnie, wspierając głowę na ramieniu Niny. Nieprzespana noc, okropny wstrząs, ból i płacz zupełnie

wytrąciły ją z równowagi. Zamknęła oczy i zapadła w nerwowy płytki sen, jęcząc i popłakując jak niewinne skrzywdzone dziecko, którym zresztą jeszcze była.

Wstrząśnięta dramatem siostry, Nina nie mogła zasnąć. Mając mocniejsze nerwy i gorętszy temperament, nie była aż tak przejęta odkryciem tajemnicy współżycia fizycznego, jak można by się tego było spodziewać po dziewczynie w jej wieku. Leżąc przy boku śpiącej Bini, próbowała przypomnieć sobie, co kiedykolwiek słyszała o nocy poślubnej. Niestety, całą wiedzę na ten temat mogła zamknąć w słowach: „Żyli długo i mieli dużo dzieci”. Mężatki pilnie strzegły sekretów alkowy. Żadna panna przy zdrowych zmysłach nie ośmieliłaby się pytać o tak wstydlive sprawy. W przeciwnym razie zasłużyłaby na surową karę.

„A może małżeństwo właśnie na tym polega i stąd się biorą dzieci?” – zadała sobie pytanie i poczuła, że krew uderza jej do głowy. Jeżeli to prawda, to właśnie w ten sposób wuj Aleks spędzał noce z żoną! Poczuła w sercu głuchy ból. Była zakochana, a wtedy snuje się marzenia, jedne piękniejsze od drugich, słodkie i romantyczne. Pod wpływem zwierzeń Bini przestała wierzyć w bociany i niemowlęta znalezione w kapuście. Tej nocy rozdarła się przed jej oczami zasłona skrywająca tajemnice życia. Miłość jej, dotąd naiwna i dziecinna, stała się świadoma. Z dziecinnego podlotka przeistoczyła się w młodą kobietę. Nie wierzyła jednak, że Aleks mógłby się okazać tak okrutny, jak Świerczyński. „Nie – dumiała wtulona w poduszkę. – On nie jest taki. Zresztą wydaje mi się, że kiedy się kogoś bardzo kocha, to noc poślubna musi być inna, o wiele bardziej romantyczna. A o bólu szybko się zapomina w ramionach ukochanego”. Leżała rozmarzona, wpatrując się w okno, za którym rozlegały się głosy ptaków witających dzień.

Ciotka nie była wcale zdziwiona widokiem spłakanej i zdesperowanej córki, pukającej rano do drzwi jej sypialni. Kazała Bini usiąść i wyprosiła z pokoju Ninę, uparcie trzymającą się boku siostry. Rozmowa matki z córką trwała długo. Spoza zamkniętych drzwi do uszu Niny dobiegały płacz i krzyki Bini. Nerwowo krążyła koło sypialni, ogryzając paznokcie, gotowa skoczyć siostrze na pomoc. Młoda pani Świerczyńska wyszła stamtąd dopiero po godzinie, czerwona, spłakana, ze spuszczoną głową, ale jakby nieco spokojniejsza.

Z kolei ciotka Maria udała się do męża na naradę, zaś wuj Ksawery zaprosił zięcia na mocno zakrapiane śniadanie. Rozmawiali w cztery oczy, a po posiłku obaj panowie ucałowali się z dubeltówki i wyszli do gości,



bardzo z siebie zadowoleni. Przez resztę dnia pan Edward okazywał żonie najwyższy szacunek i czułość. Te dowody małżeńskiej miłości Binia przyjmowała zimno, z wyraźnym przymusem. Na pytające spojrzenie Niny odpowiedziała nieznacznym skinieniem głowy i bolesnym grymasem ust. Nie mogły nawet swobodnie porozmawiać, bo dom pełen był gości. Dopiero po południu, gdy Świerczyński zajęty był przygotowaniami do podróży, Binia skinęła na siostrę i obie pobiegły na piętro. Zamknawszy drzwi na klucz, Binia rzuciła się w ramiona Niny.

– Miałaś rację! – zapłakała. – Edward nie jest szalony, tylko wczoraj był pijany i zachował się „niedelikatnie”! Tak powiedziała mi matka. Boże, jak ja to przetrzymam? Mam cierpieć całe życie? Nino, ja się zabiję! – Z jękiem upadła na ślubne łóżko, drąc koronkowe wstawki na kołdrze. – Nigdy nie daruję matce, że nie pouczyła mnie, co czeka kobietę po ślubie. Gdybym wiedziała, nie wyszłabym za męża.

Nina usiadła przy niej, łagodnie gładząc jej włosy.

– A ja cię ostrzegałam. Nie kochasz męża i dlatego nie chcesz go zaakceptować. Gdybyś była w nim zakochana, wszystko, co zrobił, wydałoby ci się podniecające.

– Nino, to wcale nie jest podniecające, lecz piekielnie bolesne i poniżające. Gdybym go nawet kochała, za to, co zrobił ze mną w noc poślubną, znienawidziłabym go do końca życia. Na pociechę matka powiedziała mi, że tylko pierwszy raz jest dla kobiety taki przykry, a potem to nawet bywa przyjemnie! O, nie sądzę, żeby ojciec w noc poślubną wypłatał matce takiego psikusa, bo inaczej zareagowałyby na moje skargi. Najgorsze jest to, że gdy odepchnę Edwarda, nasze małżeństwo pozostanie bezdzietne, a ja tak bardzo chcę mieć dzieci. Podobno mąż przyrzekł ojcu, że przez kilka dni nie zbliży się do mnie. To bardzo szlachetne z jego strony, nie uważasz?

Binia prychnęła z wściekłością, wstała z łóżka i z zaciętą miną przejrzała się w lustrze toaletki. Umyła twarz i lekko przypudrowała zaczerwieniony nosek. Zgarnęła bujne jasne włosy i upięła je na karku w węzeł.

– Nie mam złudzeń co do mojej przyszłości – odezwała się opanowanym głosem, nacierając skronie wodą kolońską. – Mniejsza o mnie. Martwię się o ciebie. Powtórz mi, Nino, o czym rozmawiałaś z wujem Alekssem.

Wysłuchawszy jej, ponuro potrząsnęła głową.

– Matka nas obie urządziła – stwierdziła z goryczą. – Najchętniej widziałabym cię u mnie, w Świerszczynach, ale teraz nie wiem, jak ułożą się

stosunki pomiędzy mną a mężem. Wuj Aleks jest dżentelmenem, ale Paula nie budzi mojego zaufania. To dziwna kobieta i wcale nie nadaje się na opiekunkę panny z dobrego domu. Mam nadzieję, że wuj zdaje sobie z tego sprawę. Na szczęście pani wojewodzina nie znosi hrabiny i będzie miała na nią oko. Poproszę ją o to. Nino, mam tu dwieście rubli. Dostałam je od ojca „na szpilki”. Proszę, weź te pieniądze.

– Nie. Nigdy nie zdołam spłacić długu – stanowczo sprzeciwiła się Nina, odsuwając jej wyciągniętą rękę.

– Błagam cię, weź! – nalegała Binia. – Koniecznie musisz mieć przy sobie pieniądze. Mnie one nie są potrzebne. Mam męża, który musi zaspokajać moje potrzeby i kaprysy. Wziął za mnie duży posąg. – Wcisnęła w dłoń Niny woreczek z pieniędzmi i ucałowała ją. – Jesteś jedyną istotą na świecie, której miłości jestem absolutnie pewna. Obie mamy pecha, siostró. Ja nienawidzę swego męża, a ty zakochałaś się w mężczyźnie, którego nie możesz poślubić, i również nie będziesz szczęśliwa. Och, kochanie! – Wybuchła nagle z nową rozpaczą. – Czuję się taka zbrukana jak suka, której każdy pies może użyć!

– Jezu Chryste, Biniu! – Nina zbladła i nie mogła wprost uwierzyć, że te okropne słowa przeszły przez usta delikatnej i subtelnej kobiety. – Nie wolno ci tak o sobie mówić!

– Wczoraj zostałam użyta jak suka! Przepraszam, wybacz mi! – Binia zarzuciła ramiona na szyję Niny. – Wyrażam się okropnie wulgarnie. Gdy tylko wrócę z podróży poślubnej, zabiorę cię do Świerszczyn.

– Nie, Biniu. Bez względu na to, co mi ta miłość przyniesie, pragnę być blisko pana Alka.

– Rozumiem cię. W takim razie żegnaj, moja najmilsza. Niech cię Bóg strzeże i błogosławi. A nie zapomnij o mnie. Będziemy często do siebie pisać.

Przytuliły się do siebie, płacząc. W tym momencie Nina kochała Binię tak gorąco, jak niegdyś ojca. Ociągając się, wyszła z sypialni, cicho zamykając za sobą drzwi.

Pod wieczór zajechała przed dwór karetka, a służba zaczęła układać na dachu pojazdu i z tyłu istną górę pakunków. Wielkie kufry z wyprawą młodej pani jechały na trzech osobnych wozach. Na koźle karety siedziała Zuzka, pokojowa Bini, i zawodziła jak na pogrzebie. Na ganku ukazali się państwo młodzi, żegnani przez gości i orkiestrę. Binia, ubrana w wytworny kostium podróżny z popielatego kaszmiru, poważnie, bez uśmiechu żegnała

się z rodziną. Ciotka Maria, zalana łzami, całowała odjeżdżającą córkę. Binia miała oczy suche i zimną, kamienną twarz. Mogło się wydawać, że wyjazd z rodzinnego domu był jej całkiem obojętny.

– Niechże mama nie płacze. Przecież rodzice życzyli sobie tego małżeństwa, prawda? *Adieu, maman!*

Równie chłodno pożegnała ojca, tylko hrabiego potraktowała o wiele serdeczniej, całując go i szepcząc mu coś do ucha. Przed samym odjazdem wręczyła Ninie małą paczkę przewiązaną wstążką.

– Na pamiątkę ode mnie – szepnęła, obejmując ją po raz ostatni.

Wsparta na ramieniu męża, wolno zeszła po schodach i wsiadła do karety. Świerczyński wychylił się z okna, powiewając kapeluszem, ale ona już się nie pokazała. Nina pobiegła za odjeżdżającym powozem i przez zasłonę z łez patrzyła, jak niknie w głębi topolowej alei. Niespodziewanie doznała dziwnego i bolesnego przeczucia, że Binia już nigdy nie zobaczy rodzinnego domu. Weszła na facjatkę i rozwinęła paczkę. Znalazła w niej zwoje delikatnej koronki – ślubny welon panny młodej.

Po wystawnej kolacji przy muzyce goście zaczęli rozjeżdżać się do domów. Przewidywano wprawdzie dwa dni zabawy, lecz większość gości była przeciwna hucznym balom w okresie żałoby narodowej. Nina pomagała pakować się pani Salomei, która także nazajutrz wracała z Jasiem do Warszawy. Starsza dama była uszczęśliwiona, dowiedziawszy się, że Nina zamieszka w Makowie. Jaś wybrał się na wieś, pogadać z chłopami w karczmie i zanieść staremu Gulakowi dobrą nowinę o wnuku. Ostatni wyjechał z Sarnik hrabia, przypominając Ninie, żeby przygotowała się do podróży.

Dwór, jeszcze tak niedawno rozbrzmiewający muzyką, śmiechem i gwarem rozmów, opustoszał. Służba porządkowała pokoje, zakrywając meble pokrowcami i woskując zdeptane posadzki. Nina przypomniała sobie, że powinna się pakować, i poszła po Jagę. Znalazła ją w jadalni. Pochylona nad stołem, układała porcelanowe serwisy w kredensach.

– Sosjerka, kompotierka... – mruzczała pod nosem. – A cukiernica gdzie? Pewnie stłuczona! Nie, Bogu dzięki jest! – Podniosła głowę i posłała Ninie uśmiech. – Co chcesz, kotuniu? Mam pyszny chłodniczek, zjesz?

– Nie, dziękuję. – Nina podeszła do stołu, wyjęła z rąk Jagi półmisek i z rozmachem postawiła go na stole.

– Uważaj, dziecko! – zawołała Jaga ze strachem. – Jeszcze coś stłuczysz!

– Mam wielką ochotę wszystko potłuc w tym domu – warknęła Nina. – Zostaw tę robotę. Jutro wyjeżdżamy do Makowa. Nie musisz już więcej wysługiwać się ciotce. Chodź, pomożesz mi się spakować.

– To już jutro? – Jaga rozejrzała się z nieukrywanym żalem.

– Nie chcesz wyjeżdżać z Sarnik?

– Cóż, człowiek się przywiązuje do starych kątów. Długo tu mieszkaliśmy.

– Za długo! Nianiu, jak możesz żałować domu, skąd nas tak nielitościwie wyrzucono?

Przez chwilę w milczeniu patrzyły sobie w oczy. Jaga złagodniała i pogładziła wychowankę po policzku.

– Już dobrze. Idź na górę, zaraz do ciebie przyjdę.

Przechodząc koło pokoju Bini, Nina zajrzała tam mimo woli. Meble zakryto już pokrowcami, a łoże przysłonięto firankami. Wszystko razem sprawiało wrażenie, jakby niedawno wyniesiono stąd nieboszczyka. Na podłodze leżała biała róża, rozdeptana czyjąś ciężką stopą. Nina podniosła ją i uciekła stamtąd, kryjąc twarz w dłoniach. W swoim pokoju otworzyła szafę i zaczęła wyjmować z niej rzeczy. Kiedy przyszła Jaga, obie zabrały się do pracy, pakując suknie i bieliznę. Niedużo tego było; cały dobytek Niny zmieścił się w dwóch niewielkich kuferkach. Jaga się nie odzywała i widać było, że jest niezadowolona z wyjazdu do Makowa.

– Chcesz tutaj zostać? – Nina uniosła głowę znad otwartego kuferka. – Przecież nigdy nie byłaś w Makowie i nie wyobrażasz sobie nawet, jak tam jest pięknie. Niewiele takich rezydencji mamy w kraju.

– Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma – burknęła niania, starannie układając w dużym pudle suknie balowe Niny. – Mnie nikt nie pyta, co ja chcę. Wyjmij z komody wachlarze, rękawiczki i parasolki, to spakuję je razem.

Nina posłusznie sięgnęła do komody, posławszy jej przedtem spojrzenie pełne wyrzutu.

– Jesteś niesprawiedliwa. Mnie także nikt nie pytał o zdanie. Zdecydowano o moim losie, jakbym była sprzętem, nie człowiekiem. Och, nianiu! Przecież tu nikt mnie nie chce. Wujostwo z radością się mnie pozbywają. Idziemy, gdzie może nam będzie odrobinę lepiej.

Jaga ciężko westchnęła.

– Przecież ja to rozumiem, moje dziecko. Serce mnie boli, jak widzę, że ludzie pomiatają moją kruszynką. Ale powiedz mi, co my będziemy robić w

tym Makowie. W takim pałacu to człowiek nie wie, jak się obrócić i do kogo zagadać. Nie lepiej byłoby jechać do Warszawy z panią Salomeą? To święta kobieta, a panicz Jaś jest dla ciebie jak rodzony brat. Nie będzie nam tam źle.

Nina z pasją cisnęła trzymaną w ręce parasolkę do kufierka i spojrzała na Jagę ze złością.

– A nie wiesz czasami, z czego będziemy tam żyły?! – krzyknęła napastliwym tonem. – Bo przecież cioci ani Janka nie stać na utrzymanie ubogich krewnych. Zapomniałaś już, jak biedowałyśmy w Gnieźnie po śmierci mamusi? Ja więcej głodować nie myślę! Wytlumacz mi, proszę, dlaczego nie chcesz jechać do Makowa?

Jaga podniosła się, zmarszczyła brwi i z groźną miną wzięła się pod boki, patrząc na Ninę z góry.

– Wyobraź sobie, moja panno, że ja ślepa nie jestem! – wybuchła z gniewem. – Masz mnie za głupią? Zdaje ci się, że nie widzę, jak przewracasz oczami do pana hrabiego? Aha, właśnie, znam cię od pieluch i dobrze wiem, co ci chodzi po głowie. Nina, nie odwracaj się do mnie plecami, tylko patrz mi w oczy! Myślisz, że nie słyszałam, jak rozmawialiście z Binią o babce marszałkowej? Owszem, ona wyszła za rodzzonego wuja, ale on na kolanach błagał o jej rękę i był kawalerem! Nie łudź się, że dla ciebie pan hrabia poprosi żonę o rozwód. Takiego skandalu jeszcze w rodzinie nie było i póki ja żyję, nie będzie!

– Ależ niani, ja przecież... – zaczerwieniona i zmieszana Nina próbowała wtrącić słówko na swoją obronę, lecz Jaga nie dopuściła jej do głosu.

– Milcz, teraz ja mówię! – rozkazała surowo. – Chyba cię diabeł opętał, że jesteś ślepa i głucha na wszystko, co cię otacza! Ty paskudnico, chcesz mi wstyd przynieść na stare lata? Twoi rodzice w grobie się przewracają. Widziałaś, jakie hrabina ma stroje, jakie klejnoty? W posagu ich nie wniosła, bo nic nie miała, więc skąd je wzięła? To mąż wydaje na nią tysiące rubli i jest w niej zakochany, ty głupia oślisko! A ona nosi się jak udzielna księżna. O, ja dobrze się jej przypatrzyłam, jak tu przyjechała. Chytra lizka, nie puści z pazurów bogatego męża, bo nie posiada żadnego majątku.

– Niani, przestań. Nie rozumiesz... – zaczęła Nina, lecz poirytowana Jaga ponownie jej przerwała.

– Ja wszystko rozumiem, ty smarkulo! – ucięła. – Nawet to, że mogłabyś się zakochać w panu Klonowieckim, pod warunkiem że byłby wolny i prosił

o twoją rękę. Pan hrabia także postępuje, jakby był obrany z rozumu! Nie mógł ci opłacić jakiejś pensji, żebyś tam doszła do pełnoletniości i nabrała ogłady? Po co taką naiwną gęś jak ty ciągnąć do pałacu? Tu miałaś swój ką, a pani dziedziczka zła, bo zła, ale zawsze rodzona siostra twojej matki. Co zamierzasz robić w takim wielkim domu? Kto wie, może znowu ulokują cię na jakimś strychu, jako pannę respektową<sup>66</sup>. Albo staniesz się garderobianą jaśnie pani hrabiny czy jej pokojówką i co rano będziesz wynosiła jej nocne naczynie. Koniecznie uparłaś się zostać popychadłem jaśnie państwa? Zgodzisz się, żeby ta nędzna wywłoka z tytułem hrabiny, zabawiała się tobą, jak z pinczerkiem?

Nina posiniała z tłumionej wściekłości, wysłuchując z zaciętymi ustami bezlitosnych uwag niani. O, Jaga przejrzała ją na wylot! Najwidoczniej nie potrafiła wcale dobrze się maskować, bo i Binia poznała jej sekret, a ciotka Maria prawdopodobnie także domyśliła się wszystkiego. Gorzkie, urągliwe słowa Jagi ugodziły ją prosto w serce i głęboko upokorzyły jej dumę. Nawet przed sobą nie chciała przyznać się do obaw, które niosły ze sobą nagłe zmiany w jej życiu. Dopiero okrutne uwagi niani uświadomiły jej, jak skromne i podrzędne miejsce może zająć w pałacu. Wołała nie przyznawać się Jadze, że wuj Aleks pozostawił jej wolny wybór. O, gdyby wspomniała o tym, niania natychmiast uparłaby się, żeby jechać do Warszawy lub do Galicji, byle jak najdalej od Makowa.

Obrażona i do żywego dotknięta podniosła się, obrzucając Jagę zimnym, wyniosłym spojrzeniem.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?! – krzyknęła. – Czy nie za wiele sobie pozwalasz?!

Jaga pokiwała tylko głową.

– Prawda w oczy kole! Widzę, że już mnie nie potrzebujesz. Nie słuchasz moich rad, może się mnie wstydzisz? Powiedz tylko, a pójdę sobie. Znajdą się dobrzy ludzie, którzy mnie przygarną. Nigdy w życiu nie siedziałam beczynnie i potrafię zapracować na chleb. A zresztą, mój Boże, komu jest potrzebne moje życie? – westchnęła ze smutkiem i rezygnacją.

Nina momentalnie ochłonęła z gniewu i opamiętała się. Ogarnięta skruchą i wyrzutami sumienia, upadła przed nią na kolana, pokrywając pocałunkami i łzami ręce, twarz, a nawet suknię Jagi.

– Nianiu, moja najdroższa, wybacz mi. Nie jestem warta twojej miłości. Zachowałam się wstrętnie, bardzo tego żałuję i przepraszam. Wolę, żebyś sprawiła mi lanie trzepaczką, niż patrzyła takim smutnym wzrokiem. Jakże

możesz myśleć, że wstydzę się ciebie? Przecież ja cię Kocham! Nie mogłabym się bez ciebie obejść! Jezu, nie przeżyłabym bez ciebie ani jednego dnia! Jesteś dla mnie wszystkim – ojcem, matką, całą moją rodziną! Najlepszą opiekunką daną mi przez Boga! Musisz jednak przyznać, że gdyby nie interwencja wuja Aleksa, to Borutyńscy zmusiliby mnie do wyjazdu za granicę i rozdzielili z tobą. Za to należy się panu hrabiemu nasza wdzięczność, prawda? Przysięgam ci, że nie zrobię nic takiego, czego mogłabym się wstydzić. Zobaczymy, jak będzie nam źle w Makowie, to pojedziemy do Warszawy. Tylko już nie gniewaj się na mnie, moja najmilsza. Błagam!

Jaga miała mocny zamiar dać jej solidną burę, lecz gdy usta Niny przybrały żalostny kształt podkówki, a długie rzęsy jęły ociekać łzami, cała surowość niani rozpułnęła się w macierzyńskiej czułości.

– No, już dobrze. Pojedziemy do tego Makowa – powiedziała, łagodnie uwalniając się z ramion Niny. – Ale ja, moje drogie dziecko, boję się czegoś. Jesteś jeszcze taka młodziutka, ufna i nie znasz życia. Lękam się dla ciebie tego wielkiego świata, bezdusznego i pełnego fałszu. Nie chcę, żebyś przez tę nierozsądną miłość zmarnowała sobie życie.

Jej przestrogi wydały się Ninie złą wróżbą. Mimo woli przeszył ją dreszcz na myśl o tym, co czeka ją w nieznanym domu, pomiędzy obcymi, obojętnymi ludźmi.

Kiedy udała się na spoczynek w ostatnią noc pod sarnickim dachem, źle spała i dręczyły ją koszmary. Wydawało się jej, że słyszy jakieś głosy, a do łóżka zbliżały się złowrogie cienie. Nad ranem przyśniły jej cudowne pachnące czerwone róże, ale kiedy zaczęła je zrywać, spostrzegła z przerażeniem, że kwiaty pozostawiły na jej dłoniach szkarłatne ślady krwi.



<sup>66</sup> W wielkopańskim domu dobrze urodzona dziewczyna zobowiązana do towarzyszenia i osobistych usług pani domu.

## Rozdział 4

Cztery siwe araby ciągnące powóz wolno ruszyły sprzed dworu w Sarnikach. Nina obejrzała się za siebie, patrząc ze wzruszeniem na dom, w którym się wychowała. Nikt jej nie żegnał i nikt nie okazał najmniejszego żalu. Na tę myśl poczuła w sercu ból. Przymknęła powieki i starała się powstrzymać łzy cisnące się do oczu. Naraz ogarnął ją lęk przed nieznaną przyszłością, a dom Borutyńskich wydał się jej bezpiecznym azylem. Skuliła się na safianowych poduszkach i ciężko westchnęła. Stangret trzasnął z bata i powóz wjechał w topolową aleję, kierując się w stronę Makowa.

– Nie oglądaj się za siebie. – Usłyszała niski głos Aleksa. – Nie warto.

Poczuła na dłoni mocny uścisk jego ciepłych palców, a uśmiech na jego twarzy dodał jej odwagi. Nabrała otuchy i zaczęła rozglądać się ciekawie po okolicy. Deszcz, lejący przez całą noc, przestał padać, a przez ciemne chmury przedarło się słońce. Nad nimi rozpostarła się błękitna kopuła nieba i lekka mgiełka, prześwietlona złotymi promieniami, spowiała horyzont. W tych stronach Nina bywała rzadko, bo Maków leżał z dala od głównych traktów. Jechali wyboistą podmokłą drogą, mijając zagajniki z buków, jesionów i wiązów. Przez chwilę widoczna była jeszcze wieża kościoła w Sarnikach, ale i ona skryła się niebawem za wyniosłymi pagórkami. Dokoła rozpościerała się spokojna malownicza okolica. Na wzniesieniach stały białe dwory otoczone parkami, sadami i ogrodami. Wiodły do nich aleje wysadzone rzędami lip i dębów. Łąki przecinały niebieskie wstążki strumieni i górskich potoków. O tej porze drogi były puste, bo chłopcy pracowali w polu. Czasami tylko zaturkotał wóz drabiniasty pełen skoszonej trawy.

Do Makowa dojechali późnym popołudniem. Skręcili w szeroką sypaną drogę wiodącą do wsi. Nina była zachwycona podróżą. Z natury bardzo wrażliwa i odrobinę nieśmiała, teraz podekscytowana zupełną swobodą wypytywała Aleksa o wszystko, co ją zainteresowało, bez obawy, że zmrozi ją wzrok ciotki lub gniewne sarknięcie wuja. Tylko Jaga, siedząca na przedniej kanapce, trzymając w ramionach pudło z najlepszymi kapeluszami Niny, półgębkiem nieufnie odpowiadała na uprzejme pytania hrabiego. Jechała do Makowa, ustępując Ninie, lecz nie widziała tam miejsca dla



siebie i obawiała się, że w tym wielkopańskim domu może się okazać niepotrzebna.

– To już niedaleko, prawda, panie Alku? – Nina podskoczyła na kanapce, nie mogąc się doczekać końca podróży.

– Tak. Zaraz będzie wieś, a potem już brama wjazdowa i park.

– O, jakie tu czyste powietrze – zauważyła.

– Bo jesteśmy blisko Puszczy Świętokrzyskiej. Spójrz, ta góra przed nami to Sieradowska. – Wskazał na błękitniejący przed nimi masyw górski, porośnięty gęstym lasem. – Nie jesteś zmęczona? Ostatnie dni były z pewnością dla ciebie przykre i wyczerpujące.

– Na szczęście mam to już za sobą – odetchnęła.

– Rano Paula wspominała, że spodziewa się gości, więc czeka cię jeszcze banalna salonowa rozmowa. A może wolisz zaraz udać się do swego pokoju?

– O, ja nie jestem wcale zmęczona i nie zamierzam reszty dnia spędzić sama. Boże, jak tu pięknie!

Wokół jak okiem sięgnąć ciągnęły się falujące łąny zbóż, a na wygonach pasło się bydło pilnowane przez pastuchów. Wiatr przynosił cienie popiskiwanie fujarek.

Maków był dużą wsią, usytuowaną po obu stronach piaszczystej drogi. Porządne chaty stały pośród gęstych sadów, przeświecając bielą ścian przez zieleń liści. Na bystrej rzeczce Świślinie terkotał duży młyn wodny należący do dworu, a dalej błękitniała tafla stawu.

Z pewnym zdziwieniem Nina zauważyła, że makowscy gospodarze zachowywali się zupełnie inaczej niż chłopcy w Sarnikach. Bez pokory i poniżającej służalczości skrywającej nienawiść. Na widok nadjeżdżającego powozu zdejmowali słomiane kapelusze, kłaniając się dziedzicowi z szacunkiem i godnością. Krzątające się po obejściach gospodynie uśmiechały się szeroko, zerkając na dziedzica i nieznaną pannę siedzącą u jego boku. Konie, popędzane trzaskaniem z bicza, dotarły wreszcie przed wysoki mur okalający cały park i stanęły, parszcząc, na wprost wspaniałej bramy wjazdowej. Strzegły jej dwa kamienne lwy, leżące na cokółkach po obu stronach kraty, wyglądającej jak żelazna czarno-złota koronka. Na samym szczycie widniał herb Klonowieckich – orzeł mający zamiast głowy złotą gwiazdę. Szeroko rozpościerał skrzydła, zrywając się do lotu. Z białego domku wyszedł stary odźwierny i pośpiesznie otworzył obie połowy

żelaznych wrót. Zanim powóz ruszył, Nina zdążyła jeszcze przeczytać dewizę rodową wyrytą złotymi literami: *Dum spiro spero*.

– Co znaczy ten napis? – spytała Aleksa.

– „Dopóki oddycham, mam nadzieję”. Ależ parno się zrobiło. Za chwilę napijemy się chłodnego kompotu. Czy chcesz się czegoś dowiedzieć o Makowie?

– Proszę bardzo. Uwielbiam historię.

Okazało się, że w średniowieczu na miejscu pałacu stał warowny zamek wzniesiony w XIII wieku na resztkach pradawnego grodziska. Za czasów króla Augusta II Mocnego z dynastii Wettinów oraz jego syna Augusta III w Rzeczypospolitej zapanowała moda na wspaniałe pańskie rezydencje. Jak grzyby po deszczu wyrastały przepiękne pałace otoczone parkami. Wzniesiono Wersal Podlaski dla hetmana Branickiego, Aleksandrię dla księżnej Ogińskiej i Arkadię w Nieborowie dla księżnej Heleny z Przeździeckich Radziwiłłowej. Zbudowano rokokowe Powązki oraz wiele innych cennych budowli. Pradziad Aleksa nie zamierzał pozostać w tyle. Obdarzony przez króla Augusta II Mocnego tytułem hrabiowskim, zlecił słynnemu architektowi Tylmanowi z Gameren wznieść w Makowie, na fundamentach zamku, barokowy pałac. Po śmierci Tylmana jego dzieło dokończył równie znakomity budowniczy Bogumił Zug, łącząc przepych baroku z lekkością rokoka. Przy rezydencji założył przepiękny park angielski, ogrody warzywne i sady owocowe. Wzniesiony pałac był belwederem, a budowniczowie zręcznie połączyli starą zamkową część budowli z nową w jedną harmonijną całość.

Nina słuchała bardzo uważnie, obserwując mijane widoki. Powóz jechał długą mroczną aleją lipową. Korony potężnych drzew, pamiętających czasy odsieczy wiedeńskiej, tworzyły gęsty tunel. W zielonym półmroku słychać było śpiew ptaków i żwir chrzęszczący pod kołami powozu. Zmęczone konie parskały. Nina umilkła i siedziała bez ruchu, śledząc wzrokiem uciekające w tył ogromne oplecione bluszczem pnie drzew. Wzdłuż alei ciągnęły się barwne rabaty kwiatowe i stały białe marmurowe posągi bóstw greckich i rzymskich. Z gąszczy krzewów wyszły na pobocze alei trzy sarny i pożywiały się spokojnie, nie okazując lęku.

– Jakie one są śliczne – wyszeptała, bojąc się spłoszyć zwierzęta.

– Możesz mówić głośno – rzekł Aleks. – One są oswojone. Mamy także daniele i pawie, a na stawie mnóstwo ptactwa wodnego. To moja ulubiona aleja. Prawda, że romantyczna?

– Nawet nie potrafię wyrazić tego, co czuję.

Aleja się skończyła, a drzewa cofnęły, tworząc ramy dużej polany. Na tle zieleni wielkich drzew błyszcząły kremowe ściany pałacu. Wysokie francuskie okna lśniły w blasku zachodzącego słońca. Przed pałacem rozciągały się gładkie kobierce trawników, a powietrze duszne było od upajającego zapachu kwiatów rosnących na klombach. Po ścieżkach przechadzały się dostojnie pawie, roztaczając wspaniałe ogony. Nina wydała okrzyk zachwytu i stanęła w powozie, żeby lepiej wszystko widzieć. Pałac czarował czystością linii, a jego fronton wspierało osiem granitowych kolumn. Wejścia do domu strzegły dwa lwy, podobne do tych przed bramą wjazdową. Powóz, zatoczywszy koło na zwirowanym podjeździe, zatrzymał się przed schodami.

Nina przyglądała się pałacowi z zapartym tchem, przyciskając do serca obie dłonie. Był taki, o jakim marzyła w snach. Niezwykłej piękności, klasycznie prosty, o symetrycznym rozkładzie skrzydeł. Uświadomiła sobie, że od dnia opuszczenia Jaśminowa nie miała własnego domu. Za to teraz była pewna, że znalazła swoje miejsce na ziemi. Gniazdo, skąd żadna siła nie ruszy jej aż do śmierci!

– Nianiu, zobacz tylko! – zawołała, szarpiąc Jagę za rękaw. – Widzisz? To najpiękniejszy dom na świecie! Tu jest jak w raju! – Stała w powozie, a lekki powiew wiatru chłodził jej rozpalone policzki i rozwiewał włosy.

Przed wejściem do pałacu na szmaragdowym gazonie granitowa fontanna wyrzucała strumienie wody z paszcz dwóch smoków splecionych ze sobą w walce. Dokoła domu rosły lipy, dęby, kasztanowce, magnolie i wierzby płaczące. Za pałacem, w pewnym oddaleniu, stała piękna oficyna, ukryta w gęstwinie drzew. Mieściły się w niej biura administracji, mieszkanie rządcy oraz pokoje gościnne. Budynki gospodarcze znajdowały się za ogrodami, aby swoim prozaicznym wyglądem nie psuły romantycznego otoczenia pałacu.

Hrabia pierwszy wysiadł z powozu i podał rękę Ninie. Dwaj młodzi lokaje pomogli wysiąść Jadze, kompletnie oszołomionej wspaniałością rezydencji. Wchodząc do wielkiej sieni, Nina ponownie doznała wrażenia, że znajduje się w muzeum. Od marmurowej posadzki w czarno-białe romby, wyfroterowanej na połysk, bił przyjemny chłód. Ze ścian zwieszały się lustra, portrety rodzinne i flamandzkie gobeliny przedstawiające sceny myśliwskie. Równie cenne były oryginalne zbroje rycerskie z XV wieku, ustawione na podestach schodów. U podnóża stał wspaniale rzeźbiony

okrągły barokowy stół, a na nim wielki japoński wazon pełen rozkwitłych róż. Stół otaczały cztery równie zabytkowe krzesła. Nina zaledwie ośmieliła się stanąć na barwnym perskim dywanie pokrywającym środek posadzki. Kiedy tak stała z rozchyłonymi z podziwu ustami, błędząc wzrokiem po otaczających ją cudach, do sieni wpadł śliczny złocisty seter irlandzki. Podbiegł do Aleksa i skoczył na niego, opierając przednie łapy na piersi pana, poszczekując i łaszcząc się. Hrabia pogłodził jedwabistą sierść psa i pieszczotliwie wytargał go za długie uszy.

– O, jaki piękny piesek! – zawołała Nina. – Czy mogę go pogłaskać? – Wyciągnęła rękę w stronę psa.

Seter spojrział na nią nieufnie i warknął ostrzegawczo, odsłaniając długie białe kły.

– Grot, waruj! Do nogi! – ostro upomniał go Aleks. – Nino, uważaj, to duży groźny pies. On gryzie!

Lecz Nina, wcale niezrażona okazywaną sobie wrogością, przysiadła na piętach, przyciągając do siebie opierające się zwierzę.

– Piesiunia moja najmiłsza – szepnęła czule, pieszcząc go i całując w czubek głowy.

Grot przyjrzał się jej badawczo, obwąchał ją i łaskawie machnął puszystym ogonem, a potem niespodziewanie polizał ją w policzek. Nina wybuchła tak serdecznym śmiechem, że nawet sztywni lokaje uśmiechnęli się mimo woli. Porwawszy się, pociągnęła psa za ogon. Grot natychmiast podjął zabawę, obskakując ją z głośnym szczekaniem. Nina, zapominając zupełnie o dobrych manierach, pobiegła przed siebie ze śmiechem, a za nią popędził seter, udając, że chce ją ugryźć w pięty.

– Widzi niania? Ten pies... Widzi niania? – Zadyszana i roześmiana Nina nie mogła nic więcej powiedzieć.

Biegła, unosząc oburącz krynolinę tak wysoko, że widać było nie tylko stopy, lecz i zgrabne łydki oraz brzeg płóciennych pantalonów. Cicha i majestatyczna sień pałacu rozbrzmiewała radosnym śmiechem i wesołym szczekaniem. Aleks przypatrywał się tej zabawie z aprobatą, zaś Jaga była zbyt onieśmielona otaczającym ją przepychem, żeby zganić wychowankę za niewłaściwe zachowanie.

– Pierwszy raz widzę, żeby mój Grot tak się łąsił do nieznajomej osoby. – Aleks potrząsnął głową. – Pies ma dopiero półtora roku i jest bardzo do mnie przywiązany. Kupiłem szczeniaka w Anglii i sam go wychowałem. Wszędzie muszę go z sobą zabierać, co niekiedy bywa kłopotliwe. Cieszę

się, że zaprzyjaźniliście się, bo teraz będę mógł zostawiać go z tobą. Ale proszę cię, Nino, jednak uważaj. To niebezpieczny pies i może niespodziewanie zaatakować. Paula boi się go panicznie, bo już kilka razy skrócił zębami jej spódnice.

Zadyszana Nina jeszcze czulej uściskała psa. Przywołana do porządku surowym wzrokiem niani, otrzepała suknię i poprawiła kapelusz, bo zjechał jej na ucho.

– Ja się psów nie boję, panie Alku – wysapała, unosząc ku niemu zaróżowioną twarz. – Kocham zwierzęta i one to czują. Lubię nawet takie brzydkie kundelki, których nikt nie chce. W Sarnikach ani Bini, ani mnie nie wolno było trzymać własnego psa.

– Za to w Makowie możesz wybrać sobie psa i konia, który ci się spodoba. – Aleks spojrzał na nią z namysłem. – Zastanawiam się, czy potrafiłabyś zarządzać wielkim domem?

– Ależ naturalnie, przecież uczono mnie tego od dzieciństwa – odpowiedziała zdziwiona.

– A jakby Ninusia czegoś nie wiedziała, to ja jej pomogę! – zapewniła go Jaga, ochłonawszy z wrażenia. – U pani marszałkowej również był wielki dom i wiele służby.

– O, ja pamiętam, że Jaga wszystko potrafi – przyznał. – Takich pasztetów, jakie Jaga robiła u ciotki marszałkowej, nigdy potem nie jadłem.

– Dziękuję panu hrabiemu. – Niania, ujęta jego pochwałą, dygnęła skromnie.

Nina oczekiwała, że lada moment ujrzy Paulę, lecz zamiast niej zszedł po schodach stary kamerdyner zapamiętany przez nią z balu. Miał dobroną twarz i zadziwiająco młode bystre oczy. Złożywszy ukłon, odebrał od niej pelerynkę i parasolkę, a od pana kapelusz, rękawiczki i laskę.

– Nino, to jest nasz Walenty – przedstawił go hrabia. – Jest w pałacu najstarszym domownikiem i jak nikt zna dom i ludzi. Możesz mu we wszystkim zaufać. Walenty, proszę, żeby każde polecenie panny Niny Nałęczowskiej, mojej siostrzenicy, było spełniane równie sumiennie, jak moje.

– Słucham jaśnie pana hrabiego. – Staruszek zwrócił się do Niny i powtórnie złożył jej ukłon. – Witamy w Makowie, jaśnie panienko.

– Miło mi poznać Walentego. – Posłała mu słodki uśmiech, jakby przeczuwając, iż ma przed sobą nowego przyjaciela. Od pierwszego

spojrzenia obdarzyła kamerdynera sympatią i zaufaniem, domyślając się, że był prawą ręką pana.

– A gdzie pani hrabina? – spytał Aleks.

– W różanym ogrodzie, bawi gości – odparł Walenty, dyskretnie obserwując młodziutką pannę i stojącą przy niej Jagę.

– Kto przyjechał?

– Nikt z sąsiedztwa. Czy mam się dowiedzieć?

– To zbyteczne. Nino, pójdziemy nad staw. Walenty, proszę wskazać pani Jadze, niani panny Niny, jej pokoje i zająć się rzeczami.

– Oczywiście. Proszę pozwolić za mną. – Kamerdyner uprzejmie skinął Jadze głową, gestem wskazując lokajom, żeby wnieśli kufry.

Jaga była wprost oczarowana uprzejmością hrabiego i grzecznością kamerdynera. Wręczyła lokajowi pudło z kapeluszem i poszła za prowadzącym ją Walentym, poruszającym się bezszelestnie w miękkich pantoflach.

Aleks poprowadził Ninę na drugą stronę domu. Minawszy kilka przepysznych salonów, znaleźli się na dużym tarasie i po schodkach zeszli do parku. Na tyłach pałacu znajdowało się przepiękne rosarium, czyli ogród różany. Dalej widoczny był wielki staw. Rabaty kwiatowe miały misterne geometryczne wzory, a w ogromnych marmurowych donicach stały drzewka pomarańczowe i cytrynowe, palmy, krzewy granatu o ognistych kwiatach i delikatna mimoza; wszystkie rośliny wyniesione z zimowego ogrodu na słońce. Po pniach olbrzymich starych drzew goniły się z piskiem rude wiewiórki. Nina z zachwytem chłonęła oczami piękno angielskiego parku, śmiejąc się w duchu z wczorajszych obaw. Była bardzo niemądra, a strachy i przeczucia niani okazały się zupełnie nieuzasadnione. Maków był rajem!

Aleks obserwował ją, czytając z jej twarzy jak z otwartej księgi.

– Zadowolona? – spytał.

– Niebotycznie szczęśliwa i wdzięczna panu do końca życia! – zawołała entuzjastycznie.

– Należało wcześniej powiadomić mnie o kłopotach, wtedy już dawno byłabyś w Makowie.

– Przepraszam i obiecuję, że już nigdy nie będę miała przed panem sekretów. – Nina z powagą uniosła dwa palce.

Ogród różany ciągnął się od częściowo zachowanych dawnych murów obronnych aż do wielkiego podłużnego stawu zarośniętego trzciną, tatarakiem i wikliną. Otaczały go olchy i wierzby płaczące, zwieszając

wiotkie gałązki do samego lustra wody. W zaroślach gnieździły się stada ptactwa wodnego, a po gładkiej tafli pływały śnieżne łabędzie. Przy drewnianym molo stała biała łódka. Nad brzegiem stawu znajdowała się duża altana porośnięta winoroślą i kapryfolium. Siedzące przed nią towarzystwo zabawiało się grą w karty i rozmową. Pogodna twarz Aleksa nagle spochmurniała, a źrenice zwęziły się i pociemniały.

– Ona jest niepoprawna! – mruknął przez zęby.

Nina poczuła się nieswojo. Nie wiedziała, co go tak zdenerwowało, i było jej nieprzyjemnie. Z grona siedzących przed altaną pań wysunęła się Paula i wyszła im na spotkanie. Ubrana w niemal przezroczystą suknię w kolorze jaskra, na głowie miała szeroki kapelusz z kremowej koronki. Już z daleka pozdrawiała ich dłonią. Nina zmierzyła ją szybkim, krytycznym, prawdziwie kobiecym spojrzeniem. Uśmiechnęła się z zadowoleniem, stwierdziwszy, że sama wygląda równie efektownie. Spodziewała się zastać w pałacu gości i długo przebierała w sukienkach, szukając odpowiedniej na tę okazję. W końcu przypomniała sobie, że hrabina nie znosi czerni, bo ta ją postarza. Zdecydowała się więc na suknię z czarnej organdy. Bini kazała ją uszyć, kiedy nastąpiła żałoba narodowa, ale wyjeżdżając, podarowała ją Ninie. Suknia miała szeroką, suto marszczoną krynolinę, a zamiast falban dwie wstawki z cennej koronki. Czarny kolor podkreślał delikatną białą skórę Niny, a duży kapelusz z florenckiej słomki, również dar Bini, pogłębiał spojrzenie wielkich oczu. Osłonięta czarnym szalem, raczej płynęła, niż szła przy boku Aleksa, dumna z wiotkiej talii, krągłych ramion i jędrnych piersi, promieniejąc urokiem pierwszej młodości.

– No, nareszcie! – Paula musnęła ustami jej policzek. – Nie zmęczyła cię podróż? Usiądź, wkrótce będzie kolacja – powiedziała po francusku.

– Wcale nie czuję się zmęczona.

– W takim razie pozwól, że przedstawię ci towarzystwo.

– Paula, uważam, że powinniśmy porozmawiać – rzekł Aleks półgłosem.

– Potem, mój drogi. – Hrabina ruchem pełnym wdzięku położyła palec na ustach.

Nina była tak zaintrygowana tą krótką wymianą zdań między małżonkami, że nawet nie zwróciła uwagi na nazwiska przedstawianych jej osób. Było tam kilka pań, bardzo ładnie ubranych i sympatycznych, dwóch panów w letnich garniturach, dygnitarz żandarmerii z Radomia oraz niezwykle przystojny młody oficer w strojnym mundurze kawalergarda<sup>67</sup>. Rozmawiano po francusku, popijając kruszon<sup>68</sup> z wysokich kryształowych

szklanek, wszyscy rozleniwieni upałem i ciszą panującą w naturze przed zachodem słońca. Aleks, złożony ukłon, usiadł i prawie nie zabierał głosu. Dobre wychowanie nie pozwalało mu ujawnić gniewu, ale patrzył na rozbawione towarzystwo ze źle skrywaną niechęcią. Jego oczy szczególnie często zatrzymywały się na pięknym kawalerzyście, mierząc go niemal wrogim spojrzeniem. Nina nie orientowała się w układach rodzinnych wuja. Uznała więc, iż najlepiej będzie zachować całkowitą neutralność.

O ile Aleks był w złym humorze, o tyle Paula tryskała wesołością.

– Jestem taka wdzięczna pannie Ninie, że zgodziła się przyjechać do Makowa i miłosiernie uratować mnie od śmierci z nudów – powiedziała ze śmiechem. – Nie wątpię, że obecność jej ocali ten nieszczęsny dom od kompletnej ruiny. Widziałam w Sarnikach, jak energicznie rządziła służbą, a wszyscy okazywali posłuszeństwo, pomimo jej młodego wieku. Ja, niestety, nie nadaję się na panią domu. Nie znam się na niczym, prawie nie rozumiem języka polskiego i każdy sprytny lokaj wywiedzie mnie w pole.

Słuchając tej oryginalnej samokrytyki, Nina się uśmiechnęła i pierwsze skrępowanie minęło. Usiadła swobodnie w trzcinowym fotelu wyłożonym jedwabnymi poduszkami i popijając małymi łykami kruszon z kostkami lodu i kawałkami pomarańczy, przyłączyła się do ogólnej rozmowy. Aleks prawie nie brał w niej udziału, odpowiadając na pytania monosylabami. Goście, odstręczeni jego mrukliwością, jakby za cichym porozumieniem przestali się do niego odzywać. Potoczyła się zwykła salonowa rozmowa o niczym, będąca nie lada sztuką, wymagającą erudycji i wiedzy ogólnej. Przybyłe damy okazały się bardzo miłe, zwierając się z domowych kłopotów i zaśmiewając się z żarcików młodego oficera. Nina widziała te panie po raz pierwszy. Nigdy nie spotkała ich u pani wojewodziny, w Sarnikach czy w Bałtowie – siedzibie książąt Druckich-Lubeckich – czy też w zamku hrabiów Popielów, czy w pałacu hrabiów Tarnowskich, dokąd zjeżdżali się goście z liczących się w guberni rodzin. W trakcie rozmowy spytała po polsku ładną blondyneczkę, skąd przyjechała. Wtedy wybuchła bomba! Okazało się, że panie były Rosjankami, żonami oficerów służących w garnizonie radomskim, i przejazdem bawiły w Makowie.

Uprzejmy uśmiech zamarł na ustach Niny. Od czasu masakry na placu Zamkowym nie znosiła nawet widoku Rosjan. Dopiero teraz zrozumiała powód irytacji wuja. Najwidoczniej żona bez jego wiedzy zaprosiła do domu Moskali. Solidaryzując się z nim, zamierzała wstać i odejść, ale jego spojrzenie nakazało jej zachować spokój. Z gniewnym sapnięciem opadła na



jedwabne poduszki i umilkła. Spuściwszy oczy, bawiła się szarfą, udając, że nie widzi spojrzeń młodego oficera wpatrującego się w nią niemal bez przerwy. Lecz Paula dostrzegła jego zapatrzenie i zaczęła dobrodusznie pokpiwać sobie z niego.

– Coś mi się wydaje, że słońce dziś świeci za mocno. Wygląda pan, Sergiuszu Fiodorowiczu, na porażonego blaskiem.

– Niekiedy oczy pięknych dam są gorętsze od promieni słonecznych – odparł z galanterią i uśmiechnął się. Na jego opalonej twarzy wspaniałe białe zęby zalśniły niby sznur drogocennych pereł.

– Czyżby brakowało panu odwagi? – z kokieterią zagadnęła go jedna z pań. – Wiadomo nam, że zdobył pan na wojnie krymskiej wysokie odznaczenie wojskowe za męstwo.

– Żadna wojna nie jest tak niebezpieczna dla mężczyzny, jak widok pięknej kobiety – oznajmił z żartobliwym westchnieniem.

– Naprawdę? – Paula przechyliła głowę i posłała mu przeciągłe spojrzenie. – W takim razie zamierzam śmiertelnie pana przerazić. Życzę sobie, aby pan poprowadził mnie do stołu i bawił mnie przy kolacji.

– Życzenie pani hrabiny jest dla mnie rozkazem. – Skłonił przed nią głowę.

– Spójrz, Nino – odezwała się Paula. – Masz dziś okazję poznać najpiękniejszego oficera armii rosyjskiej. Przyznaj, że mają się czym pochwalić. Pan major Wielenin jest obiektem westchnień wszystkich dam w Petersburgu i w Moskwie.

Nina raczyła podnieść oczy, ale na jej ustach nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Lecz musiała w duchu przyznać, że nigdy nie widziała tak przystojnego mężczyzny. Silny brunet o południowej urodzie, był wysoki i bardzo zgrabny. Oczy miał śliczne, szafirowe, w oprawie czarnych rzęs, a rysy oryginalne i męskie. W odróżnieniu od reszty towarzystwa jego zachowanie nacechowane było wykwinłą swobodą człowieka z wyższych sfer. Po francusku wysławiał się płynnie, z nieskazitelnym akcentem. Od chwili, gdy w parku zjawiała się Nina, prawie nie spuszczał z niej wzroku, najwidoczniej zupełnie nią oczarowany. Jego przeciągłe spojrzenia bardzo ją peszyły, ale nie potrafiła się oprzeć chęci i czasem nieznacznie na niego zerknęła. Spostrzegła, że Paula starała się zagarnąć go tylko dla siebie, nie przejmując się obecnością męża. Nie bacząc na niego, przysunęła się bliżej Wielenina.

– Sergiuszu Fiodorowiczu... – Lekko dotknęła palcem dłoni oficera. – Prosimy o petersburskie nowiny. Co nowego w stolicy? A na dworze? Podobno z okazji imienin najjaśniejszej cesarzowej odbył się wielki bal.

– Tak, prosimy o ploteczki. To takie ekscytujące! – poparły ją panie.

– Obawiam się, że nie potrafię sprostać oczekiwaniom tak uroczego audytorium. – Major wyraźnie próbował się wykręcić.

– Oho, jest pan dziś podejrzenie małowówny... – Paula zmrużyła oczy i zatrzepotała szybko wachlarzem.

– ...oraz zbyt skromny – dorzucił otyły żandarm.

– Majorze, niech pan nie każe się błagać – ponagliła hrabina. – Serge, no, ja proszę!

Nina popatrzyła na nią złym okiem. Nie podobało się jej to poufałe odezwanie hrabiny.

– Owszem, w letniej rezydencji cesarza odbył się wielki bal – przemówił młody oficer, zwracając się do Niny, jakby mówił specjalnie do niej. – Ze stolicy przybyło ponad sto tysięcy ludzi, aby pozdrowić Najjaśniejszą Panią Marię Aleksandrownę. Był również pokaz ogni sztucznych, iluminacja ogrodów i parada wojskowa. Na koniec odbyły się manewry floty. To wszystko, co wiem na ten temat.

– Serge, jest pan nieznośny! – nadąsała się Paula. – O tym mogliśmy przeczytać sobie w żurnalu. Nas interesują dworskie skandaliki, a nie manewry floty. Przecież jako oficer gwardii cesarskiej z pewnością był pan blisko Najjaśniejszego Pana. Chcemy wiedzieć, czy na Olimpie ukazała się nowa bogini. Jakaś błyszcząca jasno gwiazda... – Mówiąc to, Paula uczyniła aluzję do znanej kochliwości cara Aleksandra II.

– Pan major Wielenin pragnie zachować dyskrecję – mruknął młody mężczyzna w słomkowym kapeluszu zsuniętym na tył głowy.

– Nie, to niesprawiedliwe zarzuty – bronił się oficer. – Naprawdę nic więcej nie wiem, bo nie było mnie już wówczas w stolicy. Poza tym nie zamierzam rozmawiać o jakichś boginiach i gwiazdach, mając koło siebie aż tyle pięknych dam.

Paula nieznacznie przygryzła wargę, a po jej twarzy przemknął cień.

– Ale nie powie pan nam głośno, którą z nas uważa pan za tę najpiękniejszą?

– O nie! Biedny Parys postanowił być szczery i bardzo źle na tym wyszedł – odparł Wielenin z ironicznym uśmiechem. – Nie zamierzam dać powodu do nowej wojny trojańskiej.

– To są jedynie wykręty. – Na ustach Pauli ukazał się złośliwy grymas. – Wyobraź sobie, Nino, że pan major tylko udaje przesadną skromność. Znany jest szeroko jako mistrz w miłosnych podbojach. Nawa wezbrała od łez petersburskich piękności, szlochających przy pożegnaniu. Wyjeżdżając z Rosji, pan Wielenin pozostawił za sobą legion złamanych serduszek, a jego słodkich słówek żadna rozsądna kobieta nie powinna traktować poważnie.

Nina odniosła wrażenie, że było to zawołane ostrzeżenie pod jej adresem. Aleks również tak to zrozumiał, bo przerwał milczenie i odezwał się podniesionym tonem:

– Nina jest stanowczo za młoda na rozmowy o romansach!

Lecz Rosjanki nie zamierzały ustępować i nalegały, posyłając majorowi zalotne spojrzenia. Uroda młodego oficera przyspieszała bicie ich serc.

– Błagam, proszę mnie nie dręczyć – bronił się major, wznosząc obie ręce. – Zwykłe salonowe flirciki pani hrabina raczyła podnieść do rangi jakichś romansów. Protestuję! Która z dam zechciałaby obdarzyć uwagą skromnego żołnierza?

Paula z rozkapryszoną miną trzepnęła go wachlarzem po ramieniu.

– Kłamczuch! Pańska skromność jest zwykłą hipokryzją – oświadczyła. – Nawet pośród tonącej w złocie arystokracji rosyjskiej uchodzi pan za człowieka bogatego. O ile wiem, niemal połowa guberni saratowskiej należy do pana. Nie licząc pałaców i domów w Moskwie, w Petersburgu i na Krymie.

– A jakież to ma znaczenie? – Wzruszył ramionami, a pomiędzy jego czarnymi brwiami zarysowała się pionowa zmarszczka. – Pieniądze nie są miernikiem wartości człowieka i nie dają mu szczęścia.

Nina zgodziła się z nim milcząco i pomyślała, że wyliczanie bogactw bynajmniej nie sprawiało panu Wieleninowi przyjemności, wydawał się raczej zakłopotany. Odniosła wrażenie, że młody oficer i hrabina toczyli słowny pojedynek, którego sens znany był jedynie im. Pozostałe towarzystwo niewiele się na tym tajemniczym dialogu wyznawało. W końcu panie zaczęły omawiać nowinki mody paryskiej, a mężczyźni w związku z nasilającymi się w kraju rozruchami rozmawiali o zaopatrzeniu wojska w nowoczesną broń. Żandarm odgrażał się „durnowatej” studenterii polskiej, której tylko bunt w głowie. Aleks milczał uparcie, wpatrując się w górującą nad parkiem Sieradowską, powleczone błękitną wieczorną mgiełką. Na końcu alei ukazał się Grot. Przybiegł do pana i usiadł przy fotelu, kładąc

głowę na jego kolanach i miłośnie zaglądając mu w oczy. Paula z obrzydzeniem obejrzała się na psa.

– Sasza, odpędź tego kundla! On musi mieć pchły, bo czuję, że coś mnie gryzie.

– Grot pozostanie – odpowiedział Aleks spokojnie, gładząc pieszczotliwie psa po głowie.

Paula zacięła wargi, lecz musiała się pogodzić z obecnością setera, by nie wywoływać sprzeczki. Każda jej uwaga skierowana pod adresem Grota zwiększała jedynie upór męża. W tej nieszczerzej i napiętej atmosferze Nina poczuła się źle. Prowadzone rozmowy pełne były niezrozumiałych dla niej aluzji. Zaczęła się zastanawiać, czy nie popełniła błędu, upierając się przy zamieszkaniu w Makowie. Zaskoczyła ją zmienność hrabiny, która naraz przestała zajmować się Wieleninem i zaśmiewała się z niewybrednych żartów żandarma.

Nadejście lokaja, oznajmiającego, że podano do stołu, Nina powitała z ulgą. Była już zmęczona wydarzeniami dnia i wielce ciekawa swojego nowego mieszkania. Pocieszała się nadzieją, że w tak dużym domu chyba znajdzie się dla niej coś lepszego niż izdebka na facjatce. Ogromna sień wydawała się sercem domu. Ze wszystkich stron otaczały ją wspaniałe apartamenty. Postanowiła nazajutrz dokładnie zwiedzić cały pałac, od poddasza aż po piwnice. Stała przed wielkim weneckim lustrem i zdjęła z głowy kapelusz, poprawiając włosy. Z warkoczy wysunęło się kilka dużych szpilek i ciężki węzeł włosów obluzował się nieco. Umocniła go. W tafli lustra dostrzegła za sobą pochmurną twarz Aleksa, który wszedł za nią do sieni.

– Bardzo mi przykro, Nino – powiedział, ściągając brwi. – Miałem nadzieję, że pierwsze godziny w tym domu upłyną w miłszej atmosferze. Przepraszam cię.

– Przecież to nie pana wina – odpowiedziała z bladym uśmiechem.

Skinął głową, podał jej ramię i wprowadził do jadalni. W świetle dnia wielka sala sprawiała zachwycające wrażenie. Stół błyszczał od kryształów i sreber, lokaje zapalali w świecznikach wysokie białe świece. Potrawy podawano na kruchej saskiej porcelanie, delikatnej, prześlicznie zdobionej złotem i znaczonej herbem Klonowieckich. Przez szeroko otwarte okna i drzwi na taras z parku płynął zapach kwiatów, mieszając się z apetyczną wonią potraw na półmiskach, przykrytych srebrnymi pokrywami. Walenty doglądał zastępu lokajów roznoszących półmiski i grzejących talerze nad

podgrzewaczem wykonanym ze srebrnej blachy. Dopilnowawszy wszystkiego, kamerdyner stanął za krzesłem pana, bacznie obserwując każdy ruch służby i oczami dając im znaki. Z jego nieruchomej twarzy nie można było nic wyczytać, lecz ilekroć w sali rozległ się dźwięk rosyjskiej mowy, w oczach staruszka zapalał się błysk tajonego gniewu.

Major Wielenin, siedzący pomiędzy panią domu i Niną, usługiwał obu damom z wykwinną grzecznością, podsuwając chleb i nalewając wodę z karafki. Starał się zająć Ninę rozmową, lecz ona, speszona przepychem jadalni oraz jego bliskością, jadła mało i zaraz po kolacji poprosiła hrabinę o wskazanie jej pokoju.

– Biedactwo, pewnie jesteś zmęczona, bo aż pobladłaś – zauważyła Paula ze współczuciem. – Za moment sama cię zaprowadzę do twego pokoju.

Musiały jednak jeszcze jakiś czas pozostać, bo goście zaczęli się żegnać przed odjazdem. Paula zatrzymała Wielenina i żandarma, zapraszając ich na kawę z koniakiem i partyjkę bilardu. Nina pożegnała odjeżdżających Rosjan ukłonem i stanęła przy schodach, czekając na hrabinę. Nawet nie spostrzegła, kiedy podszedł do niej Wielenin.

– Opuszcza nas pani? – spytał półgłosem. – Nie będę już dziś miał szczęścia widzieć pani?

Miała szczerzy zamiar odpowiedzieć „Nie!” i odwrócić się do niego plecami. Na swoje nieszczęście spojrzała mu w oczy i wbrew sobie odpowiedziała równie ściszym głosem:

– Na sen chyba jeszcze za wcześnie.

Odetchnął, a jego smagłą twarz rozjaśnił uśmiech.

– O wiele za wcześnie – przytaknął i złożony jej ukłon, wycofał się do salonu.

Paula wróciła i po marmurowych schodach weszły na piętro. Znalazły się w długim mrocznym korytarzu, mijając salę balową i wielki salon. Korytarz nie miał okien i oświetlony był kinkietami pełnymi płonących świec.

– Będziemy sąsiadkami – oznajmiła hrabina. – Dom jest duży i ma mnóstwo pokoi. Sasza mieszka na parterze, w starej części pałacu. Wiele małżeństw sypia razem, ale ja nie rozumiem, jak można gnieździć się w jednym pokoju z mężem. To takie parafiańskie, prawda? – Popatrzyła na Ninę i uśmiechnęła się. – Wybacz, zapomniałam, że jesteś panienką i nic jeszcze nie wiesz o małżeństwie.

„Zdziwiłabyś się, ile wiem o tych sprawach” – pomyślała Nina z goryczą i doznała pewnej pociechy na myśl, że hrabia nie mieszkał z żoną, choć to o

niczym nie świadczyło.

Stały przed wysokimi rzeźbionymi drzwiami. Paula je otworzyła i ruchem dłoni zaprosiła Ninę do środka.

– No, jesteśmy u mnie! – oświadczyła skromnie, lecz w jej głosie zabrzmiały akcenty dumy. – Ten pokój nazywają „złotą komnatą”. To moja sypialnia, a obok buduar i garderoba.

Stojąc na środku pokoju, Nina rozglądała się w milczeniu. Nawet nie wyobrażała sobie takiego przepychu, połączonego z dobrym smakiem. Sypialnia umeblowana była w stylu Pierwszego Cesarstwa<sup>69</sup>. W głębokiej niszy stało śliczne łóżko w kształcie łodzi, pod baldachimem ze złotego brokatu. Taki sam brokat pokrywał stylowe mebelki, a także opadał w przemyślnych draperiach kotar przy oknach i portier przy drzwiach. Ściany pokoju obite były jedwabiem o barwie złota. Wspaniałe marmurowe kominek zdobiły cenne wazy japońskie, pełne herbacianych róż. W taflach luster odbijały się wisiory kryształowego pająka.

Pogodny nastrój sypialni podkreślały znakomite pejzaże wiszące na ścianach i miękkie dywany z Aubusson. Sąsiadujący buduar był ostatnim wyrazem mody oraz elegancji. Uwagę Niny zwróciły piękne mebelki obite kwiecistym jedwabiem, z całą pewnością z epoki rokoka. Każdy z tych wymyślnych i bogato intarsjowanych<sup>70</sup> fotelików czy różanych stoliczków wart był fortunę. W sypialni wisiał naturalnej wielkości portret hrabiny, przedstawionej jako Fryne<sup>71</sup>. Wyglądała na nim jak żywa, bo znakomity malarz doskonale uchwycił podobieństwo modelki.

– Jakże tu pięknie – wyszeptała Nina, przygnieciona poczuciem klęski.

Niania i ciotka Maria mówiły prawdę... Tylko zakochany do szaleństwa mężczyzna zdolny był otoczyć obiekt swej miłości takim przepychem. Na toaletce, okrytej tiulami i koronką, stały szkatułki pełne klejnotów, a garderoba zapchana była paryskimi strojami. Nina pomyślała z rozpaczą, że mężczyźni najmocniej kochają kobiety, które nie zasługują nie tylko na miłość, ale nawet na szacunek. Chyba sam diabeł sprowadził ją do tego domu! Przekonała się na własne oczy, jak bardzo jej ukochany troszczył się o wygodę małżonki. Poczła się intruzem w tym rozkosznym gniazdku, stworzonym do miłosnych uniesień. Wolałaby znaleźć się w piekle niż w tej wspaniałej sypialni.

Paula swobodnie zasiadła w miękkim fotelu.

– *Asseyez-vous s'il sous plaît*<sup>72</sup>. – Ruchem dłoni wskazała Ninie drugi fotelik. Zauważywszy jej minę, uśmiechnęła się nieznacznie. – No i jak ci

się tu podoba? Opowiadał mi Sasza, że te pokoje od zawsze należały do dziedziczek Makowa. Tu rodzili się przyszli właściciele majątku. Dziad Saszy, kasztelan Klonowiecki, ożenił się z piętnastoletnią panią. Młodziutka hrabina urodziła w tym pokoju ojca i stryja Saszy i przy porodzie zmarła. Ostatnio apartamenty zajmowała matka mego męża, ale również szybko zmarła na skir. Ja zamierzam mieszkać tu o wiele dłużej. Czy zwróciłaś uwagę na meble w buduarze? Niegdyś należały do hrabiny du Barry<sup>73</sup>, wyobraź sobie! Zostały zakupione w jej pałacu w Luciennes po zgilotynowaniu hrabiny w czasie rewolucji francuskiej. Po rewolucji można było za bezcen kupić we Francji przepiękne dzieła sztuki. Meble, obrazy, biżuterię, zagrabione przez hołotę z magnackich rezydencji, nawet samego Wersalu. Dziad Saszy, pan kasztelan, znał się na interesach. Wysłał do Paryża człowieka znającego się na dziełach sztuki, wręczając mu na drogę worek dukatów. Nic dziwnego, że w pałacu znajdują się tak wspaniałe rzeczy. Wszyscy Klonowieccy lubili piękne przedmioty. Niektóre posągi z sali balowej i wielkiego salonu zostały zakupione w Grecji i w Rzymie. Ale ja się na tym nie znam. À propos toalet, jutro dam ci adresy dobrych modystek... – Urwała raptownie i zaczęła pocierać dłonią czoło. Jej ogniste czarne oczy przygasły, jakby ktoś zdmuchnął w jej wnętrzu światło. Cera nabrała ziemistych odcieni, a ona skurczyła się i przechyliła na bok.

– Przepraszam, czy pani może źle się czuje? – spytała Nina, lecz nie otrzymała odpowiedzi.

Paula siedziała bez ruchu, wpatrując się przed siebie szklanym wzrokiem. Naraz zaczęła się kiwać w przód i w tył ruchem mechanicznej zabawki. Przypominała bezduszny manekin. Ninę ogarnął strach.

– Może ja przywołam służbę?

– Nie – mruknęła Paula chrapliwie.

Chwiejnym krokiem, słaniając się i trzymając ściany, weszła do buduaru, przysmykając za sobą drzwi. Przez pozostawioną dużą szparę Nina dostrzegła, że hrabina podeszła do biureczka i kluczykiem zdjętym z szyi otworzyła szufladkę. Wyjęła z niej okrągłe srebrne pudełeczko. Zdziwiona Nina sądziła, że Paula zamierza przypudrować sobie nos. Zaraz jednak zorientowała się, iż uległa złudzeniu. To nie był puder. Błada jak trup hrabina dowlokła się do kanapki i ciężko na nią opadła. Odrzuciwszy w tył głowę, spoczywała nieruchomo, a z jej otwartej dłoni wypadło pudełeczko i potoczyło się po jedwabnym dywanie aż pod szyfonierkę. Wszystko to było bardzo dziwne i niepokojące. Nina już wyciągnęła rękę, aby pociągnąć

taśmę dzwonka i przywołać pokojówkę, ale z sąsiedniego pokoju dosłyszała głębokie westchnienie i po chwili do sypialni weszła Paula. Nina z trudem powstrzymała okrzyk zdumienia na widok zmiany, która w niej zaszła. Hrabina poruszała się lekko, jej policzki pokrywał delikatny rumieniec, a oczy błyszczały.

– Wybacz, moja droga – odezwała się dźwięcznym głosem. – Było mi odrobinę duszno i musiałam zażyć lekarstwo. Powiedz mi, dlaczego nosisz na sobie te ponure kiry, jak wdowa?

– Mamy żałobę narodową – bąknęła Nina. Nie znosiła narzuconego obowiązku, uważając, że jest idiotyczny.

– Dziecko, przecież to zbiorowy obłęd! – Paula ze śmiechem puknęła się w czoło. – Kirami chcecie walczyć z carem? Jasne suknie zabronione, taniec nie uchodzi, zabawa jest grzechem, a śmiech i wesołość występkiem. Sami się zadrażacie, a potem się skarżycie, że władze carskie was prześladują. Och, ciśnij tę czerń do lamusa i spraw sobie nowe, kolorowe toalety. Kiedy włożysz ładne suknie, jeśli nie w młodości? W tym roku Paryż lansuje okrycia i kapelusze po prostu urocze!

– Bardzo żałuję, ale, niestety, nie mogę. – Nina stłumiła cisnące się jej na usta westchnienie żalu.

– Jak uważasz. Chodźmy, pokażę ci twoje nowe mieszkanie.

Ponownie znalazły się w długim korytarzu wysłanym dywanem tak grubym, że tonęły w nim stopy. Hrabina poszła przodem i otworzyła jakieś drzwi. Znalazły się w dużej kwadratowej komnacie wybitej zielonym adamaszkiem. Piękne ciemne mahoniowe meble tworzyły całość pełną powagi i spokoju. Kotary i portiery uszyte były z ciemnozielonego aksamitu, podkreślając jeszcze nastrój zaciszności. Uwagę Niny zwróciło starożytne łoże pod zielonym aksamitnym baldachimem, wspartym na czterech rzeźbionych kolumienkach. Było tak wysokie, że trzeba było wchodzić do niego, stając na stołeczku, także obitym zielonym aksamitem. Szeroko otwarte drzwi prowadziły na balkon, skąd można było dostrzec pomiędzy drzewami wysmukłą wieżyczkę ze złotym krzyżem.

– Nie wiedziałam, że w Makowie jest kościół.

Nina wyszła na balkon zawieszony nad ogrodem różanym. Z wysokości pierwszego piętra widoczna była z dala gładka tafla stawu i krążące nad nią ptaki gotujące się do spoczynku.

– To tylko kaplica grobowa – wyjaśniła Paula, stając obok niej. – Leżą w niej właściciele Makowa. Podobno okropnie tam wygląda. Trumny stoją w



podziemnej krypcie, a ludzie boją się nawet zbliżyć do kaplicy, bo rzekomo tam straszy. Niektórzy nawet widzieli światła w oknach. Ale ja sądzę, że to tylko bajki zabobonnych prostaków. – Mówiąc to, wzdygnęła się mimo woli i prędko powróciła do pokoju. – A tu jest twój buduarek. – Otworzyła następne drzwi. – Meble są białe, bo jesteś panienką. Cóż, podoba ci się tutaj czy może wolisz wybrać sobie inny pokój?

– Nie, dziękuję. – Nina zdobyła się na słaby uśmiech. – Nie można życzyć sobie przyjemniejszego mieszkania. Z balkonu taki śliczny widok, a dookoła pełno drzew i kwiatów. A gdzie została ulokowana moja niania?

– W pobliżu, na końcu korytarza. Widzę, że jesteś do niej przywiązana. Słusznie, bo dziś trudno o dobrą służbę.

– Moja niania nie jest służącą – mruknęła Nina, urażona uwagą Pauli. – Pochodzi ze szlachty. Ona mnie wychowała i jest dla mnie drugą matką.

– Jak to miło... Radzę ci, odśwież się i koniecznie zejdź potem do malinowego salonu. Zwykle przebywamy tam po kolacji. – Paula przesłała jej dłonią pocałunek i wyszła.

Zostawszy sama, Nina rozejrzała się po nowym mieszkaniu. Oglądała stojące na półeczkach bibeloty z porcelany i kości słoniowej oraz srebrne świeczniki na komodzie. Zajrzała do wielkiej szafy, mogącej pomieścić mnóstwo strojów, pełnej bielizny pościelowej i ręczników. Przejrzała się we wprawionym w drzwi szafy lustrze, a potem w drugim, owalnym. Zaglądnęła do buduarku, słodkiego jak bombonierka. Wszędzie stały kwiaty w doniczkach i w wysokich flakonach z zielonego kryształu, a także w skrzynkach na balkonie. Na koniec usiadła przy toaletce, na rzeźbionym karle, i zamyśliła się nad swoim losem.

To był prawdziwy cud, że ona, jeszcze wczoraj żalosne popychadło u Borutyńskich, dziś mieszkała we wspaniałym apartamencie, niby wielka dama. Wieczorem zasypiała w klitce na poddaszu, a dzisiaj spocznie w tym wygodnym łóżu, w puchach i koronkach. Zaśmiała się, wyobraziwszy sobie złość ciotki Marii. Dobrze, że posiadała trochę pieniędzy. Zaraz jutro napisze do modniarki warszawskiej i zamówi u niej ze dwie porządne suknie. Na więcej, niestety, pieniędzy już nie wystarczy, bo powinna jeszcze pomyśleć o nowym płaszczu na zimę.

Tak rozmyślając, rozglądała się po swoim pokoju, zachwycona lśnieniem ciężkich mebli, miękkością dywanów i pięknem rzeźbionych gerydonów<sup>74</sup>. Już wiedziała, że pokocha ten zielony i zaciszny pokój. Lecz mimo wszystko nie czuła radości. Nie potrafiła zapomnieć złotej poświaty bijącej z

apartamentu hrabiny. To były pokoje na miarę jej ambicji, lecz wuj Aleks ofiarował je tamtej kobiecie, sprawiając, że jej piękność wydawała się jeszcze bardziej olśniewająca we wspaniałej oprawie. Wyobraziła sobie, że „złota komnata” należy do niej. Widziała już siebie, jak stojąc w progu, mówi od niechcienia zdumionym gościom: „Proszę dalej, jesteśmy u mnie!”. Oprzytomniała na dźwięk własnego głosu. Zorientowawszy się, że głośno mówi, wzruszyła ramionami nad swoją głupotą.

Zapominając o nierealnych marzeniach, umyła się starannie w dużej pięknej miednicy z porcelany w zielone liście i kwiaty. Mydło miało ładny zapach. To także była nowość, bo w Sarnikach wszyscy używali mydła wytwarzanego domowym sposobem. Przed zejściem do salonu poprawiła fryzurę. Ktoś zapukał i do pokoju weszła Jaga, prowadząc z sobą młodą dziewczynę.

– To jest Walerka, twoja pokojówka – oznajmiła niania. – Wejdz, moje dziecko – zwróciła się do dziewczyny stojącej skromnie w progu. – Wyciągnij z kufra suknie jaśnie panienki i powieś je w szafie. Ułóż bieliznę w bieliźniarce. A nie zapomnij położyć na łóżku nocnej koszuli.

– Dobrze, proszę pani. – Pokojówka dygnęła i posłusznie zabrała się do roboty.

Nina aż poczerwieniała z dumy, że odtąd będzie miała własną pannę służącą. Zauważyła również, że niania nazywała ją jaśnie panienką. W Sarnikach służba zwracała się do niej, mówiąc: „panienko” lub „panno Nino” i nikt jej tam nie tytułował. Z sympatią przypatrywała się czerstwej ciemnowłosej wesołej dziewczynie i jej szybkim, zręcznym ruchom.

– Dawno służysz w pałacu? – zagadnęła ją przyjaźnie.

– O, już ze trzy lata. Jaśnie pan hrabia bardzo dobry, a pałac piękny, że i sam król pewnie piękniejszego nie ma. Nastalam tu jeszcze za życia starszego jaśnie pana hrabiego, stryja naszego jaśnie pana, a mój tatuś służy jako gajowy w lasach makowskich. Strasznie się cieszę, że będę usługiwać jaśnie panience. Wczoraj pani hrabina chciała tu dać Małgoškę, ale to głupia dziewczyna i leń do roboty. Pan kamerdyner się nie zgodził i mnie wyznaczył do jaśnie panienki. Te pokoje także wybrał pan Walenty, bo są jasne i słoneczne. Jak tylko jaśnie panienka będzie mnie potrzebowała, to proszę dzwonić trzy razy. Na lokaja dzwoni się dwa razy, a na pana kamerdynera raz.

– W takim razie podziękuj panu Walentemu i powiedz, że jestem z ciebie bardzo zadowolona, a wybrane pokoje są piękne. – Nina z uśmiechem

przerwała potok wymowy Walerki.

Wyjęła z kuferka szkatułkę z pamiątkami i postawiła ją na toalecie. Zapięła na szyi rubinowy krzyż i przeglądała się w lustrze.

– Jaśnie panienka nie przebierze się do salonu? – spytała pokojówka.

– Dziś już nie.

Przed dziewczyną udawała, że kufry jeszcze nierozpakowane, ale w głębi serca martwiła się, że jej skromna garderoba rychło się opatrzy. Zresztą przebrać się należało do kolacji, nie teraz. Spytała Walerkę, gdzie jest malinowy salon i ujawszy oburącz suknię, zbiegła po schodach na parter. W wielkiej sali z drzwiami i oknami wychodzącymi na taras, skąd widoczny był ogród różany, siedzieli już obaj Rosjanie i gospodarze domu. Lokaj bezszelestnie roznosił mocną czarną kawę, likiery i owoce.

Na jej widok major Wielenin zerwał się i z uprzedzającą grzecznością podprowadził ją do kanapy. Pomógł jej usiąść, podał filiżankę z kawą, cukier, śmietankę i podsunął pod stopy podnózek. Troszczył się o nią tak gorliwie, że Paula zaczęła się im przypatrywać przez zmrużone powieki. Nina przyjmowała te dowody uprzejmości chłodno, dziękując i nie podnosząc na niego oczu. W pewnej chwili kątem oka przyłapała spojrzenie Pauli posłane Wieleninowi. Miękkie, wilgotne i jakby pytające. Tak patrzeć mogła tylko zakochana kobieta. Poczula do hrabiny wzmożoną niechęć. Jak ona mogła, mając tak niezwykłego męża, romansować z tym oficerem? Odwróciła głowę i spojrzała wzrokiem pełnym miłości na Aleksa, pijącego w milczeniu kawę. Jakby odgadł, że o nim myśli, bo rzekł:

– Nino, może zagrasz nam coś ładnego na zakończenie dnia? – Ruchem głowy wskazał na stojący na podwyższeniu wielki koncertowy fortepian.

– Lękam się, żeby moja muzyka nie zepsuła państwu wrażenia miłego wieczoru – zażartowała, mając wielką ochotę popisać się swoją grą i wypróbować wspaniały instrument.

– O, tym się nie przejmuj – pocieszyła ją Paula, niby przypadkiem podsuwając się bliżej fotela, na którym siedział Wielenin. – Ja się nie znam na muzyce, więc spokojnie możesz fałszować.

– W takim razie ja będę pani przewracał nuty! – ofiarował się z gotowością młody oficer.

– Dziękuję panu. Gram z pamięci – odparła oziębło.

Dostrzegła na ustach Aleksa leciutki uśmiezek, a wyraźny zawód malujący się na twarzy młodego mężczyzny i wdzięczne spojrzenie, które posłała jej Paula, upewniły ją, że postąpiła słusznie. Lokaj zapalił

sześcioramienny świecznik na wieku fortepianu i cztery świece umieszczone nad klawiaturą. Podeszła do fortepianu, usiadła z gracją na taborecie i biegle wzięła kilka akordów. Instrument odpowiedział głębokim głosem spiżu. Był to drogocenny Pleyel z klawiszami z kości słoniowej, wspaniale inkrustowany pozłacanym brązem. Stryj Aleksa, wielki miłośnik muzyki, nie licząc się z kosztami, sprowadził do Makowa aż dwa takie instrumenty. Drugi fortepian stał w wielkim salonie.

Nina była trochę onieśmielona, wiedząc, że hrabia będzie się jej przysłuchiwał krytycznie, chcąc się przekonać, czy naprawdę ma talent. Postanowiła udowodnić mu, że jest pianistką, a nie tuzinkową panną klepiącą ograne kawałki. Wsparła małą stopę na pozłacanym pedale i przechyliwszy na bok głowę, zastanawiała się, co zagrać. Potem położyła dłonie na klawiszach i spod jej długich palców zabrzmiał mazurek g-mol Chopina. Lubiła ten utwór, w którym wyraźnie pobrzmiwała nuta chłopskiej piosenki. Już po pierwszych uderzeniach opanowała instrument i nabrała pewności siebie. Ten mazurek zawsze przywodził jej na myśl obraz szerokich pól jesienią, gdy po rżyskach i zrudziałej trawie ciągną się dymy z ognisk pastuszych. Porywisty wiatr szarpie grube skłębione chmury grożące ulewą i zrywa z drzew resztki pożółkłych liści. Oddając wiernie nastrój utworu, była przekonana, że i sam kompozytor musiał mieć podobną wizję. Zaczęła swój koncert utworem Chopina, bo nie wyobrażała sobie, aby w ten szczególny wieczór mogło się obejść bez muzyki jej ukochanego kompozytora. Z uśmiechem wysłuchiwała gromkich braw, którymi nagrodzili ją słuchacze.

– Brawo, Nino! – zawołał Aleks. – To było znakomicie zagrane. Prosimy, zagraj nam coś jeszcze.

– Chętnie. A co?

– Zdajemy się na wybór naszej prześlicznej pianistki – powiedział Wielenin.

– W takim razie zagram państwu *Larghetto* z koncertu fortepianowego f-mol Chopina. Brak mi wprawdzie orkiestry, ale obejdę się bez niej.

Nina pamiętała, że muzyka była dla Fryderyka Chopina wyrazem uczuć, a samo *Larghetto* odbiciem jego wzruszającej młodzieńczej miłości do panny Konstancji Gładkowskiej. Postanowiła więc zagrać tę część koncertu specjalnie dla Aleksa, aby opowiedzieć mu muzyką to, czego nie śmiała wyznać słowami. Chciała dać z siebie wszystko, więc poprawiła się na taborecie i skupiła uwagę, powtarzając w myśli części kompozycji. Lecz od

pierwszego akordu As-dur natychmiast zapomniała o wszystkim, oddając się całkowicie muzyce. Przymknęła powieki, a jej delikatna twarzyczka przybrała wyraz natchnienia i powagi.

Za oknami zapadł zmierzch i salon tonął w półmroku. Płomienie świec chwiały się w lekkich podmuchach wpadających przez otwarte drzwi na taras. Spoza wzgórz wytoczył się księżyc, sunąc wolno i blednąc w miarę wznoszenia. Na korony drzew spłynęły kaskady kryształowego światła, zamieniając park w świat bajkowej ułudy. Z pobliskiego stawu odezwały się chóry żab, a pomiędzy gęstymi liśćmi zamigotały tysiące drobniutkich światełek, unosząc się nad krzewami i kielichami kwiatów. Maleńkie świetliki rozpoczynały nocne pląsy, przenosząc się z miejsca na miejsce, niby isierki ognia. Promienie księżycowego światła sunęły po ścianach salonu, srebrząc i ożywiając martwe twarze portretów. Duże włochate ćmy krążyły uporczywie nad płomykami świec, opalając skrzydła i ginąc w roztopionym wosku.

W ciszy rozległy się delikatne, pieszczotliwe, omdlewające tony fortepianu. Było to wyznanie naiwnej egzaltowanej miłości szukającej jakiegoś ujścia i znajdującej je w muzyce. Po słodkiej, lirycznej części *Larghetto* nastrój nagle się odmienił. Spod palców pianistki wybuchły gwałtowne, porywające akordy, wypełniając muzyką każdy zakątek sali. Dłonie Niny przebiegały klawiaturę w piorunujących pasażach, a czarowna kantylena umilkła, stłumiona burzliwym, przejmującym głębią uczucia wyznaniem miłosnym. Spod rzęs obserwowała siedzącego w cieniu Aleksa i nie widząc jego twarzy, pewna była, że w tym momencie patrzył on na Paulę. Świadomość tego napełniła jej serce cierpieniem. Namiętnymi dźwiękami opowiadała mu o swojej nieodwzajemnionej miłości i tęsknocie budzących się zmysłów. Potężnymi akordami rzucała mu wyzwanie tak zuchwałe, że dusza w niej truchlała, a policzki płonęły wewnętrznym żarem. Narastające lawinowo dźwięki muzyki zdawały się wołać, rozpaczliwie błagać i skarżyć się przejmująco.

Raz jeszcze pasażę jak grzmot przebiegły całą klawiaturę i stopniowo milkły, rozpluwając się znowu w słowiczych trylach. Zamiast akompaniamentu orkiestry i cichego glissanda skrzypiec coraz głośniejszumiął wiatr, a gdzieś daleko, poza górami, gromadziły się burzowe chmury. Uczyniło się niezwykle duszno i parno. Na krańcach horyzontu niebo przeciął jaskrawy zygzak błyskawicy. Po niej rozległ się cichy pomruk gromu, a w krzakach jaśminu rozświergotały się obudzone ze snu ptaki.

Nina siedziała pochylona, jakby wsłuchując się w zamierające tony muzyki. W blasku świec jej owinięta grubymi warkoczami główka, długa szyja i smukły młodzieńczy kark rysowały się lekką, śliczną linią. Głęboką zadumę przerwały dopiero entuzjastyczne oklaski. Wielenin wstał i bił brawo, domagając się bisów. Ale ona nie chciała już grać, tłumacząc się zmęczeniem. Czuła się tak wyczerpana, że wydawało się jej, iż nie zdoła podnieść się z taboretu. Do fortepianu podszedł Aleks i ująwszy jej dłoń spoczywającą bezwładnie na klawiszach, podniósł ją do ust i ucałował.

– Promyczku, nie wierzyłem własnym uszom! Masz talent, wielki talent. Koniecznie należy go rozwijać. Dziękuję ci za tę chwilę czarów. – Jego słowa były dla niej najcenniejszą nagrodą.

Tymczasem obaj Rosjanie zbierali się do drogi. Nina słyszała, że Paula kilkakrotnie zapraszała Wielenina do Makowa, ale hrabia, żegnając gości, miał taką minę, jakby życzył sobie, aby obaj mężczyźni raz na zawsze zapomnieli drogi do pałacu. Kiedy nareszcie odjechali, wszyscy zaczęli mówić sobie: „dobranoc”. Panie wchodziły po schodach, poprzedzane przez dwóch lokai niosących zapalone świeczniki.

Aleks zatrzymał się nagle i uniósł głowę ku żonie.

– Chciałem z tobą porozmawiać. Pamiętasz?

– Sasza, błagam, nie dzisiaj. Jestem taka zmęczona.

– Nie uzgodniłaś ze mną tej wizyty.

– Przepraszam. Przyjechali tak niespodziewanie... Nie mogłam się wymówić.

– Hm, przypuśćmy. A kim właściwie jest ten pan Wielenin?

– Nie przypominasz sobie? Na ostatnim balu w Pałacu Taurydzkim cesarzowi towarzyszył Wasyl Mikołajewicz Wielenin. Pan major jest jego cioteczynym wnukiem. Poznaliśmy się w Petersburgu, na obiedzie u księcia Orłowa. Właśnie wybierał się do Polski i zmówiliśmy się, że Radom jest właściwie niedaleko Makowa.

– Ach tak! To wiesz panu majorowi paranteli – rzekł Aleks z ironią. – Stary Wielenin postrzegany jest w kołach liberalnych jako zajadły szowinista i wróg Polaków. Ma bardzo niekorzystny wpływ na cesarza.

– No wiesz! O wartości człowieka nie może stanowić jego sympatia czy antypatia do Polaków – zauważyła Paula zirytowanym tonem. – Sergiusz Fiodorowicz jest człowiekiem bardzo sympatycznym. Generał Uszakow<sup>75</sup> wielce go ceni. Jechał właśnie do Kielc i wstąpił tu po drodze.

– Ciekawe... – mruknął Aleks. – Dosyć kręte ma drogi! Aha, teraz sobie przypominam, że podczas mego ostatniego pobytu w Petersburgu rozmawiano u księcia Urusowa na temat Wieleninów. Podobno młodego oficera zesłano do Polski za jakieś grzeszki, pojedynek czy coś takiego. Księżna wspominała, że dziadek, pragnąc go utemperować, zamierza ożenić majora z jedną ze swoich wnuczek lub z którąś z księżniczek Golicyn albo Dołgorukow.

Paula drgnęła i pośpiesznie zeszła kilka stopni w dół. Na jej twarzy odmalował się żywy niepokój.

– Słyszałeś o tym? Może to zwykłe plotki?

– Może. Czy on zamierza często tu bywać?

– Przecież zaprosiłam go do Makowa. To taki kulturalny, miły człowiek. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Przecież chyba nie jesteś o niego zazdrosny?

Na jego ustach pojawił się zagadkowy uśmiech.

– Kto wie? Może jestem.

– No wiesz, Sasza! Robisz się coraz większym dziwakiem. – Paula wzruszyła ramionami, potrząsnęła głową i mamrocząc coś pod nosem, poszła do swojego apartamentu.

Stary kamerdyner osobiście sprawdził, czy wszystkie okna i drzwi pozamykano, a świeczniki pogaszono. Sam zamknął drzwi wejściowe i wielki dom pograżył się w ciszy i ciemności. Tylko z parku dochodziły odgłosy kołatek stróżów nocnych i poszczekiwanie psów spuszczonej z łańcucha.

Nina weszła do swego pokoju i odetchnęła. Lokaj zapalił świece w sześcioramiennym świeczniku, życzył jej dobrej nocy i wyszedł. Gorset ścisnął ją tak mocno, że nie wzywając pokojówki, rozebrała się sama, co wcale nie było łatwe. Zrzuciła też falbaniaste halki i w lekkim szlafroczkun wyszła na balkon, aby zaczerpnąć powietrza w umęczone płuca. Wsparta o kamienną balustradę, wpatrywała się w pogrążony w ciemnościach park. Od wschodu niebo się zaciągnęło, a gwiazdy kolejno gasły, zasłaniane przez chmury płynące ogromnym czarnym skłębionym wałem, poszarpanym przez wiatr. Potężne podmuchy gorącego powietrza zakółysały koronami drzew, a z głębin parkowych szedł ku niej tajemniczy poszum i szelest liści. Niebo, czarne jak aksamit, co jakiś czas przekreślała oślepiająca jasność błyskawicy. Wtedy widoczne były przez moment masy ciemnych obłoków z niezwykłą szybkością przesuających się nad uszpioną ziemią. Nadchodziła

groźna burza. Pomiędzy jednym a drugim uderzeniem wiatru zapadała martwa cisza. Cała natura przyczajała się z lęku przed czymś przerażającym. W oddali rozlegał się głos gromu i przetaczał się potężnie po niebie, powtarzany przez górskie echa.

Na rękę Niny spadła pierwsza ciężka i ciepła kropla deszczu. Wróciła do pokoju i usiadała przed lustrem, stwierdzając ze zdumieniem, że oto minął pierwszy dzień jej pobytu w Makowie. Rozejrzała się po dużym pokoju i niespodziewanie zatęskniła z całego serca za znajomymi od dzieciństwa kątami sarnickiego dworu. Za swoją facjatką i łóżkiem ze słomianym siennikiem. Przede wszystkim zaś zatęskniła za Binią, jej wesołym śmiechem i siostrzaną pieśczętą. Zapragnęła zwierzyć się jej z przeżywanymi wrażeń. Nowe mieszkanie było pięknie i wygodnie urządzone, ale czuła się tu obco i samotnie. W głębi duszy miała do Aleksa straszny żal za jego ślepe miłość do żony. Był o nią zazdrosny! Sam się do tego przyznał, wypytyując ją o Wielenina. Major wyraźnie mu się nie spodobał, za to Paula nawet nie kryła, że piękny oficer wpadł jej w oko. To już było oburzające! Przecież z pułkownikiem Woroncewem również łączyły ją bliskie stosunki! Wstrętna kokietka! Nina prychnęła gniewnie i przyszło jej na myśl, że niania jak zwykle miała rację. Nie powinna przyjeżdżać do Makowa. Należało przyjąć propozycję hrabiego i zamieszkać u jego ciotki w Warszawie. Może starsza dama była poczciwą osobą i miałyby u niej dobrze, nie będąc zmuszona codziennie obcować z Paulą? Ach, nigdy nie nabierze rozumu!

Drgnęła, bo co jakiś czas chmury rozjaśniały się niesamowitym purpurowym blaskiem, jakby to sama ziemia płonęła. Nina, wzdychając, rozplatała ciężkie warkocze i w zamyśleniu zaczęła rozczesywać je szylkretowym grzebieniem, znalezionym wraz z innymi przyborami toaletowymi w szufladzie toaletki. Pukanie do drzwi było tak dyskretne, że początkowo nie zwróciła na nie uwagi. Dopiero gdy się powtórzyło, powiedziała:

– Proszę, wejść, nianiu.

W drzwiach ukazała się Paula. Miała na sobie powiewny peniuar z kremowej brukselskiej koronki. Długie czarne włosy spływały rozpuszczone na jej ramiona. Nina podniosła się z karła i patrzyła na nią pytająco.

– Czy coś się stało?

– Przepraszam, chciałam tylko sprawdzić, czy już się zadomowiłaś – powiedziała Paula z uśmiechem. – Zapewne tęsknisz za domem w



Sarnikach? Ja również zalewałam się łzami, wyjeżdżając z Rosji. Ale okazało się, że Paryż jest czarującym miastem i szybko się pocieszyłam. Usiądź, moja droga. Masz taką przestraszoną minkę... Chyba się mnie nie boisz? – Podeszła do toaletki i stanawszy za plecami Niny, wpatrywała się w jej odbicie w lustrze. – O, jakie ty masz cudowne włosy, złotawe i lśniące. Sięgają ci prawie do kolan, istny płaszcz! A oczy jak górskie jeziora. Nie do wiary, że dotąd nie wyszłaś za mąż. – Z uwagą obserwowała jej profil i po chwili milczenia podjęła: – W Petersburgu książęta rzucaliby ci pod stopy worki złota, błagając o uśmiech i miłość. Pojedynkowaliby się o ciebie. Miałabyś setki wielbicieli, gotowych ofiarować ci majątek i tytuły. Ukrywanie takiej urody na tej zapadłej wsi to grzech i strata czasu.

– Uroda to jeszcze nie wszystko. Nie posiadam posagu. – Nina zignorowała zachwyty Pauli i z goryczą porównała jej prześliczny negliż ze swoim spranym szlafrocikiem.

– Otóż mylisz się. – Paula przysunęła fotel i usiadła blisko, oceniając ją okiem znawczyni. – Tobie, gołąbko, posag niepotrzebny. Takiej urody nie kupisz za żadne pieniądze. Myślisz może, że ja byłam bogata? *Hospody!* Jak umarł papa, zostałam bez grosza. Ale umiałam zrobić właściwy użytek z piękności i błagano mnie na kolanach, żebym zechciała przyjąć tytuł i majątek. Łatwo złapać męża, mając taką urodę. – Umilkła i spojrzawszy w lustro, poprawiła niesforny loczek na czole.

Nina pobladła. W popłochu pomyślała, że jeszcze chwila, a się rozplacze. Wielkie nieba! Aleks błagał o miłość tę marną kobietę! Poczowała w sercu ostry kolec bólu. Najchętniej wyprosiłaby Paulę z pokoju, ale nie wypadało. Hrabina odchrząknęła i ściszone głosem ciągnęła zwierzenia:

– Siedząc w tej nędznej wiosce, tracisz szansę na lepsze życie. Co najwyżej Sasza wyda cię za jakiegoś szlagona, któremu co rok rodzić będziesz dziecko. Z życia należy brać to, co najlepsze. Czy wiesz, że dwie skromne polskie hrabianki bez szczególnej urody i posagu zostały żonami udzielnych książąt? Mówię o Joannie Grudzińskiej, starej pannie, która poślubiła wielkiego księcia Konstantego, a on wyrzekł się dla niej tronu carów. Podobną karierę zrobiła panna Julia Hauke. Ta z kolei wyszła za księcia Aleksandra Battenberga<sup>76</sup> i została bratową samej cesarzowej! Wyobraź sobie, dwie stare panny wstąpiły na stopnie tronu! Koniecznie musisz zaprezentować się na dworze w Petersburgu.

Nina spojrzała na nią z wyrazem nieświadomej dumy.

– Życie dworskie mnie nie interesuje. Nie pragnę żadnej zmiany.

– Ale to twoja jedyna szansa! – zawołała Paula ze zniecierpliwieniem. – Żyje się tylko raz, i to krótko. Nie wierzę w życie pozagrobowe. Nie ma nieba i piekła, a śmierć jest końcem życia i początkiem rozkładu. Człowiek umiera i staje się kawałkiem zgniłego mięsa. Zabiją wieko trumny, zatrzaśnie się płyta grobowca i koniec! Stajesz się żerem dla robaków, a świat nawet nie zauważy, że odszedł człowiek! – Z rozpaczą chwyciła się za głowę, a jej wielkie czarne oczy miały dziwny, nieprzytomny wyraz. – Boję się starości – wyznała z miną skazańca, który wie, jaki wyrok zapadnie. – Człowiek staje się niedołączny, chorowity, obrzydliwy. Wszyscy mają go dość. Liczy pozostałe mu do życia godziny, modląc się o jeszcze jeden dzień, miesiąc, rok. Wznosi oczy ku niebu w nadziei, że ktoś go wysłucha. Ale ponad nami jest tylko straszliwa pustka i wieczna noc. Na ziemi prawdziwym bogiem jest pieniądz. To dla niego toczą się wojny, ludzie wzajemnie się mordują, nie rozumiejąc nawet, dlaczego to robią. – Paula wydała głuchy jęk i wyjąwszy z wazonu świeżo rozkwitłą różę, obrywała różowe płatki, nie czując, że ostre kolce ranią jej białe dłonie.

Nina wpatrywała się w nią z przerażeniem, nie wiedząc, co myśleć o tej tajemniczej kobiecie, budzącej w niej niechęć i lęk. „Słodki Jezu, ona chyba ma źle w głowie!” – pomyślała, uświadomiwszy sobie, że Paula mówiła o sprawach, które nie powinny zaprzętać myśli prawdziwej damy.

– Jak ci się podobał pan major Wielenin? – odezwała się hrabina, zupełnie innym tonem, całkowicie zmieniając temat. – Prawda, że jest piękny jak grzech śmiertelny? Ma tyle pieniędzy, ile lodu na Syberii. Podobał ci się?

– Nie lubię brunetów – oświadczyła Nina, cokolwiek mijając się z prawdą, bo młody oficer zrobił na niej duże wrażenie i bardzo jej się spodobał.

– Ale bruneci umieją kochać, są namiętni. – Czerwone wilgotne usta Pauli rozchyliły się jak do pocałunku. Na policzkach miała rumieńce, a oczy płonęły wewnętrznym ogniem.

Nina spojrzała na nią i przyszło jej na myśl, że tak zapewne wyglądają anioły ciemności. Paula przypominała jej postaci biblijne; ową rozpustną Jezebel i straszliwą Lilith, przywodzące mężczyzn do zguby. Odruchowo się cofnęła, udając, że upina włosy. Paula wyciągnęła rękę i końcami palców dotknęła jej szyi.

– O, jaką ty masz delikatną skórę – szepnęła. – Gładka i biała jak u małego dziecka. A twoje włosy mają ten sam odcień, co na obrazach u mistrza Veronese’a<sup>77</sup>.

Ujęła długie pasmo i pieszczotliwie przesuwiała je między palcami, a potem położyła obie dłonie na ramionach Niny i delikatnie je pogładziła. „Boże, ona jest nienormalna!” – Nina zastygła ze strachu i gwałtownie poderwała się z miejsca. Przerażliwy zygzak błyskawicy przekreślił niebo, w jej sinym blasku twarz Pauli wydała się trupia, nierzeczywista i widmowa. Spłoszona nagłym ruchem Niny, hrabina cofnęła się i wybuchła śmiechem, wysokim i ptasim, w którym nie było śladu wesołości. Nie była ani miła, ani szczerza i na pewno nie stanowiła odpowiedniego towarzystwa dla niewinnej panienki z dobrego domu. „Paula jest dziwaczną, przewrotną kobietą i niepodobna darzyć jej sympatią – myślała Nina. – Och, żeby już sobie poszła!”.

Hrabina spostrzegła, że Nina jest zdenerwowana.

– Przestraszyłam cię, biedne dziecko. Przepraszam. To tylko moje nerwy. Lękam się burzy i wtedy szukam bliskości kogoś żywego. Pójdę już. Życzę ci spokojnych snów. – Wychodząc, w drzwiach o mało nie zderzyła się z Jagą.

Niania oglądnęła się za nią zaskoczona.

– Dlaczego hrabina wyleciała stąd jak oparzona? Czego od ciebie chciała? Nina podbiegła do niej i przytuliła się do jej obfitej piersi.

– Nie wiem, po co przyszła. Jest jakaś dziwna, niesamowita. Boję się jej!

– Ostrzegałam cię wczoraj. – Jaga nie potrafiła odmówić sobie tej drobnej satysfakcji. – Ale nie ma się czego bać. Pani hrabina jak wszystkie wielkie damy ma swoje grymasy. A ty jesteś przemęczona i widzisz świat w czarnych barwach. Mnie się w Makowie nawet podoba. Pałac piękny i ludzie grzeczni, gościnni. Nie narzekam, urządziłam się bardzo wygodnie. Już nie muszę spać z dala od ciebie, w komórce, pomiędzy workami mąki i kaszy. Ty także masz śliczny pokój i własną pokojówkę. No, no...

– A co robiłaś, jak mnie nie było? – spytała Nina.

Jaga weszła na stołeczek i energicznie przetrzepała puchowe poduszki.

– Zwiedzałam pałac i rozmawiałam z ludźmi. W największych łaskach u pana jest pan Walenty, kamerdyner. Porządny człowiek i bardzo panu hrabiemu oddany, ale hrabina go nie lubi. Poznałam także pannę Kumosię. Jest tutaj klucznica. To także miła i przyzwoita kobieta. Już się dogadałyśmy. Rano przyjdzie Walerka, żeby pomóc ci w toalecie, ale teraz pomyślałam sobie, że pewnie moje kociątko stęskniło się za swoją nianią, prawda? O, jakie to łóżko miękkie! Tutaj wcale nie ma sienników, tylko są materace. Bardzo nowocześnie. Nina, mówię do ciebie! – Jaga podniosła

głos, zauważywszy, że jej pupilka patrzyła przed siebie nieobecnym wzrokiem.

Nina oprzytomniała i splotła rozpuszczone włosy w dwa warkocze.

– Może rzeczywiście nie powinniśmy tu przyjeżdżać? Och, kręci mi się w głowie – westchnęła, pocierając czoło dłonią.

– Zaraz się połóż! Włóż nocną koszulę... Daj, nałożę ci czepek! – poleciła Jaga tonem, jakim zwracała się do Niny, kiedy ta była małą dziewczynką. – A teraz marsz do łóżka! – Niania ją pocałowała, nakreśliła znak krzyża i wyszła.

Nina rozejrzała się po pokoju podejrzliwie i starannie zamknęła drzwi na klucz. Po aksamitnym stołeczku wdrapała się na łożo i utonęła w puchach. Pościel webowa, obszyta koronkowymi wstawkami i haftowana, przyjemnie pachniała lawendą. Otuliła się puchową kołdrą i przewróciła z boku na bok, szukając sobie miejsca. Lecz materac elastycznie uginał się pod nią, do czego nie była przyzwyczajona. Otwierała szeroko oczy, rozglądając się po ciemnym pokoju, i miała uczucie wszechogarniającej samotności. Nie czuła się bezpieczna w wielkiej sypialni, wielkopańskim apartamencie, tak różnym od ciasnej klitki na facjatce. Udręczona i zdenerwowana, wsłuchiwała się w każdy szelest i trzask posadzki. Kotary poruszały się lekko, jakby ktoś niewidzialny zamierzał się zmaterializować. Stukały drzwi balkonowe, powiewała koronkowa firanka. Wrażliwe i delikatne nerwy Niny podsuwały jej myśli i obrazy, które nigdy nie powstałyby w głowie osoby mającej mniej skomplikowaną naturę i mniej wybujałą wyobraźnię. Wydawało się jej, że dokoła snuje się coś nieuchwytnego, wyczuwała jakąś niematerialną obecność.

W końcu wyskoczyła z łóżka i zamknęła balkon. Wiatr tak szybko pędził chmury, że deszcz nie padał. Czasami pomiędzy obłokami ukazywała się widmowa tarcza księżycy. W jego bladym świetle dostrzegła ponad koronami drzew wieżyczkę kaplicy grobowej. Wzdrygnęła się, wyobrażając sobie, że w taką burzliwą noc dawno zmarli właściciele pałacu powracają do domu. Kto wie, jaka istota zamieszkiwała w tym pokoju? W świetle błyskawic portrety na ścianach zdawały się ożywać. Może była to sypialnia tej damy w sztywnym barokowym robionie<sup>78</sup>, trzymającej w ramionach małego pieska? Jej czarne oczy przypominały nieco źrenice Pauli. A może mieszkała tutaj ta młoda dama w pudrowanej peruce i rokokowej krynolinie, wydekoltowana prawie po sutki piersi?

Trzęsąc się ze strachu, Nina powróciła do łóżka i leżała skulona, pocąc się z gorąca i obawiając się zamknąć oczy. W wielkim salonie ogromny zegar wybił północ. Potężne dźwięki rozległy się po całym domu. W salach i pokojach zawtórowały mu inne zegary, każdy odmiennym głosem. W jej sypialni śliczny empirowy zegar z połączanego brązu wydzwonił godzinę, a kurancik srebrnym głosikiem jął wygrywać melodię: *Święta miłości kochanej Ojczyzny*. Nina zastanawiała się, kto w tym domu kupił zegar wygrywający pieśń patriotyczną – hymn słynnej Szkoły Rycerskiej<sup>79</sup>.

Z wolna zaczęła zapadać w sen, lecz obudziło ją uderzenie pioruna. Niebo rozdarła sina błyskawica i w jej świetle zdawało się Ninie, że dostrzegła w głębi pokoju jakąś ciemną postać. Wydała okrzyk i drżącymi dłońmi poszukała leżących na stoliczku nocnym zapalek. Z trudem zapaliła świeczkę i w jej migotliwym blasku stwierdziła, iż uległa złudzeniu. To wielkie paprocie, stojące na żardinierze<sup>80</sup>, rzucały taki dziwaczny cień na ścianę. „Jestem tchórzliwa jak zajac!” – pomyślała, gardząc sobą, ale na wszelki wypadek schowała głowę pod koldrę, przekonana, że tam nikt jej nie znajdzie. Odpędzając myśli o duchach, doszła do wniosku, że pierwszy dzień w pałacu przyniósł jej bolesne rozczarowanie. Być może nie powinna tu przyjeżdżać. Tłumaczyła sobie, że nie miała gdzie się podziać do chwili, kiedy wuj Aleks wielkodusznie ofiarował jej gościnę w swoim domu. Jednakże zderzenie naiwnych marzeń z rzeczywistością było dla niej cierpieniem i przykrym wstrząsem. Przybyła do Makowa chyba jedynie po to, aby przekonać się, jakimi dowodami miłości jej ukochany obsypywał żonę. Westchnęła rozdzierająco i kilka łez wsiąkło w webową poszewkę poduszki. Nawet nie zauważyła, kiedy nadszedł sen i oddzielił ją od reszty świata.

\*\*\*

<sup>67</sup> Oficer ciężkiej kawalerii gwardii cesarskiej.

<sup>68</sup> Napój z wina musującego, lodu i pomarańczy.

<sup>69</sup> Epoka Napoleona I. Tu jako inne określenie stylu empire, dominującego w modzie, architekturze, malarstwie i sztuce użytkowej jako odmiana późnego [klasycyzmu](#) (1800–1815).

<sup>70</sup> Intarsja – zdobienie mebli różnymi gatunkami drewna.

<sup>71</sup> Grecka hetera z Aten, kochanka rzeźbiarza Praksytelesa, uchodziła za ideał urody i była bohaterką wielu anegdot antycznych pisarzy.

<sup>72</sup> fr. Proszę usiąść.

<sup>73</sup> Jeanne Bécu, hrabina du Barry – francuska metresa, kochanka króla Francji, Ludwika XV.

<sup>74</sup> Ozdobny stolik gabinetowy.

<sup>75</sup> Aleksandr Kleonakowicz Uszakow (1803–1877) – rosyjski generał piechoty. Naczelnik Radomskiego Oddziału Wojennego w czasie powstania styczniowego, od 1867 roku przewodniczący głównego sądu wojennego.

76 Aleksander I Battenberg – syn księcia Aleksandra Heskiego z morganatycznego (z osobą niższego stanu) małżeństwa z Julią Hauke, córką polskiego generała Maurycyego Haukego-Bosaka. Księżę Filip Mountbatten, małżonek Elżbiety II, królowej Wielkiej Brytanii, był prawnukiem Julii Hauke.

77 Paolo Veronese (1528–1588) – renesansowy malarz wenecki i dekorator, znany z wyszukanej ornamentyki. Jego słynny obraz to Gody w Kanie Galilejskiej.

78 Balowa suknia dworska; charakteryzowała ją szeroka spódnica, z przodu spłaszczona, z boków i z tyłu rozszerzona. Noszona na sztywnej konstrukcji podtrzymującej, tzw. rogówce.

79 Szkoła państwowa założona w 1765 roku przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Słowa hymnu napisał biskup Ignacy Krasicki. Absolwentem Szkoły Rycerskiej był m.in. Tadeusz Kościuszko.

80 Przenośny kwietnik.

Obudziła się o świcie. Po niespokojnej nocy czuła się senna i ociężała. Niechętnie wstała z łóżka i nie wzywając pokojówki, szybko się ubrała i uczesała, splatając grube warkocze i wkładając je do siatki. Postanowiła dokładnie zapoznać się z domem i jego mieszkańcami. Nie zamierzała tu darmo jeść chleba i planowała zająć się wszystkim, jeżeli Paula nie potrafiła podołać obowiązkowi pani domu. Nina była bardzo ambitna i pragnęła wszystko, co robi, wykonać doskonale.

Dzień był pochmurny i mżył drobny deszcz. Kiedy wyszła z pokoju, w pałacu panowała cisza. Służba jeszcze spała. Przeszła przez mroczny korytarz, oświetlony nocną lampką, prowadzący do frontowej części domu, i po schodach zbiegła na parter. Tutaj mieściły się duża i mała jadalnia, salon malinowy, biblioteka, pokój myśliwski, ogród zimowy oraz pokoje w starej części domu, używane w czasie wielkich zjazdów jako sypialnie gościnne. Hrabia mieszkał w innym skrzydle pałacu, zaś służba miała swoje pokoje na drugim piętrze domu. Podekscytowana samotną wędrowką, zatrzymała się przed drzwiami biblioteki i nieśmiało weszła do środka. Stała na progu oszołomiona, podziwiając ogromne oszklone szafy pełne ksiązek oprawionych w złoconą skórę z wyciśniętym herbem właściciela. Na marmurowych postumentach stały popiersia filozofów oraz wodzów greckich i rzymskich. Obejrzała z ciekawością stare portrety przodków Aleksa, przedstawiające rycerzy w zbrojach i kawalerów w kusych strojach francuskich. Damy w dawnych wiekach nosiły podwinki, czyli kwefy szczelnie zakrywające włosy, szyje i dekolty, szyte z płótna lub kosztownych tkanin. Ale w epoce baroku i rokoka były już roznegliżowane aż do przesady i zalotnie uśmiechnięte, dźwigając na głowach piętrowe pudrowane peruki. Nina zwróciła uwagę na ogromny kominek z chęcińskiego marmuru, rzeźbiony i wsparty na głowach lwów. Takie same lwie motywy zdobiły ciężkie stoły i szafy biblioteczne. Na stolikach i stołach leżały zwoje map i pisma naukowe. Miękkie fotele z aksamitnymi podnóżkami zapraszały do lektury. Wyjęła z pobliskiej szafy kilka tomów pięknie wydanej literatury francuskiej. Z radością postanowiła przeznaczyć część dnia, a nawet nocy, na zapoznanie się z księgozbiorem i już z góry obiecywała sobie urocze godziny z literaturą.

Obok biblioteki był salon malinowy. Grała w nim wieczorem, lecz o zmroku nie zdołała obejrzeć szczegółowo dużej sali. Swoją nazwę salon zawdzięczał kolumnom z ciemnoczerwonego marmuru, wspierającym wspaniały kasetonowy sufit. Ściany wybite były białym adamaszkiem

lyońskim, haftowanym w owoce i liście malin. Prześliczne lekkie meble rokokowe również pochodziły z Francji, być może nawet z Wersalu. Wprawione w marmur tafle luster ukazywały fragmenty sali, kryształowe żyrandole, posągi i obrazy słynnych mistrzów. W rzeźbionych serwantkach i na gzymisie kominka stały drogocenne cacka z chińskiej i saskiej porcelany, srebra, złota oraz kości słoniowej. Chodziła po sali, nie mogąc wprost napatrzeć się tym cudom. Och, oddałaby duszę diabłu, żeby w zamian zostać panią tego pałacu, lecz wątpiła, czy diabeł zechciałby przystać na taki kiepski interes.

Spacerując, przystanąła przed wielkim portretem przedstawiającym młodą jasnowłosą damę w jedwabnej błękitnej sukni i naszyjniku z pięciu sznurów drogocennych pereł. Na jej kolanach siedział śliczny kilkuletni chłopczyk i wpatrywał się w widza z niedziedciną powagą. Nina natychmiast odgadła, że jest to portret Aleksa z matką. Młoda kobieta miała na pięknej twarzy taki sam wyraz smutku i zadumy jak on, a bursztynowe oczy i złociste włosy chłopca były lustrzanym odbiciem źrenic i włosów matki.

Ociągając się, wyszła z salonu i błądziła po domu, zaglądając do pokoiów, trafiając do ciemnych korytarzy, alków i galerii. Pałac był ogromny. W jego starej części z pietyzmem zachowano zabytkowe meble z dawnych czasów. W końcu pobłądziła w labiryncie korytarzy i dopiero napotkany chłopak niosący wiązki drewna wskazał jej drogę do pomieszczeń służbowych.

Kuchnia pałacowa okazała się ostatnim wyrazem nowoczesności. Zainstalowano w niej modne angielskie piece, dębowe meble i siatki ochronne na okna. Ściany wyłożono kaflami, a kamienna posadzka wyszorowana była do białości. Obok znajdowały się ogromne spiżarnie i pokój kredensowy graniczący z jadalnią, pełen wielkich szaf i długich stołów. Szafy nie były zamknięte na klucz i Nina spostrzegła z najwyższym zdumieniem stojące na półkach cukiernice. Pomyślała, że ciotka Maria na ten widok wpadłaby we wściekłość. W Sarnikach wszystko znajdowało się pod kluczem, policzone i zważone, a służba była codziennie rozliczana.

Wróciwszy do swoich apartamentów, usiadła przy zabytkowym sekretarzyku. Obdarzona przez naturę władcym i stanowczym charakterem postanowiła natychmiast przystąpić do działania. Pociągnęła haftowaną taśmę dzwonka, wzywając lokaja. W tym momencie z wdzięcznością pomyślała o ciotce, która z wielkopolską akuracnością nauczyła ją rządzić ludźmi i wpoila zamiłowanie do gospodarności.



– Pan hrabia u siebie? – zagadnęła młodego pucułowatego chłopaka w liberii, o nieco gapiowatym wyrazie twarzy.

– Jaśnie oświecony pan hrabia wyjechał na folwark – wyjaśnił, przypatrując się jej z lękliwą ciekawością.

– A pani hrabina?

– Pewnie jeszcze śpi.

– Jak ci na imię?

– Paweł, proszę łaski jaśnie wielmożnej panienki.

– Pięknie. W takim razie niech Paweł poprosi do mnie pana kamerdynera – rozkazała.

Lokaj tyłem wycofał się z pokoju, nie spuszczać z niej okrągłych oczu, i truchcikiem pobiegł spełnić polecenie. Po chwili usłyszała delikatne pukanie i wszedł Walenty, a za nim wsunęła się drobniutka staruszka w czarnej sukni i śnieżnobiałym koronkowych czepeczku. Nieśmiało dygnęła, unosząc po staroświecku spódnicę dwoma palcami. Nina domyśliła się, że ma przed sobą klucznicę Kumosię, czyli pannę Karolinę Kumocką, daleką krewną starego hrabiego, stryja Aleksa. Nina skinęła im głową i posłała słodki uśmiech, jakby przeczuwając, że ma przed sobą dwoje wiernych i oddanych przyjaciół.

– Jestem tu dopiero od wczoraj i mam nadzieję, że mogę liczyć na pomoc Walentego i Kumosi – powiedziała uprzejmie.

– Tak jest, jaśnie panienko. – Kamerdyner wyprostował się służbiście. – Jaśnie panienka zawsze może na nas liczyć. Jesteśmy na rozkazy.

– Dziękuję. Kto zajmuje się domem, wydaje rano polecenia kuchmistrzowi, ustala menu i tak dalej?

Usłyszała cichy gorzki śmiech Walentego.

– Nikt – odparł. – Służba w pałacu jest stara i zna swoje obowiązki. Kuchmistrz, pan Szymon, pracuje tu od piętnastu lat. Panna Kumosia dogląda porządków i czeladnej, ale trudno nam cokolwiek zrobić, bo pani hrabina ciągle zmienia nasze polecenia i nakazuje służbie, aby mnie nie słuchała. Jaśnie pan hrabia jest bardzo zajęty, rządząc tak wielkim majątkiem, więc nie śmiem mu się skarżyć. Ale dom potrzebuje pani. Sam niewiele mogę zrobić.

– Rozumiem... – Nina skinęła głową. – Od dziś ja zajmę się domem. Ze wszystkim proszę zwracać się do mnie. Pan Szymon codziennie rano otrzyma dyspozycje, a Walenty i Kumosia mogą spokojnie pełnić swoje obowiązki. Nadzór nad całym domem będzie sprawowała moja niania,

pełniąc obowiązki ochmistrzyni. – Spostrzegła z zadowoleniem, że stary kamerdyner rozpromienił się z radości.

– Wszyscy radujemy się z przyjazdu jaśnie panienki do Makowa. Nareszcie będzie w domu porządek. Czy jaśnie panienka życzy sobie śniadanie do pokoju?

– Nie znam jeszcze tutejszych zwyczajów – powiedziała Nina.

– Jaśnie pan hrabia wstaje bardzo wcześnie i spożywa śniadanie w jadalni. Dziś jest na folwarku w Borku i wróci dopiero w południe. Pani hrabina jada zwykle u siebie.

– W takim razie dziś jeszcze poproszę o śniadanie do pokoju – zdecydowała Nina. – Dziękuję Walentemu za przydzielenie mi Walerki i wybranie dla mnie tych pokoi.

– Cieszę się, że zdołałem zadowolić jaśnie panienkę. Walerka to uczciwa i pracowita dziewczyna. Można jej zaufać. Zaraz każę przynieść śniadanie. – Walenty złożył ukłon, uśmiechnął się ciepło i wyszedł. Pozostała tylko Kumosia.

– Czy jaśnie panienka lubi słodyczne? – spytała, dygając.

– Uwielbiam!

– O, to ja przyślę moje konfiturki z malinek. Są przepyszne! Będą smakować do kruchych ciasteczek.

Po śniadaniu, składającym się z wonnej kawy ze śmietanką, chrupiących bułeczek z wiejskim masłem, różowych plastrów szynki i kilku gatunków sera oraz znakomitych ciastek z konfiturą, Nina napisała długi list do Bini, a potem usiadła w fotelu, zastanawiając się nad sytuacją zaistniałą w pałacu. W domu toczyła się cicha, lecz zajadła walka pomiędzy Paulą a starą służbą. Przywódcą opozycji był kamerdyner, cieszący się łaskami i zaufaniem hrabiego. To on skierował do Niny swoją protegowaną pokojówkę i wybrał jej pokoje, sprzeciwiając się woli wyrażonej przez Paulę. Tak więc hrabina minęła się z prawdą, mówiąc, że to ona kazała przygotować pokoje na przyjęcie gościa. Stary kamerdyner nawet nie krył się ze swoją niechęcią do Pauli. Nie nazwał jej jaśnie panią i najwyraźniej nie żywił do niej szacunku. W tej cichej wojnie Nina bynajmniej nie zamierzała zachowywać się neutralnie. Cała służba była po jej stronie.

Przed obiadem przyszedł Paweł i poprosił ją do jaśnie pana hrabiego. Aleks siedział w gabinecie znajdującym się w południowym skrzydle domu. Wstał na jej powitanie od biurka, uścisnął jej rękę i podsunął fotel, w który zapadła się jak w puchową poduszkę.

– No i jak ci się spało, promyczku, pod nowym dachem? – Usiadł obok, przyglądając się jej z uśmiechem.

– Znakomicie, chociaż nie jestem jeszcze przyzwyczajona do takich wygód.

– Wkrótce się przyzwyczaisz. Walenty wspominał mi, że zamierzasz zająć się domem.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu. To cudowny dom i jestem panu bezgranicznie wdzięczna, że pozwolił mi pan zamieszkać w Makowie – powiedziała z zapalem.

– Nie, to ja jestem ci wdzięczny. Do tej pory ten pałac był bardzo zimny. Ty wniesiesz do niego młodość, radość i miłość. Jestem zdumiony, że posiadasz aż tyle talentów. Potrafisz zarządzać dużym domem, jednocześnie będąc utalentowaną pianistką. Byłem wczoraj autentycznie zachwycony twoją grą. Masz wielki talent. Zamówiłem dla ciebie nauczyciela muzyki. Będzie raz w tygodniu przyjeżdżał tu z Kielc.

– Panie Alku, dziękuję – wyszeptala, mając ochotę paść przed nim na kolana.

– Jakich kompozytorów grywasz?

– Różnych. Liszta, Mozarta, Beethovena, Schumana, Bacha, Schuberta i kompozytorów baroku. Ale nade wszystko kocham Chopina.

– A o Ryszardzie Wagnerze słyszałaś?

– Nie.

– To wybitnie zdolny młody kompozytor niemiecki. Jego muzyka wydaje się ponadczasowa. Zachwyciłem się nim w Paryżu. Jeszcze dziś napisz do Warszawy i zamów nuty w wydawnictwie panów Gebethnera i Wolffa. Jeżeli czegoś nie mają, niech sprowadzą z Paryża same wyciągi fortepianowe. Czy uczyłaś się zasad ekonomii i buchalterii?

– Na pensji tego nie uczą – odpowiedziała zdziwiona.

– Szkoda, nie mielibyśmy tylu złych dziedziczek. Musisz nauczyć się zarządzać majątkiem ziemskim. Pokażę ci mapy posiadłości, zapoznam z urzędnikami administracji, odwiedzimy folwarki. Mój administrator, pan Bochniak, jest nieocenionym źródłem informacji, a o Makowie wie wszystko. Kiedyś odziedziczysz ten majątek po połowie z Binią. Ale Maków będzie twój!

– Matko Boska! – zawołała, blednąc z przerażenia. – Ja nie chcę nawet o tym słyszeć! Pan jest za młody, żeby myśleć o śmierci.

– Oho, pochlebiasz mi, promyczku. Żaden człowiek nie jest wieczny – westchnął i zmienił temat. – Mamy jeszcze trochę czasu przed obiadem. Usiądź bliżej, pokażę ci, na czym polega prowadzenie ksiąg majątkowych.

Ze wspaniale rzeźbionej szafy wyjął opasłe tomisko i położył na stole. Rzucił na Ninę okiem, a gdy usłyszał, jak jęknęła cicho, wznosząc oczy ku niebu, po jego wargach przemknął lekki uśmiech.

– Panie Alku, muszę? – Spojrzała na niego z nieśmiałą nadzieją.

– Coś za coś, promyczku. Zanim umrę z głodu, może zdążę przed obiadem czegoś cię nauczyć.

Zaczął wyklądać jasno i przystępnie, ale i tak Ninę rozbolała głowa z nudów i przemęczenia. Krzywiła się, pocierała czoło dłonią i wzdychała rozdzierająco. Jednak nauczyciel był nieubłagany i jej żalosne miny nie zrobiły na nim wrażenia. Siedziała więc zrezygnowana, dyskretnie rozglądając się po gabinecie.

Z pewnością był jedynym z najpiękniejszych pokoi w pałacu. Ogromny, z trzema szerokimi oknami wychodzącymi na podjazd, umeblowany był rzeźbionymi i zdobionymi brązem meblami z hebanu. Pod środkowym oknem stało wielkie biurko zarzucone teczkami pełnymi akt i bibelotami. Przy biurku stało rzeźbione krzesło z XVII wieku, z wysokim oparciem. Olbrzymia skórzana kanapa oraz komplet głębokich foteli i szafy z kryształowymi szybami tworzyły harmonijną całość wraz z kilkoma niskimi stolikami. Posadzkę zaścielał brązowy perski dywan w złote kwiaty, a ciężkie kotary i portiery dobrane były dokładnie w tym samym kolorze. Ponad dębową boazerią ściany kryte były kurdybanem<sup>81</sup>. Na frontowej ścianie wisiał duży portret przedstawiający kasztelana Klonowieckiego, dziadka Aleksa. Miał na sobie błękitny *redingote*<sup>82</sup> haftowany srebrem i szpadę przy boku. Z piany koronek wylaniały się delikatne dłonie, a w żabocie tkwiła brylantowa szpila. Pod pudrowaną peruką jego twarz była wyniosła i zimna, a oczy spoglądały z odpychającą pychą. Dumny magnat nie spodobał się Ninie. Odniosła wrażenie, że denerwuje go jej obecność, bo nie spuszczał z niej wzroku. Chętnie pokazałaby mu język!

Po dziadku Aleks odziedziczył twardy podbródek, znamionujący upór i zdolności militarne. Co jakiś czas zerkąca z niepokojem na leżącą u jej stóp skórę tygrysa. Jego łeb szczyrzył potężne kły. Koło krzesła hrabiego spał Grot. Otwierał czasami oczy i patrzył pytająco na swego pana. Pierwszą lekcję ekonomii przerwał nareszcie Walenty, wnosząc na tacy czarną aromatyczną mokrą dla hrabiego, a dla Niny kakao z pianką i papatacz<sup>83</sup>.

– Zmęczona? – Aleks odłożył książkę i uśmiechnął się do niej sponad filiżanki kawy.

– Bynajmniej – odparła z miną męczennicy. – To było baaardzo interesujące.

– Biedactwo – mruknął współczująco i sięgnął do szuflady biurka. Wyjął z niej ciężki zamszowy woreczek. – Nino, tu jest pięćdziesiąt imperiałów<sup>84</sup> na twoje stroje. Zamów sobie ładne toalety w Warszawie.

Oniemiała i czerwona ze wstydu zaczęła sobie nerwowo wykręcać palce.

– Dziękuję, ale ja mam aż dwieście rubli. Pan wystarczająco dużo dla mnie zrobił. Nie przyjmę tych pieniędzy.

– Promyczku, bo się pogniewamy! – ostrzegł surowo. – W sprawach finansowych jestem despotą.

– Ale to przecież nie wypada! – wykrztusiła, płonąc ze zdenerwowania.

Zupełnie oszołomiona schowała ręce za siebie. Boże, taka masa pieniędzy! Pięćdziesiąt imperiałów miało wartość pięciuset rubli! Bogactwo dla osoby, która przez całe swoje życie nie miała nawet kilku rubli na swoje wydatki.

– Nino, jestem twoim opiekunem i to ja decyduję, co wypada, a co nie wypada – oświadczył z naciskiem. – Proszę, nie upieraj się. To twoja pensja kwartalna. Jutro przyjedzie tu pani wojewodzina i poradzi, co powinnaś sobie kupić. Musisz mieć więcej toalet wizytowych i wieczorowych, bo będziemy wydawać przyjęcia. A teraz odpocznij. Spotkamy się na obiedzie. – Wręczył jej pieniądze i złożył na jej dłoni lekki pocałunek.

Nina wyszła z gabinetu przeświadczona, że cuda zdarzają się naprawdę. Maków był ziemskim rajem, a wuj Aleks prawdziwym archaniołem!

\*\*\*

W pałacu dzień rozpoczynał się w lecie o piątej i o szóstej w zimie. Codziennie rano, budząc się, Nina witała kolejny dzień błogim uśmiechem. Przeciągając się leniwie na szerokim łożu, rozglądała się po swojej zielonej sypialni, którą zdążyła już pokochać. Zanim zdecydowała się zadzwonić, wzywając pokojówkę, lubiła przysłuchiwać się, jak pałac budzi się do życia. Przez szeroko otwarte drzwi balkonowe słychać było z dala dzwon, wzywający ludzi do pracy. Ryczało bydło wypędzane z obór na pastwiska, a zaraz potem rozlegało się potężne rżenie konia. To Rex, najpiękniejszy ogier z całego stada arabów, wzywał swojego pana. Na ten znak do uszu Niny dolatywało wesołe szczekanie Grota. Masztalerz przyprowadzał Rexa przed pałac, a na ganku pojawił się hrabia, jadący na któryś z folwarków lub na

poranny spacer. W domu pokojówki zabierały się do codziennych porządków. Miotelkami z piór odkurzały obrazy i drobniejsze przedmioty, zamiatały i myły okna. Lokaje trzepali dywany i froterowali wywoskowane posadzki. Z kuchni rozchodziły się smakowite zapachy świeżego pieczywa i parzonej kawy.

Nina, zmuszana w Sarnikach do wczesnego wstawania, zżymała się i marudziła. Teraz mogła się wysypiać nawet do południa, bo wuj Aleks nalegał, żeby wypoczywała, lecz ona nie zamierzała się wylegiwać i energicznie pociągała taśmę dzwonka. Wchodziła uśmiechnięta Walerka, dygała i rozsuwała kotary przysłaniające okna. Nina odrzucała kołdrę i w szlafrocuku, z papilotami na głowie, odbywała z Jagą i kuchmistrem naradę nad całodziennym menu. Wydawała służbie dyspozycje, nie mogąc nacieszyć się swoją władzą.

Kiedy Aleks nigdzie się rano nie wybierał, schodziła ubrana do małej jadalni. Na jej widok wstawał, odkładał czytana gazetę i przysuwał jej krzesło, pytając, czy dobrze spała i jakie ma plany. Jeżeli pogoda dopisywała, spacerowali po parku albo szli na dziedziniec czworaków, a on zapoznawał ją z pracownikami, pokazywał zabudowania gospodarcze, ogrody warzywne, sady, domy fernali i wiejskie zagrody. Razem jeździli na folwarki i do cegielni, będącej własnością Klonowieckich. Nina bardzo uważnie przysłuchiwała się, o czym hrabia rozmawiał z oficjalistami<sup>85</sup>, starając się zapamiętać, czego ją uczył. Marzyła, żeby pomagać mu w prowadzeniu majątku, zasypując rządcę, pisarzy prowentowych i ekonomów lawiną pytań. Z czasem, kiedy głębiej zaczęła wnikać w tajniki zarządzania skomplikowanym organizmem, którym jest wielki majątek ziemski, nawet lekcje buchalterii i ekonomii stały się bardziej zrozumiałe i ciekawsze.

Na owe czasy Maków był niezwykłą wsią. Stary hrabia Michał, stryj Aleksa, zbudował cegielnię, zatrudniając w niej ludzi ze wsi, a dla służby dworskiej wystawił duże jasne czworaki. Młody hrabia poszedł jeszcze dalej, znosząc w swoich majątkach pańszczyznę, a część dworskiej ziemi na dogodnych warunkach wydzierżawił gospodarzom makowskim. Cały majątek zarządzany był na sposób zachodni. Maszyny rolnicze były sprowadzane z Anglii i z Prus, na polach stosowano nawozy sztuczne, o których w kraju niewiele wówczas wiedziano. Jednakże najwięcej uwagi obaj hrabiowie poświęcali hodowli koni arabskich. Tylko bogacza stać było na kupno takiego konia, więc najczęściej sprzedawano je za granicę za tysiące rubli.

Nina była bardzo ciekawa, jak wygląda stado i zaraz następnego dnia po przyjeździe wybrała się obejrzyć konie. Jaga odradzała jej ten zamiar, tłumacząc, że stajnia i pastwisko nie są odpowiednim miejscem dla młodej damy. Ale Nina, uwielbiająca konie, puściła jej uwagi mimo uszu i poszła. Arabcy pasły się na wielkiej ogrodzonej łące, a wiatr rozwiewał ich bujne grzywy i długie ogony. Stała przy ogrodzeniu, przypatrując się zwierzętom, szczęśliwa, że może je podziwiać. Kiedy tak stała wsparta o ogrodzenie, podszedł do niej wysoki jasnowłosy chłopak w uniformie masztalerza, niosąc wiadro pełne ziarna. Chrząknął, a kiedy się odwróciła i spojrzała na niego, posłał jej szeroki uśmiech, pokazując białe zęby.

– Dzień dobry jaśnie panience – odezwał się pierwszy. – Zaraz widać, że jaśnie panienska lubi konie.

– Zgadłeś! – Zaśmiała się, ujęta jego bezpośredniością.

– Jaśnie panienska jeździ konno?

– Owszem. – Spostrzegła, że kilka arabów zastrzygło uszami i podeszło do płotu, wyciągając z zaciekawieniem głowy w ich stronę.

– Proszę sypnąć im ziarna – rzekł chłopak, podsuwając jej wiadro.

Zaczerpnęła pełną garść i wyciągnęła dłoń do uroczego źrebaka. Zwierzę ufnie zaczęło jeść, a ona drugą ręką gładziła jego szyję.

– Jaśnie panienska do nas na dłużej? – odważył się spytać.

Zaskoczona jego śmiałością, spojrzała na niego zdumiona. Ale chłopak miał tak szczerą, poczciwą twarz i rozbrajający uśmiech, że nie poczuła się urażona.

– Jestem siostrzenicą pana hrabiego i zamieszkałam w Makowie na stałe.

– Oj, to dobrze! Jużem słyszał, że jaśnie panienska do nas przyjechała, bo ludzie z pałacu opowiadali, że śliczności panna. Ja sam wyszukam dla jaśnie panienski wierzchowca. Mam ujeżdżoną młodą klaczkę. Będzie w sam raz, bo łagodna i posłuszna.

– Lubię ostre konie, więc wybierz mi raczej ogiera.

– Ogiera? – Stajenny podrapał się po głowie. – Ojej, to ja muszę powiedzieć o tym panu koniuszemu. Bo jakby, nie daj Boże, stało się panience coś złego, to pan koniuszy sprząłby mnie na kwaśne jabłko i wylał z roboty na zbity pysk.

Na takie oświadczenie Nina parsknęła śmiechem.

– Obiecuję, że nie stracisz przeze mnie pracy. Jak ci na imię?

– Maciek! E... chciałem powiedzieć Maciej Wróbel, proszę łaski jaśnie panienski – poprawił się śpiesznie, dotykając palcami daszka czapki w

wojskowym ukłonie.

– Miło mi było cię poznać – odpowiedziała uprzejmie. – W takim razie powiedz panu koniuszemu, że potrzebuję dobrego wierzchowca i życzę sobie, żebyś mi towarzyszył na konnych spacerach.

Uśmiechnęła się do niego, nie wiedząc, że oto stoi przed nią człowiek, któremu zawdzięczać będzie życie. To był początek ich wielkiej przyjaźni. Odtąd codziennie przychodziła do stajni, dosiadając jednego konia po drugim, żeby poznać ich zalety i wady. Swoją miłością do koni potrafiła nawet podbić serce surowego koniuszego Kacpra, który dobierał jej wierzchowce i uczył powozić. Była zdolną uczennicą i wkrótce potrafiła jeździć biedką<sup>86</sup> zaprzęzoną w cztery ogniste konie. Po długich wyprawach konnych wieczorem padała na łóżko i aż do rana spała jak zabita.

Tymczasem nadchodził schyłek lata, a wraz z nim najprzyjemniejsza pora roku na wsi. Czas zaręczyn, ślubów i sąsiedzkich wizyt. Po przyjeździe Niny do Makowa pałac jakby ożył. Za zgodą hrabiego urządzano pikniki w różnym ogrodzie i wieczory przy muzyce w sztucznych grotach. Cichy dotąd dom rozbrzmiewał śmiechem, gwarem rozmów i dźwiękami fortepianu. Niemal codziennie Nina przyjmowała swoich młodych przyjaciół i sąsiadów. Wyprawiano się brekami do puszczy na grzyby, urządzano wyścigi konne po łąkach, czasami panowie polowali z chartami. Kiedy padało, mężczyźni grali w bilard, a damy rozmawiały o literaturze, modzie oraz plotkowały. W tym czasie Nina bez opamiętania wydawała pieniądze na wszystko, co jej się spodobało. Często zaskakiwała domowników, niespodziewanie zapraszając do pałacu gości i doprowadzając tym kuchmistrza i nianię do rozpacz.

– Co, znowu goście? – krzykliwie oburzała się Jaga. – Dopiero w niedzielę był raut! Co ty sobie, smarkulo, wyobrażasz? Przecież wszystko na mojej głowie! Myślisz, że ciasta same się upieką, a pieczenie i kurczaki wskoczą do tłuszczu i się usmażą? Mamy tu sobie ręce po łokcie urobić, bo jaśnie pannie zachciało się zabawić?

– Nianiu, zmiłuj się, przecież masz legion służby na rozkazy. – Nina próbowała ją ugłaskać przymilnym uśmiechem. – Jezu Chryste! Jeszcze narzekasz?

Oczy niani błysnęły gniewnie. Ujęła się pod boki i z potępieniem patrzyła na wychowanekę.

– Nie wzywaj imienia Boskiego nadaremnie! Nie przy mnie. Ufff! – sapnęła. – Zupełnie przewróciło ci się w głowie i wcale już mnie nie



słuchasz.

– O, tylko mi nie mów, że cię nie słucham. Wszyscy mają respekt przed tobą, nawet pan hrabia pamięta, że na dworze babci marszałkowej groziłaś mu trzepaczką. No, moja słodka nianiusiu, nie złość się na mnie. Niechże poznają, co ty potrafisz. – Nina przytuliła się do Jagi i cmoknęła ją w spocony policzek.

Niania zachichotała i z udawaną surowością odepchnęła ją od siebie.

– Nie podlizuj się, bo mnie nie zmiękczysz. Ale ja mówię do ciebie jak do tej ściany, a ty się wcale tym nie przejmujesz.

– Nieprawda! Żyję w ciągłym strachu przed tobą! – Nina otoczyła ramieniem pokazną talię Jagi i wycisnęła na jej policzku drugi pocałunek. – Przecież nikt lepiej od ciebie nie potrafi urządzić przyjęć. Marnowałaś się w Sarnikach.

– Wynoś się, ty przylepko! – Jaga chrząknęła, zarumieniona z zadowolenia. – Nie kręć mi się pod ręką, to prędzej wszystko skończę. Pan Szymon szалу dostanie. Nina, ile razy mam cię uczyć, żebyś nie była taka przemądrzała? Chcesz koniecznie zostać starą panną? Słyszałam wczoraj, jak sprzeczałaś się z samym panem hrabią!

– Bo wuj nie miał racji! – odparła bezczelnie Nina i znowu ją ucałowała.

Gdy nadeszły żniwa, jeździła z Alekssem na pola, by przypatrywać się pracy maszyn rolniczych, niespotykanych dotąd w tym zakątku kraju. Uszczęśliwiona, że może pokazać się ludziom u jego boku, bez namysłu wyraziła zgodę, kiedy zaproponował jej, aby towarzyszyła mu na polowaniu na ptactwo wodne. Nina nie lubiła polowań, lecz była tak zakochana w Aleksie, iż wydawało się jej, że z miłości do niego potrafiłaby osobiście ukręcić głowę kurczakowi.

Wstała bladym świtem i na polecenie Aleksa wciągnęła na nogi długie buty. Razem podążyli nad staw, brodząc po płyciznach wśród trzciny i sitowia. Grot, będący psem myśliwskim, płoszył ptactwo, wspaniale wystawiając je swemu panu na strzał. Aleks strzelił kilka razy do podrywających się do lotu kaczek, ani razu nie chybiając. Grot rzucał się do wody, chwycił trafionego ptaka, przynosił go i składał u stóp pana. Okazało się jednak, że Nina przeliczyła się z siłami. Polowanie przejmowało ją grozą, a każdą zabita kaczka oblewała rześzystymi łzami. Aleks patrzył na nią na wpół zatroskany i trochę zirytowany jej głośną rozpaczą.

– Promyczku, nie dolewaj łez do wody, bo się potopimy. Staw jest dostatecznie głęboki – zrzędził. – Uspokój się, bo wypłoszysz mi resztę

ptactwa!

– Kiedy to takie okrutne! – szlochała, siąkając zapchany nosek. – Nigdy więcej nie zjem ani kawałeczka kaczk! One są takie śliczne i...

– Cicho bądź!

Kątem oka dostrzegła, że Aleks ponownie składa się do strzału. Postąpiła krok do przodu, potknęła się i z głośnym pluskiem wylądowała w wodzie, płosząc skutecznie stadko tłustych kaczorów.

– Nino!

Spojrzała na niego niewinnie.

– Przepraszam, nie chciałam. Pośliznęłam się w mule. – Wytarła ręką mokre policzki, rozmazując na twarzy błoto.

Posłał jej groźne spojrzenie, lecz na widok jej umazanej buzi i nastroszonych mokrych włosów nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Nigdy więcej nie wezmę cię na żadne polowanie, młoda damo. Wyglądasz jak Indianin na ścieżce wojennej i zepsułaś pracę Grota, a biedak tak się starał.

Słyszając swoje imię, seter spojrzał na nią z wyrzutem i zaskomlił.

– Pan sobie ze mnie żartuje – mruknęła naburmuszona. – A ja uważam, że są rzeczy piękniejsze od zabijania niewinnych stworzeń. Choćby muzyka i uroki przyrody... O, proszę tylko spojrzeć, jakie to śliczne! – Wskazała palcem rozwieszoną na palikach sieć. Krople porannej rosy lśniły na niej jak prawdziwe klejnoty, mieniając się barwami tęczy w blasku porannego słońca.

– Cieszę się, że jesteś taka wrażliwa, ale życie ma swoje twarde prawa. No, chodźmy do domu, bo się przeziębisz. Jesteś cała mokra. Ale uprzedzam, na śniadanie dostaniesz chleb z masłem, bo pasztet jest z zająca, a szynka i kiełbaski z zabitej świni. Z obiadu radzę ci także zrezygnować, bo będzie pewnie pieczeń z sarny. Pozostanie ci marchewka lub sałata.

– Jest pan nieznośny! – prychnęła gniewnie. – Ale i tak cieszę się, że udało mi się uratować kilka kaczek. One są takie sympatyczne.

– Dlatego wykąpałaś się w stawie? Rozumiem! – Pogroził jej palcem, ale nie utrzymał powagi i znowu się roześmiał.

Nina nawet nie spostrzegła, kiedy minęły przyjemne spokojne dni lata. Jedyłą zagadką stanowiła dla niej Paula, bo nie wiedziała, co ma o niej myśleć. Hrabina była osobą o charakterze zmiennym i chimerycznym. Niekiedy przez kilka dni przebywała u siebie, widując tylko swoją pokojówkę. Potem apatia przechodziła w stan gorączkowego podniecenia. Jeździła z wizytami, zapraszała do pałacu gości, śmiała się i flirtowała. Ale

bywały dni, że zdawała się gasnąć, jakby zabrakło jej substancji niezbędnej do życia; nawet jej piękność bladła. Lecz po jakimś czasie znowu wszystko powracało do normy. Paula nie posiadała żadnych talentów ani zainteresowań. Na muzyce się nie znała, lektura ją nudziła i nie mogła zrozumieć, jak Nina może czytać całymi nocami, dorwawszy się do pałacowej biblioteki. Ulubionym zajęciem Pauli było strojenie się i flirty, w których wprost się lubowała.

Na wyraźne zaproszenie hrabiny dość często do Makowa przyjeżdżał major Wielenin. Za każdym razem pan domu dawał mu do zrozumienia, iż jego wizyty nie są tu mile widziane. Młody oficer był zbyt inteligentny na to, żeby tego nie zrozumieć, lecz mimo to przyjeżdżał, a wtedy obaj mężczyźni wymieniali zimne, nieprzyjazne spojrzenia. W piękne dni wrześnieowe całe towarzystwo odbywało dalekie spacerów konne. Okolice Gór Świętokrzyskich obfitowały w cenne zabytki: ruiny zamków rycerskich, prastare kościoły, malownicze zakątki puszczy i znakomite tereny do jazdy konnej. W czasie spacerów Wielenin nie odstępował Niny, uparcie jej towarzysząc. Siedziała z gracją na grzbiecie ognistego wierzchowca, zarumieniona od pędu, z rozwianymi włosami, i promieniowała urokiem pierwszej młodości. Major chwycił niekiedy jej ukradkowe spojrzenia posyłane hrabiemu, a wtedy na jego twarzy pojawiał się wyraz tajemnej zgryzoty.

Pewnego upalnego dnia zajechali w okolice Łagowa, podziwiając zieleń łąk kontrastujących z bielą ścian wapiennych. Dzień był tak gorący, że zgrzana Nina odłączyła się od towarzystwa i pogalopowała w dół wąwozu do płynącego tam górskiego strumienia. Zeskoczywszy z konia, pochyliła się, zamierzając umyć spoconą twarz i szyję.

– Proszę tego nie robić! – Usłyszała za sobą męski głos mówiący po francusku.

Zdumiona, obejrzała się za siebie i zobaczyła Wielenina zjeżdżającego właśnie ze zbocza. Zsiadł z wierzchowca i przyklęknął przy niej na jedno kolano. Pochylił się i zaczerpnąwszy wody w złożone dłonie, wyciągnął je do niej.

– Pani jest zmęczona, *mademoiselle*, a strumień bardzo zimny. Mogłaby się pani przeziębnić. Proszę zamoczyć chusteczkę i przetrzeć nią twarz.

Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami i w milczeniu posłusznie wykonała jego polecenie. Przez krótką chwilę patrzyli na siebie, aż Nina,

zawstydzona wyrazem jego szafirowych źrenic, spuściła długie rzęsy i wstała.

– *Merci bien* – szepnęła, podchodząc do konia.

Major pomógł jej wsiąść, podstawiając mocną opaloną rękę, na której wsparła stopę. Bez wysiłku uniósł ją i posadził na siodle. Więcej nie przemówili do siebie ani słowa. Wrócili do towarzystwa, a Paula przez resztę spaceru bacznie ich obserwowała. Zaraz po powrocie do domu powiedziała do Niny z przekąsem:

– Panna w twoim wieku nie powinna przebywać sama z młodym mężczyzną.

Nina zarumieniła się, obrażona.

– Pan major jest człowiekiem honoru i w jego towarzystwie nic mi nie grozi – odparła chłodno.

– Kto wie... – Paula uśmiechnęła się zagadkowo i odeszła.

Od tego dnia pilnowała młodego oficera, uważając, aby nawet na moment nie przebywał sam z Niną. Czasami udawało się jej wyciągnąć go na spacer we dwoje. Zawsze jednak powracali wtedy z przechadzki – on pełen niesmaku i znudzony, ona zdenerwowana i rozgoryczona. Po odjeździe Wielenina hrabina zamykała się u siebie i pisała jakieś listy, które następnie darła i paliła.

Kiedy pogoda nie zachęcała do spacerów, bawiono się w domu, wystawiając w wielkim salonie żywe obrazy, przeważnie o treści patriotycznej, zwane *tableau vivant*, ogromnie wtedy popularne. Żałoba narodowa nie zezwalała na urządzenie zabaw tanecznych, więc umilano sobie czas, deklamując poezję, słuchając muzyki i śpiewając pieśni. Czasami grano w loterię, zbierając składki na cele dobroczynne. O zmierzchu wielki salon jarzył się od świateł żyrandoli. Starsze damy rozsiadały się na kanapach, plotkując i obserwując, czy córki mają powodzenie. Mężczyźni gromadzili się w gabinecie, dyskutując o polityce, cenach zboża, ziemniaków i spirytusu. Tematem rozmów była również bratobójcza wojna, która w kwietniu wybuchła w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Południe kraju, przeciwne wyzwoleniu czarnych niewolników oraz dominacji Północnych Stanów, zawiązało konfederację, tworząc własne państwo ze stolicą w Richmond, i obrało w wolnych wyborach swego prezydenta. Uprzemysłowione Stany Północne nie zgodziły się na podział kraju i wybuchła wojna, tocząca się ze zmiennym szczęściem. Polskie sfery arystokratyczne i ziemiańskie, o ile zajmowały się tą sprawą, popierały

raczej południowców, często potomków szlacheckich rodzin angielskich i francuskich. Niewolnictwo nie budziło tutaj odrazy, ponieważ pańszczyzna i zależność chłopów od dziedzica były również pozostałością czasów feudalnych. Jankesi, ordynarne groszorozy, nie cieszyli się sympatią bogatej szlachty.

Kiedy w gabinecie panowie dyskutowali, kłócili się, palili papierosy i popijali koniak, młodzież gromadziła się wokół fortepianu w salonie. Jadwiga Wąsocka w czarnej jedwabnej krynolinie śpiewała przy akompaniamencie Niny popularną pieśń do słów poety Konstantego Gaszyńskiego:

*Schowaj, matko, suknie moje,  
Perły, wieńce z róż,  
Jasne szaty, piękne stroje  
To nie dla mnie już.  
Niegdyś jam szaty, stroje lubiła,  
Gdy nam nadziei wytryskał zdrój.  
Lecz gdy do grobu Polska wstąpiła,  
Jeden mi tylko przystoi strój:  
Czarna sukienka.*

Starsze damy roniły łzy, a wzruszony proboszcz trząsał wieczkiem tabakierki i kiwał do taktu głową. Od pewnego czasu stał się częstym gościem w pałacu i zapalonym graczem w szachy i karty. Razem z proboszczem przyjeżdżał ksiądz Żabiec. Wikary prędko oswoił się z towarzyszeniem, a przepych pałacu już go nie onieśmiał. Wprawdzie rumienił się jeszcze w obecności młodych kobiet, lecz nie chował się po kątach, a zagadnięty, chętnie rozmawiał, zwykle przebywając w gronie młodzieży męskiej. Paula go rozpieszczała, bawiąc się nim jak inne damy pieskiem pokojowym. Uczyła go grać w karty i mówić po francusku, zaśmiewając się z jego nieporadnej wymowy. Zabierała go z sobą na spacer po parku i na przejażdżki powozem. Lecz gdy do Makowa przyjeżdżał major Wielenin, natychmiast zapominała o obecności młodego księdza, nie odstępując na krok upragnionego gościa.

Nie wiadomo, dlaczego widok księdza Żabca przechadzającego się po salonie niesłychanie drażnił Ninę. Bez konkretnej przyczyny czuła do niego nie tylko niechęć, ale i jakby wzbudzał w niej lęk. Kiedy witał się z nią, podając rękę, miała wrażenie, że dotyka oślizłego gada, i nieznacznie wycierała dłoń o suknię, prawie niegrzecznie odpowiadając na jego pytania.

Proboszcz, który już zdążył się przywiązać do wikarego, kilka razy upominał ją, sądząc, iż to pycha każe jej pogardliwie traktować syna chłopca pańszczyźnianego. Nina udawała skruczę, ale nie potrafiła odnosić się z sympatią do człowieka budzącego w niej instynktowny wstręt i trwogę.

Wielenin przyjeżdżał do Makowa zwykle po południu, gdy salony pełne były gości. Na prośbę hrabiny do fortepianu zasiadał Tadeusz i grał modne walce. W jednej chwili salon się ożywił, a śmiechy dziewcząt mieszały się z dźwiękami muzyki. Paula, podnosząc się z miejsca, władcym ruchem wyciągała do Wielenina rękę, a jemu nie wypadało odmówić tańca pani domu, chociaż musiał przerywać miłą pogawędkę prowadzoną z damami. Wstawał z fotela, składał hrabinie ukłon i obejmował jej talię. W wielkiej sali rozbrzmiewał melodyjny walc, szeleściła krynolina Pauli i delikatnie dzwoniły ostrogi tańczącego oficera. Obserwujące ich damy trzepotały wachlarzami i wzdychały zazdrośnie, bo Wielenin wyglądał jak wcielenie kobiecych marzeń o księciu z bajki.

Odańczywszy obowiązkowego walca z panią domu, major kłaniał się Ninie, prosząc ją do tańca. Nie potrafiła odmówić, choć wiedziała, że ich taneczne popisy nie podobały się Aleksowi i Pauli. Zwykle tańczyli w zupełnym milczeniu. Major nawet nie próbował nawiązać z nią rozmowy, ale jego szeroko otwarte szafirowe oczy mówiły jej o tym, czego nie śmiały wypowiedzieć usta. Wirowali pod kryształowym żyrandolem, wzbudzając swą urodą ogólny zachwyt, ale również nieprzychylnie komentarze. Szczególnie Tadeusz, korzystając z praw długoletniej przyjaźni, nie szczędził Ninie wymówek:

– Szlag mnie trafia, kiedy patrzę, jak balujesz z tym Moskalem – szeptał jej do ucha. – Zapomniałaś, że mamy żałobę narodową? Jeżeli on nadal będzie wdzięczył się do ciebie, to skrzyknę chłopców i gdzieś w ciemnym kącie postaramy się wyjaśnić temu lalusiowi, że jego obecność w Makowie jest raczej niemile widziana. Odnoszę wrażenie, że pan hrabia nie będzie miał o to do nas pretensji. Najwyższy czas, żeby ten oficerek dostał parę klapsów.

– Tadziu, chyba oszalałeś! – Nina pobladła i spojrzała na niego z przerażeniem. – Nawet nie waż się o tym myśleć. Czego ty chcesz od niego? Jaś mówił, że nie każdy Rosjanin jest naszym wrogiem.

– Tak, zwłaszcza jak ma ładne oczy! – zasyczał. – Czekaj, napiszę do Jaśka! Niech wie, jak się wdzięczysz do Moskala!

– Wiesz, wydaje mi się, że przestanę cię lubić! – zawołała i obrażona odeszła.

Tadeusz mylił się jednak, bo ona wcale nie wdzięczyła się do Wielenina. Unikała go nawet, lecz nie potrafiła zapomnieć ciepła jego ręki, gdy dotykała jej w tańcu, ani jego spojrzenia, kiedy przez długą chwilę spoglądali sobie w oczy nad strumieniem, przekazując wzrokiem to, czego nie odważyli się wyrazić słowami. Po każdym tańcu z Wieleninem bywała tak zdenerwowana, że ledwie trzymała się na nogach. Młody oficer w milczeniu odprowadzał ją na miejsce i składał na koniuszkach jej palców lekki pocałunek. Siadała, oddychając prędko, cała w płomieniach i tak przejęta, że nawet nie słyszała, co mówiła do niej Zosia, pragnąca od przyjaciółki wyciągnąć jakieś zwierzenia.

Jeszcze długo Nina czuła mocny uścisk obejmującego ją ramienia majora i zapach wody kolońskiej, której on zawsze używał. Wstrząsały nią dreszcze, więc myślała, że zapewne gdzieś się przeziębila i dlatego tak mocno biło jej serce. Rozpaloną dłonią dotknęła policzka i zrozumiała, że niestety, wypadki potoczyły się nie tak, jak by sobie tego życzyła i młody oficer wcale nie był jej obojętny. Była tym odkryciem po prostu wstrząśnięta.

– Pan major Wielenin jest szalenie przystojny i bardzo sympatyczny, prawda? – odezwała się po raz kolejny Zosia, nie doczekawszy się odpowiedzi na swoje pytanie. – On ci się podoba, Ninko?

– Nie. Wcale mi się nie podoba – odparła chłodno, marszcząc brwi.

– Nie? Takie odniosłam wrażenie. Ale co jest w tym złego, jeżeli pannie podoba się wartościowy i piękny mężczyzna? Kochanie, czy ty źle się czujesz? Masz takie mocne rumieńce... Mam nadzieję, że nie jesteś chora? – Zosia zrobiła minę niewiniątka i posłała przyjaciółce domyślny uśmiech, ale nie pytała już o nic więcej, nie chcąc Ninie sprawić przykrości.

We wrześniu miał się odbyć w pałacu zjazd szlachty i narada nad sytuacją w kraju po rozwiązaniu przez Wielopolskiego Towarzystwa Rolniczego. Hrabia Klonowiecki, członek wielu stowarzyszeń, proponowany był nawet na marszałka szlachty, lecz ku rozczarowaniu Niny stanowczo odmówił przyjęcia tej zaszczytnej funkcji.

– A ja byłam pewna, że pierwsza pogratuluję panu nowej godności – powiedziała, nie kryjąc zawodu.

– Funkcja marszałka jest urzędem, a ja, mój słodki promyczku, staram się trzymać z dala od polityki – odrzekł, uśmiechając się do niej łagodnie.

Więcej na ten temat nie rozmawiali, bo Aleks był człowiekiem skrytym i nie lubił zwierzać się ze swoich myśli i zamiarów. Introwertyczny charakter ukochanego niekiedy doprowadzał ją do łez lub szewskiej pasji, co nie przeszkadzało w tym, że właśnie takiego kochała najmocniej.

Następnego dnia hrabia wyjechał do Warszawy, obiecując powrócić za tydzień.



81 Nazwa pochodzi od miasta Cordoba w Hiszpanii; cenna garbowana skóra, barwiona, wyłaczana i złożona, często intensywnie zdobiona malowidłami.

82 Rodzaj męskiego żakietu noszonego w XVIII i XIX wieku.

83 Drożdżówki z konfiturami lub nadzieniem z orzechów.

84 W carskiej Rosji miał wartość 10 rubli w złocie; półimperiał – 5 rubli w złocie.

85 Urzędnicy dworscy.

86 Lekki powozik na dwóch kółkach.



## Rozdział 5

Nina miała mnóstwo obowiązków, przygotowując dom na przyjęcie wielu gości. Cały pałac dokładnie sprzątano, szczególnie pokoje gościnne w dawnej części domu oraz w oficynie. Wietrzono sypialnie, odkurzano baldachimy, trzepano zdjęte ze ścian gobeliny i perskie dywany. Wokół unosił się zapach pszczelego wosku, a wyfroterowane posadzki i meble lśniły. Na raucie miał ujrzeć światło dzienne wielki porcelanowy serwis z Sévres, będący niegdyś własnością hrabiego Prowansji, późniejszego króla Francji, Ludwika XVIII. Na wygnaniu, w okresie rewolucji i epoki napoleońskiej, książę cierpiał taką biedę, że zmuszony był wyprzedawać cenne przedmioty, byle tylko przetrwać. Oglądając serwis i wspaniałe srebra stołowe, jak również pozłacane świeczniki, Nina błogosławiła w duchu przodków Aleksa, którzy potrafili trzymać się z dala od politycznych awantur. Dzięki dobrym koneksjom hrabiów z dworem austriackim, a potem carskim obce wojska omijały Maków, zaś ludność żyła spokojnie i bogaciła się z roku na rok.

Przygotowując raut na prawie sto osób, Nina szczegółowo omawiała menu z panem Szymonem i poleciła mu sporządzenie listy brakujących artykułów. Nie wiedziała, gdzie poprzednio kupowano luksusowe dodatki do potraw i siedząc w swoim buduaru przy sekretarzyku, pilnie szukała adresów dostawców w księgach gospodarczych. Podniosła głowę, słysząc pukanie. Do pokoju weszła Paula. Z mimowolną zazdrością Nina obejrzała jej nową suknię w kolorze cytryny, przybraną haftem angielskim i kremowymi koronkami. Sama miała na sobie niedawno kupioną czarną toaletę, której serdecznie nie znosiła. Hrabina spojrzała na nią z uwagą.

– Pisziesz encyklopedię? – zapytała, widząc palce Niny poplamione atramentem.

– Szukam adresu dostawców. Gdzie dawniej robiono zakupy przed rautem?

– Mogę ci o tym powiedzieć, nie zaglądając do tych zakurzonych szpargałów. W Warszawie i w Radomiu. Ostatnio kupiłam w Radomiu kilka puszek znakomitych krabów.

Paula rozsiadła się na foteliku, rozkładając starannie fałdy spódnicy, i wzięła kartkę ze spisem brakujących artykułów. Nina stłumiła westchnienie,

patrzając na jej cudownie utrzymane dłonie. Sama nie miała cierpliwości szlifować godzinami paznokci, zresztą będąc zdenerwowana, często je obgryzała.

– Mam wrażenie, że nie brakuje tu niczego – rzekła Paula, rzuciwszy okiem na kartkę. – Kolacja będzie *à la fourchette*<sup>87</sup>?

– Nie. Zdecydowaliśmy się na gorące przekąski.

– Słusznie. – Paula wstała, podeszła do okna i szeroko je otworzyła. – Bardzo gorący dzień, prawda? Zauważyłam, że ostatnio zmizerniałas. Masz stanowczo za dużo obowiązków. Pomyślałam więc, że mogłabym ci pomóc w zakupach. Pogoda śliczna, ciepło jak w lipcu. Może wybierzemy się razem do Radomia po sprawunki? Co na to powiesz?

Jej propozycja zaskoczyła Ninę. Paula nigdy nie interesowała się domem. Od jakiegoś czasu major Wielenin nie pokazywał się w Makowie i Paula ani razu o nim nie wspomniała, jednak Nina była przekonana, że hrabina ciągle o nim myśli.

– No, nie wiem – bąknęła z wahaniem. – Mam tyle pracy.

– Nie przesadzaj, moje dziecko. – Jej wykręty Paula skwitowała śmiechem. – W domu jest mnóstwo służby. To nawet niezdrowo, żeby młoda osoba przesiadywała stale nad książkami, jak wiekowy rabin.

Propozycja była kusząca. Nina bardzo lubiła podróżować, zwłaszcza teraz, gdy miała do dyspozycji wytworne powozy i wspaniałe konie.

– To kiedy mogłybyśmy jechać? – spytała, pozbywając się skrupułów.

– Brawo! – Paula klasnęła z radości. – Wyjedziemy jeszcze dziś po obiedzie. Rano już będziemy w Radomiu. Ale błagam cię, daruj sobie te ponure kiry i ubierz się po ludzku.

– Zobaczę, co da się zrobić – odparła Nina wymijająco.

Po wyjściu hrabiny natychmiast zabrała się do przeglądu swoich sukien. Po chwili sypialnia wyglądała, jakby przez pokój przetoczyła się niewielka trąba powietrzna. Bluzki, spódnice, halki, suknie i pantalony leżały na krzesłach, zwieszały się z łóżka, szaf, a nawet z poręczy balkonu. Nina, stojąc z głową w szafie, przebierała pomiędzy resztą ubiorów. Przerzuciwszy stosy sukien, doszła do ponurego wniosku, że chociaż szafa pękała w szwach, to większość zakupionych strojów była w ciemnych barwach. Pani wojewodzina rygorystycznie tego dopilnowała. „Okropność” – jęknęła w duchu Nina, marząc, by ktoś ze starszych osób zabronił jej noszenia żałoby. Wyobraziła sobie, jak ślicznie wyglądałaby w kolorowych kwiecistych toaletach. Niestety, sklepy w dużych i małych miastach oferowały klientkom

jedynie żałobne materiały. Prócz czerni noszone były jeszcze wszystkie odcienie fioletu i popielatego. Dla młodych panien dozwolona była biel z czarnymi dodatkami. Tymczasem Nina była przekonana, że w czerni wyglądała koszmarnie. Do żałobnych toalet dostosowana była odpowiednia biżuteria. Nosiło się broszki z onyksu w kształcie trupich czaszek, orzełki ze srebra, kotwice, wieńce cierniowe oraz duże krzyże z hebanu lub ze srebra, które panie zawieszały na szyi zamiast brylantowych kolii.

Na widok dam obwieszonych żałobnymi emblematami biednej Ninie robiło się niedobrze. Nosiła żałobę, bo wszystkie Polki ubierały się na czarno. Zresztą pani wojewodzina, której Nina trochę się bała, wpadłaby w szal, zobaczywszy ją w jasnej sukni. Lecz w Radomiu nikt jej nie znał, postanowiła więc na jeden dzień zdjąć znieawidzoną żałobę. Przewróciła szafy do góry nogami, zanim zdołała skompletować trzy jasne toalety. Zapakowała je osobiście do torby podróżnej, obawiając się, żeby nie wpadły w oko niani. Jaga surowo przestrzegała żałoby i z pewnością urządziłaby jej awanturę, nie pozwalając jechać. Sprawa doszłaby do uszu pani wojewodziny, a stara dama w rewanżu potrafiłaby na długi czas zamienić jej życie w piekło. Wyobraziwszy sobie taką ewentualność, Nina szybko się przeżegnała. Pragnęła choć na jakiś czas zmienić otoczenie, bo poprzedniego dnia znowu pokłóciła się z Tadeuszem.

Na podwieczorku u Zosi, w Ciężynach, przyjaciel zagadnął ją zjadliwym tonem:

– Ostatnio ten piękny kacap nie bywa już w Makowie. Boi się nas?

Nina zareagowała na te słowa takim wybuchem gniewu, że o mało nie rzuciła się na niego z pięściami.

– Jeżeli raz jeszcze wyrazisz się w ten sposób o panu Wieleninie – wrzasnęła z wściekłością – to ja nazwę cię wstrętnym, złośliwym pawianem! – Tupnęła nóżką, odwróciła się i wypadła z pokoju z takim pośpiechem, jakby ją diabeł gonił.

Tadeusz długo stał z otwartymi ze zdumienia ustami, nie mogąc zrozumieć, co ją tak rozwścieczyło. Uroczyście poprzysiągł sobie nigdy więcej nie wspominać o pięknym Rosjaninie.

\*\*\*

Podróż do Radomia minęła bardzo przyjemnie, pozwalając Ninie docenić, jak dalece zmieniła się jej pozycja. Zamiast tłuc się w starej cuchnącej końskim potem karecie Borutyńskich, jechała wykwinnym powozem z hrabiowską koroną, spoczywając na miękkich poduszkach. Na koźle

siedzieli stangret i lokaj, a ekwipaż ciągnęły wspaniałe konie. Pogoda była prawdziwie letnia, sucha i ciepła. Przez całą drogę wcale się nie nudziła, ponieważ Paula zabawiała ją opowieściami o Paryżu i carskim dworze. Po raz pierwszy Nina dowiedziała się od niej o miłośkach kochliwego cara Aleksandra II, który był prawdziwym erotomanem, przypominając swojego nieżyjącego już stryja, cara Aleksandra I.

Mężczyźni z rodu Romanowów odznaczali się urodą. Cara Aleksandra I kochały wszystkie kobiety, od królowej do praczki. Jego miłosne podboje przeszły do legendy. Po nagłej i tajemniczej śmierci cara rozhisteryzowane wielbicielki nosiły na rękach bransolety z napisem „Notre ange est au ciel”, czyli „Nasz anioł jest w niebie”. Brat Aleksandra, późniejszy car Mikołaj I, w młodości obdarzony był tak olśniewającą urodą, że w czasie wizyty na dworze Wiktorii, królowej Anglii, damy dworu na jego widok mdlały z zachwytu. Syn Mikołaja, car Aleksander II, odziedziczył po ojcu urodę, a po stryju temperament. Miewał mnóstwo przygód miłosnych, bo jego małżonka, carowa Maria Aleksandrowna, księżniczka Hesji, chorowita i nieładna, nie potrafiła okiełznać erotycznych popędów męża. Ostatnio coraz głośniejsze plotkowano o nowych miłośkach cesarza.

Nina z zapartym tchem słuchała tych ploteczek z życia najwyższych sfer, które raczej nie nadawały się dla uszu panienki w jej wieku, lecz tym bardziej były pasjonujące. O obyczajach na dworach monarszych miała mgliste pojęcie, wyrobione na podstawie przeczytanych książek, uważnie ocenianych przez opiekunów. Nikt nigdy nie wspominał przy niej o tak skandalicznych historiach, a wuj Aleks z pewnością byłby rozgniewany, dowiedziawszy się, o czym Paula z nią rozmawia. Lecz Nina nie zamierzała mu się z tego zwierzać. Paula niby to przypadkiem nawiązywała do bajecznych karier młodych dam mających szczęście wpaść carowi w oko. Jednakże Nina uparcie udawała, że nie rozumie tych aluzji, całą uwagę skupiając na skandalicznym wątku.

Do Radomia przybyły rankiem. Miasto, słynące niegdyś z wielkich wydarzeń w życiu narodu, siedziba królów, teraz było niewielkim miastem gubernialnym, w którym stacjonował duży garnizon wojskowy pod dowództwem generała Aleksandra Uszakowa. Panie zjechały do najlepszego hotelu i zajęły dwa sąsiednie pokoje. Po nocy, przespanej w Suchedniowie, były wypoczęte i bez zwłoki wybrały się na zakupy, żeby po południu mieć czas na jakąś rozrywkę. W sklepie panny Jagnińskiej hrabina grymasiła, każąc sobie pokazywać coraz to inne przedmioty. Mówiła po francusku,

wtrącając rosyjskie słówka. Stangret Stach i lokaj, znudzeni oczekiwaniem na damy, rozmawiali z sobą półgłosem. Panna Jagnińska, prezentująca właśnie Pauli najmodniejsze rękawiczki i parasolki, lekko uniosła brwi i szepnęła do swojej pomocnicy:

– Coś podobnego! Te Moskalki mają polską służbę!

Nina upuściła na ladę oglądany właśnie wachlarz i poczuła się tak głupio i niezręcznie, jakby po kryjomu popełniła czyn wysoce nieetyczny, którego powinna się wstydzić. Nie czekając, aż Paula wybierze coś z towarów, zapłaciła za motek jedwabiu i prędko wyszła ze sklepu. W swojej jasnej sukni czuła się jak obnażona. „Rany boskie! – myślała z przerażeniem. – Żeby tylko nie wpaść na kogoś znajomego!”. Panna Jagnińska wzięła je za Rosjanki, ponieważ hrabina pytała o cenę w rublach. W tym czasie obowiązywały w Królestwie Polskim dwie waluty: ruble oraz polski złoty, zaś przekorne Polki każdą cenę przeliczały na złote.

W sklepie pana Ostachewicza damy nabyły najlepszą cejlońską herbatę, kawę, puszki z krabami, ostrygi i kilka skrzynek szampana, a także kawior. Zakupione towary uprzejmy kupiec zobowiązał się dostarczyć do Makowa. W powozie Paula nagle poczuła się źle i siedziała z apatyczną miną.

– Muszę odpocząć – rzekła zmienionym głosem. – Stachu, do hotelu!

Minęły kościół Ojców Bernardynów, przy którym wzniesiono wysoki kopiec z krzyżem i stał tam posąg Matki Boskiej. Dokoła paliły się świece, leżały kwiaty, a pod krzyżem klęczeli ludzie, modląc się żarliwie. Paula przypatrywała się im z nieukrywaną pogardą.

– Okropna ciemnota w tej waszej Polsce – oznajmiła lekceważąco. – Cudzoziemcy postrzegają was jako ponury i zacofany naród. Nikt nie rozumie tej waszej cudacznej pobożności. Sądząc z waszych dziejów, Bóg wyraźnie was nie lubi, mimo że przy każdej okazji go wzywacie. A może po prostu jesteście złymi żołnierzami?

Nina zbladła i zeszywniała, nie zamierzając tej obelgi puścić płazem.

– Zapomina pani, że jesteśmy jedynym narodem, którego żołnierze aż trzykrotnie postawili nogę na Kremlu! Raz z carową Maryną Mniszchówną<sup>88</sup>, potem z hetmanem Żółkiewskim<sup>89</sup> i wreszcie z cesarzem Napoleonem I. Nikomu innemu to się nie udało – stwierdziła z satysfakcją.

– To było dawno temu – mruknęła Paula z niezadowoleniem.

– Jednak Rosjanie pamiętają nam ten fakt do dzisiaj – przypomniała Nina uszczypliwie. – A przecież sami nas wezwali.

– Ale nie kazali wam rabować i mordować moskwian! – odcięła się Paula, marszcząc gniewnie brwi.

W całkowitym milczeniu dojechały do hotelu.

Po uwadze panny Jagnińskiej Nina nie odważyła się włożyć po południu jasnej sukni. Z żalem odwiesiła do szafy przygotowaną toaletę z mięsistego blad różowego jedwabiu, przybraną kwiatami jabłoni. Odchyliwszy firankę, wyjrzała na ulicę, obawiając się, że zobaczy tam kogoś znajomego. Jednakże nie spostrzegła nic podejrzanego i nieco się uspokoiła. Zerknęła na zegar i stwierdziła, że jest jeszcze wcześnie. Po południu miały gdzieś jechać, lecz hrabina nie zdradziła gdzie, tylko uśmiechała się tajemniczo. Położywszy się na łóżku, Nina zaczęła czytać książkę. Obiad zjadła w numerze sama, wiedząc, że Paula odpoczywała. Potem się zdrzemnęła.

Obudziła ją hotelowa pokojówka, oznajmiając, że jaśnie pani hrabina już się ubiera. Po namyśle Nina zdecydowała się włożyć suknię z białej powiewnej organdy w duże czarne grochy. Dekolt odsłaniał jej ramiona, a szeroka krynolina wykończona była u dołu frędzlami z białego jedwabiu. Przewiązała się w talii czarną aksamitną szarfą, spadającą aż po kraj spódnicy, a na głowę włożyła szeroki kapelusz „pasterski”, przewiązany leciutkim woalem. Krytycznie obejrzała się w lustrze i uznała, że wygląda bardzo ładnie.

Właśnie wciągała długie białe rękawiczki i sięgała po parasolkę, gdy zapukała Paula. Wyglądała olśniewająco w kreacji w kolorze jaskra, z kołnierzem z brabanckich koronek. Miała na szyi naszyjnik z żółtych topazów, a czarne włosy wsunęła pod fantazyjny tocze przybrany kwiatami i piórami rajskiego ptaka. Zmierzyła Ninę przeciągłym spojrzeniem, ale nie skomentowała ani słowem jej stroju, spełniającego wymogi żałoby narodowej.

Gdy wsiadły do powozu, Paula rozkazała jechać wolno, aby mogły przyglądać się miastu. Nina kurczyła się na siedzeniu, bo z tłumu anonimowych przechodniów błyskały ku nim spojrzenia pełne nienawiści. Czuli się jak pod pręgierzem i modliła się, żeby przypadkiem nie zobaczył jej ktoś ze znajomych, jak siedzi obok jaśniejszej kolorami hrabiny. Paula nie zwracała uwagi na przechodniów, myśląc widocznie o czymś przyjemnym, bo uśmiechała się z rozmarzeniem. Naraz podniosła się i rzuciła szeptem stangretowi do ucha jakiś rozkaz. Stach szeroko otworzył oczy i przestraszony, potrząsnął głową.

– Jaśnie pan hrabia nie życzyłby sobie tego – ośmielił się zaprotestować.

– Nie dyskutuj ze mną, tylko jedź, gdzie ci każę! – ponagliła hrabina, szturchając go w plecy końcem parasolki.

Stary stangret pobladł i posłusznie skręcił w szeroką aleję, zamkniętą na końcu szlabanem, przy którym ustawiono budkę wartownika.

– Gdzie my jedziemy? – zainteresowała się Nina, ocknąwszy się z zamyślenia.

– Cierpliwości. Zaraz się wszystkiego dowiesz. – W czarnych oczach Pauli zaświeciły iskierki złośliwej wesołości.

W tym momencie oczy Niny padły na budkę w żółto-czarne pasy z dwugłowym orłem carskim i wszystko stało się dla niej jasne.

– Przecież to są koszary! – wykrzyknęła przerażona. – Co to ma znaczyć?!

– Ależ uspokój się, moja droga, zaraz będziemy na miejscu.

Powóz wjechał na szerokie błonia pełne żołnierzy i spacerujących oficerów. Na prowizorycznych trybunach siedziała już publiczność. Przeważnie byli to wojskowi z rodzinami i urzędnicy gubernialni. Na dany przez Paulę znak powóz zatrzymał się przy drewnianej barierce odgradzającej łąkę od szerokiej równej drogi. Nina zorientowała się, że są przy torze wyścigowym, na którym wkrótce odbędą się gonitwy koni. Z trybun dostrzeżono hrabinę i przesyłano jej ukłony. Siedzące w parterowych łóżach rosyjskie damy zapraszały ją do siebie uprzejmie, lecz ona odmówiła.

– Domyślam się, że jest to obiecana niespodzianka – odezwała się Nina, błada z gniewu. – Wyścigi mnie nie interesują i chcę wrócić do hotelu.

Agresywnym tonem pokrywała ogarniający ją strach. Zrozumiała, że padła ofiarą podstępu, ale nie rozumiała, dlaczego Paula zabrała ją ze sobą. Mogła przecież sama jechać do koszar, nie tłumacząc się z tego nikomu.

– Nino, zupełnie niepotrzebnie robisz mi awanturę i psujesz sobie humor. – Hrabina westchnęła z rezygnacją. – Przecież to tylko niewinna rozrywka. Uspokój się i weź lornetkę, będziesz wszystko lepiej widzieć. Chciałam ci dziś zrobić przyjemność.

– Należało mi najpierw zapytać o zgodę. Nie życzę sobie pokazywać się w tym miejscu!

Nina zamierzała coś dodać, lecz w tym momencie rozległy się na placu srebrzyste dźwięki trąbki, a z odległych stajen przyprawdzono konie. Przed pustą jeszcze trybuną honorową kilkunastu oficerów odbierało numery startowe. Trąbka odezwała się ponownie i na błonia wjechał odkryty powóz lśniący świeżym lakierem. Siedziało w nim kilku wyższych oficerów w

eleganckich letnich mundurach. Nina ściągnęła brwi i odwróciła od nich głowę.

– Ależ to pan generał Uszakow! – wykrzyknęła Paula z radością. – Nie wyobrażasz sobie, Nino, jaki to uroczy, przyjemny mężczyzna. O, kłania się nam! Proszę cię, postaraj się być uprzejmą. Nie siedź niczym żona Lota zamieniona w słup soli.

Nina zignorowała jej prośbę i nie odwróciła głowy. Zagryzła ze złości usta i wpatrywała się w pusty jeszcze tor wyścigowy.

– Nie do wiary – szepnęła Paula ze źle udawanym zdumieniem. – Pułkownik Woroncow jest z panem generałem. Co za spotkanie!

Nina się odwróciła i utkwiała w niej oczy z wyrazem miażdżącej pogardy. Miała już odpowiedź na zadawane sobie pytania. „Boże, ależ ze mnie tępą idiotką!” – pomyślała, trzęsąc się z bezsilnej pasji. Z największą chęcią połamałaby parasolkę na głowie hrabiny. Jednak na razie nic nie mogła zrobić, siedziała więc z pozornie chłodną, wyniosłą miną, nie patrząc w stronę nadjeżdżającego powozu. Nie wytrzymała jednak i powiedziała Pauli parę słów prawdy:

– Widzę, że to pan pułkownik Woroncow miał być tą prawdziwą niespodzianką, czy tak? Pani hrabina wywabiła mnie podstępem z domu i przywiozła tutaj, żeby ułatwić mu spotkanie ze mną. Ale nic z tego nie będzie. Stachu, proszę zawracać, jedziemy do hotelu!

W oczach Pauli zaślniła błyskawica gniewu.

– Nie waż się ruszać, bo wyrzucę cię z pracy! – zagroziła stangretowi, gotowemu wykonać polecenie Niny. – A ty nie zachowuj się jak nieznośne dziecko! Pułkownik nie gryzie, możesz z nim zamienić kilka słów. Pamiętaj, że jesteś pod moją opieką i nie pozwolę ci się oddalić bodaj na krok. Nie rób mi wstydu przed generałem.

Kłaniającym się oficerom z czarującym uśmiechem skinęła głową. Uszakow przyjął meldunki od wyprężonych na baczność podwładnych, odsalutował im mechanicznym ruchem, widocznie zajęty inną myślą. Obciągnął na sobie mundur i rażnym krokiem podszedł do landa, ciągnąc za sobą swoją świtę.

– *Bonjour, bonjour!* – powiedział wesoło, prześlizgując się wzrokiem po głębokim dekolcie hrabiny. – Nareszcie zawitała pani do nas, biednych wygnańców. Dawno nie była pani hrabina dla nas łaskawa. Mam nadzieję, że tym razem dłużej zabawi pani w Radomiu. A może zechce pani jutro odwiedzić moją córkę? No, niechże mi wolno będzie ucałować tę śliczną



rączkę. – Mówił poufałym tonem i długo nie odrywał ust od dłoni Pauli. Nie cofnęła ręki, patrząc na niego z pobłażliwym uśmiechem.

– Jak zawsze jest pan nad wyraz uprzejmy, ekscelencjo. Niestety, jutro już musimy wracać, bo spodziewamy się gości. Pan generał pozwoli, że przedstawię mu krewną mojego męża. Panna Nina Alfredowna Nałęczowska.

Uszakow zmrużył oczy i przyjrzał się Ninie okiem konesera.

– *Un bijou*<sup>90</sup> – szepnął, podając jej rękę. – Ach, ta Polska, jakież to tajemniczy kraj!

– Co pan generał ma na myśli? – zaciekała się Paula.

– Jesteśmy przecież najwaleczniejszą armią świata, jednak oczy polskich dam są tak niezwykłą bronią, że nawet najdzielniejszy oficer nie zniesie takiego zmasowanego ognia i musi skapitulować. Wierzcie mi, panowie – zwrócił się do swojej świty – z tego przesłicznego różanego pączka wkrótce rozkwitnie kwiat, o którym tylko najśmielsi odważą się marzyć.

Komplement był wytworny, więc Nina raczyła lekko skinąć głową, obdarzając Uszakowa cieniem uśmiechu. Oficerowie potakiwali mu z zapałem, nie spuszczać z obu kobiet płomiennego wzroku. Paula zatrzepotała rękami i nieznacznie stuliła ramiona, żeby lepiej uwydatnić piersi.

– Proszę usiąść obok mnie – zaprosiła generała do powozu.

Lecz on miał przygotowaną łożę honorową i zrewanżował się, zapraszając do niej obie panie. Paula lekko wyskoczyła z powozu i przyjęła ramię Uszakowa. Potem obejrzała się na siedzącą bez ruchu Ninę.

– A ty? Nie idziesz z nami? – spytała, otwierając parasolkę.

– Nie, dziękuję. Pozostanę w powozie – oświadczyła Nina, przekonana, że Woroncow będzie towarzyszył generałowi.

Spotkał ją jednak przykry zawód, bo Paula rzuciła pułkownikowi przelotne spojrzenie i zwróciła się do Uszakowa:

– Ekscelencjo, czy pan pozwoli, żeby pan pułkownik dotrzymał towarzysztwa pannie Nałęczowskiej?

– Czyż śmiertelnik może odmówić samej bogini Wenus? – Generał z ukłonem złożył kolejny pocałunek na jej rączce i przekomarzając się zalotnie, poprowadził ją do łoży.

Woroncow oparł się o skrzydło powozu i spojrzał na Ninę.

– Nawet marzyć nie śmiałem, że dziś spotka mnie tyle szczęścia – powiedział półgłosem.

– Nie rozumiem po rosyjsku – wycodziła przez zęby, patrząc przed siebie.  
– Wielka szkoda – posłusznie zaczął wysławiać się po francusku. – Nasz język jest taki miękki. Można nim wyrazić wiele treści.

– Nie wątpię.

– Ogromnie się ucieszyłem, zobaczywszy panią – wyznał, zwracając na nią swoje wąskie źrenice.

– Nie sądzę, żeby to spotkanie było dla pana aż taką niespodzianką – stwierdziła ironicznie.

– Przepraszam, jak mam to rozumieć? – zdziwił się nieszczerze.

– Raczej nie chce pan zrozumieć. Ale to już nie ma znaczenia, bo zaraz pana pożegnam.

Woroncew nie wydawał się przerażony tą groźbą. Uśmiechając się, skręcał w palcach frędzle zdobiące poduszki siedzenia.

– Jestem przekonany, że da się pani ubłagać i pozostanie z nami. Wyścigi zapowiadają się interesująco.

Z gniewną miną zmierzyła go wzrokiem. W jego zachowaniu było coś takiego, co budziło złość i skłaniało do sprzeciwu. Był uprzedzająco grzeczny, lecz mimo to każdym słowem zaznaczał swoją przewagę.

– Wyścigi mnie nie bawią. Czuję się słabo i muszę odpocząć.

– Współczuję, ale wydaje mi się, że najlepiej odpoczywa się na świeżym powietrzu. Dziś tak upalnie i w pokoju hotelowym można się usmażyć. Poza tym wyścigi jeszcze się nie zaczęły, pan generał jest w łoży, więc takie raptowne opuszczenie miejsca mogłoby być poczytane za lekceważenie honoru naszej armii.

Nina pociągnęła noskiem i skrzywiła się, poczuwszy zapach perfum różanych, którymi oblewała się Paula, sprowadzając z Paryża całe pudła tych pachnideł.

– Nie znoszę woni różanych perfum! Mam rozumieć, że nie pozwoli mi pan stąd odjechać? – Nie zmieniła lodowatego tonu pomimo narastającej w sercu trwogi.

Woroncew wyjął z kieszeni świeżą chusteczkę, zdjął czapkę i przetarł wilgotne czoło. Uśmiechnął się do Niny, pokazując białe zdrowe zęby.

– Ja bym się nie ośmielił, ale uczyni to wartownik przy bramie.

Wcisnęła się w kąt powozu i nagle opuściła ją cała odwaga. Była tylko wystraszoną panienką, marzącą, by znaleźć się w Makowie, pod opiekuńczymi skrzydłami niani. Usiadła w taki sposób, żeby na niego nie patrzeć, bo zapach perfum przyprawiał ją o mdłości. Pułkownik nie

spuszczał z niej oczu pełnych nieukrywanego pożądania. Jego natarczywe spojrzenie niesłuchanie ją drażniło. Chcąc się opanować, zaczęła nerwowo przygryzać wargę.

– Pani usta są jak płatek purpurowej róży – wyszeptał, a jego smagła twarz pociemniała. – Pani mnie nie lubi, prawda? Dlaczego, Nino? Nie chciała pani tańczyć ze mną mazura i nie zgodziła się pani na spotkanie w miasteczku.

Nina, oburzona jego bezczelnością, aż podskoczyła na poduszkach. „Do licha, co ten głupiec sobie wyobraża, że się wzruszę i padnę mu w ramiona?” – irytowała się. Śmieszyło ją, że mężczyźni są tacy tępi i zarozumiali. Nie przyjdzie im nawet do głowy, że mogą się kobiecie nie podobać.

– A powinnam pana lubić? – spytała z ironią. – Nie wpisał się pan do mego karnetu, a ja wszystkie tańce miałam zajęte. A propos mazura: proszę sobie przypisać moją odmowę tańca z panem, bowiem w kontredansie zachował się pan niestosownie. A o spotkanie pan mnie nie prosił!

– Ależ prosiłem, przez panią Klonowiecką.

– Jeżeli wszystkie sprawy osobiste załatwia pan przez drugie osoby, to nic dziwnego, że spotykają pana niepowodzenia – zauważyła drwiąco.

– Przysięgam, że się poprawię! Pięknie pani tańczyła mazura z panem hrabią. Szczęśliwy człowiek. *Sacré nom d'un chien!*<sup>91</sup> – zaklął. – Chciałbym być na jego miejscu. – Powiedział to tak cynicznym tonem, że Nina aż poczerwieniała z gniewu. – Zresztą pan hrabia żonaty, a ja na szczęście jeszcze nie.

– Cóż to, śpieszy się panu na ślubny kobierzec? – prychnęła ze złością.

– Bynajmniej. – Roześmiał się. – Bardzo cenię sobie moją kawalerską swobodę. Ale dla pani... – Zawiesił głos i posłał jej wymowne spojrzenie. Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał: – Gdyby tylko wyraziła pani zgodę, gotów byłbym do ołtarza, choćby zaraz!

Uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy z taką dumą, że się zmieszał i dopiero po jakimś czasie rzekł już zupełnie innym tonem:

– Bardzo dziś gorąco. Czy rozkaże pani przynieść sobie jakiś napój?

– Nie.

Woroncew przywołał przechodzącego żołnierza, dał mu pieniądze i kazał kupić u straganiarza soku pomarańczowego. Na placu rozległy się oklaski i na miejsce startowe wjechali zawodnicy, ustawiając się w szereg. Chcąc się wykręcić od rozmowy z pułkownikiem, Nina udawała, że wyścigi ją

interesują. Jeden z zawodników, dosiadający ślicznego siwego wierzchowca, mijając powóz, skłonił się jej, a potem zasalutował, posyłając Woroncowowi spod daszka czapki groźne spojrzenie. Odruchowo odpowiedziała na jego ukłon, nie zauważywszy nawet, kto jej się kłania. Ustawione na linii startowej konie nerwowo przestępowały z nogi na nogę, strzygąc uszami i niecierpliwie rzucając łbami. Nagle padł strzał z pistoletu i ława wierzchowców ruszyła z miejsca, zasłonięta tumanem kurzu. Podniecona Nina nie spuszczała wzroku z mknących błyskawicznie koni i skurczonych na ich grzbietach jeźdźców. Rozemocjonowani widzowie krzyczeli, panie powiewały chusteczkami. Paula wychyliła się z łoży i prowadziła wzrokiem siwego wierzchowca. Z masy rozpędzonych zwierząt wypadł do przodu wielki bułany ogier, pozostawiając resztę goniących w tyle.

– To Jupiter! – ożywił się pułkownik, nie odrywając oczu od konia. – Jest najszybszy w naszym garnizonie i z reguły wygrywa każdy wyścig. Dziś także wygra, to jasne.

Wygrana ogiera była tylko kwestią czasu, ale Nina poczuła dziecinną chęć sprzeciwienia się pułkownikowi.

– Niekoniecznie – oznajmiła przekornie. – Ja bym postawiła na tego siwka biegnącego w jednym szeregu z kasztankiem i karym.

– Może się założymy, Nino Alfredowno? Powiedzmy... o pocałunek! Naturalnie jeżeli Jupiter wygra – zażartował Woroncow, wpatrując się w jej błyszczące oczy.

– Nie zakładam się o pocałunki – ucięła oziębło, a jej chwilowe ożywienie przygasło.

– Nie? Bardzo żałuję. A jak można zasłużyć na pani pocałunek?

Zirytowana, porywczym ruchem szarpnęła woal, który wiatr nasunął jej na twarz.

– Pomówmy raczej o wyścigach – upomniała go, urażona jego poufałym tonem. – O, proszę! Siwek wysuwa się do przodu! – zawołała z trumfem, obserwując biegnącego coraz prędzej konia.

– Nie do wiary! – Woroncow ściągnął brwi. – Ten zdechlak idzie jak burza.

Skrzywił się i zaklął cicho, bo na Jupitera postawił znaczną kwotę. Widzowie na trybunach wrzeszczeli i bili brawo. Siwek szybko dogonił Jupitera, minawszy po drodze dwa inne wierzchowce. Zapewne jeździec wstrzymywał konia, żeby całą jego energię zachować na finisz. Bułany ogier był już u kresu sił. Płaty piany znaczyły jego sierść. Raz się potknął i tylko

przytomność jeźdźca uratowała go przed upadkiem. Jadący na nim oficer obejrzał się, a zobaczywszy zbliżającego się siwka, zaczął smagać pejczem swego konia po bokach, szyi, a nawet po głowie. Nina nie mogła spokojnie patrzeć na to okrutne widowisko.

– To ohydne! – wybuchła z oburzeniem. – Ten oficer powinien zostać surowo ukarany za znęcanie się nad zwierzęciem. Biedny koń, dał przecież z siebie wszystko.

– Widocznie za mało – mruknął ponuro Woroncow, wściekły, że wygrana wymknęła mu się z rąk.

Spojrzała na niego z odrazą, przysięgając sobie nigdy więcej nie brać udziału w wyścigach konnych. Uważała, że świadectwem kultury człowieka jest jego stosunek do zwierząt. Sama nigdy nie uderzyła psa ani konia. Brutalnemu oficerowi życzyła, żeby katowany koń zrzucił go z siodła i stratował na śmierć. Siwek po krótkiej zaciętej walce minął ogiera i bez wysiłku pierwszy dotarł do mety, przy gorącym aplauzie szalejącej z radości publiczności. Stojąca w loży Paula zaczęła się zachowywać jak opętana. Biła brawo, krzyczała i wrywając kwiaty z bukietu ofiarowanego jej przez generała, ciskała je w stronę mety. Nina widziała jej roześmianą, zaróżowioną twarz, gdy posyłała zwycięzcy pocałunki dłonią. „Z czego ona tak się cieszy?” – zastanawiała się, ale meta była oddalona i nie mogła dojrzeć, co tam się działo. Po krótkiej przerwie odbyły się jeszcze dwie gonitwy, lecz żadna nie miała tak sensacyjnego zakończenia. Woroncow był najwyraźniej wściekły i tylko wzgląd na dobre wychowanie nie pozwolił mu zakląć soczyście, po żołniersku.

– *Que diable?*<sup>92</sup> – warknął przez zaciśnięte zęby. – Skąd pani wiedziała, że ten zdechłak wygra wyścig?

– Po prostu nieświadomie trafiłam w sedno – odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem.

– Aha – mruknął. – Pani sedno kosztuje mnie pięćset rubli. Ech, szczęściarz z tego Wielenina. Bogaty, wygrywa w karty, ma powodzenie w miłości i pierwszy przybywa do mety.

Nina z zaskoczeniem spojrzała na pułkownika.

– To pan Wielenin wygrał ten wyścig? Nie wiedziałam. – Zarumieniła się, nawet nie zdając sobie sprawy dlaczego.

Woroncow zaczął się jej przypatrywać podejrzliwie, a w jego oczach zapłonął gniew.

– O, pani zna Sergiusza Fiodorowicza?

Prędko przybrała obojętną minę.

– Niekiedy bywa gościem hrabiny w Makowie – odpowiedziała, nie podnosząc spuszczonego rzes.

– Ach tak... – Pułkownik zaciął wargi i postanowił przystąpić do rzeczy. – Nie uważa pani, że marnujemy czas, rozmawiając o koniach i panu majorze?

– Konie to moja pasja. – Nina była bardzo zadowolona, że Wielenin utarł nosa pułkownikowi. – Lubię o nich rozmawiać. A ten siwek, proszę pana, to nie jest zdechlak, tylko wspaniały folblut. Czystej krwi anglik. Nietrudno było zgadnąć, że on wygra wyścig.

– Zna się pani na koniach? To jeszcze jeden z pani uroków. Ale *passons*<sup>23</sup>. Dawno szukałem okazji, żeby z panią szczerze porozmawiać. Nie muszę zaznaczać, że osoba pani nie jest mi obojętna.

Nina poczuła się nieswojo i marzyła, żeby wydostać się z tego miejsca i wrócić do hotelu, ale obawiała się drażnić Woroncewa.

– Ja pana prawie nie znam – powiedziała, unikając wpatzonego w nią jego wzroku.

– Rozumiem i dlatego pragnę, żebyśmy się bliżej poznali. Chcę zdobyć względy pani – oświadczył otwarcie.

– Powtarzam, mało pana znam i nie chcę łudzić pana nadzieją, która może nigdy się nie ziści – rzekła ostrożnie.

– Paula... chciałem powiedzieć... pani Klonowiecka wspominała, że utraciła pani rodowy majątek. Mam na pruskim dworze oddanych mi przyjaciół. Być może udałoby się majątek odzyskać.

Tym razem posunął się już stanowczo za daleko, a cierpliwość Niny właśnie się wyczerpała. Uniesiona wybuchem wściekłości, o mało nie zdzieliła go parasolką po głowie.

– Jak pan śmie?! – krzyknęła, trzęsąc się w ataku furii. – Paula... chciałam powiedzieć... pani Klonowiecka nie miała prawa rozmawiać z panem na ten temat. Ja nigdy nie przyjmę żadnej łaski z rąk morderców mego ojca powstańca! Chcę stąd odjechać. Proszę mi to umożliwić, bo każę stangretowi rozwalić szlaban! – Po raz pierwszy w życiu głośno i z dumą powiedziała o powstańczej działalności ojca.

Woroncew wydawał się bardzo skruszony.

– Błagam o przebaczenie, panno Nino – szepnął z pokorą i chciał ująć jej rękę, lecz ona szorstko mu ją wyrwała.

– Nie chce pan spełnić mojej prośby? W takim razie sama sobie poradzę!

– Cierpliwości. Jeszcze momencik. Proszę spojrzeć, pan generał wręcza pierwszą nagrodę majorowi i rozmawia z nim. Musimy poczekać, aż ekscelencja wyjdzie z łoży. Może podjedziemy pod trybuny?

– Dobrze. Stachu – odezwała się po polsku – proszę podjechać pod łożę, w której siedzi pani hrabina.

Teraz naprawdę czuła się fatalnie. Miała dość wyścigów i umizgów Woroncewa. Odgadywała, że pod cienką powłoką salonowej ogłady czaił się mężczyzna brutalny i bezwzględny. Jego samcza natarczywość przerażała ją i budziła odrazę od pierwszego spotkania. Ale zdawała sobie sprawę, że im zimniej go traktowała, z tym większą mocą Woroncew jej pragnął. Zauważywszy zbliżający się powóz, Paula zaczęła wolno schodzić z trybuny, mając po jednej stronie Uszakowa, a po drugiej Wielenina. Młody oficer podniósł głowę i jego oczy na krótką chwilę spotkały się z oczami Niny. Potem przeniósł spojrzenie na Woroncewa, który uparcie jej asystował. Nie czekając, aż powóz podjedzie, odmeldował się u generała i odszedł, otoczony kolegami gratulującymi mu świetnego zwycięstwa. Ninie zrobiło się bardzo przykro. Nie przyszedł się z nią przywitać i zaledwie rzucił na nią okiem. To spostrzeżenie jeszcze bardziej popsuło jej i tak zły humor. Paula żartobliwie sprzeczała się z generałem, który o coś ją prosił i nalegał. Wreszcie się roześmiała i skinąwszy głową, ujęła go pod ramię.

– Nino, wracamy do koszar. Jedźcie za nami! – zawołała, wsiadając do powozu Uszakowa.

Zatoczywszy krąg na murawie, ekwipaż potoczył się szeroką aleją ku widniejącym budynkom koszarowym.

– Jak długo panie zabawią w Radomiu? – Woroncew wszedł do powozu, a gdy ruszyli, przysunął się tak blisko, że kolaniem dotykał nogi Niny.

– Bardzo tu ciasno w powozie. Przepraszam. – Szarpnęła krynoliną i wtuliła się w kąt. – Jutro wyjeżdżamy.

– Zobaczymy – szepnął.

– Słucham?

– Ubolewam nad tym. Panno Nino, proszę zostać jeszcze dwa dni. Jutro mamy bal w kasynie, a pojutrze korso kwiatowe.

– Wykluczone! – ucięła i zamilkła na dobre.

Stanęli przed kasynem, udekorowanym flagami i girlandami z zieleni. Widocznie obchodzono jakieś święto pułkowe, a może urodziny patrona pułku, kogoś z licznej rodziny carskiej. Uszakov wysiadł i pomógł Pauli wyjść z powozu. Stała przez chwilę na stopniu i mizdrzyła się do niego,

unosząc krynolinę tak wysoko, że widać było spod niej nie tylko stopę w kremowym pantofelku, lecz nawet kawałek łydki! Nina patrzyła na to widowisko z niesmakiem, życząc hrabinie, żeby spadła ze stopnia i pokazała oficerom zebranych przed wejściem całą resztę! Nie mogła zrozumieć, jak wuj Aleks, mężczyzna tak wyjątkowy, mógł się ożenić z kobietą o mentalności ladacznicy. Paula z pewnością nie była damą!

– Nino, pan generał zaprosił nas na bankiet do kasyna – oznajmiła hrabina, lekko zeskakując ze stopnia powozu.

Jednocześnie posłała Woroncowowi pytające spojrzenie. Odpowiedział na nie, nieznacznie potrząsając głową. Nina to dostrzegła i przeniknął ją zimny dreszcz. Poczuli się jak mucha zaplątana w pajęczą sieć.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie skorzystam z zaproszenia. Jestem zmęczona i chcę odpocząć. Zaraz odeślę pani powóz – powiedziała stanowczo.

– W kasynie odpoczniesz, bo tam jest chłodniej – oświadczyła słodko Paula. – Panie pułkowniku, zechce pan łaskawie zaopiekować się panną Niną.

– Oczywiście. Pani raczy podać mi rączkę. – Woroncow prędko wyskoczył i wyciągnął do Niny dłoń.

Rozejrzała się, szukając rozpaczliwie pomocy. Przed kasynem oficerowie oczekiwali, aż generał i damy wejdą pierwsi. Szarpanie się w tej sytuacji z Woroncowem okryłoby ją śmiesznością. Poszukała wzrokiem Wielenina, lecz nigdzie go nie dostrzegła. Wysiadła więc, wspierając się na ręce pułkownika, płacząc się w szerokiej spódnicy i posyłając Stachowi przerażone spojrzenie. Stary stangret był bardzo blady i siedział na koźle sztywno, jakby kij połknął, kurczowo ściskając w ręku bat. W jego oczach Nina dostrzegła strach i gniew.

Weszli do wielkiej sali, przybranej kwiatami i zielenią. Przy długim stole, przygotowanym do bankietu, Nina dostrzegła kilku młodych oficerów. Wśród nich stał Wielenin. Zobaczywszy ją, wchodzącą pod rękę z Woroncowem, ściągnął z niesmakiem brwi. Nina spuściła oczy i poczuła, jakby ktoś ją spoliczkował. Generał wskazał hrabinie miejsce przy sobie, obok znalazła się Nina, a przy niej pułkownik Woroncow. Naprzeciwko Pauli siedział major, tryumfator dnia. Sala szybko się zapełniła, przybyło także kilka pań, żon wyższych oficerów. Generał powitał je z rubaszną galanterią. Kelnerzy napełnili kieliszki szampanem. Uszakow powstał i



wzniósł toast na cześć cara. Oficerowie zerwali się z krzesel, stanęli na baczność, a z ich ust wyrwał się zgodny okrzyk:

– Ura! Ura! Ura!

Nina zaledwie dotknęła ustami kieliszka i nieśmiało rozejrzała się po kasynie. Na frontowej ścianie wisiał naturalnej wielkości portret cara Aleksandra II w mundurze wodza naczelnego. Spoglądał z wysoka dobrotliwie, z miną pobłażliwego dla swych dzieci ojca. Lecz jego bladoniebieskie oczy, dziedzictwo po niemieckich przodkach, miały szklisty połysk i odbijały światło, nie pozwalając zajrzeć w głąb źrenic. Wpatrując się w cara, Nina poczuła się jeszcze bardziej obco w tym towarzystwie. Aby znaleźć pociechę, poszukała wzrokiem Wielenina. Pomimo świętego zwycięstwa młody oficer zupełnie nie miał humoru. Przywdziawszy maskę obojętności, siedział w milczeniu. Kiedy Nina podeszła do stołu, złożył jej z daleka chłodny ukłon. Przy stole również nie okazywał zainteresowania jej osobą, nawet nie patrzył w tę stronę. Rozżalona, postanowiła odwzajemnić się mu oziębłością. Ale długo nie wytrzymała i przypatrywała mu się ukradkiem, urzeczona jego urodą. Uparcie wpatrywał się w talerz, nie podnosząc oczu. Gęste czarne rzęsy rzucały cień na smagłe policzki i wcale nie chciały się unieść, aby odsłonić głębię szafirowych źrenic. Na komplementy generała i kolegów odpowiadał półsłówkami, najwidoczniej nie mając ochoty na pogawędkę. Ale Paula nie dawała za wygraną i zagadywała go, nie zrażając się jego mrukliwością. Prowokowała go, kokietowała, wyciągając rękę, niby to przypadkiem dotykała paluszkami jego opalonej dłoni. Przechylała się przy tym przez stół tak mocno, aż jej piersi w głębokim dekolcie unosiły się, przyciągając wzrok mężczyzn.

Nina obserwowała te manewry z tajoną nienawiścią. Mogłaby bez namysłu zabić Paulę za ten czar i wdzięk, emanujące z każdego ruchu i uśmiechu. Przy niej wydawała się sobie pospolita i nijaka. Tymczasem z całej duszy pragnęła stać się olśniewająco piękną, aby ukarać majora. Z goryczą stwierdziła, że Wielenin zachowywał się tutaj zupełnie inaczej niż w Makowie. Widocznie udawał, że mu na niej trochę zależało. Jakby w odpowiedzi na te myśli młody oficer rozchmurzył się, ożywił i ukazał lśniąca zęby w zniewalającym uśmiechu, posyłając Pauli uwodzicielskie spojrzenie. Jego uśmiech skierowany do hrabiny zabolął Ninę tak bardzo, jakby ostry kolec wbił się jej w serce. Rozżalona i nieszczęśliwa opuściła nisko głowę, żeby na niego nie patrzeć.

W kasynie siedziało kilka bardzo ładnych pań, ale to Paula była królową bankietu. Kiedy generał wzniósł toast na cześć dam, oficerowie podchwycili go z zapalem, wyciągając w jej stronę kieliszki z szampanem. Tymczasem kelnerzy wnieśli półmiski z zakąskami, z których słynie kuchnia rosyjska. Potraw było mnóstwo: łososie i bliny drożdżowe jedzone z kawiozem, kulebiaki z różnym nadzieniem, dziczyzna, a wino i wódka lały się strumieniami. Oficerowie w białych letnich mundurach zachowywali się z nieskrępowaną swobodą, jaką daje poczucie absolutnej siły oraz świadomość, iż nikt nie ośmieli się przeciwstawić ich potędze. Dawno już zapomniano o klęsce krymskiej i tragedii Sewastopola. Rosja była mocarstwem, największym państwem świata, i dyktowała Europie warunki. Dookoła siebie Nina widziała zaczerwienione twarze, otwarte do krzyku usta i słuchała śmiechów, pełnych hulawczej swobody i pijackiego rozrzewnienia. „Wódka, wrzask, wylewne pocałunki – pomyślała. – Zupełnie jak u nas. Jesteśmy tak do siebie podobni, że już przez to samo wzajemnie się nienawidzimy”. Głośne rozmowy, duszne powietrze i opary alkoholu budziły odrazę. Miała wrażenie, jakby unurzano ją w błocie.

Nagle hałas się nasilił, bo orkiestra dęta zagrała skoczego marsza. Pijani oficerowie zaczęli walić pięściami w stoły i wołać:

– Dawajcie Jegora! Jegoruszka!

Do kasyna wbiegli żołnierze, niosąc bandonię, bałabajki i bębenek. Rozległy się pierwsze takty trepaka, a dwaj smukli młodzi chłopcy zaczęli tańczyć, zuchowato podejmując się pod boki i sunąc w elastycznych prysiadach. Mężczyźni klaskali rytmicznie i podśpiewywali:

– Oj, Dunia, Dunia, Duniaja!

Nawet Nina otrząsnęła się na chwilę z przygnębienia, podziwiając piękny popis taneczny, godny baletmistrzów. Żołnierze kilkakrotnie musieli bisować, aż pot spływał im po twarzach, a każdy skok wymagał coraz większego wysiłku. Wreszcie Uszakov machnął ręką i orkiestra umilkła.

– No, poszli won!

Tancerze odetchnęli z ulgą i zabierali się do wyjścia. Jakiś pijany lejtnant zerwał się z krzesła i nasypał im do czapek srebrnych rubli, a potem każdego pocałował w usta.

– Zuchy, prawdziwe rosyjskie zuchy! – powtarzał przerywanym przez czkawkę głosem.

Kłaniając się w pas, tancerze wynieśli się z sali.

Bankiet z wolna zamieniał się w pijacką orgię. Damy rosyjskie pożegnały się i wyszły, pozostały tylko Paula i Nina. Oficerowie próbowali śpiewać, ale jakoś im to nie wychodziło. Raczone się więc pieprznymi dowcipami, z których hrabina głośno się śmiała. Nina, czerwona ze wstydu, nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić i miała ochotę wejść pod stół. W końcu zaczęła udawać, że jest głucha.

Nagle Wielenin podniósł się z miejsca i gniewnie rozejrzał po sali.

– Panowie, proszę nie zapominać, że między nami są damy! – zawołał, przekrzykując piekielny hałas.

Jego uwaga trafiła generałowi do przekonania. Rąbnął pięścią w stół i ściągnął brwi, mierząc biesiadników groźnym spojrzeniem.

– Słusznie! Jeszcze jeden dumny dowcip, a żartowniś posiedzi tydzień w areszcie domowym!

Nawet bardzo pijani zrozumieli, że nie należy lekceważyć ostrzeżenia dowódcy. Paula była już nietrzeźwa, a w jej oczach czaiło się coś niepokojącego.

– Wypij szampana! – rozkazała, podsuwając Ninie kieliszek.

– Nie chcę. Wracajmy do hotelu, proszę – szepnęła błagalnie.

Była bardzo blada i oddychała z trudem. Obawiała się, że może zemdleć i upaść między tych pijanych mężczyzn, a wtedy stanie się coś strasznego.

– Do hotelu? Jeszcze mamy czas, jest wcześnie. – Paula głośno czknęła i roześmiała się, zauważywszy u Niny wyraz wstrętu. – Ach ty, łabędzico, nie podoba ci się nasze towarzystwo? Nie szkodzi, przyzwyczaisz się.

– Pani może tu zostać. Ja zaraz odeślę powóz, a nawet pójdę do hotelu piechotą. – Nina chciała wstać, lecz hrabina pochwyciła ją za rękę, wpijając paznokcie w jej ciało.

– Nigdzie nie pójdziesz! – wysyczała.

– Panno Nino... – Woroncow pochylił się tak blisko, że poczuła na twarzy jego przesycony alkoholem oddech. – Może jednak da się pani namówić na odrobinę wina? Wygląda pani blado.

– Mówiłam, że nie czuję się dobrze. Tu jest duszno – powiedziała szorstko.

Zrobił współczującą minę, wziął jej wachlarz i zaczął troskliwie ją wachlować. Z pasją wydarła mu wachlarz z ręki.

– Proszę się zająć panią hrabiną, ja sobie poradzę! – warknęła i mimo woli poszukała wzrokiem Wielenina.

Wydał się jej zmieniony. On także nie pił i patrzył gdzieś przed siebie, a jego szafirowe oczy pociemniały i zdawały się aż czarne.

– Mam ochotę zatańczyć! – oznajmiła głośno Paula, patrząc wprost na niego.

– Panowie oficerowie, dama chce tańczyć! – wykrzyknął rozochocony generał. Był już pod dobrą datą i spoglądał na nią coraz czulej. – Och, żeby nie ta moja podagra – westchnął z żalem.

– Pani hrabina pozwoli – wyrwał się młodziutki huzar, składając Pauli ukłon.

Uniosła głowę i zmierzyła chłopca ciężkim spojrzeniem, wydymając pogardliwie wargi.

– Czekaj, no, *malczik*<sup>24</sup>! – Odsunęła go od siebie. – Ja chcę tańczyć z majorem. No, Serge, ja proszę.

Wielenin podniósł się z krzesła, a Nina wstrzymała oddech i zacisnęła pięści, czekając na jego odpowiedź. Za nic nie chciała, żeby tańczył z tą nietrzeźwą wulgarną kobietą i tulił ją do siebie. Lecz on zamiast objąć ramieniem talię hrabiny złożył jej tylko ukłon.

– Pani raczy darować, jestem zmęczony po wyścigu – powiedział chłodno. – Nie byłbym odpowiednim partnerem dla takiej tancerki.

– Nie cierpię pana! – wybuchła zawiedziona i z nadąsaną miną przyjęła ramię huzara.

Była pijana, ale mocno trzymała się na nogach i tańczyła lekko, posyłając Uszakowowi obiecujące spojrzenia. Generał wodził za nią oczami, przytupując do taktu. Woroncow również wstał i skłonił się Ninie.

– Może tym razem będę miał więcej szczęścia u pani. Proszę choć o jedną turę walca.

– Pan wybaczy, źle się czuję i pragnę wrócić do hotelu.

– Ależ odwiozę panią zaraz, gdy tylko skończy się taniec – obiecał, udając, że nie widzi udręki malującej się na jej twarzy.

– Czy pozwoli pani pomóc sobie? – Usłyszała znajomy głos, a mocna ręka pomogła jej podnieść się z krzesła.

Obok w pozie pełnej szacunku stał Wielenin. Patrzył na nią z powagą, wyciągając ku niej ramię. Bez namysłu wsparła się na nim, kierując się do wyjścia. Nikt nie zwrócił na to uwagi, bo mężczyźni byli tak pijani, że coraz to któryś zrywał się i pośpiesznie znikał z sali, trzymając przy ustach chusteczkę, aby na uboczu opróżnić żołądek. Jednak w sieni dogonił ich zdenerwowany Woroncow.

– Panno Nino! – zawołał zmienionym głosem. – Zechce pani jeszcze moment poczekać. Hrabina kończy taniec, a ja rękę honorem, że natychmiast odwiezę obie panie do hotelu. Nie wypada tak nas opuszczać. Pan generał może się poczuć urażony.

Wielenin przystanął i zmierzył go zimnym wzrokiem.

– O tym zdecyduje pani. Czy mamy wrócić do sali? – spytał Ninę.

– Nie! Proszę mnie odwieźć do hotelu! Błagam! – zawołała, zaciskając palce na jego ramieniu.

Był jej ostatnią deską ratunku, bo nie wierzyła, że Woroncow dotrzyma słowa. Zresztą on i Paula budzili w niej jednakowy strach i wstręt.

– Pan pułkownik słyszał? – Wielenin się odwrócił i poprowadził Ninę ku drzwiom.

– Ostrzegam pana! – wybuchnął Woroncow, zastępując im drogę. – Generał wyciągnie wobec pana odpowiednie konsekwencje. Postaram się o to!

– To mój problem, nie pański. Żegnam.

Pułkownik stracił panowanie nad sobą. Postąpił krok ku niemu i rzekł po rosyjsku przez zaciśnięte zęby:

– Pan mi wchodzi w drogę!

Na szczękach Wielenina napięły się mięśnie i aż pobladł z wściekłości.

– Proszę się odsunąć, chcemy wyjść – powiedział cicho, ale tak groźnie, że Woroncow się cofnął.

– Polecam się łaskawej pamięci pani. – Skłonił się Ninie, a zwróciwszy się do majora, dorzucił z pogroźką po rosyjsku: – A my, panie Wielenin, jutro dokończymy naszą rozmowę.

– Z całą przyjemnością będę panu służył. – Wielenin obojętnie wzruszył ramionami.

Nina była tak roztrzęsiona, że prawie nie zwróciła uwagi na tę krótką wymianę zdań pomiędzy mężczyznami. Zresztą nie rozumiała dobrze języka rosyjskiego.

Powóz czekał przed bramą. Wielenin pomógł jej wsiąść, a potem sam wskoczył, zajmując miejsce na przedniej kanapce, z dala od niej. Konie ruszyły kłusem, a Stach, minąwszy szlaban, przeżegnał się, jakby odpędzał diabła. Nina oddychała pełną piersią, oczyszczając płuca z alkoholowych oparów. Odchyliwszy w tył głowę, wpatrywała się w czysty granat usianego gwiazdami nieba.

Było już późno i miasto spało. W całkowitym milczeniu dojechali do hotelu.

– Wybawił mnie pan z okropnej sytuacji – powiedziała na pożegnanie z najgłębszą wdzięcznością, podając mu rękę. – Nigdy nie zapomnę panu tej przysługi.

Złożył na jej dłoni lekki pocałunek.

– Z całym szacunkiem ośmielam się prosić panią, aby unikała pani towarzystwa pana pułkownika Woroncewa. Jego osoba kompromituje kobiety.

W jednej chwili zrozumiała, co miał na myśli. Posądził ją, że umówiła się z pułkownikiem na wyścigach i przyjmowała jego zaloty.

– Ależ pan jest w błędzie! – zawołała przejęta. – Pana Woroncewa widzę po raz drugi w życiu. Ja go nie cierpię! Hrabina przywiozła mnie do Radomia pod pretekstem zakupów i przygotowała dla mnie niespodziankę w osobie pułkownika. Wybawił mnie pan naprawdę z rozpaczliwej i nieznośnej dla mnie sytuacji.

Wielenin się rozpromienił i pochwycawszy obie jej ręce, pokrył je namiętymi pocałunkami.

– *Grand Dieu*<sup>25</sup> – wyszeptał. – A ja myślałem... najmocniej panią przepraszam. Pani jest aniołem, ale błagam, dla pani dobra proszę również wystrzegać się hrabiny.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, zsalutował i zniknął w głębi ulicy.

– Jaśnie panienko, czy mam wrócić po panią hrabinę? – odezwał się Stach.

– Nie. Pewnie jesteście zmęczony i powinniście odpocząć. Niech pani hrabina wraca piechotą – oświadczyła z zawziętością.

– A pewnie. Ona nie powinna wozić panienki po moskiewskich koszarach. Jakby do wilków owieczkę prowadzić – mruknął.

Należało go zganić za tę zuchwałą uwagę, ale Nina nie mogła się na to zdobyć, czując do Pauli pogardę i nienawiść, tak jak stary stangret.

– Proszę o tym nikomu nie wspominać, bo pan hrabia mógłby się zmartwić – ostrzegła.

– Wiem. Przecież nie dziecko! – odburknął. – Słodki Jezu, po co mu taka baba.

Nie skomentowała tej gorzkiej wypowiedzi i zamyślona weszła do swojego pokoju, zamykając drzwi na klucz. Nie rozbierając się, usiadła przy oknie, pragnąc odetchnąć i odzyskać spokój po przykrych przeżyciach.

\*\*\*

87 fr. dosł. widelcem; przyjęcie, w czasie którego potrawy spożywane są na stojąco

88 Maryna Mniszchówna (1588–1614) – córka Jerzego Mniszcha, wojewody sandomierskiego, w roku 1608 poślubiła Dymitra II Samozwańca, pretendenta do tronu Rosji podającego się za zamordowanego carewicza, syna Iwana Groźnego. Zmarła w więzieniu.

89 Stanisław Żółkiewski (1547–1620) – hetman wielki koronny. W 1610 roku pokonał Rosjan pod Kłuszynem, zajął Moskwę; zwolennik obioru królewicza Władysława Wazy na tron rosyjski. Poległ pod Cecorą w bitwie z Turkami w 1620 roku.

90 fr. klejnot

91 fr. Psia krew!

92 fr. Co, u licha?

93 fr. Przejdźmy dalej.

94 ros. chłopiec

95 fr. Wielki Boże

Paula powróciła dopiero nad ranem i to nie sama. Przez cienką ścianę Nina słyszała podniesione głosy. Nie wiedziała, kto ją odprowadził, i była tego bardzo ciekawa. Do jej uszu dochodził piskliwy dyszkant Pauli i niski męski głos. Niestety, nie rozumiała, o czym była mowa, gdyż rozmawiali po rosyjsku. Potem kłótnia ucichła, a w ciszy nocnej rozległ się zmysłowy śmiech Pauli. Głośno zaskrzypiało łóżko, a hrabina wydała stłumiony jęk.

Nina pomyślała, że pewnie Paula się przejadła i pochorowała z przepicia. Ale choćby hrabina wyzionęła przy niej ducha, ona nie ruszyłaby nawet małym palcem. Nienawidziła Pauli! „Jakiż ten wuj Aleks jest zaślepiony – dumiała rozgoryczona i pełna żalu. – Oddał siebie, majątek i tytuł kobiecie o mentalności ulicznicy. Przecież musi wiedzieć, że ona go zdradza, a jednak kocha ją. Boże, jakby mnie tak kochał, nie spojrziałabym na innego mężczyznę!”.

Zastanawiała się, czy powiadomić hrabiego o libacji w kasynie, lecz po namyśle uznała, że lepiej będzie sprawę przemilczeć. Może wuj oburzyłby się, że wtrąca się w sprawy, które nie powinny jej interesować, i obmawia jego żonę. Lepiej będzie nie wspominać o tym wcale. Ale myśląc o swojej przyszłości, czuła niepokój.

O świcie otwały się drzwi numeru hrabiny i ktoś stamtąd wyszedł, starając się nie czynić hałasu. Nina szybko wyjrzała przez okno. Powstrzymała głośny okrzyk, zobaczywszy przez cienką firankę wychodzącego z hotelu Woroncewa. Zatrzymał się, obciągnął na sobie mundur, poprawił szablę i zapalił papierosa. Ziewając głośno, poszedł w stronę koszar. Ten widok tak ją zdenerwował, że nie kładąc się już, sama spakowała swoje rzeczy i nie przejmując się, że Paula niedawno zasnęła, kazała pokojówce natychmiast ją obudzić. Dziewczyna tak długo dobijała się do drzwi, aż hrabina, zła i niewyspana, zerwała się z łóżka.

W powozie siedziały jak dwie niemowy, nawet na siebie nie patrząc. Paula miała twarz szarą i podkrążone oczy, co znacznie ją postarzało. Nina strzegła się, by nie dotknąć jej nawet rąbkiem sukni. Sam widok zgaszonej przepitej kobiety był już dostatecznie odrażający. Wstydziła się, że siedziała obok niej w powozie. Na złość hrabinie włożyła czarną suknię, a twarz przesłoniła gęstą woalką.

W całkowitym milczeniu dojechały do Bodzentyna. Kiedy na horyzoncie ukazała się wyniosła wieżyca kolegiaty Oleśnickich, a potem domki malowniczego miasteczka, Paula poruszyła się i podniosła głowę.



Spojrzenie, którym obrzuciła Ninę, było bez wyrazu, szklane jak wzrok lalki.

– Powiesz Saszy o bankiecie? – odezwała się ochryłym niemiłym głosem.

– Zastanowię się. – Nina nie raczyła spojrzeć w jej stronę. Pewna była, że hrabina miała potwornego kaca, i bynajmniej jej nie współczuła.

– O, nie zrobisz tego. Nie powiesz Saszy o wyścigach i o tym, co się działo w kasynie. Oczywiście nie z sympatii do mnie. Pojmujesz, że świadomość, iż jego szanowna małżonka i niewinna siostrzenica spędziły wieczór wśród nietrzeźwych mężczyzn, wpędziłaby go do grobu? Istny błędny rycerz! Nie przyjmuje do wiadomości, że honor jest dziś pojęciem względnym i dawno się zdewaluował. Ale ty masz sporo zdrowego rozsądku i nie zechcesz pozbawić ukochanego wuja słodkich złudzeń.

– To się okaże. – Ironiczna pochwała tej kobiety była dla niej policzkiem i gniewnie zacisnęła usta. – Jeśli zachowam w tej sprawie dyskrecję, to jedynie dlatego, iż wstydzę się scen, których wczoraj byłam świadkiem. Pochodzę z rodu, którego członkowie byli dostojnikami Kościoła i mężami stanu. Dla mnie honor nie jest pojęciem zdewaluowanym.

Paula zwróciła na nią czarne przepastne oczy i naraz parsknęła drwiącym śmiechem.

– Nie udawaj niewiniątka. Skompromitowałaś się na raucie. Najpierw siedziałaś sztywno jak mumia, a potem nawiałaś z tym romantycznym majorem. Generał jest człowiekiem pobłażliwym, lecz twoim postępkom był wyraźnie zgorszony. Pan major Wielenin może mieć z twojej winy bardzo przykrą rozmowę z dowódcą. Czy mam powiadomić Saszę, że w sekrecie romansujesz z majorem?

„Och, powinnam ją spoliczkować lub napluć jej w twarz!”. – Nina zacisnęła pięści, lecz zdawała sobie sprawę, że wybuchem gniewu nie wygra z tą przebiegłą, zepsutą kobietą.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedziała uprzejmie.

– Co? Chcesz, żebym mu o tym powiedziała? – Paula spodziewała się raczej płaczu i próśb niż tej zimnej, drwiącej grzeczności. Ta dziewczyna zawsze ją czymś zaskakiwała.

– Oczywiście, bo wtedy będę miała okazję, żeby powiadomić wuja, iż wywabiła mnie pani z domu po to, by zaaranżować moje spotkanie z pułkownikiem Woroncowem. Zmusiła mnie pani do uczestniczenia w

ohydnej pijackiej orgii. No, nie wiem, czy wuj Aleks będzie tym faktem zachwycony.

Paula za późno doszła do wniosku, że zabrnęła stanowczo za daleko. Postanowiła więc sprawę załagodzić.

– Nino, jesteś niesprawiedliwa. Przecież ja miałam jak najlepsze intencje i szczerze pragnę twego szczęścia. Nie wyobrażasz sobie, ile panien z najlepszych rodzin zastawia na hrabiego Woroncewa sidła. Weszłabyś do starej rosyjskiej arystokracji. Czy wiesz, że podobno prababka hrabiego była metresą cara Piotra III? Być może pan pułkownik ma w żyłach krew Romanowów!

– Winszuję pokrewieństwa. – Nina skrzywiła się ironicznie, udając, że bierze słowa hrabiny za dobrą monetę. – Twierdzi pani, że pan Woroncew zamierza starać się o moją rękę?

– Jak najformalniej – zapewniła ją Paula z powagą.

– Ale ja nie mam posagu – zauważyła Nina podstępnie. Temat był śliski, ale była ciekawa, jak daleko hrabina odważy się posunąć.

– O, Płaton Mikołajewicz nie jest materialistą. Posiada znaczny majątek, a jego uczucia są zupełnie bezinteresowne. – Paula zamilkła, a po chwili dokończyła z rozbijającą szczerością: – Przecież ty wcale nie jesteś biedna. Kiedyś odziedziczysz Maków i połowę majątku Saszy.

„Ach, tu cię mam!” – pomyślała Nina z tryumfem.

– Ja na to nie liczę – oświadczyła skromnie. – Wuj Aleks jest młody i może mieć potomstwo.

– Ze mną dzieci mieć nie będzie, a nieślubne nie mają żadnych praw do spadku. No, zastanów się tylko... Małżeństwo z panem pułkownikiem przyniosłoby korzyść nawet Saszy, bo Płaton, będąc twoim mężem, pomógłby mu w prowadzeniu spraw majątkowych. Jest bardzo ustosunkowany na dworze. Nie zrażaj go do siebie. Wczoraj byłaś dla niego bardzo niemiła. Chciałam ci nawet poradzić, żebyś z hotelu wysłała do niego bilecik z kilkoma uprzejmymi słowami. Tak na przeprosiny.

Nina spojrzała na nią ze słodkim uśmiechem.

– Młodej panie nie wypada pisać do mężczyzny, powinna pani o tym wiedzieć. Zresztą nie odważyłabym się zakłócać panu pułkownikowi zasłużonego odpoczynku. Biedak nie wyspał się tej nocy... – Posłała hrabinie wymowne spojrzenie.

Paula tak się zmieszala, że upuściła torebkę i schyliła się po nią, aby ukryć mocny rumieniec.

– Nieśluszenie próbujesz być uszczypliwa. Owszem, pan Woroncow odwiózł mnie do hotelu, bo ty zabrałaś powóz. Rozmawialiśmy długo o tobie i bardzo mu współczułam, widząc, jaki jest zmartwiony. Wiesz, mam znakomity pomysł! Zaproszę hrabiego do Makowa, a wtedy lepiej się poznacie. Och, Nino, czeka cię wspaniała przyszłość!

– Nie zamierzam na razie wychodzić za mąż, a zwłaszcza za pana Woroncowa – rzekła, przerażona perspektywą ponownego spotkania pułkownika.

– Ach, co ty pleciesz?! Nie jesteś jeszcze pełnoletnia i to twój opiekun zadecyduje o twoim mariażu. Radzę ci, nie sprzeciwiaj się, inaczej będę musiała opowiedzieć Saszy, że uciekłaś z panem Wieleninem spod mojej opieki, bo z nim potajemnie romansujesz. – Paula wyobraziła sobie, że tym szantażem jednak wymusi na Ninie uległość, ale znowu spotkał ją przykry zawód.

– Doskonale! A ja powiem wujowi, że pan Wielenin musiał mnie wyprowadzić z tej orgii, bo pani była do tego stopnia pijana, iż trudno pani było podnieść się z krzesła. Do hotelu musiał panią odprowadzić pan hrabia Woroncow. Dosyć długo w pokoju rozmawialiście, niekoniecznie chyba o mnie. – Zaśmiała się złośliwie.

Sytuacja była patowa. Paula zrozumiała, że nie wolno jej popełnić następnego błędu. Siedziała więc nadąsana, przygryzając wargę.

– Przepraszam – odezwała się cicho po dłuższej chwili. – Oczywiście ja tylko żartowałam. Zachowam dyskrecję przez sympatię do ciebie...

Nina uniosła z twarzy woalkę i popatrzyła na nią z nieukrywaną ironią. Paula spuściła oczy i udała, że przypatruje się mijanej wiosce.

Do Makowa przyjechały wieczorem. Hrabia jeszcze nie wrócił z podróży z Warszawy i w domu oczekiwano na niego.

\*\*\*

Przez szeroko otwarte drzwi balkonowe i okna do buduaru wpadło upalne powietrze, przesycone zapachem więdnących traw i przepyszny aromatem jesiennych róż. Nina, siedząca przy sekretarzyku, zmęczona sprawdzaniem rachunków, uniosła głowę i wpatrywała się w błękit nieba, po którym sunął samotny kremowy obłok. Po gładkiej tafli stawu pływały łabędzie. Nina się zamyśliła, ściągając gniewnie brwi.

Poprzedniego dnia wuj Aleks oznajmił jej, iż lada dzień spodziewa się przyjazdu z Warszawy swojej ciotki, pani hrabiny Tekli Klonowieckiej. Ta nowina zaniepokoiła Ninę. Pamięć o ciotce Borutyńskiej usposobiła ją

nieufnie do wszystkich starszych dam. Obawiała się, że być może pani Tekla zechce wtrącać się do jej rządów i już z góry była zazdrosna o władzę. Jednakże musiała przyznać, że wuj Aleks okazał szczególną delikatność i takt, sprowadzając do Makowa starszą i ogólnie szanowaną damę. Tym samym chronił Ninę przed plotkami i pomówieniami. O hrabinie Klonowieckiej Nina często słyszała od wojewodziny. Obie te panie przyjaźniły się od młodych lat. Wojewodzina nazywała panią Teklę aniołem dobroci i zapewniała, że jest to osoba o złotym sercu. Ale Nina nie bardzo w to wierzyła, ponieważ sama pani wojewodzina znana była z cholerycznego charakteru, stanowiąc postrach sąsiadów. Paula milcząco podzielała jej obiekcje, ponieważ nie cierpiała starszej pani.

Odsunąwszy księgę rachunkową, Nina raz jeszcze przeczytała głośno menu ustalone z panem Szymonem na jutrzejszy bankiet.

– Zupa owocowa z piankami i ptysiowym groszkiem. Dobrze, w sam raz na taki upał... Vol-au-vent z kury. Pyszne! Pan Szymon znakomicie je przyrządza. Połędwica à la Colbert, Boeuf à la mode. Owszem, dosyć smaczne. Raki à la Bordelaise, ziemniaki po polsku. Zgoda! Kwiczoły, kuropatwy z różną z farszem. Niech będzie. Szynka z dzika, jesiotr pieczony w sosie z szampionek<sup>96</sup>, szczupak w galarecie, szparagi i gęś w pomarańczach, potem zakąski, ostrygi, homary, kawior, majonezy, a na deser tort hiszpański, owoce i babka z lodów z koniakiem. Hm! – Podparła się na dłoni, zastanawiając się głęboko. – Czegoś tu brakuje. A może jeszcze...

Pochyliła się nad kartką i cieniutkim ołóweczkiem dopisała kilka potraw. Potem wstała i energicznie pociągnęła taśmę dzwonka, niecierpliwie oczekując zjawienia się lokaja. Znajome człapanie zatrzymało się przed drzwiami i rozległo się pukanie.

– Proszę. – Nina lekko uderzyła o posadzkę porannym aksamitnym pantofelkiem. – Nianiu, dzwoniłam na Pawła.

Jaga odsapnęła i otarła pot z czoła. Z jej miny Nina domyśliła się, że czeka ją upomnienie.

– Kochanie – uprzedziła ją – chciałam, żeby Paweł zawołał do mnie pana kuchmistrza.

– Zostaw lepiej pana Szymona w spokoju. – Niania ciężko usiadła w fotelu i westchnęła, wachlując się chusteczką. – Biedak uwija się jak w ukropie, a tyle jeszcze pozostało do zrobienia. Ufff, upał jak w lipcu. Chyba się roztopię. A czego, moje kociątko, chciało od pana Szymona?

– Zobacz sama. – Nina podała jej kartkę z menu. – Ten obiad jest moim popisem. Dowodem na to, że potrafię urządzić wielkie przyjęcie. Jednak moim zdaniem menu jest nieco za skromne. Niechże się coś nie uda, a już ciotuczna Maria, wojewodzina, ta plotkara Jabłocka i piekielna Dorotka nie zostawią na mnie suchej nitki. Konieczna jest druga zupa. Może być *julienne*<sup>97</sup>. Goście muszą mieć wybór. W menu brakuje pasztetów. Na przykład pasztet z gęsich wątróbek. Muszą być rydze, bo mamy jesień. Dla pana hrabiego trzeba przygotować potrawkę z borowikami, bo on ją uwielbia. Więcej jarzyn, podamy kalafior, brukselkę z masłem i pomidory faszerowane mięsem. Na deser krem czekoladowy i konfitury Kumosi. Ogrodnikom udały się ananasy, podamy je z alkoholem.

– Co, aż tyle nowych potraw?! – zawołała Jaga z przerażeniem. – Biedny pan Szymon utopi się w stawie.

– Każę go wyłowić i zapędzę do garnków. – Nina się roześmiała.

Jaga, przyzwyczajona w Sarnikach do oszczędności, była zgorszona. Odetchnęła, podniosła się z miejsca i poczłapała ku drzwiom, ocierając czerwoną i zgrzaną twarz.

– Czego to się zachciewa tej rozrzutnicy – mruzczała pod nosem.

– Nianiu, nie powinnaś się przemęczać – powiedziała Nina. – Twoje zdrowie jest dla mnie ważniejsze od bankietu. Połóż się, odpocznij.

Wiedziała jednak, że Jaga, zazdrosna o nią, woli sama odbierać polecenia, choćby miała biegać po schodach co kilka minut. „Mój słodki uparciuch!” – pomyślała czule, siadając przy sekretarzyku. Z szufladki wyjęła otrzymany poprzedniego dnia list od Bini. Nie zdążyła go przeczytać w całości, bo wróciwszy późno z Ciężyn od Zosi, czuła się tak zmęczona i śpiąca, iż lekturę odłożyła do jutra. Wraz z upływem godzin w buduarce robiło się coraz duszniej. Odpięła kilka guziczków stanika sukni. W końcu skusiła ją wygodna berżerka zarzucona miękkimi poduszkami. Wyciągnęła się na niej, zagłębiając się w lekturze kilku stroniczek listu, zapisanych drobnym pismem Bini.

*Moja Ty najukochańsza Siostrzyczko!*

*Wczoraj przyjechaliśmy do Wenecji koleją żelazną i zamiast do hotelu udaliśmy się niedaleko mostu Rialto, do pałacu wynajętego przez Edwarda. Miła moja, nigdy nie marzyłam, że stanę się mieszkanką pałacu po jakimś weneckim doży. Ale przyznam się szczerze, że wolalabym zatrzymać się w przyzwoitym hotelu. Broń Boże, nie przewróciło mi się w głowie od tych luksusów. Po prostu w hotelu usługa jest na zawołanie, a pokoje jasne,*

czyste i z wygodami. Tymczasem w pałacu, gdzie służbę wynajmuje się razem z meblami, dowołać się nikogo nie można. Pokoje – a raczej ogromne sale – zimne, ciemne i wilgotne, niczym lochy Świętej Inkwizycji, która miała w tym mieście piękne pole do popisu. Światła mało, może dlatego, żeby goście nie dopatrzyli się odwiecznego brudu i robactwa gnieźdzącego się pod obiciami.

Z okna mej sypialni patrzę na mętne wody Canale Grande. On również nie wydaje się tak romantyczny, jak to sobie wyobrażałyśmy. A to ze względu na osobliwy zapaszek ulatujący z wody, do której mieszkańcy wyrzucają śmieci i wylewają wszelkie nieczystości. Mój balkon wznosi się nad wodą, zmuszona więc jestem nieustannie trzymać pod nosem perfumowaną chusteczkę.

Wczoraj mieliśmy mnóstwo kłopotów z zagospodarowaniem się w pałacu. Dziś oznajmiłam Edwardowi, że źle się czuję i pozostałam w łóżku. Do rodziców wysłałam wiadomość z Berlina. Z pewnością obrazili się na mnie, bo napisałam im tylko kartę pocztową. A niech tam! Przed powrotem do domu Wenecja jest ostatnim miastem w naszej podróży poślubnej. Mieliśmy jeszcze zwiedzić Szwajcarię, lecz z powodu, o którym napiszę potem, wracamy prosto do Świerszczyn.

Przed Wenecją byliśmy w Weronie. Stojąc pod balkonem Capulettich, mój małżonek zaczął deklamować podniosłym tonem: „Niebo jest tam, gdzie mieszka Julia...” – a ja nie wytrzymałam i parsknęłam śmiechem, patrząc na jego czerwoną i spoconą fizjonomię. Romeo od siedmiu boleści poczuł się urażony moim śmiechem.

Za to w Paryżu było cudownie! Ach, kochanie moje, żebyś tam mogła być razem ze mną! Jestem tym miastem oczarowana! Miałam szczęście widzieć na własne oczy cesarza Napoleona III. Na koniu wygląda majestatycznie i wcale nie widać, że ma krótkie nogi i jest niski. Za to cesarzowa Eugenia jest piękna jak bogini, a jej dwór przypomina Olimp! Co za stroje, jakie fryzury! Byliśmy na balu w pałacu hrabiego Aleksandra Walewskiego, syna Napoleona I i szambelanowej Marii Walewskiej. Jest bardzo podobny do swego wielkiego ojca. Sprawuje stanowisko ministra spraw zagranicznych, a przyjęcia w jego domu należą do najwykwintniejszych w Paryżu. To naprawdę wielki świat, o którym nie mamy nawet pojęcia. Aktualną metresą pana hrabiego jest słynna aktorka dramatyczna – Rachel. Francuzi noszą ją na rękach, mimo iż pochodzi z rodziny bardzo ubogich Żydów rosyjskich. Przedstawienia w Operze Paryskiej nie mają sobie równych na świecie. W wyłaczanych lożach siedzą damy z najwyższej arystokracji i najbogatszej

burżuazji, w toaletach i klejnotach niedościgłych smakiem i elegancją. Wielkie bale w Tuileries gromadzą największe piękności Europy. Na Polach Marsowych odbywają się świetne parady wojskowe, zaś młodzi oficerowie kawalerii są zabójczo przystojni.

Byliśmy z Edwardem na operetce pana Jakuba Offenbacha „Piękna Helena”<sup>98</sup>. Jej treść jest mocno nieprzyzwoita. Wyobraź sobie tylko, że aktorka grająca rolę Heleny obnażyła się na scenie i pokazała piersi! Myślałam, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu, lecz panowie byli zachwyceni i bili brawo, wołając o bis! Matka by mnie przeklęła, gdyby dowiedziała się o tym.

Okazało się, że moje toalety są już tutaj „passe”, więc zaraz poczyniłam zakupy. Dla Ciebie mam śliczną bluzeczkę z koronek Chantilly, komplet wytwornej bielizny i perfumy, jakich u nas nie ma. Wydaje mi się, że nawet młodej panie odrobina neglizżu nie zaszkodzi. Paczkę wyślę Ci z Wenecji.

Rzym powitał nas deszczem i chłodem, ale i tak byłam pod wrażeniem jego wielkości i dawnej chwały. Byliśmy na audiencji u papieża, która mi się nie podobała, bo była pompatyczna i przypominała teatr. Kiedy się wypogodziło, poszliśmy na Palatyn. Pomiędzy marmurowymi kolumnami na Forum Romanum pasą się kozy. „Sic transit gloria mundi!”<sup>99</sup>.

Mam dla Ciebie kawałek marmuru z Domus Aurea Nerona, kamyk z Via Appia<sup>100</sup>, a trzeci z Koloseum. Wybraliśmy się tam z Edwardem nocą. Świecił księżyc i było ogromnie romantycznie. Marzyłam, że jesteś ze mną i razem oglądamy cuda starożytności. Przysiadłam sobie na środku areny i już miałam puścić wodze fantazji, gdy wtem Edward, który przeziębził się w pociągu, zaczął kichać jak z armaty i przebudził koty gnieźdzące się tysiącami w ruinach Koloseum. Zaczęły miauczeć i darty się tak przeraźliwie, jak u nas w marcu. Uciekłam stamtąd, bliska płaczu. Ach, ten mój mąż! Poszedł dziś nająć dla nas na jutro gondolę, bo zamierzamy płynąć na Lido i do Murano, by obejrzeć precudne szkła weneckie.

Wiem, że jesteś bardzo ciekawa, jak ułożyło się moje pożycie małżeńskie. Cóż, on jest dla mnie dobry, nawet troskliwy, ale ja nie umiem udawać miłości. Każde zbliżenie wywołuje u mnie odruch przerażenia i odrazę. Nie rozumiem, dlaczego ludzie nazywają miesiące po ślubie miodowymi. Dla mnie mają posmak piołunu! Edward jest domatorem i zamierza wieść życie bez wstrząsów. W Świerszczynach jest ładnie i szybko się tam zadomowiłam. Tak czekałam na tę podróż poślubną, a teraz już tęsknię ogromnie za krajem



*i domem, za ciepłem polskiego pieca, bo oślawione kominki w krajach południowych nie dają ciepła, a gdy dzień jest chłodny, drżę z zimna.*

*Dobrze, że mąż zabrał ze Świerszczyn pocziwą Burasię, starą ochmistrzynię, bo ostatnio czułam się bardzo źle i nie wiedziałam, co mi dolega. Dopiero Burasia, wypytawszy mnie o objawy, oznajmiła, że spodziewam się dziecka. Lekarz to potwierdził. Jeśli Bóg pozwoli, za siedem miesięcy dam życie synkowi lub córeczce. Edward szaleje z radości...*

Nina wydała głośny pisk i przerwawszy czytanie, zadzwoniła. Tym razem przyszedł Paweł.

– Niech Paweł poprosi do mnie panią Jagę – rozkazała lokajowi, a po jego wyjściu zaczęła spacerować po pokoju, nie mogąc doczekać się niani.

„Mój Boże, Binia zostanie matką! – myślała ze zdumieniem i odrobiną żalu. – Narodziny dziecka zupełnie zmienią życie Bini. Stanie się poważną matroną, a wesoła, roztrzepana panienska, lubiąca figle i flirty, odejdzie w przeszłość na zawsze”.

Nina nie przepadała za dziećmi. Były krzykliwe, psotne i wszędzie robiły nieporządek. Ochłonęła na widok wchodzącej Jagi, której mina nie wróżyła nic dobrego. Śpiesznie podała niani list od Bini.

– Powiem ci nowinę! – zawołała z przymilnym uśmiechem. – Binia spodziewa się dziecka, wyobraź sobie tylko! No, sama musisz przyznać, że warto było się tu pofatygować.

Była taka podekscytowana, że Jaga nie miała serca, żeby ją zbesztać za zawracanie głowy. Zresztą ona również ucieszyła się tą nowiną, bo kochała i Binię.

– Pierwsze dziecko – szepnęła wzruszona. – Mój Jezu, to państwo Borutyńscy będą uszczęśliwieni. Byleby tylko rozwiązanie odbyło się pomyślnie.

– To może coś jej grozić? – zaniepokoiła się Nina. – Ach nie, na pewno wszystko będzie dobrze. Chociaż ja, doprawdy, nie rozumiem, dlaczego ona zawsze chciała mieć dzieci. Nianiu, powiedz, skąd panie wiedzą, że są przy nadziei.

Jaga posłała jej lodowate ostrzegawcze spojrzenie.

– Panny nie powinny się interesować sprawami mężatek. Wstyd mi za ciebie.

– Tere-fere! – prychnęła Nina z lekceważeniem. – Dlaczego zaraz wstyd? Kobieta powinna wiedzieć, jak ma się ustrzec ciąży!



Jaga skamieniała, a gdy odzyskała zdolność artykulacji, rozgniewała się zupełnie na serio.

– Milcz! – Tupnęła. – Jeszcze nie jesteś taka dorosła, żebym nie mogła przetrzepać ci pupy trzepaczką! Zachowujesz się niemożliwie! Co się z tobą dzieje?

Nina bezradnie wzruszyła ramionami i usiadła na berzerce, podwijając pod siebie nogę.

– Nie siedź w ten sposób, bo się zaczniesz garbić! – strofowała ją Jaga. – Matko Boska, jakie to rozwydrzone dziewczynisko. Już zapomniałaś, czego cię uczyłam? Mieszkasz w pałacu, a zachowujesz się jak prostaczka! Panna z dobrego domu nie myśli i nie mówi o rzeczach nieskromnych. Po domu chodzi na paluszkach, nie odzywa się niepytana i nie przerywa starszym. Tymczasem ty biegasz po domu galopem, wrzeszczysz jak dzikus i zadajesz się z parobkami ze stajni. Wczoraj znowu sprzeczałaś się z panem hrabią. Przemądrzała smarkula! Wszystkie rozumy pojadłaś? Znasz się na polityce lepiej od twojego dobrodzieja i opiekuna? Fe, z pewnością zostaniesz starą panną, bo kto zechce się ożenić z taką upartą oślicą? Chyba jakiś ekonom albo karbowy.

– Najmilsza, nie bądź piłą! – Uśmiechnęła się, bynajmniej nieprzejęta ponurymi przepowiedniami Jagi.

– Nie przerywaj, kiedy do ciebie mówię! – ponownie surowo zgañła Ninę. – I proszę, nie wypytuj mnie o żadne sekrety małżeńskie, bo z woli Bożej jestem jeszcze niezamężna.

Nina zdębiała i patrzyła na nią z otwartą buzią.

– No właśnie! – zakończyła Jaga płaczkliwym tonem i wyszła, trzasnąwszy drzwiami. Na korytarzu oparła się o ścianę i parsknęła stłumionym śmiechem, zakrywając dłonią usta.

– Nie to nie! – bąknęła obrażona Nina. – W bibliotece z pewnością znajdę coś odpowiedniego na ten temat. Ja jestem nieskromna? A co by powiedziała niania, widząc Paulę pijaną i czkającą jak stary fornal?

Ponownie zabrała się do czytania listu, postanawiając zaraz po obiedzie pojechać do Ciężyn i podzielić się z Zosią nowinami.

Po wyjeździe Bini ich wzajemna przyjaźń jeszcze się zacieśniła. Zosia była dziewczyną pełną radości życia, pozbawioną obłudy, o wielkim uroku osobistym. Lubiły ją nawet matki brzydkich córek! Po Ninie była najpiękniejszą panną w całej okolicy. Tego roku jesienią miał się odbyć jej ślub z Siekielskim i od kilku tygodni jeździła z ojcem po miasteczkach,

robiąc zakupy. Starszy pan Syrwin bardzo kochał swoją jedynaczkę i owdowiawszy wcześniej, nie ożenił się powtórnie, żeby nie dać córce macochy.

Rzuciwszy okiem na zegar, Nina stwierdziła, że do obiadu pozostało jeszcze wiele czasu i zaczęła pisać list do Bini. Była tak zajęta tą czynnością, że skoczyła przerażona na równe nogi, bo niespodziewanie drzwi otworzyły się z trzaskiem, waląc o ścianę. Do buduaru wpadła Paula, blada, drżąca, w rozwianym stroju porannym. Jak huragan przebiegła przez pokój, dopadła Ninę i chwyciwszy ją za ramiona, zaczęła nią potrząsać z zadziwiającą siłą.

– Widzisz, coś narobiła, ty przekłeta?! – wrzasnęła, wpijając jej paznokcie w ciało. Czarne, szeroko otwarte oczy płonęły rozpaczą i wściekłością.

Nina wyobraziła sobie, że Paula nagle oszalała i zamierzała ją zamordować. Odepchnęła ją z całej siły i cofnąwszy się, nieznacznie uchyliła górną szufladę sekretarzyka, gdzie przechowywała pistolet ojca. Dotknąwszy palcami zimnej lufy, uspokoiła się i niemal obojętnie obserwowała Paulę, miotającą się po pokoju.

– Nie uczono pani, że wchodząc do kogoś, należy przedtem zapukać? – odezwała się uprzejmie. – Dlaczego mnie pani napastuje?

Dysząc ciężko, Paula wpatrywała się w nią z napięciem. Czarne rozpuszczone włosy jak ciemna chmura spływały na białą poranną suknię. Posiniałe wargi febrycznie drżały. W dłoni trzymała rozpieczętowany list.

– Naturalnie, ty o niczym nie wiesz! – syknęła jadownicę. – Tak długo kokietowałeś Serge’a, aż skłoniłeś go do wyprowadzenia cię z kasyna i kłótni z Woroncewem. Co, dalej nic nie rozumiesz? Następnego dnia strzelali się z twego powodu! – Paula spazmatycznie zaczerpnęła powietrza i wytarła chusteczką wilgotne od łez oczy. – Właśnie znajoma pisze, że Płaton pokłócił się z majorem, a ten bez namysłu przysłał mu sekundantów. Ustalono bardzo ostre warunki. Strzelali do siebie z dystansu dwudziestu pięciu metrów! *Hospody...* – jęknęła zawodząco. – Taki dystans to morderstwo, bo chybić po prostu nie można!

Nagle wydało się Ninie, że posadzka ugina się pod jej stopami jak zrobiona z pakuł. Żeby nie upaść, całym ciężarem ciała wsparła się o sekretarzyk. Pociemniało jej w oczach, a w piersiach zabrakło tchu. Poruszyła wargami, lecz nie zdołała wydobyć głosu ze ściśniętego gardła. Jej twarz przybrała barwę popiołu. Bezlitosna wyobraźnia podsunęła jej obraz odludnego placyku i ciemną głowę bezwładnie leżącą na murawie, z krwawą dziurą w czole. Przypomniała sobie nagle słowa Woroncewa... A

ona, głupia pusta dziewczyna zajęta jedynie sobą, nie zwróciła nawet uwagi na zawartą w nich pogrózkę. To przez nią zginął Wielenin i tylko ona winna jest jego nagłej niepotrzebnej śmierci. Taki młody, piękny, szlachetny! Czy to możliwe, że już nie żyje i ona nigdy go nie zobaczy? Jego śmierć legnie ciężarem na jej sumieniu.

– Jezu miłosierny, nie! – wydała rozpaczliwy okrzyk.

– Nie krzycz, przestraszyłaś mnie! – Paula podskoczyła nerwowo. – Widzisz, do czego doprowadziłaś? Przez twoje dziecinne dąsy Woroncow jest ciężko ranny i leży w szpitalu wojskowym, a Wielenin z rozkazu generała wziął urlop i wyjechał do Rosji, może już na zawsze. Stałaś się powodem nieszczęścia! Jesteś głupia, bo mogłaś wyjść za Płatona. Cały czas starałam się o to. Gdy tylko Sasza wrócił z Warszawy, powiadomiłam go, że Woroncow chce się starać o twoją rękę i prosi o pozwolenie bywania w Makowie.

Nina miała wrażenie, że zupełnie ktoś inny stał tam i słuchał, co mówiła Paula. W jej głowie krążyły myśli pozbawione znaczenia, a na dodatek zaczęły jej dzwonić zęby. Jednak powoli słowa Pauli przeniknęły do jej świadomości. Jeszcze bardziej pobladła i z trudem zdołała przemówić:

– A wuj?

– Sasza? – Paula prychnęła ze złością. – Powiedział „nie”! Najwidoczniej wcale nie zależy mu na twojej przyszłości.

Minęło wiele czasu, zanim Nina pojęła, że Wielenin żyje i wyszedł z pojedynku zwycięsko, a Woroncow oberwał kulą. Westchnęła, wdzięczna Bogu, że nie stało się najgorsze i nie ma ludzkiego życia na sumieniu. „Dzięki Ci, Panie! – pomyślała z radością. – Wielenin żyje, a wuj Aleks nie wyraził zgody na konkury Woroncowa!”. Odzyskała pewność siebie i zmierzyła Paulę wyniosłym spojrzeniem.

– To nie ja byłam przyczyną dramatu – powiedziała spokojnie. – To pani celowo zwabiła mnie do koszar, mimo iż pułkownik był ostatnią osobą, którą chciałabym tam zobaczyć. Winę proszę przypisać sobie. Nie ukrywam, że wcale nie wzrusza mnie fakt, iż pan Woroncow otrzymał bolesną nauczkę. Zasłużył na to.

Paula wytrzeszczyła na nią oczy.

– Więc ty myślisz... – powiedziała, zacinając się nerwowo. – Ty naprawdę myślisz, że ja zamartwiam się z powodu Woroncowa? A czort z nim! Ale Serge... – Policzki jej pokryły się rumieńcem, a oczy zapłonęły ogniem namiętności. – Dla takiej marnej dziewczyny jak ty zaryzykował

życie! Płaton wybornie strzela i wielu śmiazków leży w ziemi z jego kulą w czaszce. Kiedy pomyślę, że Serge stał na wprost wycelowanej w niego lufy, to... Och, jakże ja ciebie nienawidzę! – Wydała ten okrzyk z samego dna serca.

Nina wytrzymała spokojnie jej palący wzrok.

– Z wzajemnością – oświadczyła zimno. – Nie wiem, co mnie wstrzymuje od powinności otwarcia wujowi oczu. Jest pani mężatką, a nie potrafi pani dochować mężowi wierności i uszanować swej godności. Jest pani występna kobietą!

Paula podniosła się z fotela, na którym przysiadła, i w milczeniu skierowała się do wyjścia, ale już na progu przystanęła i posłała Ninie spojrzenie pełne jadu, który wyrażały jej czarne złe oczy.

– Ty mała obłudna hipokrytka – odezwała się cicho. – Chcesz na mnie donieść? Myślisz, że mój mąż byłby zachwycony, dowiedziawszy się, że o taką smarkulę strzelają się oficerowie? Wygnałby cię z tego domu! I nie wyobrażaj sobie, żebyś coś u niego wskórała. Za bardzo mnie kocha, żeby uwierzyć w twoje insynuacje. Romansowałaś z Wieleninem, mimo że go nie kochasz, i tego ci przenigdy nie wybaczę. Zapamiętaj sobie, że przyjdzie czas, kiedy upomnę się o twoje szczęście, choćby z tamtego świata!

– Niech pani stąd wyjdzie! – zawołała Nina, zatykając dłońmi uszy, aby nie słyszeć już głosu tej okropnej kobiety.

Dygocąc na całym ciele, pobiegła do sypialni i rzuciła się na łożo, wciskając rozpaloną twarz w poduszkę. Boże, co za dzień! Wielenin bronił jej honoru... Czy to możliwe, że kochał się w niej? Wiedziała, że mu się podoba, bo jego oczy niezmiennie wyrażały zachwyt, kiedy na nią patrzył. Początkowo sądziła, że Paula była przedmiotem jego westchnień, ale szybko się zorientowała, że to właśnie ona była obiektem jego dyskretnych zalotów. Znaczące były jego częste wizyty w Makowie, a scena nad strumieniem głęboko zapadła jej w pamięć. Ale czy naprawdę była to wielka miłość? Tak twierdziła Paula, bo sama była w nim zakochana.

Nina westchnęła i przewróciła się na wznak, wlepiając oczy w sufit. Była Wieleninowi serdecznie wdzięczna, że tak odważnie i po rycersku stanął w obronie jej honoru, karząc pułkownika za jego bezczelne umizgi. Mężczyzna z pewnością nie robi takich rzeczy dla obojętnej mu kobiety. Poczowała dumę na myśl, że oficerowie pojedynekowali się o nią, jak o heroinę francuskiego romansu. Dzięki poświęceniu majora już nie musiała się obawiać antypatycznego Woroncewa. Ściągnęła brwi, bo przyszły jej na myśl zarzuty

Pauli. Oskarżyła ją o kokieterię i romans z Wieleninem. To było oburzające! Oczywisty wytwór chorej wyobraźni tej bezwstydnej kobiety. Podle kłamała, bo od pamiętnego balu sylwestrowego Nina myślała i marzyła tylko o wuju Aleksie. Niech Bóg raczy wybaczyć jej ten ciężki grzech. Na widok jego jasnej głowy, aż topniała z miłości, a jego niski głos wywoływał w jej sercu tajemne drzenie. Wtedy nachodziła ją chęć rzucenia się w jego ramiona i wyznania, jak bardzo go kocha. Niestety, bez wzajemności! Za to w obecności Wielenina przychodziły jej do głowy nieskromne myśli. Co prawda, to prawda, nie ma się co okłamywać. Kiedy z nią rozmawiał, ona, patrząc na jego zmysłowe usta ukazujące w uśmiechu śliczne zęby, pragnęła, żeby pocałował ją mocno, aż do bólu! Potem bardzo wstydziła się tych myśli, bo jeszcze nigdy w życiu z nikim się nie całowała. Czowała się tym bardziej winna, bo pan Wielenin był Rosjaninem, oficerem carskiej armii. Dobrej Polce nie wypadało całować się z zaborcą, nawet tak szlachetnym i przystojnym, jak młody major. No, owszem – przyznawała szczerze – pan Wielenin jej się podobał. O, nawet bardzo! Ale to przecież jeszcze o niczym nie świadczyło. Na pensji podkochiwała się w nauczycielu tańca, a dziś nawet nie pamiętała, jak on wyglądał.

Ujrzawszy pierwszy raz Aleksa, nie miała nawet cienia wątpliwości, że jest on pierwszą i jedyną miłością jej życia. Marząc o nim, sama wydawała się sobie lepsza, bardziej dojrzała, naprawdę dorosła. „Ach! – westchnęła ciężko jak spracowany tragarz. – Dlaczego dorośli stawiają tyle barier przed młodzieńką panią? Życie jest okropnie skomplikowane, a los niesprawiedliwy, dając Pauli wspaniałego męża, tytuł i majątek. Jak to dobrze, że niania nie była świadkiem awantury, którą urządziła jej hrabina, i nic nie wiedziała o bankiecie w kasynie. Wtedy z pewnością spakowałyby manatki i *adieu*, Makowie!”.

Przewróciła się na bok, obserwując, jak uroczo wyglądał jej pokój w blasku jesiennego słońca. Maków był najpiękniejszym miejscem na kuli ziemskiej i wcale nie zamierzała go opuszczać, mimo iż Paula okazała się podłą małpą. Zastanawiała się, czy Wielenin wyjechał z Polski na zawsze. Zapewne tak, ale nigdy się tego nie dowie, bo nie spotkają się już więcej. Nigdy! Uderzyła pięścią w poduszkę i rozplakała się, nie rozumiejąc, dlaczego ta myśl tak bardzo ją bolała.

Zaledwie wytarła oczy i wysiąkała nosek, gdy zapukano do drzwi. Do sypialni weszła Walerka z bardzo zafrasowaną miną. Dygnawszy, podeszła i spojrzała z troską na skrzywioną buzię swojej pani.

– Jaśnie panienska niezdrowa? Bo jaśnie pan prosi panienkę do malinowego salonu.

Nina zbladła i jednym skokiem zerwała się z posłania. „Jezus Maria, pewnie ta wściekła baba powiedziała wujowi o pojedynku!” – przemknęła jej przez głowę straszna myśl. Kolana ugięły się pod nią i klapnęła na najbliższe stojące krzesło.

– Nie wiesz, czego pan hrabia sobie życzy? – odważyła się spytać. Była przekonana, że dziewczyna doskonale orientowała się w pałacowych układach.

– Bo z Warszawy przyjechała starsza jaśnie pani hrabina, a nasza pani wybrała się gdzieś z wizytą – zaszczebiotała Walerka, poprawiając zmiętą kapę na łożku. – Pani nie powiedziała, kiedy wróci, a taka była zła, że wybiła Pawła parasolką.

Nina odniosła wrażenie, że nagle spadła jej cegła na głowę.

– Ciotka pana hrabiego przyjechała? – upewniła się. – Dziś?

– Ino co przyjechała, jeszcze lokaje znoszą kufry z wozu.

– A jak ona wygląda? – dopytywała się Nina w strachu, że starsza pani okaże się drugim wcieleniem ciotki Borutyńskiej.

– Nie widziałam jej, proszę jaśnie panienci, bo jaśnie pan hrabia zaprowadził starszą jaśnie panią do salonu. Ale pan Walenty powiada, że to ludzka pani, dobra jak anioł.

„Oho, już ja nie wierzę w anioły. Nowe zmartwienie. Że też musiała właśnie teraz wybrać się do Makowa. Jutro raut, a ona pewnie zechce we wszystko wścibiać nos. Nie tęskniłam za nią” – utyskiwała w myślach, starając się zmienić suknię. Ta, którą miała na sobie, była jasna.

– Walerciu, pomóż mi – sapąła, próbując ściągnąć sukienkę. – Ufff, nie mogę.

Pokojówka zręcznie uwolniła ją z fałd spódnicy zarzuconej na głowę, rozpinając z tyłu obcisły stanik.

– Co mam panience podać?

– Czy ja wiem... – Nina z pasją kopnęła zdjętą suknię pod kanapę. – Może taftową? Nie, taftowa nie jest odpowiednia przed południem. W takim razie podaj mi tę muślinową i szal. Nie białą, cielátko, tylko czarną. Dziękuję. A teraz popraw mi włosy. Wiesz, najlepiej uczesz mnie w koronę. Matko Święta, po co mi ta ciotka?

– Może nie będzie tak źle, panienko. Starsza jaśnie pani podobno nie lubi pani hrabiny. – Walerka zmrużyła oczy i uśmiechnęła się przebiegle. Szybko

upięła warkocze w wysoki diadem i z zadowoleniem oglądała swoje dzieło.  
– Jaśnie panienczka to taka śliczna, że napatrzeć się nie można. A już pan Walenty mówi, że takiej śliczności to może i na całym świecie nie ma.

– Nie pochlebiaj mi, ty mądralo! – Roześmiała się, rozczulona pochwałą.  
– Pani hrabina piękniejsza.

– E, gdzież tam! Przecie już stara. – Walerka skrzywiła się pogardliwie. Podobnie jak i reszta służby wcale nie szanowała Pauli.

Nina, pochwywszy obiema rękami krynolinę, zbiegła na parter. Stanąwszy przed drzwiami malinowego salonu, odetchnęła głęboko, starając się panować nad sobą. Zapukała nieśmiało, a usłyszawszy zaproszenie, weszła i zatrzymała się niezdecydowanie. Aleks się obejrzał i posławszy jej uśmiech, ujął ją za rękę i podprowadził do kanapy, na której siedziała hrabina, pijąc herbatę. Nina zebrała suknię i przysiadła w głębokim ceremonialnym ukłonie. Lękała się podnieść oczy w obawie, iż zobaczy przed sobą wyniosłą i jędzowatą damę.

– Ciociu, to jest Nina – powiedział Aleks, trzymając ją tak mocno za rękę, jakby podejrzewał, że panna da drapaka. – Nino, a to moja ciocia Tecią, najlepsza, najszlachetniejsza dama pod słońcem.

– Olesiu, nie wspominałeś mi, że ona jest taka czarująca! – Nina usłyszała cichy i słodki głos. Podniosła głowę, wpatrując się w starszą panią badawczym spojrzeniem.

Przed nią siedziała filigranowa dama o pociągłej twarzy, z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi. Wysokie czoło, duży orli nos nadawały jej rysom wyraz pewnej wyniosłości, ale brązowe oczy były słodkie i przyjazne, a na drobnych ustach gościł serdeczny uśmiech. W ciężkiej wdowiej sukni wydawała się delikatna i eteryczna. Prócz złotego krzyża na piersi nie miała na sobie żadnych klejnotów, a jej szczupłe palce nie nosiły pierścieni. Ciemne przetykane siwizną włosy przykrywała czarna koronka. Starsza pani emanowała rzadkim urokiem. Przyjrząwszy się jej, Nina uznała, iż hrabina naprawdę musi być dobra, czuła i mądra. Prawdziwie wielka dama. Pani Tekla czekała cierpliwie na wynik tych obserwacji, dodając Ninie odwagi uśmiechem.

– Czy zechcesz mnie pocałować, moje dziecko?

Pod wpływem pierwszego impulsu Nina zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała jak matkę. Po chwili rozmawiały z sobą tak swobodnie, jakby się znały od lat. Nina, zawsze kierująca się sercem, wprost zakochała się w starszej pani.

– Mam nadzieję, że się nie przepracowujesz, kochanie. Oleś mówił mi, że rządzisz całym domem. Może wolałabyś zamieszkać w Warszawie? – odezwała się hrabina, przyciągając ją do siebie.

– Tak naprawdę to dom jest na głowie mojej niani, a ona ma energię trąby powietrznej i gdy się znajdzie w pobliżu, wszyscy powinni mieć się na baczności. – Nina się roześmiała, zupełnie pozbywszy się skrępowania. – Lubię wieś i tu się nie nudzę, bo w sąsiedztwie mam wielu przyjaciół. Jutro na bankiecie będę miała okazję przedstawić ich pani hrabinie.

– Będzie mi miło. A wiesz, kochanie? Poczuję się swobodniej, jeśli będziesz nazywać mnie ciocią Tecią.

– Ale ja nie śmiem!

– Proszę cię o to. A teraz, jeżeli masz ochotę, pożegnamy Olesia na godzinkę i w tym czasie pokażesz mi moje pokoje.

Nina dygnęła i pomogła hrabinie podnieść się z kanapy.

– Przeznaczylismy dla cioci pokoje na parterze – odezwał się Aleks, przyglądając się z głębokim zadowoleniem wzajemnej serdeczności obu kobiet. – Nino, sprawdź, czy cioci będzie tam wygodnie.

– Dziękuję, że troszczysz się o mnie, mój kochany chłopcze. – Dama pieszczotliwie pogładziła go po ramieniu. – Ale broń Boże, nie zmieniajcie ze względu na mnie trybu życia. Zawsze mnie to bardzo krępuje, gdy ludzie zachowują się ceremonialnie.

Pokoje były już od dawna przygotowane i stanowiły ostatni wyraz wygody i przytulności. Położone w południowym skrzydle domu, gdzie nie dochodził żaden hałas z zewnątrz, pełne były słońca, powietrza i zapachu kwiatów. Pani Tekla z rozrzewnieniem rozejrzała się po saloniku.

– O, jak tu ślicznie! Będę się tu czuła znakomicie – rzekła, oglądając etażerki pełne rzadkich roślin i półki wypełnione książkami dla kobiet. – Dziękuję wam, kochani.

– To ja pożegnaj panie do obiadu. – Aleks ucałował ręce ciotki. – Nino, nie wiesz, gdzie się podziała Paula?

Nina już miała na końcu języka uwagę, że pewnie hrabina opłakuje rany Woroncewa, ale w porę przypomniała sobie, że przecież wuj Aleks nic nie wiedział o pojedynku i lepiej, żeby się o tym nigdy nie dowiedział.

– Podobno pojechała z wizytą – odpowiedziała, unikając jego wzroku.

– O tej porze? – Potrząsnął głową i wyszedł zatroskany.

Pani Tekla spacerowała po pokojach, rozglądając się z uśmiechem.



– W tych pokojach nie ma kominków, lecz są piece. W zimie będzie tutaj ciotuni ciepłutko, a w lecie chłodno, bo słońce świeci z boku. – Nina stanęła na środku pokoju, nie spuszczać z hrabiny oczu. – O, proszę uważać! – zawołała, biorąc panią Teklę pod ramię i podtrzymując ją. – Te posadzki są bardzo śliskie. Każę przybić ten dywanik.

Hrabina była wyraźnie wzruszona jej troskliwością. Z matczyną serdecznością przygarnęła ją do siebie.

– Zawsze marzyłam, żeby mieć córeczkę. Taką śliczną i mądrą jak ty. – Zawahała się i po namyśle zapytała cicho: – A jak się układają stosunki między tobą a Paulą? O ile wiem, ona nie ma łatwego charakteru.

– No cóż... – Nina poczuła się zakłopotana. – Hrabina ma własne kółko znajomych, a pałac jest tak duży, że nie wchodzimy sobie wzajemnie w drogę.

– Rozumiem... – Na ustach pani Tekli ukazał się domyślny uśmiech. – Umiesz wyrażać się bardzo dyplomatycznie, moje dziecko. To cenna zaleta, konieczna w naszej sferze.

Nina uznała, że mało kto mógł dorównać pani Tekli w trafiających w sedno stwierdzeniach wypowiedzianych z niezrównaną wytwornością.

– A wiesz, moje kochanie, że ja tu już kiedyś mieszkałam? – Hrabina ożywiła się nagle.

– Nie wiedziałam.

– Ależ tak! Mój mąż był bliskim krewnym hrabiów Michała i Jana, ojca Olesia. Zaraz po ślubie mieszkaliśmy jakiś czas w tych pokojach. Potem byliśmy tu na krótko przed wybuchem powstania w tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym roku. O, pod tamtymi dębami żegnałam mego Karola. – Wskazała kilka prastarych drzew rosnących przed domem. – Zobaczyłam go dopiero po roku, na Syberii.

– To ciotunia była zesłana?! – wykrzyknęła Nina z przerażeniem, spoglądając na wiotką postać hrabiny.

– Nie, ja pojechałam tam z własnej woli. Dziwisz się? Otóż byłam na Syberii, choć mnie samej wydaje się to nieprawdopodobieństwem. Ale uwierz mi, że w określonych okolicznościach człowiek potrafi znaleźć w sobie siły, o jakie się nigdy nie podejrzewał. Zwłaszcza gdy chodzi o ratowanie najdroższej głowy.

Pani Tekla sięgnęła za dekollet i wydobyła złoty medalion. Po naciśnięciu sprężynki sekretnik się otworzył, ukazując miniaturę malowaną na kości

słoniowej. Przedstawiała młodego mężczyznę o jasnych włosach i dużych marzących oczach.

– Tak wyglądał mój mąż. – Pani Tekla usiadła na kanapce, muskając pieśczołliwie podobiznę hrabiego Klonowieckiego. – Prawda, że podobny do Olesia? Nie tylko zresztą z twarzy. Został za udział w powstaniu skazany na piętnaście lat zesłania. Poszłam za nim, bo żona zawsze powinna być przy boku męża, w dobrych i złych chwilach.

Przejęta Nina przykucnęła przy jej kolanach.

– Przecież wielu powstańców skazano na zesłanie, ale ich żony pozostały w kraju – zauważyła.

Pani Tekla uczyniła wytworny gest dłonią.

– One zapewne posiadały dzieci. Ja byłam sama i poważnie traktowałam przysięgę daną mężowi przy ołtarzu, iż nie opuszczę go aż do śmierci. Postanowiłam, że pójdę za nim. Początkowo władze rosyjskie czyniły mi trudności. Nie chciano wydać mi pozwolenia na wyjazd do Rosji, lecz ja miałam możne protektorki i to one wstawiły się za mną. Po ich interwencji zezwolono mi na podróż do imperium.

– A kim były te panie?

– Księżna łowicka<sup>101</sup> i pani hrabina Zofia Kisielew<sup>102</sup>.

– To ciotunia znała księżną łowicką? – szepnęła zdumiona Nina.

– Naturalnie. Dawniej często bywałam w Belwederze u Żanetki, zanim wielki książę Konstanty nie zaczął prześladować patriotów. Tak więc pojechałam. Trochę saniami, trochę konno dotarłam do celu i Bóg pozwolił mi spotkać się z mężem.

– To tak daleko od Polski... – szepnęła Nina.

Pani Tekla wskazała jej miejsce przy sobie. W łagodnych brązowych oczach starszej pani malował się głęboki smutek. Wpatrywała się przed siebie żalonym spojrzeniem, jakby usiłowała dojrzeć w przestrzeni coś niezmiernie odległego.

– Tak, moje dziecko. Męża zesłano do kraju podbiegunowego. To straszny, a zarazem przebogaty kraj. Dla ludzi urodzonych w innym klimacie życie jest tam niewyobrażalnie ciężkie. – Wzdrygnęła się, odruchowo otulając się szalem, jakby ogarnął ją chłód. – Zimą okropne mrozy, niemal wieczna noc i te śniegi... Wielu zesłańców ogarniało szaleństwo. Nie mogli znieść tej straszliwej tęsknoty za słońcem, rodziną i krajem. Niektórzy odbierali sobie życie. O, Pan Jezus miłosiernie wybaczy im ten grzech i obdarzy światłością wieki, bo wiele wycierpieli – dokończyła szeptem, a

po chwili ciągnęła opowieść: – Wielu przy mnie pomarło. Ja przetrzymałam mrozy i burze śnieżne. Przeżyłam noc polarną, niedostatek i nostalgię. Ale mój mąż się przeziębił, zachorował i wkrótce zmarł.

Pobladła, a Ninie się zdawało, że słyszała, jak serce starej kobiety ciężko kołatało w piersiach. Nawet westchnieniem nie śmiała przerwać ciszy.

– Nie miał biedak ani księdza, ani trumny, tej domowiny ostatniej, należącej każdemu człowiekowi – podjęła wspomnienia pani Tekla. – Rękami i łopatką wygrzebaliśmy mu dół w śniegu i śniegiem go przysypaliśmy. Towarzysze zesłańcy pomodlili się za spokój jego duszy i zaśpiewali mu *Salve Regina* i *Jeszcze Polska*. Ot i wszystko. Przyszła burza śnieżna, wicher połamał krzyżyk z patyków, a z jego grobu nie pozostało nawet śladu. Nigdy już nie odnalazłam tego miejsca, choć błagałam o tę łaskę Boga dniami i nocami. A Karol, umierając, tak bardzo mnie prosił, żebym zabrała jego ciało i pochowała w ojczystej ziemi. Wierzę jednak głęboko, że po śmierci dusze nasze spotkają się na innym, lepszym świecie, gdzie nie ma Sybiru, wojen i śmierci. Wtedy już nigdy się nie rozstaniemy.

Hrabina westchnęła ciężko i zwiesiła głowę. Nie płakała, mimo że oczy jej szklily się od łez. Zamyślona, zdawała się zapominać o obecności Niny, a ona nie śmiała przerwać tej zadumy. Dopiero gdy pani Tekla otrząsnęła się ze smutku, Nina pochyliła głowę i z czcią ucałowała obie jej ręce.

– Przepraszam cię, córeczko. – Pani Tekla obdarzyła ją ciepłym uśmiechem. – Ciągle jeszcze żyję wspomnieniami. Ale cóż mi pozostało? Niepotrzebnie cię zasmuciłam. Jesteś za młoda na smutki.

– O, ja również mam niewesołe wspomnienia z dzieciństwa. Utraciłam dom, rodziców, majątek. Żyłam w nędzy.

– Wiem, kochanie. Ale możesz być dumna ze swoich rodziców. Niegdyś przyjaźniłam się z twoją babką marszałkową. Była siostrą matki Olesia i odznaczała się wyjątkową pięknnością. Jesteś do niej bardzo podobna.

Nina spojrzała na nią i nagle naszła ją chęć, by rzucić się na kolana i wyznać tej przedobrej kobiecie prawdę jak na spowiedzi. Och, tak bardzo pragnęła oczyścić sumienie i wyrzucić z siebie wszystkie brudy. Usłyszeć słowo pociechy i mądrą radę. Lecz po zastanowieniu się doszła do wniosku, że po prostu nie wypada z tak wielką damą rozmawiać na ten temat. Mogłaby zostać niewłaściwie zrozumiana.

– Często mam wątpliwości, czy nasza walka ma jakiś sens – odezwała się po dłuższej chwili milczenia, odważywszy się podzielić głośno swoimi obiekcjami. – Może korzystniej dla nas byłoby unowocześnić kraj, budować

miasta i wsie, znieść pańszczyznę i uczyć się gospodarować od naszych zachodnich sąsiadów, zamiast ginąć za przegraną z góry sprawę.

Hrabina nie była zgorszona jej wypowiedzią.

– Dziecko, zrozum, zaborcy nigdy się nie zgodzą, żeby Polska stała się silnym, dobrze rządzonym krajem, bo wtedy może im zagrażać. Jesteśmy niewolnikami pozbawionymi praw i nic nie chroni nas przed gwałtem. Dlatego na przekór całemu obojętnemu światu musimy udowodnić, że Polska żyje, nie godzi się z niewolą i pragnie na powrót stać się wolnym, niepodległym narodem.

– A czy nie szkoda tak wielkich ofiar?

Pani Tekla głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Ich ofiara nie była daremna, krew poległych rodzi mścicieli. Wspomnisz moje słowa. Jeszcze naród nie pogodził się z niewolą, a gdy się ocknie, jego gniew będzie straszny.

– Wolałabym tego nie dożyć – szepnęła Nina.

– Niczyje życie nie jest proste, kochanie, cokolwiek byśmy o tym myśleli. Zawsze jest w nim cierpienie, choroba, strata... Lecz krzepi nas wiara. Dla mnie mąż mój nie umarł. Żyje i czeka gdzieś na mnie, bo prawdziwa miłość nigdy nie umiera.

– Ja nie spotkam takiej miłości – powiedziała Nina z żalem.

– Spotkasz. Ja wiem, że tak będzie. – Pani Tekla przytuliła ją do siebie.

Niespodziewanie Nina doznała uczucia przeszywającego lęku. Serce jej ścisnęło się strasznym przecuciem. Pobladła i wtuliła się w róg kanapy... Śnieg i puszcza w okowach mrozu... Sybir? Wydała głuchy jęk i zasłoniła dłońmi oczy. Pani Tekla spojrzała na nią z niepokojem.

– Czego się przełękałaś, córeczko? Pobladłaś.

– Nie wiem. Coś mi się przywidziało. – Nina potrząsnęła głową, odpędzając ponury obraz.

## KONIEC TOMU I

96 daw. pieczarki

97 Zupa jarzynowa.

98 Operetkę Piękna Helena Jakuba Offenbacha wystawiono w Paryżu w 1864 roku. Dla celów powieściowych zmieniłam datę.

99\* łac. Tak przemija chwała świata!

100 Najstarsza droga rzymska, łącząca Rzym z Kapuą, wybudowana przez Appiusza Klaudiusza cenzora (312 rok p.n.e.), który wybudował też pierwszy w Rzymie wodociąg.

101 Hrabianka Joanna Grudzińska, żona wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza Romanowa, brata cara Aleksandra I.

102 Zofia z Potockich Kisielewowa – żona rosyjskiego ministra Pawła Kisielowa.



# Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

